

REED
BARVIN

Ostatnie
pożegnanie

RH⁺

Reed

Arvin

OSTATNIE POŻEGNANIE

Z języka angielskiego przełożył Marcin Roszkowski

REDHORSE

GTW

Dla Dianie

Bella como la luna y las estrellas

Podziękowania

Jak zwykle chciałbym wyrazić wdzięczność wobec Jane i Miriam w Dystel i Goderich Literary Agency.

Do Marjorie: twoja wiara wiele dla mnie znaczy. Spróbuję żyć z nią w zgodzie.

Najgorętsze podziękowania należą się dr Richardowi Caprioli z Uniwersytetu Vanderbilt, którego pomoc w sprawach technicznych okazała się nieoceniona. Gdybym wiedział, że naukowcy jeżdżą ferrari, być może wybrałbym inny zawód. Wszystkie błędy natury technicznej są wynikiem mojej niedoskonałości. Jestem również winien podziękowania kolejnym trzem osobom z Uniwersytetu Vanderbilt: Vali Forrester, Joel Lee i dr Mace Rottenberg. Chciałbym wyrazić swoją wdzięczność wobec Rona Owenby, przewodnika i nieocenionego kompana przy obiedzie. Pracownicy Opery w Atlancie wykazali się niewyczerpaną cierpliwością i zapewnili mi wstęp za kulisy, im także chcę tu podziękować. Ta książka nie powstałaby bez Kelly Bare, która z właściwym sobie dobrym humorem doglądała wielu istotnych spraw.

Rozdział pierwszy

No to wam opowiem. Podobno spowiedź uwalnia duszę od brzemienia grzechu, dlatego, kiedy do wyboru mam religię Tony'ego Robbinsa i odwiedziny u zaprzyjaźnionego dilera, wolę pójść po linii najmniejszego oporu - i wyłożyć kawę na ławę. Jeśli chodzi o moją duszę, stosuję zasadę lekarzy: *Po pierwsze nie szkodzić.*

Złamałem wszystkie zasady, jakimi się kierowałem. Oto, czego się dopuściłem. To był punkt zwrotny, kiedy moje życie, pełne dotąd odcieni szarości, ale uczciwe - diametralnie zmieniło swój kurs. Pomiedzy grzechem a utratą niewinności przebiega bardzo cienka linia. Kilka decyzji, podsyconych żądzą, i człowiek się stacza. Wydawało mi się, że chodzi o kobietę. Myślałem, że ją zdobyłem. Teraz wiem, jak było w rzeczywistości i muszę pogodzić się z faktami, bowiem chodzi o oczyszczenie mojej duszy. Taka jest istota prawdy - zna każdy mój uczynek czy myśl, i ocenia mnie jak mściwy duch.

Mój moralny upadek rozpoczął się w chwili, kiedy spojrzałem jej w oczy. Od razu straciłem dla niej głowę. Docierało do mnie tylko tyle, że jest w moim biurze i płacze, a mnie udało się jedynie poprosić, aby usiadła. Nazywała się Violetta Ramirez i pasowała do mojego biura niczym zegarek Timexa do jachtklubu. A jednak z niewiadomego powodu nie zwracałem uwagi ani na ubranie kupione w hipermarkecie, ani na pończochy, w których puściło oczko. Zamiast tego spoglądałem na jej gładkie policzki, wspaniałą cerę, ogromne brązowe oczy i podziwiałem gęste, kruczoczarne włosy, zebrane w kucyk. Jej widok sprawił, że krew

zagotowała się w moich żyłach, hormony zaczęły buzować, a końcówki nerwów paliły mnie żywym ogniem.

Klienci kancelarii Carthy, Williams & Douglas zazwyczaj nie płaczą. Zwykle mamroczą coś pod nosem, klną lub wybuchają gniewem, a jeśli człowiek ma szczęście, siedzą w ciszy i słuchają. Skoro płacą czterysta dolarów za godzinę przyjemności spotkania ze mną, staram się nie krytykować ich manier. Na widok płaczącej kobiety, ku mojemu zaskoczeniu, zerwałem się z miejsca i zacząłem gorączkowo wypytywać, w jaki sposób mogę jej pomóc. Była taka piękna i bezradna. Nie mogłem siedzieć beczynn timer.

Powiedziała, że Caliz był ojcem jej dziecka. Doszło do jakiegoś nieporozumienia, policja się na niego uwzięła i podrzuciła mu *las drogas*. Gdyby tylko ktoś zadał sobie trud i spróbowałby go zrozumieć, przekonałby się, że to dobry człowiek. Niestety, mówił to, co myślał i miał niewyparzoną gębę, dlatego policja go wrobiła. Racja, nie był święty, przyznała, ale nigdy nie złamałby prawa. Kiedy to mówiła, obserwowałem opuchliznę przebijającą się spod makijażu.

Nie wiem, czy zdawała sobie sprawę z wrażenia, jakie na mnie wywarła. Patrzyłem na nią jak zahipnotyzowany, śledząc każdą z łez spływających po jej policzku. Kiedy założyła nogę na nogę, odjęło mi dech w piersiach. Nie, żebym nie doceniał kobiet, i nie znał się na nich. Wręcz przeciwnie, zawsze radowałem się kobiecym towarzystwem - zarówno bezpieczeństwem, jakie dawała mi matka, jak i zjadliwą inteligencją koleżanek z pracy. Jednak było w tej kobiecie coś, co sprawiało, że po prostu jej pożądałem, na najniższym, prawie zwierzęcym poziomie. Aby ją zdobyć, sprzedałbym diabłu duszę.

Od razu wyjaśniłem, że istnieją granice pomocy, jakiej możemy udzielić. Firma nie zajmowała się sprawami kryminalnymi, zwłaszcza związanymi z podejrzeniem o handel narkotykami. Kobieta rozplakała się jeszcze bardziej, a ja nie miałem sumienia powiedzieć jej, że nie jest w stanie zapłacić mojego honorarium. To i tak nie grało roli, ponieważ panowie Carthy, Williams & Douglas prędeż zaprosiliby anioła śmierci na kolację, niż skinęli palcem w obronie handlarza prochami. Powiedziałem więc wprost, że mam związane ręce i nawet nie kłamałem. Nie w mojej mocy było zmieniać zasady, wedle których działa firma. Violetta Ramirez otarła łzy, podała doń na pożegnanie i wyszła załamana z mojego biura. Kilka godzin później wciąż przed oczyma miałem jej obraz, spoglądałem na krzesło, na którym siedziała i pragnąłem ją ponownie zobaczyć. Przez dwa następne dni nie byłem w stanie nic zrobić do końca. Wreszcie zadzwoniłem do niej i powiedziałem, że spróbuję coś wymyślić. Szczerze mówiąc byłem gotów poruszyć niebo i ziemię, byle ją, choć jeszcze raz zobaczyć.

To, co zamierzałem zrobić, stało w sprzeczności ze wszystkimi zasadami. Carthy, Williams & Douglas trzymali się jak najdalej od spraw karnych. Firma zajmowała trzy piętra w budynku Tower Walk w Buckhead, tej dzielnicy Atlanty, gdzie biedę i starość uważano za zbrodnię. Jeśli ktokolwiek z firmy miałby się kręcić po slumsach, na pewno nie byłbym to ja, Jack Hammond. Studia prawnicze ukończyłem trzy lata temu, i przenieśliem się do Atlanty, miasta, które ściąga wszystkich żądnych kariery ludzi ze środkowego Południa, niczym magnes opiłki żelaza. Przez te lata pracowałem po siedemdziesiąt godzin w tygodniu, a w weekendy przepuszczałem forszę jak oszalały. Nie mogłem pozwolić sobie na

najdrobniejszy błąd, ale pomimo to załatwiłem sobie spotkanie z Frankiem Carthy, jednym ze współników-założycieli kancelarii.

Carthy miał siedemdziesiąt lat na karku. Pracę zaczynał w czasach, kiedy każda firma szczyła się tym, iż działa dla dobra publicznego. Do początku lat osiemdziesiątych sędziowie poważnie traktowali swój zawód. W takim środowisku Carthy czuł się jak ryba w wodzie. W głębi duszy pozostał staroświeckim, południowym liberałem, wrażliwym na punkcie ruchów przeciwko niesprawiedliwości społecznej. Ciągle wspominał lata sześćdziesiąte, kiedy zajmował się wyciąganiem protestujących z więzień. Zwykle ich winą był zły kolor skóry, siedzenie nie w tej części autobusu co trzeba, czy udział w demonstracjach. Wiedziałem dobrze, że nie będzie chciał się mieszać w sprawę handlu narkotykami, jednak liczyłem na to, że zmieni zdanie, kiedy usłyszy o zapłakanej dziewczynie i nakazie aresztowania wydanym za zły kolor skóry.

Carthy'ego nie widywałem zbyt często. W hierarchii firmy zasiadał na samym szczycie Olimpu, i rzadko zstępował w głąbiny Hadesu dwa piętra niżej, gdzie tyrali jego pracownicy. Ja natomiast urabiałem się po łokcie, próbując uciec od korzeni zapuszczonych w ziemię Dothan (stan Alabama), i przed życiem tak zwyczajnym i nudnym, jak wycięte z kartonu. Z tego powodu prawie nigdy nie doznawałem zaszczytu przebywania w towarzystwie bogów mojej firmy. Od początku mojej kariery miałem wrażenie, że posiadam jakiś szczególny, prawniczy dar. Dzięki pomocy Carthy'ego, Williamsa i Douglasa, przekonałem się, że byłem niczym brylant porzucony w błocie. Szybko przylgnęła do mnie renoma najbystrzejszego i najbardziej

obrotnego chłopaka w okolicy. Teraz, jeśli rozmowa poszłaby po mojej myśli, urósłbym jeszcze w oczach jednego z założycieli kancelarii.

Kiedy wyluszczyłem mu, o co mi chodzi, zorientowałem się, że trafiłem w jego czuły punkt. Co więcej, obawiałem się, że będzie chciał mi pomóc. Babranie się w takiej sprawie było dla Carthy'ego, multimilionera i filantropa, czymś w rodzaju wystawiania przed sklepem spożywczym i zbierania datków na chore dzieci. Różnica polegała jedynie na tym, że nie ryzykował zamknięcia. Sala sądowa, w której odbywały się sprawy związane z narkotykami, była niewielka i przypominała poczekalnię dworca kolejowego, tyle że z siedzeniami na dziesięć osób. Pewnie uważał, że jego znajomość kruczków prawnych pozwoli nam wygrać sprawę w ciągu pół godziny.

Następnego ranka pojechałem na spotkanie z Calizem, co wymagało ode mnie podróży do więzienia Hrabstwa Fulton. To miejsce potwornie cuchnie, niosąc ze sobą woń całego zła, które może przydarzyć się człowiekowi. Już od wejścia człowiek zaczyna oddychać tu atmosferą przesyconą smrodem potu, nieszczęścia, nieczułej biurokracji, metalowych krat i spasionych strażników, a wszystko to okraszone jest blaskiem nigdy niegaszonych jarzeniówek. Idąc krok w krok za milczącym strażnikiem, dotarłem do niczym niewyróżniającego się pokoju, w którym ustawiono długi stół i dwa metalowe krzesła.

Caliza wprowadzono kilka minut później i od pierwszej chwili wiedziałem, że się nie polubimy. Choć liczył on sobie niewiele ponad dwadzieścia lat, to już dorobił się obojętnego spojrzenia drobnego bandziora. Jego oczy kipiały nienawiścią, a w ich

kącikach czaiła się złość, która za kilka lat przerodzi się w prawdziwą socjopatię. Jeżeli czegoś brakowało, aby stał się zawodową szumowiną, mogłem mieć pewność, że tych cech nabierze w więzieniu. Nie było sposobu, żeby uczciwie powiedział mi, za co trafił za kratki. Kłamał jak z nut, nie wkładając w to żadnego wysiłku. Spojrzał na mnie obojętnie i powiedział:

- Nie, nie. *La policia* podrzuciła *las drogas* do samochodu. Nigdy nie brałem *las drogas*. Po co ta fatyga? Trzymam się z dala.

O cholera, pomyślałem. Nie o to jednak chodziło. Tak naprawdę liczył się fakt, że samochód Caliza został zatrzymany, a po krótkiej, ale dosadnej sprzeczce, dokładnie przeszukany. Policjanci zdemontowali tylną kanapę, rozpruli ją, a następnie dokładnie przeszukali bagażnik. Zwykła pyskówka nie mogła być powodem do tak radykalnej akcji.

Jeżeli miałbym przeciwstawić zeznania Miguela Caliza relacjom funkcjonariuszy policji Atlanty, czekałaby mnie nielicha przeprawa. Tego samego popołudnia pojechałem, aby się z nimi spotkać i okazało się, że są dokładnie takimi drabami, jak opisywał ich Caliz. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to nieważne, czy facet mówi prawdę, czy kłamie, i tak wyjdzie na wolność. Policjanci okazali się ponurymi dupkami, którzy nie potrafili ukryć swojej niechęci do reszty świata. Przypominali mi Caliza: tak jak on byli zakazanymi typami, którzy żyli, pasożytując na ciemnej stronie społeczeństwa. W ich oczach widziałem, że nie lubią Latynosów, nie znoszą Caliza, a nade wszystko nie tolerują tych, których nie potrafią zastraszyć.

Jeżeli wezwałbym ich przed sąd, z miejsca stałoby się jasne, że aresztowali Caliza tylko za ciemny kolor skóry.

To wszystko nie mogło wytłumaczyć jednak późniejszych wydarzeń. Zabrałem Violetę na kolację, i przez trzy lub cztery godziny rozmawialiśmy o wszystkim i o niczym. Opowiadałem jej o rzeczach, o których nie miała bladego pojęcia: o studiach prawniczych, letnim wyjeździe do Europy. Tak naprawdę, to nie było coś, czym powinienem się chwalić, ale wypiliśmy kilka głębszych kieliszków, a ja wpatrywałem się w jej błyszczące, ciemne oczy i gadałem, upajając się jej towarzystwem. Potem poszliśmy na spacer. Był wilgotny, chłodny wieczór, więc szliśmy ciasno do siebie przytuleni, obserwując wystawy sklepowe Buckhead, dzielnicy, o mieszkaniu w której mogła jedynie marzyć. Violetta była ubrana tak, jak w jej rodzinnych stronach postrzega się elegancję: w czarną sukienkę, trochę zbyt krótką i zbyt obcisłą, uwypuklającą powaby jej ciała.

Nie powiem, że ją *uwiodłem*, bo oznaczałoby, że stała się moją ofiarą. To, do czego doszło później, jest znacznie bardziej skomplikowane i niejasne. Jedno jest pewne, zastanawiałem się wtedy, jak to będzie zatracić się w jej pięknie i obserwować własne odbicie w jej oczach zachodzących mgłą rozkoszy.

Po kilku spędzonych wspólnie godzinach zaprosiłem ją do siebie. Trochę się przy tym zająknąłem, ale nic nie zauważyła. Przez cały czas powtarzałem sobie, że tylko porozmawiamy, i że do niczego nie dojdzie. Jednak kiedy weszliśmy do mojego mieszkania, poczułem, jak jej piersi naciskają moją klatkę piersiową - i przycisnąłem Violetę do siebie. Chciałem potraktować ją jak anioła. Moim grzechem nie była żądza, ale to, co doprowadziło do upadku Lucyfera. Chciałem być drugim bogiem. Pragnąłem ocalić Violetę Ramirez, i żeby ona w podzięce

uznała mnie za swego zbawcę i oddała cześć należną Najwyższemu.

Rankiem, kiedy się obudziliśmy, czułem słodki zapach jej ciała, który sprawiał, że kręciło mi się w głowie. Westchnęła głęboko i przewróciła się na drugi bok, wyłaniając się z opadającej pościeli. Poczulem, jak jej ciało przywiera do mojego, i na chwilę ogarnęła mnie prawdziwa, nieopanowana euforia. Spała spokojnie i głęboko, a ja zastanawiałem się, jak bardzo cyniczny musi być Bóg, skoro pozwolił, aby taki anioł, jak ona, żył z szumowiną pokroju Caliza. Być może pozwalałem sobie na marzenia - był to ten etap mojego życia, kiedy jeszcze mogłem to robić - nie wiem już sam. A może Violetta lubiła niegrzecznych chłopców? Podświadomie szukała modelu swego ojca? A może, tak jak ja, chciała kogoś tylko dla siebie? W jakiś sposób jednak się z nim związała. Nieodgadnione są wyroki kobiecego serca.

Kiedy tak leżałem obok niej, nie wiedziałem, czy to, co się wydarzyło w nocy, było romantycznym uniesieniem, czy zwyczajnym upustem żądz. Nigdy zresztą się nie dowiedziałem, jaka była prawda. Jednym z żartów Boga jest to, że kiedy człowiek spotyka na swojej drodze anioła, staje się otumanionym głupcem i swoje szczęście może docenić dopiero po fakcie. Zakochujemy się bez pamięci, a na czwartej randce już zastanawiamy się, kim jest u diabła osoba, z którą się spotykamy. Kiedy Violetta obudziła się i zaczęła ubierać, wyglądała jeszcze piękniej, niż w nocy.

Seks, jaki z nią uprawiałem, był najlepszym, jakiego doświadczyłem w całym moim życiu, a każdy nerw mojego ciała krzychał o jeszcze więcej. Dzięki jej ciału zrozumiałem, kim jestem

i poznałem prawdziwe szczęście. Czuję się tak, jakbym szybował w przestworzach.

Nie rozmawialiśmy wiele. Ubrała się i cichutko uciekła z mojego mieszkania. Nie rzucała oskarżeń, niczego się nie domagała. Jedyne, co musiałem zrobić, to dotrzymać słowa: wyciągnąć Miguela Caliza z więzienia. Byłem jej to winien. Po tym, co stało się tej nocy, byłem też jego dłużnikiem.

Za własne pieniądze kupiłem mu ubranie, w którym mógłby pokazać się w sądzie. Wydaje mi się, że zrobiłem tak z poczucia winy. Ostatecznie przekroczyłem pewną granicę, choć ostatnimi czasy robiłem to tak często, że nie wiedziałem, która strona jest właściwa. Pewien byłem tylko jednej rzeczy: muszę wygrać tę sprawę.

Pojechałem do więzienia i wręczyłem mu paczkę z garniturem, którą przyjął bez słowa. Zaczekałem, aż się przebierze i pojechaliśmy do sądu. Caliz wyglądał dobrze, ale nie jak alfons, o co właśnie mi chodziło. Nie chciałem, aby sędziowie przysięgli spojrzeli na niego i zaczęli go brać za latynoskiego amanta.

Dziesięć minut po rozpoczęciu sprawy, zdałem sobie sprawę, że wygląd Caliza nie ma znaczenia. Mowę przygotowałem w oparciu o prace najlepszych konstytucjonalistów w kraju, i poparłem ją badaniami specjalistów od stosunków rasowych. Okazało się jednak, że wcale nie musiałem jej wygłaszać. Wszyscy na sali patrzyli jak oniemiała na policjanta, który odpowiadał na pytania pani prokurator, niezdarnie próbując ukryć malującą się na jego twarzy nienawiść do każdego człowieka, który miał ciemny kolor skóry i mieszkał w Atlancie. Przez chwilę zastanawiałem się, jak długo oskarżycielka będzie ciągnęła tę komedię, ale biedaczka nie

miała wyjścia. Bez zeznania oficera, który dokonał aresztowania, nie można było oskarżyć Caliza. Dlatego, pomimo nienawiści ziejącej z przymrużonych oczu policjanta, pogardliwego wyrazu twarzy i głosu pełnego złości, zadawała swoje pytania, wiedząc, że przegrała sprawę już na wstępie. Ława przysięgłych, która w ponad połowie składała się z Latynosów, nienawidziła gliniarza tak samo, jak on ich.

Caliz okazał się być świetnym aktorem i bardzo mi pomógł. Znikła gdzieś podejrzliwość i cwaniactwo, a zamiast nich obserwowałem przerażonego człowieka, który stał się ofiarą napaści policjanta. Jego głos drżał. Gliniarze, mówił, zatrzymali go, bo nie podobał im się kolor jego skóry. Poniżyli go, brutalnie przeszukali, bo mówił z niewłaściwym akcentem. Oczywiście, że wiedział o narkotykach. Przecież wszyscy o nich słyszeli, ale nigdy ich nie brał, ani tym bardziej nie handlował.

Sędziowie podjęli decyzję w ciągu godziny. Poczułem się nawet zadowolony, choć Caliz nawet mi nie podziękował. Nawet wtedy, kiedy sędzia ogłosił wyrok uniewinniający go od zarzutów, nie uścisnął mi dłoni. Zamiast tego odwrócił się i rzucił siedzącej za nami Violetcie takie spojrzenie, że zacząłem się poważnie zastanawiać, kto naprawdę pociągał za sznurki.

Myślałem o niej przez całą noc, zastanawiając się, co robi. Czy leży płasko na plecach, podczas gdy Caliz używa sobie na niej? A może kłóci się z nim, mówiąc, że nie zamierza więcej wyciągać go z więzienia? Jakże pragnąłem, aby była znów przy mnie, oplotła nogami i krzyczała słodkie kłamstwa. Marzyłem o tym, aby ponownie spojrzeć w jej wielkie oczy i zatracić się w nich bez reszty. Rano, kiedy poddałem się codziennej rutynie, nadal

myślałem o niej. Prawie zadzwoniłem, chcąc ją do siebie ściągnąć pod pretekstem podpisania jakichś dokumentów.

Wtedy jeszcze nie rozumiałem, jak bardzo bandyta różni się sposobem myślenia od zwykłego człowieka. Dla Caliza nie liczyło się poświęcenie Violetty, która oddała swoje ciało, aby zdobyć pomoc, na jaką nigdy nie byłoby go stać. Dla Caliza najlepszym rozwiązaniem wszystkich problemów życia była przemoc. Jeżeli uwiodła mnie z jego polecenia, to zapewne podejrzewał ją o to, że za bardzo się jej spodobałem. Jeśli zrobiła to z własnej woli, oskarżył ją o najgorszą zbrodnię w życiu kryminalistów: zdradę. Jak było naprawdę, nigdy się nie dowiedziałem. Wiem tylko, że dwa dni po tym, jak wyszedł z więzienia, zakatował ją na śmierć.

Koroner wyjaśnił mi, że Caliz złamał jej szczękę, aby przestała go błagać o litość. Dopiero potem pogruchotał jej zębra, przez co Violetta się udusiła. Na dodatek połamane kości przekłuły płuca i zebrała się w nich krew. Wedle jego wyliczeń, od momentu zadania śmiertelnych obrażeń do zgonu mogło upłynąć od czterech do sześciu minut.

Nikt nie wiedział, o co chodziło Miguelowi Calizowi, kiedy katował Violetkę Ramirez. Jest zresztą całkiem prawdopodobne, że nie miał żadnego motywu. Być może po prostu zakatował ją z zimną krwią. Pewne było jedno: dziewczyna nie żyła.

O tym wszystkim dowiedziałem się, kiedy doręczono mi wezwanie do sądu. Jadłem obiad z przyjaciółmi w modnej i drogiej restauracji na 103 West w Buckhead. Uśmiechnąłem się przeprasząco, odstawiłem kieliszek wina i przeczytałem list, za sprawą którego zawałił się cały mój świat. Adwokat Caliza był tani, prawdę mówiąc nie słyszałem o zatrudniającej go kancelarii,

ale nie głupi. Szybko odkrył, że przespałem się z dziewczyną jego klienta. Z tego powodu zostałem wezwany do sądu.

Kilka tygodni później położyłem rękę na Biblii, powiedziałem, że nazywam się Jack Hammond i przysięgam mówić całą prawdę i tylko prawdę. Sędzia nie był księdzem i nie udzielił mi rozgrzeszenia. Co więcej, określił moje zachowanie jako *niedopuszczalne*, co sprawiło, że panowie Carthy, Williams & Douglas zwolnili mnie natychmiast. Żaden z nich nie chciał mieć nic wspólnego z człowiekiem, który zachowuje się w ten sposób. Tragedia, która spotkała dziewczynę była okropna, a firma nie chciała być łączona z tymi wydarzeniami. Znalazłem się na bruku.

Przez kilka tygodni nie gasiłem światła w sypialni. Siedziałem w fotelu i obserwowałem, jak mijają kolejne minuty. W końcu poddałem się woli ciała i zasnąłem. Dręczyły mnie koszmary, które nie pozwalały zaznać wytchnienia.

Nic mnie nie obchodzi, że Miguel Caliz spędzi kilkadziesiąt następnych lat za kratkami. Jego uwięzienie nie wymaże z mojej pamięci obrazu Violetty Ramirez, który nawiedza mnie dniem i nocą.

Złamałem wszystkie zasady, jakimi się kierowałem. Oto, czego się dopuściłem i dlaczego zdecydowałem się na spowiedź. Choć jest mi lżej na duszy, to zadra w sercu pozostała. Dopóki nie naprawię tego błędu, nie zaznam w życiu spokoju.

Rozdział drugi

Dwa lata później.

Siedziałem w fotelu z zamkniętymi oczami, i oddawałem się wspomnieniom. Widziałem starego profesora Judsona Spence'a, który z uporem godnym lepszej sprawy wbijał nam do głów pełnych młodzieńczych ideałów: *Prawa karnego unikajcie, jak morowej zarazy. Podstawową prawdą o życiu jest to, że kiedy już raz unurzacie się w gównie, pozostawionym przez innych ludzi, będziecie się w nim taplać do końca życia.* Swoich najzdolniejszych i najpilniejszych uczniów kierował w najbardziej zyskowe i bogate w zasobnych klientów rejony prawa. Kazał grupom studentów powtarzać na głos maksymę: *kto spędza czas z ludźmi sukcesu, sam odniesie zwycięstwo.* W przeciwnym wypadku, ostrzegał nas lojalnie, deszcz ludzkich ekskrementów spadnie nam na głowy, kiedy nieudacznicy i typy spod ciemnej gwiazdy zaczną się tłoczyć u naszych drzwi.

Ja, Jack Hammond, jestem żywym przykładem na to, że profesor prawa Judson Spence miał absolutną rację w tej materii. Po tym, jak odbębniłem kilka spraw narzuconych mi z urzędu, odkryłem, że obecnie sam przyciągam do siebie klientów marnej jakości. Niestety, nie uczynili mnie bogaczem. W zasadzie świadczę porady prawne nieomal za darmo. Moje biuro mieści się w kiepskiej dzielnicy w południowo-wschodniej części Atlanty, jest urządzone bez gustu i jak najmniejszym nakładem środków. Szczególnie widać to po chwiejących się meblach i kiepskich tapetach. Tu i ówdzie widoczne są wybrzuszenia, które mają

tendencję do odbijania światła, przez co potencjalny klient może dostać zawrotów głowy.

Na pojedynczych, tandetnych metalowych drzwiach widnieje napis: „Jack Hammond i S-ka”, który jest wierutnym kłamstwem, bowiem oprócz mnie w firmie pracuje tylko Blu McCledon, moja sekretarka. Ale „S-ka” ładnie wygląda w książce telefonicznej i nadaje mojej firmie odrobinę powagi. Obecnie jestem na takim etapie życia, kiedy nie mam czasu przejmować się zbędnymi detalami. Moją głowę zajmuje głównie jeden problem: jak przeżyć do następnego dnia?

Szczerze mówiąc, powiedzenie o Blu, że jest sekretarką, to także byłoby kłamstwo. Na szczęście dostaje pensję, która pozwala jej przeżyć i ma wygodne krzesło, na którym może się wygodnie rozsiąść, czytając „Vogue” i katalog „Pottery Barn”. Jak ją mogę opisać? Gdyby Marilyn Monroe miała dziecko z kimś, kto nie do końca mówi po angielsku, na przykład z Tarzanem, myślę, że to właśnie byłaby Blu. Zasadniczo ma ciemno-blond włosy, choć na chwilę obecną pojawiły się pomiędzy nimi jaśniejsze pasemka, ale niebawem zastąpi je kolejny wymysł fryzjerki. Delikatna krzywizna pleców, zderzająca się z krągłością jej pupy potrafi powalić każdego faceta na kolana. Na szczęście do tego, aby firma Hammond i S-ka jakoś funkcjonowała, potrzebna jest tylko jedna uginająca się para kolan, która należy do Sammy’ego Listona, urzędnika w biurze sędziego Thomasa Odoma.

Blu dostaje swoją pensję, o trzy dolary niższą od średniej krajowej, tylko dzięki następującemu zapisowi w kodeksie prawa: *Jeśli nie stać cię na adwokata, zostanie ci przydzielony obrońca z urzędu.* Problem narkotyków w Atlancie jest ogromny. Z tego

powodu sędzia Thomas Odom, który rozstrzyga w tego typu sprawach, wypowiada tę sentencję kilka razy dziennie. Właśnie dzięki temu mogę zarobić kilka centów, broniąc klientów w tej sali, w której zakończyłem moją świetnie zapowiadającą się prawniczą karierę. Zwykle muszę stawać w obronie podejrzanych Murzynów, którzy nie zamierzają marnować pieniędzy na prawnika. Sędzia pozostawia szczegóły przydziału obrońców swemu sekretarzowi, Sammy'emu, który przypadkiem jest nieszczęśliwie zakochany w Blu. Sammy i ja mamy taki niepisany układ: on podrzuca mi ciekawe sprawy, a ja udaję, że mu wierzę, kiedy mówi, że ma u mojej sekretarki szansę. Jego miłość jest wszechogarniająca, potwornie jednowymiarowa i pozbawiona szans na spełnienie. Gdyby wybuchła wojna atomowa i gdyby przeżyli ją Blu i Sammy, ludzkość skazana byłaby na wyginięcie. Ale dzięki przymykaniu oka na ten drobny szczegół, nie muszę rozklejać ulotek na przystankach autobusowych. Powiem szczerze, kiedy dzwoni telefon na moim biurku, zawsze mam nadzieję, że to Sammy. Przeciętnie jego zlecenie warte jest pięćset dolarów.

Była dziesiąta rano pewnego upalnego majowego dnia, kiedy dźwięk brzęczyka przerwał ciszę. Blu odwróciła się do mnie i powiedziała:

- To Sammy, dzwoni z sądu.

Porzuciłem wspomnienia i wróciłem do bolesnej rzeczywistości.

- Aha. Oto kolejny kawałek rządowego sera - odparłem i podniosłem słuchawkę. - Sammy, to ty? Lepiej, żebyś miał dobre wiadomości, bo „Georgia Power and Light” dobiera mi się do

tyłka. - Zasadniczo nie mam żadnych tajemnic przed Sammym, poza tym, że Blu uważa, iż jego twarz przypomina koński pysk.

- Nic nie wiesz? - zabrzmiał w słuchawce przesycony południowym akcentem głos Sammy'ego.

- Nie. A o czym?

- No tak. Chodzi o jednego z twoich klientów. W zasadzie to już byłego klienta, bo nie żyje.

Na takie chwile ułożyłem sobie mantrę, którą jednak ostatnio powtarzam chyba zbyt często. *Nic nie jest takie złe, jak by się mogło wydawać.*

- O kim mówisz?

- Nie będziesz zadowolony.

- Chcesz powiedzieć, że miałem klientów, których lubiłem?

- Jeżeli szlag by trafił większość twoich klientów, ludzie byłiby szczęśliwsi, a aparat sprawiedliwości nie miałby nic do roboty.

- Mów, zamieniam się w słuch.

- Doug Townsend. Przeszarżował i odwalił kitę. Zmarł z przedawkowania.

Ironia tego faktu zakrawa o śmieszność. Doug Townsend, człowiek, z powodu którego zostałem prawnikiem, nie żyje.

- Przedawkował? Chcesz powiedzieć, że ze sobą skończył?

- Wiesz jak to jest. Człowiek się przyzwyczaja i zwykłe dawki nie dają już takiego kopa.

- Sammy, rozmawiałem z jego kuratorem. Facet był czysty jak łąza.

- Przykro mi, Jack.

- Jasne.

- Słuchaj, Jack. Staruszek chce wiedzieć, czy nie zajrzałyś do mieszkania Townsenda.

- A po co?

- Wiesz, żeby przejrzeć jego rzeczy. Może jest coś, co można by sprzedać i częściowo uregulować jego długi wobec Stanu.

- A co z jego rodziną? Miał kuzynkę w Phoenix.

- Dzwoniłem do niej, nie chce mieć z nim nic wspólnego.

- Jakie to miłe...

- Co mogę powiedzieć? Jak się jest czarną owcą, to rodzina stroni.

- Dobra, wpadnę do niego. Zobaczę, czy jest coś, co można spieniężyć, a resztę wyślemy do kochającej kuzynki, której nie chce się przylecieć i pochować krewnego.

- Pewnie nie utrzymywali żadnych kontaktów. Jack, Townsend to śmieć, zwykły śmieć.

- Był śmieciem, ale o złotym sercu, Sammy. Teraz nie żyje.

- Wpadnij do sądu Jack, dam ci klucz. Aha, słuchaj. Nie rób tam awantury, bo Townsend nie mieszkał w spokojnej okolicy. Nie chcemy żadnych kłopotów.

Nazywając Douga śmieciem Sammy był i tak nadzwyczaj taktowny. Townsend staczał się z każdym upływającym rokiem, aż osiągnął poziom dna. Pod koniec życia zamieszkał w Jefferson Arms, podłej dzielnicy, pełnej tanich i potwornie zapuszczonych mieszkań.

- Jasne, Sammy. Będziemy w kontakcie.

Bezsensowna i niepotrzebna śmierć Douga Townsenda zakrawała na ironię dlatego, że dziesięć lat wcześniej dokonał najodważniejszego czynu, jaki dane mi było kiedykolwiek oglądać.

Spotkaliśmy się w college'u: ja byłem jego świeżym narybkiem, on doświadczonym weteranem. Za sprawą pomocy międzyrocznej pomagał mi w opanowaniu rachunku różniczkowego, do którego nauki nie miałem ani chęci, ani talentu. Był to jeden z przedmiotów obowiązkowych, musiałem zdać egzaminy, i - chcąc nie chcąc - zmuszony byłem do zgłębienia jego zawichości. W tamtych czasach obydwaj byliśmy bardzo zajęci: ja przeżywałem męki zajęć na pierwszym roku, Doug, który był trzy lata ode mnie starszy, uczył się informatyki. Spotykaliśmy się zwykle późnym wieczorem, około dziesiątej.

Doug przyznał kiedyś, że próbował wstąpić do organizacji studenckich, ale wszystkie odrzuciły jego aplikację. Należał on do tego rodzaju ludzi, którzy przeraźliwie łaknąc towarzystwa innych, skazują się na wieczną samotność. Cechowała go prostolinijność i liczne dziwactwa, jednak pod pewnymi względami był prawdziwym geniuszem. Szczególnie interesowało go programowanie. Kochał komputery, darzył je podziwem i uwielbieniem. Były dla niego jak przyjaciel, kochanka i zbawca w jednym. Nic dziwnego, skoro prawdziwych, ludzkich przyjaciół mógł policzyć na palcach jednej ręki.

Któregoś wieczora, kiedy wreszcie zrozumiałem różnicę pomiędzy tangensem, a liniami siecznymi, wracaliśmy spacerem przez campus uniwersytecki. Szedłem ze spuszczoną głową, próbując wyobrazić sobie to, o czym opowiadał Doug, gdy nagle mój towarzysz wyrwał się do przodu. Jak się później okazało, zauważył, że ktoś wciągnął w krzaki opierającą się dziewczynę. Kiedy ze zdziwieniem rozglądałem się dookoła, Doug wpadł w zarośla, wrzeszcząc wniebogłosy. Choć nie ważył więcej niż

sześćdziesiąt kilogramów, i nie miał praktyki w bójkach, to młócił zaciekle rękoma i nogami.

Dziewczynę napadło dwóch chłopaków, którym w normalnej sytuacji pobicie Douga zajęłoby dziesięć sekund. Ponieważ byli pijani i zaskoczeni, stłukli go w dwanaście. Kiedy dobiegłem na miejsce, a wierzcie mi, naprawdę się starałem jak najszybciej przebierać nogami, Doug leżał pokrwawiony na ziemi.

Prawym sierpowym powaliłem pierwszego z napastników. Rzuciłem okiem na Douga, właśnie dostał kopniaka w szczękę. Jak w zwolnionym tempie obserwowałem dziecięcy uśmiech na jego twarzy, kiedy impet ciosu rzucił go do tyłu. Z gruchotem pękającej kości Doug zwinął się w kłębek u stóp swego prześladowcy. Ku mojemu zaskoczeniu, ten wymiotował w krzaki i również bez przytomności osunął się na ziemię, co oszczędziło mi kolejnej bijatyki.

Okazało się, że dziewczyna była równie pijana, co jej adoratorzy. Wypełzła z krzaków na czworakach i próbowała wstać, ale zatoczyła się i upadła. Wymamrotała coś bez sensu pod nosem, podniosła się, wyprostowała z trudem i chwiejnym krokiem ruszyła przed siebie. Powinienem był odprowadzić ją do domu, ale tego nie zrobiłem. Zamiast tego zająłem się jej zapomnianym wybawcą, który pojękiwał z bólu. Patrząc na tę dwójkę, nie miałem żadnych wątpliwości, komu powinienem pomóc.

Cała sprawa rozeszła się po kościach. Dziewczyna nie wniosła żadnego oskarżenia, czego zresztą można się było spodziewać. Jednak na mnie tamta noc wywarła ogromne wrażenie. Zrozumiałem wtedy, że są na świecie sprawy, za które warto

walczyć. W mojej młodej i pełnej ideałów głowie pojawiła się myśl, która stała się załączkiem dojrzałości. Tamtej nocy zrozumiałem, co będę robił, kiedy skończę szkołę. Dopóki na świecie będą takie dranie i puszczalskie dziewczyny oraz ludzie bezbronni i odważni jak Doug, dopóty będzie wiele niesprawiedliwości, którą należy wyrównać. Zdecydowałem, że zostanę prawnikiem (na samą myśl o tym postanowieniu uśmiecham się dziś do siebie), i będę bronił ludzi.

Ostatni rok Douga w szkole spędziliśmy razem. Jednak, kiedy on ukończył studia, nasze kontakty się urwały. Zdałem na prawo, i ukończyłem je w Atlancie. Prawie o nim zapomniałem, kiedy pewnego dnia, ni z tego, ni z owego, zadzwonił do mnie. Przez telefon brzmiał jak niezdrowo podekscytowany człowiek, który wypił na śniadanie dwa dzbanki mocnej kawy. Umówiliśmy się na obiad, a kiedy wszedł do restauracji, zrozumiałem, jak bardzo się zmienił. Był jak cienka skorupa, która z trudem utrzymywała w środku człowieka. Doświadczenie wyniesione z nowej pracy pozwoliło mi bezbłędnie rozpoznać, że mam do czynienia z narkomanem. Jego sposób poruszania, wyraz twarzy, i sposób bycia jasno świadczyły, że jego problem z narkotykami jest poważny.

Doug nie powiedział mi, jak do tego doszło. Miał na głowie znacznie poważniejsze problemy: został aresztowany i groziła mu kara dwóch tysięcy dolarów, której nie miał jak zapłacić. Nie stać go było na porządnego prawnika, ale zgodziłem się bronić go za darmo. Ostatecznie był powodem, dla którego zacząłem studiować prawo.

To była pierwsza sprawa przeciwko Dougowi. Jak w przypadku większości moich klientów, udało się pójść na ugodę z sądem: odpracował społecznie kilkanaście godzin, poszedł na terapię i podpisał kilka papierków. Niestety, szybko wrócił do nałogu. Brał amfetaminę w olbrzymich dawkach, które zaczęły grozić jego życiu. Kilka miesięcy później nastąpił przełom. Doug osiągnął dno i dopuścił się rzeczy, które sam niegdyś uważał za niewybaczalne. Dzięki temu przejrzał na oczy i stwierdził, że chce żyć. Po kilku tygodniach wprowadził swój zamysł w czyn. Zaczął wracać do zdrowia, a kiedy się z nim widziałem, był dawnym Dougiem Townsendem, tryskającym optymizmem i snującym marzenia. A teraz okazało się, że nie żyje.

Nie mogłem się otrząsnąć z szoku, kiedy przecinałem Atlantę, jadąc do jego mieszkania. Zjechałem z I-75, rozglądając się w poszukiwaniu wiaduktu Crane Street. Nie bez powodu - wystarczy go przeoczyć, i już znajdujemy się w najbardziej zakazanej dzielnicy w całym mieście: McDaniels Glen Project. Tym razem wjechałem na odpowiedni podjazd i po chwili obserwowałem z góry Glen, jak mówią na swoją dzielnicę mieszkańcy. Odwiedziłem je kilka razy, jednak nigdy nie robiłem tego bez poważnego powodu. Zwykle musiałem wyciągać z kogoś zeznania dotyczące dilerów.

Mieszkanie Townsenda mieściło się dwie przecznice od Glen, co doskonale pokazywało jego podły status. Osiedle nazywało się Jefferson Arms i z pewnością nie było to Monticelo. Budynek okazał się dwupiętrową, ceglana ruiną, przed frontem której stały zaparkowane w rzędzie poobijane samochody. Było południe, a ich właściciele siedzieli w domach, odliczając dni do terminu

otrzymania kolejnego czeku z pomocy społecznej. Nawet w Arms były lepsze i gorsze dzielnice, ale Doug opowiedział mi, w jaki sposób był w stanie opłacić dwupokojowe mieszkanie na drugim piętrze. Jeżeli człowiek zna się na czarnym rynku, może sobie doskonale dać radę. Doug nielegalnie podłączał telewizję kablową.

Wjechałem na podjazd, zaparkowałem samochód i rozejrzałem się dookoła. Doug mieszkał w okolicy, o której chłopak z college'u, którego znałem, w życiu nawet by nie pomyślał. Kilka razy próbował założyć własną firmę komputerową, ale ich żywot był z reguły krótki. W końcu nałóg podciął mu skrzydła. Oczyma wyobraźni widziałem, jak walczy i w końcu poddaje się nękającym go demonom. Widziałem go, jak wychodzi na ulice i kupuje towar lub, co gorsza, podkrada go dilerom. Wyobrażałem sobie, jak usprawiedliwia się przed samym sobą i oszukuje gładkimi kłamstewkami. A potem bierze o kilka gramów za dużo, spogląda z zaskoczeniem na strzykawkę i próbuje złapać oddech...

Wysiadłem z samochodu i podszedłem pod drzwi Douga. Wzięłem głęboki oddech, wyjąłem klucz z kieszeni i wszedłem do niesamowicie cichego i spokojnego mieszkania nieboszczyka. Rozejrzałem się i od razu rzuciła mi się w oczy nadzwyczajna czystość. Zwykle policjanci wywracają mieszkanie do góry nogami, ale tutaj panował nienaganny porządek, tym bardziej dziwny, że znajdowaliśmy się w pobliżu Glen. Znów przed oczyma stanął mi Doug, który układa gazety na stoliku, a potem idzie dać sobie w żyłę.

Meble: sofa, kilka krzeseł i stolik, były wysłużone i zużyte. Otworzyłem lufcik i zadziałała klimatyzacja. Zapewne uruchomił ją strumień ciepłego powietrza, który uderzył w czujnik wraz z

otwierającymi się drzwiami wejściowymi. Powiedziałem sobie, że będę musiał wyłączyć prąd. Jest to jeden z tych drobnych szczegółów, o których nikt nie pamięta, kiedy umiera ktoś samotny. Rachunki nadal przychodzą, podobnie jak prenumerowane gazety czy reklamówki, zupełnie jakby zamawiający je człowiek nadal żył, oddychał i snuł plany założenia firmy.

Wszedłem do kuchni, mój wzrok padł na trzy talerze stojące na suszarce. Otworzyłem szafkę nad kuchenką i znalazłem w niej ryż, makaron i kaszkę manną. Jak większość komputerowych maniaków, Doug jadł niewiele. Ruszyłem dalej, zapalając światła. Pierwsza z sypialni była bardzo duża. Łóżko proste, bez podglówek, ale zasłane. Na biurku stał komputer, pojemniki na papiery, leżały też kable telefoniczne. Zaświtało mi w głowie, że najprawdopodobniej Southeastern Bell nie wie o istnieniu tych łącz, albo płaci za nie jakaś niczego nieświadoma firma. Kilka razy rozmawialiśmy o włamaniach do komputerów i hakerstwie, ale Townsend zawsze zmieniał temat. Mimo to wiedziałem, że posiada tego rodzaju wiedzę i umiejętności.

Otworzyłem niewielki sekretarzyk i przejrzałem kilka fiszek z projektami różnych zleceń. Wiedziałem, że Townsend był dość zajęтым człowiekiem, jako obrońca miałem wgląd w jego interesy. Był prawdziwym zapaleńcem, typowym informatykiem w okularach z grubymi, połamanymi oprawkami i wytartym, spranym swetrze. Potrafił napisać program ot, tak sobie, z pamięci, jak niektórzy ludzie nucą piosenkę. Przeglądając papiery, znalazłem to, czego szukałem: fragmenty programów, głównie drobne prace przy porządkowaniu baz danych czy

ustawianiu stron internetowych. Townsend powinien pracować dla jakiejś dużej firmy, która zajęłaby się biznesową stroną jego kariery, pozwalając mu na tworzenie programów. Ale nie - on cały czas marzył o wynalezieniu czegoś wielkiego, i stworzeniu swojego własnego imperium.

Narkomani umierają. Tak się dzieje każdego dnia. Po dwóch latach pracy w sądzie zajmującym się sprawami narkotyków, gdzie broniłem drobnych handlarzy i dilerów, potrafię wyczuć, który z nich i kiedy pójdzie do piachu. Taki dar posiadam nie tylko ja, wszyscy, którzy zasiadają w sądzie Odoma potrafią przewidzieć przyszłość. Często się zastanawiamy: *Czy ten gość jest spisany na straty? A może w ostatniej chwili się opamięta i zawróci?* Odpowiedź potrafię wyłowić ze spojrzenia podsądnego, z jego postawy, które zdradzają potępioną i skutą okowami uzależnienia duszę. Sędzia Odom też to potrafi dostrzec, nie mam cienia wątpliwości. Ze wszystkich sił stara się nie utracić reszty człowieczeństwa, co nie jest łatwe, jeśli przez osiem godzin dziennie wysyła ludzi do piekła. W przypadku niektórych naszych klientów wszyscy wiemy, że to, co robimy, to jedynie opóźnianie nieuniknionego. Jednak nawet to jest lepsze od nierobienia niczego.

Jestem pewien, że Doug Townsend nie był ćpunem, który zmierzał prosto do grobu. Miał swoją pasję i nie były nią narkotyki. Dzięki niej miał szansę wrócić do prawdziwego życia. Kiedy mówił o komputerach, przed oczyma stawał mi Sammy Liston rozplývający się w marzeniach na temat wdzięków Blu McCledon. Czasem stawiałem Dougowi kawę, byle tylko posłuchać jego monologów o tym, jak będzie wyglądała przyszłość. Marzył

mu się świat, w którym komputery będą dookoła nas, lecząc i odmładzając ludzi.

Otrząsnąłem się z tych myśli i wróciłem do salonu, z którego przeszedłem do drugiej sypialni. Otworzyłem drzwi i zamarłem. Cała przeciwległa ściana była wytapetowana zdjęciami jakiejś kobiety. Murzynka, mogła mieć około dwudziestu lat, no może trochę więcej - i oszałamiała swoją pięknnością. *Co to, do licha, ma znaczyć?* Niektóre z fotografii wyglądały na zrobione profesjonalnie, inne wycięto z gazet. Na początku myślałem, że to aktorka, bowiem na kilku fotografiach kobieta stała na scenie ubrana w bogate kostiumy. Moje wątpliwości rozwiał podpis po jedną z nich: *Michele Sonnier, mezzosopran*. Przez chwilę spoglądałem na zdjęcie. *Michele Sonnier*, pomyślałem. *Brzmi z francuska, ale równie dobrze może to być pseudonim artystyczny.*

Rozejrzałem się po pokoju, w którym oprócz zdjęć znajdowały się rozkładane łóżko, niewielka szafka oraz stare biurko z krzesłem. Usiadłem na nim i zacząłem przeglądać papiery na biurku. Były to głównie kolejne projekty biznesowe, fragmenty kodu programu. Ku mojemu zaskoczeniu znalazłem też fotografię kobiety. Zdjęcie zrobiono przypadkiem, na ulicy, w tle widniały twarze przechodniów. Przez chwilę wpatrywałem się w wesołe oczy i czarujący uśmiech, zastanawiając się, czy był przeznaczony dla fotografa. Spojrzałem na tylną stronę zdjęcia, ale nie znalazłem żadnej dedykacji czy notatki. Próbowałem przypomnieć sobie, czy znam tę kobietę. *Jeżeli kiedykolwiek bym ją spotkał, pomyślałem, z pewnością bym ją zapamiętał.* Odłożyłem fotografię na biurko i wysunąłem szufladę. Wewnątrz wały się sterty czystego papieru, długopisy, ołówki i gumka do ścierania. Po lewej

stronie biurka znajdowały się jeszcze trzy mniejsze szuflady. Pierwsza od góry także była pełna najwykleszych papierów, druga świeciła pustką, a trzecią, najgłębszą, wypełniono po brzegi twardymi kartonikami. Wszystkie one spięte były gumką, i na początku nie wiedziałem, co to może być. Moje wątpliwości zostały rozwiane, kiedy tylko wziąłem paczkę do ręki. *Bilety lotnicze. Ogromna ilość.*

Zdjąłem gumkę i zacząłem rozkładać bilety na blacie. Baltimore, Nowy Jork, Miami, San Francisco. Przeliczyłem bilety i zaskoczony ciężko oparłem się na krześle. W ciągu ostatniego roku Townsend odbył ponad dwadzieścia podróży, za większość z nich płacąc gotówką. Tyle razy broniłem go przed sądem, wydawało mi się, iż znam doskonale jego możliwości finansowe. Doug praktycznie nie miał pieniędzy, więc jakim cudem był w stanie opłacić tyle lotów? Jeszcze raz sięgnąłem do szuflady biurka, gdzie znalazłem jeszcze więcej zdjęć Sonnier, pochodzących z przeróżnych źródeł. Gdziekolwiek spojrzałem, tam widziałem jej twarz. Większość fotografii spięto z recenzją z występu, większość z nich napisana była w euforycznym tonie. Były tutaj też programy artystyczne, oryginały, nie tanie kserokopie. Patrząc na to wszystko, zastanawiałem się, ile Douga mogło kosztować takie hobby. *Może kradł nie po to, żeby mieć na amfetaminę, a żeby chodzić do opery? Czy to było jego prawdziwe uzależnienie?* Im dłużej patrzyłem, tym więcej znajdowałem zdjęć. Townsend, nie mogąc zadowolić się jedną kopią, zbierał po kilka. Zgarnąłem w końcu bilety i zdjęcia i wsadziłem je do walizki. *Townsend nie był zwykłym wielbicielem. To była obsesja.*

Jedynym wartościowym przedmiotem, jaki znalazłem w domu, był komputer. Odłączyłem go od prądu i zapakowałem do bagażnika. Znając Douga, wiedziałem, że będę potrzebował prawdziwego eksperta od zabezpieczeń, żeby dowiedzieć się, co znajdowało się na jego twardym dysku... Wróciłem do mieszkania i zamykając drzwi, rzuciłem ostatnie spojrzenie w kierunku drugiej sypialni. *Opera. Muzyka dla bogaczy*. Nie miałem pojęcia, jakim cudem Doug Townsend był w stanie prowadzić podwójne życie ćpuna i miłośnika muzyki klasycznej. Zamknąłem drzwi na klucz, wiedząc, że to daremny trud. Niedługo sąsiedzi zorientują się, że Doug nie wróci i ograbią jego mieszkanie.

Wróciłem do samochodu i ruszyłem w drogę powrotną. Sammy powiedział, że policja podejrzewa samobójstwo. Biorąc pod uwagę to, co przed chwilą zobaczyłem, zacząłem się zastanawiać, czemu Doug postanowił sobie odebrać życie właśnie teraz? Im dłużej się nad tym zastanawiałem, tym trudniej było mi w to uwierzyć.

Z policjantami jest ten problem, że większość z nich jest nieźle zakręcona. Nie mówię, że to szajbusy, ale mają lekkiego bzika. Zdecydowanie ich nie oceniam, zwłaszcza że połowa sama się do tego przyznaje. Mówię poważnie. Zresztą, czemu się dziwić? Płacą im grosze, dlatego większość z nich dorabia sobie pracą w ochronie, byleby tylko związać koniec z końcem. Jeżeli jesteś młody, skończyłeś szkołę i jak kamień młyński u szyi wisi ci kredyt, a możesz wybierać między byciem całonocnym parkingowym w drogim hotelu, a pracą w policji ze stałą pensją i nagrodami, to decyzja nie należy do trudnych. Matematyka mówi sama za siebie.

Nie mówię, że policjanci to źli ludzie. Weźmy Billy'ego Little'a, który prowadził sprawę samobójstwa Douga. Mógłbym napić go dwiema butelkami whisky, powiedzieć, że przeleciałem jego matkę, wręczyć mu pistolet i powiedzieć, żeby mnie zastrzelił. Ale Billy Little gra dokładnie według reguł.

Nie dajcie się zmylić tym przezwiskiem. Billy jest Samończykiem, ma trzydzieści pięć lat, mierzy prawie dwa metry i składa się z samych mięśni i bujnej czupryny. Choć jego szeroka twarz sprawia bardzo miłe wrażenie, to jest w stanie zastraszyć przeciętnego człowieka, spokojnie jedząc hamburgera. Zaczynał na przedmieściach, jako motocyklista oddziału interwencyjnego. Policjanci patrolują najgorsze dzielnice, przynajmniej za dnia, klucząc po zaułkach niedostępnych dla zespołu w samochodzie. Po trzech latach takiej służby Billy skończył college i został awansowany na porucznika. Stopnia detektywa dochrapał się cztery lata później. Miał niecałe trzydzieści lat, a o handlu narkotykami w Atlancie wiedział więcej, niż ktokolwiek inny w całym departamencie. Był najlepszy w swoim fachu, jak to mówią.

Billy pracował w Biurze Prokuratora Generalnego Atlanty, które mieści się we wschodnim budynku ratusza. Tam właśnie się udałem, kiedy zamknąłem za sobą drzwi mieszkania Douga Townsenda. Billy był zawsze nieskazitelnie czysto ubrany, a tamtego dnia nie wyglądał inaczej. Sprawiał wrażenie, jakby był gotów do inspekcji: klapy marynarki równo wyprasowane, bielusińska koszula, a brązowe buty ze skóry wypastowane na glans. Jak można się było spodziewać, Billy był zasypany

papierkową robotą. Kiedy wszedłem do jego biura, spojrzał na mnie i z przyjaznym uśmiechem zapytał:

- Co cię sprowadza do tych slumsów, Jack? Uścisnąłem jego dłoń i opadłem na krzesło po przeciwnej stronie biurka.

- Sammy Liston powiedział mi, że prowadzisz sprawę śmierci Douga Townsenda - odparłem. - Czy jest coś szczególnego, co powinienem wiedzieć?

- Masz na myśli coś innego, niż to, że gość nie żyje?

- Doug Townsend był moim przyjacielem. Uśmiech, który do tej pory gościł na twarzy Billy'ego, znikł jak kamfora.

- Bardzo mi przykro, Jack. Nie wiedziałem. Dobrze się znaliście?

- Kumplowaliśmy się w college'u, ale potem nasze drogi się rozeszły. Ponownie spotkaliśmy się dość niedawno, kiedy wpadł w tarapaty i potrzebował prawnika.

- Czyli występowałeś w jego imieniu?

- Tak.

Billy pokiwał głową.

- Sprawa jest jeszcze w powijakach, ale wygląda na to, że gość odebrał sobie życie.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem z niej zdjęcie Michele Sonnier. Położyłem je na blacie i przesunąłem w stronę Billy ego.

- Wiesz może, kto to jest? Billy zerknął na zdjęcie.

- Tak. Słyszałem o niej, podobno miał sporą kolekcję jej zdjęć.

- Znasz ją?

- To śpiewaczka operowa. Prawdziwa operowa diwa. Z tego, co wiem, jest kimś znanym w świecie muzycznym. Oprócz tego jest żoną Charlesa Ralstona.

Zaskoczony spojrzałem na niego uważnie.

- Charlesa „Milionera” Ralstona?

- Nie, Charlesa „Multimilionera” Ralstona. Ale poważnie mówiąc - tak, myślimy o tym samym gościu.

- Nie żartuj - wymamrotałem pod nosem.

Charles Ralston był ikoną murzyńskiej części amerykańskiego Południa. Założyciel, właściciel i szef rady nadzorczej Horizin Pharmaceuticals, był uosobieniem człowieka, który łamie wszelkie stereotypy. Z jednej strony uważano go za świetnego biznesmena, poważanego naukowca i płomiennego mówcę, a z drugiej radykała niecofającego się przed kontrowersyjnymi decyzjami, jeśli tylko mogły one rozwiązać społeczne problemy biedoty, która zamieszkiwała Atlantę. Organizacje społeczne uznały go prawie za świętego, kiedy zaproponował, a następnie sam sfinansował projekt rozprowadzania pośród narkomanów czystych igieł do strzykawk. Nikt inny nie odważył się tego zrobić. Ciężko go było uznawać za hipokrytę, bowiem każdy narkoman, którego ocalono od śmierci, oznaczał, że Ralston będzie miał jednego pacjenta mniej. Mało kto oczekiwał, że koncern farmaceutyczny będzie podcinał gałąź, na której siedzi. Nie zadowolając się milionami na koncie, Ralston postanowił zostać miliarderem, jednocześnie pomagając ludziom. Prawie wszyscy liczący się biznesmeni z Atlanty podziwiali go i nienawidzili, choćby dlatego, że zwracały mu się inwestycje w życie kulturalne czarnych mieszkańców miasta. Billy rzucił mi pytające spojrzenie i mruknął:

- Co Doug Townsend miał wspólnego z żoną tego gościa?

- Jej zdjęciami udekorowana była cała ściana sypialni Douga - odparłem, jeszcze raz sięgając do kieszeni. Wyjąłem z niej pakiecik biletów lotniczych i rzuciłem go na biurko. - To znalazłem w szufladzie. Jest ich około dwudziestu.

Billy przez chwilę spoglądał to na bilety, to na mnie.

- Tego w raporcie nie było.

- Niech mi pan coś powie, detektywie - powiedziałem żartobliwie. - Może pan zmusić swoich chłopaków, żeby dla odmiany bardziej uważali na biedaków z tego miasta? Dobrze wiemy, że nikt nie przeszukał mieszkania, prawda?

- Nie zaczynaj, Jack. Miasto staje się gorsze z dnia na dzień. Robię, co w mojej mocy...

Wysłuchałem tej tyrady tylko z szacunku dla Billy'ego. Potem dodałem:

- Jego podróże pokrywają się z występami śpiewaczki. Bez wątplenia latał, aby ją obejrzeć. Za wszystko płacił gotówką.

Billy nerwowo bębnił palcami po blacie biurka.

- Wygląda mi na to, że był jej zagorzałym wielbicielem.

- Można tak powiedzieć. W domu urządził sobie kaplicę ku czci świętej Sonnier.

- Moja córka ma za to plakaty jakichś grup rapowych na ścianach.

- Billy, nie żartuj. To nie to samo.

Billy odchylił się do tyłu i założył ręce za głowę. Przez chwilę się zastanawiał nad czymś, a potem powiedział:

- Uważasz, że twój przyjaciel zaczął być nachalny? Za bardzo chciał się do niej zbliżyć?

Przypomniałem sobie Douga, który w obronie pijanej dziewczyny rzucił się na kilku mięśniaków.

- Wątpię. To nie w jego typie.

- Rozumiem. Niestety, dopóki nie łamał prawa, dopóty nic nie mogę zrobić. Ludzie mają różne, dziwne obsesje.

Siedziałem przez chwilę w milczeniu, a potem spytałem;

- A co powiedział patolog?

- Wstępną przyczynę zgonu określił sanitariusz wezwany na miejsce. Lekarz potwierdził jego diagnozę bez dochodzenia.

- Czyli dlatego uważacie, że popełnił samobójstwo?

- Nie, raport koronera dostaniemy w przyszłym tygodniu, ale myślę, że potwierdzi wstępną diagnozę. Wierz mi, naprawdę poważnie podchodzimy do naszej pracy.

Pokiwałem głową.

- Czyli do tej pory będzie czekał w kostnicy?

- Tak. Musimy przechowywać ciało do chwili zamknięcia raportu. Posłuchaj, Jack, dla mnie sprawa jest dość jasna. Facet był w depresji, zażywał narkotyki. Jego firma zdechła, a on nie miał nikogo. Dlatego odebrał sobie życie.

- Bez żadnego listu pożegnalnego?

- To bzdura. Rzadko kiedy samobójca zostawia list, zresztą najczęściej umierają z powodu ŚPG.

- ŚPG?

- Śmierć Przez Głupotę - odparł cicho Billy. - Większość z nich chce zwrócić na siebie uwagę, ale umiera przez przypadek. Bez przerwy mamy takie przypadki.. - Otworzył teczkę z aktami i zaczął przerzucać pobieżnie jej zawartość. - Żadnych śladów rozkładu ciała, włamania, zniszczonego sprzętu. Przedmioty

wartościowe pozostawione na miejscu. Dopóki nie znajdziemy jakiegoś związku pomiędzy tymi biletami i hobby twojego kumpla, a jego śmiercią, nie możemy nic zrobić.

- Zabraliście coś z jego mieszkania? Jakies papiery lub cokolwiek?

- Daj mi sekundkę... - Billy przerzucił kilka kartek, i odparł po chwili: - Taak. Zabraliśmy kilka drobiazgów związanych głównie z narkotykami. Papiery... tak. Notatnik, leżał obok ciała na podłodze.

- Co w nim było?

- Nic. Na pierwszej stronie tylko coś wytłoczono. - Billy wyjął notes z plastikowej torby i wskazał na trzy litery u góry.

- Co to takiego? - spytałem.

- LAX. Port lotniczy Los Angeles. Nie dziwota, skoro twój kolega tyle latał.

Spoglądałem na te litery, intensywnie myśląc.

- Ktokolwiek je napisał, bazgrał jak kura pazurem.

- Racja.

- Pójdziecie tym tropem?

- A po co? Kiedy ostatnio sprawdzałem, port lotniczy nadal był na swoim miejscu. - Billy spojrzał na mnie współczująco. - Jeśli koroner powie coś ciekawego, będziesz pierwszym, który się o tym dowie.

Siedziałem przez chwilę nieruchomo, a Billy wstał z fotela i dodał:

- Słuchaj, musimy umówić się na piwo, co Jack? Może u Fado?

Wstałem ze swego krzesła i odparłem:

- Racja, musimy.

Już miałem wyjść, kiedy coś mnie tknęło.

- Mówiłeś o narkotykach, co tam znaleźliście? Billy zajrzał do teczki i odparł:

- Nic niezwykłego. Kilka strzykawek, igły... Zamarłem. Doug Townsend zapewniał mnie, że nigdy niczego sobie nie wstrzykiwał.

- Co powiedziałaś?

- Igły.

- Coś tu nie gra. Doug panicznie bał się igieł, sam mi to powiedział, w zasadzie powtarzał to setki razy.

- Wielu ludzi się do nich przekonuje, kiedy głód narkotyczny staje się nie do zniesienia - wzruszył ramionami Billy. - Może nie miał niczego innego pod ręką?

- On mieszkał rzut kamieniem od Glen, Billy. Wystarczyło, że wyjrzałby przez okno i złożył zamówienie.

- Posłuchaj, nie chcę się kłócić, ale znaleźliśmy go ze strzykawką w żyle.

- To silna fobia - przerwałem mu, kręcąc głową. - Jeżeli chciał się zabić, to po co miałby to robić w sposób, który budził w nim przerażenie? Poza tym, Doug brał amfetaminę. Jej się nie wstrzykuje.

Billy Little spojrzał na mnie i powiedział coś, co przewróciło mój świat do góry nogami:

- A kto mówi o amfetaminie?

Rozdział trzeci

- Na świecie są tylko dwie rzeczy, które mogą skłonić faceta do poważnego działania - powiedział Sammy Liston, sekretarz sędziego Thomasa Odoma. Przeżuwał wołowy stek, potrawę, która zawsze wprowadzała go w doskonały humor. Spożyty przed chwilą alkohol nie zaczął jeszcze na niego działać, ale Sammy już nabrał animuszu i zaczął filozofować. Właśnie pouczał mnie, dlaczego nie powinienem odpuścić sprawy Douga Townsenda i dociekać przyczyny jego śmierci. - Pierwsza z nich, to intuicja.

- Masz na myśli sytuację, kiedy patrzę na dziewczynę i wiem, że stworzono ją dla mnie?

- Nie, raczej taką, kiedy widzisz samochód i orientujesz się, że będzie ci dobrze służył. Albo, kiedy masz przeczucie, że ten przez lata będzie wierny i oddany.

- A ta druga rzecz?

- Jaka?

- Mówiłeś, że są dwie rzeczy.

Sammy odkroił kawałek mięsa, nabił go na widelec i uniósł do góry.

- Wołowina - powiedział. - Nic innego nie nadaje się tak dobrze na obiad.

- Sammy...

- A, tak. Lojalność, Jack. Chodzi o honor mężczyzny.

- Ktoś bruździ twojemu kumplowi, więc wtrącasz się i mu pomagasz, tak?

- Dokładnie. - Sammy wsadził wołowinę do ust i zaczął ją wolno przeżuwać, delektując się każdym kęsem. Kiedy przełknął

mięso, popił je łykiem seagramsa. - Z drugiej strony, skąd te podejrzenia? Ten facet był ćpunem, sam mówiłeś. Nic dziwnego, że spotkał go taki koniec.

- Chodzi o to, że zabił go fenatyl, Sammy, fenatyl. Sammy gwizdnął przez zaciśnięte zęby.

- Nie gadaj. Kurcze, nic nie wiedziałem. - Pociągnął kolejny łyk piwa i spytał: - A co to takiego ten fenatyl?

Problem z alkoholem jest taki, że człowiekowi wydaje się, że jest cholernie wygadany, a tymczasem mamrocze pod nosem, opluwając siebie i ludzi dookoła. Wiem, co mówię, w tej materii mam bogate doświadczenia.

- Fenatyl to ludzka chciwość i brak szacunku dla życia w materialnej formie - odpowiedziałem. - Kilku naukowców odkryło, że zmieniając budowę molekularną morfiny, są w stanie stworzyć środek o stokrotnie mocniejszym działaniu. Wpływ fenatyłu na ludzki organizm jest tak duży, że legalnie zastosować go można jedynie jako środek usypiający i uśmierzający ból podawany w ostatnich stadiach chorób nowotworowych.

- Nie zalewasz? Czyli, że daje niezłego kopa?

- Dokładnie. Potem jakiś pomysłowy skurczybyk zaczął przy nim majstrować, aż w końcu uzyskał środek, który miał słabsze działanie, ale nadal dawał niezłe odloty. To był idealny narkotyk, zwłaszcza że w jego produkcję nie są zaangażowane podejrzane typy z Ameryki Południowej.

- Goście, którzy mordują, jeśli tylko się ich wkurzy?

- Tak, dokładnie ci.

- A gdzie tkwi haczyk?

Sammy dobrze kombinował, ponieważ każdy narkotyk, nieważne jak wymyślny, miał swoją ciemną stronę. Była to niepisana reguła, zupełnie tak jakby Bóg uznał, iż za każdą przyjemność trzeba płacić. Kosmiczna równowaga pomiędzy rozkoszą, a cierpieniem musiała być zachowana. Im lepiej się człowiek czuł, tym gorsze skutki uboczne dawały o sobie znać później.

- Jest tak silny, że przeciętna działka waży tyle, co znaczek pocztowy. Zdrowy człowiek praktycznie nie może jej odmierzyć, o narkomanie już nie wspominając. Jeżeli się przesadzi, następuje najgorsze.

- Zabija?

- Zwykle, choć najczęściej sprawia, że człowiek chce zdechnąć.

- To znaczy?

- Natychmiastowy atak najcięższego przypadku choroby Parkinsona.

- Jezu Chryste, Jack! Mówisz poważnie? To jakaś miejska legenda, nie? Taka uliczna bajeczka.

Pokręciłem głową.

- Niestety, nie. Billy Little trochę dla mnie poszperał tu i ówdzie. W głowie się nie mieści, co ci naukowcy produkują w swoich laboratoriach. Jeden nieszczęśliwy dzień i świat zamienia się w piekło.

- Jasne, Jack, ale choroba Parkinsona?

- Wiem, to straszne. Wszystkie objawy, włącznie z dysfunkcją procesów biologicznych. Nikt, chyba oprócz tego mądrali, który wynalazł narkotyk, nie wie, dlaczego tak się dzieje.

- No to dupa blada.

- To nie wszystko.

- A co jeszcze?

- Na pierwszy rzut oka, fenatylu nie można odróżnić od heroiny.

- Jest tak podobny?

- Nie podobny, identyczny. Tylko czterysta do sześciuset razy mocniejszy.

- Czyli myślisz...

- Myślisz, że wstrzykujesz heroinę, ale zanim skończysz, to leżysz sztywny i martwy. Billy mówił, że widział ciała z wbitymi igłami.

- I to się przytrafiło Townsendowi?

Pokręciłem głową.

- Nie wierzę w to. Nigdy nie brał heroiny, więc po co miał zacząć? Doug stoczył się na dno i postanowił wrócić do normalnego życia. Od miesiący był czysty. Poza tym panicznie bał się igieł.

- Co masz na myśli?

- Miał fobię. Nikt mi nie wmówi, że sam wbił ją sobie w ramię.

Sammy uniósł szklankę do ust, ale zanim upił choć trochę alkoholu, zapatrzył się w jego kolor i przefiltrowane przezeń światło.

- Jack... - powiedział po chwili. - Twój kumpel wpakował się w straszne szambo.

- Wiem - odparłem, opadając na oparcie krzesła.

Następnego dnia pojawiłem się w pracy nadzwyczaj wcześnie, zdecydowany jak najwięcej dowiedzieć się o tym, co przed śmiercią robił Doug. Dla mnie sprawa była jasna: ktoś zamordował

Townsenda, bowiem fenatylu nie bierze nikt, kto podświadomie nie chce umrzeć. Może Doug nie był do końca normalny, ale nie miał skłonności samobójczych. Nie jestem ekspertem, ale w ciągu ostatnich tygodni przepełniał go dobry humor i rzadka w jego przypadku werwa. Z własnego doświadczenia wiem, że człowieka przed samobójstwem chroni strach. Gdyby Doug chciał ze sobą skończyć, wybrałby jakiś inny sposób. Nie próbowałby w ostatnim akcie desperacji przewycięzać swojej życiowej fobii. Zacząłem od poszukiwania informacji o Michele Sonnier, chociaż nie uważałem, żeby się przyczyniła do śmierci Douga: od Jefferson Arms i narkotyków dzielił ją cały wszechświat. Po prostu musiałem od czegoś zacząć.

Spojrzałem na Blu, która przeglądała gazetę i stwierdziłem, że nie będę jej przeszkadzał. Była taka szczęśliwa i spokojna, czytając horoskopy i artykuły typu: „Kiedy dwie siostry pragną tego samego mężczyzny”. Postanowiłem, że pozwolę jej poleniuchować trochę, dziesięć dolarów za godzinę. Czy to nie wspaniałe, uszczęśliwiać kogoś przy pomocy tak skromnych środków? Po chwili zmieniłem zdanie i spytałem:

- Blu, poszukasz dla mnie kilku informacji? Moja sekretarka odłożyła gazetę i spytała:

- Jakich?

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś o śpiewaczce operowej Michele Sonnier.

Blu przekrzywiła głowę i spojrzała na mnie zdziwiona.

- Wiesz, jakoś opera nie pasuje mi do ciebie. Przez chwilę siedziała nieruchomo, jak słup soli, mrugając tylko bezradnie oczami. Prawda jest taka, że nigdy nie byłem w stanie odgadnąć:

czy Blu jest prawdziwym geniuszem, który udaje blond idiotkę, czy rzeczywiście nie jest zbyt mądra. Bywały takie chwile, kiedy wyobrażałem ją sobie, jak wychodzi z biura, zapala papierosa i mruczy do siebie: „Świetna robota, znów zrobiłam go w konia”.

- Jasne - mruknąłem. - Gdzie w takim razie widzisz moje miejsce?

Blu zmarszczyła czoło i przez chwilę się zastanawiała.

- Na meczu baseballa.

- Mecz, powiadasz?

- Tak. Do ciebie pasowałyby: bluza, czapeczka i hot-dog w ręku.

Ponownie zapadła cisza, a Blu, najwidoczniej zadowolona z siebie, zaczęła przewracać kolejne strony gazety. Obserwowałem ją przez chwilę, spróbowałem coś powiedzieć, po chwili jednak wzruszyłem ramionami i poszedłem do biura. Włączyłem komputer i wpisałem nazwisko śpiewaczki do wyszukiwarki internetowej. Po chwili na ekranie wyświetliły się rezultaty poszukiwania: 693 strony. *Charles Ralston to zdecydowanie popularny człowiek*. Przejrzałem kilka pierwszych wyników, a potem znalazłem to, czego szukałem: oficjalną stronę śpiewaczki MicheleSonnier.com. Wszedłem na nią, i po chwili oglądałem jedno ze zdjęć, które widziałem na ścianie Townsenda. Sonnier stała na scenie w długiej, ozdobnej sukni. Odszukałem sekcję poświęconą jej biografii i zacząłem czytać.

Michele Sonnier jest posiadaczką najciekawszego głosu, jaki można usłyszeć pośród przedstawicieli młodego pokolenia śpiewaków operowych ostatniego dziesięciolecia. Jedyna córka lekarza i nauczycielki, cudowne dziecko, którego talent dał o sobie znać już w dzieciństwie. Po ukończeniu Juilliard School

zadebiutowała na deskach sceny operowej, wygrywając konkurs Metropolitan Opera w wieku dwudziestu jeden lat. Nagrodą w nim był solowy występ w Carnegie Hall, który otworzył przed Michele Sonnier drzwi do sławy. Rok później zaśpiewała w San Francisco po raz pierwszy w głównej partii solowej, a jej występ okrzyknięto wydarzeniem roku. Pomimo młodego wieku Michele Sonnier wystąpiła już na scenach Metropolitan, La Scali i Teatru Bolszoi. Podczas niedawno zakończonej trasy koncertowej po Europie była nie raz porównywana do swej mistrzyni, Marilyn Horne.

Michele Sonnier i Ralston stanowili parę idealną, przed którą żadne drzwi nie mogły pozostać zamknięte. Jego pieniądze i wpływy pozwalały wnikać w kręgi nowej finansjery, jej klasyczne wykształcenie zapewniało wejście na salony z tradycjami. Przewinałem stronę do samego dołu i kliknąłem na link, który prowadził do zapisu jej tournée. Zacząłem porównywać listę koncertów z biletami lotniczymi znalezionymi w szufladzie Douga. 17 stycznia, Portland, Oregon. Przewertowałem stertę biletów i znalazłem ten z datą 17 stycznia. Miejscówka opiewała na przelot z Atlanty do Portland. Choć wiedziałem już, czego mogę się spodziewać, postanowiłem sprawdzić jeszcze kilka zbieżności. W pierwszych dniach lutego Michele Sonnier występowała w Nowym Jorku i Miami. Rzeczywiście, Doug również tam był. Sprawdziwszy z tym samym rezultatem jeszcze kilka dat, zacząłem się zastanawiać. *O co tutaj, u diabła, chodzi?* Spojrzałem z powrotem na ekran komputera, zastanawiając się, czy Sonnier będzie występowała w przyszłości. Moją uwagę przykuł jeden z najbliższych terminów. 15 czerwca miała zaśpiewać w Atlanta

Civic Opera. To za cztery dni. Reszta koncertów miała mieć miejsce w innych, odległych częściach kraju. Podniosłem słuchawkę i wykręciłem podany numer. Odpowiedział mi przyjemny, kobiecy głos:

- Opera w Atlancie, słucham?

- O ile się nie mylę, to za kilka dni ma u państwa występować Michele Sonnier, prawda?

- Tak, będzie śpiewała w „I Capuletti e i Montecchi” Belliniego. Zamilkłem na chwilę.

- To „Romeo i Julia”?

- Tak, proszę pana.

Wieczór zaczynał zapowiadać się interesująco, przynajmniej wiedziałem, o co chodzi w sztuce.

- Czy będą śpiewać po angielsku?

W głosie dziewczyny po drugiej stronie zabrzmiała nuta cierpienia spowodowana moim brakiem obeznania i barbarzyństwem:

- Nie, libretto jest po włosku, ale wyświetlamy napisy po angielsku.

- Pani Sonnier śpiewa partię Julii?

- Nie, Romea.

Zatkało mnie. Przez chwilę nie wiedziałem, co powiedzieć, potem wyjąkałem:

- Romea?

- Tak, proszę pana. W niektórych operach role męskie powierzane są kobietom. Tak jest w przypadku Belliniego.

Ponownie zamilkłem, zawstydzony moim brakiem pojęcia o operze i tym, jak bardzo nie zdawałem sobie sprawy z własnej

ignorancji. Nie mam nic przeciwko tkliwej muzyce, ale nie musi mieć od razu dwustuletniej tradycji. Mnie wystarczy kasetka Johna Prine'a i bak pełen benzyny, abym poczuł zew podróży i nostalgię rozłąki z ukochaną osobą.

- W jakich cenach macie państwo bilety? - spytałem. - Chodzi mi o te tańsze.

- Najtańsze miejsca są już wyprzedane.

- Jaki mam wybór? - Nagle boleśnie zdałem sobie sprawę z braków w moich funduszach.

- Najtańsze bilety, jakie mamy jeszcze w sprzedaży kosztują czterdzieści sześć dolarów.

Zrobiłem szybki rachunek sumienia: dziewięćdziesiąt dwa dolary za bilety, plus parking i kolacja, dawały jakieś dwieście, trzysta baksów za jeden wieczór. Był w moim życiu okres, kiedy nie musiałem się martwić o wydatki tego rzędu, ale tamte dobre czasy minęły bezpowrotnie. Jednak sama wyprawa do opery nie była dla mnie satysfakcjonująca, chciałem spotkać diwę osobiście.

- Czy pani Sonnier będzie rozdawała autografy?

- Słucham?

- Czy będzie można zamienić z nią kilka słów, spytać o operę i takie tam.

- Dla naprawdę zagorzałych wielbicieli talentu pani Sonnier mamy specjalną propozycję.

- Co to takiego?

- Czy jest pan prawdziwym wielbicielem jej talentu?

Rzuciłem okiem na monitor komputera i przeczytałem na głos:

- Michele Sonnier jest posiadaczką najciekawszego głosu, jaki można usłyszeć pośród przedstawicieli młodego pokolenia

śpiewaków operowych ostatniego dziesięciolecia.

Ton głosu po drugiej stronie słuchawki dał mi do zrozumienia, że pomyślnie przeszedłem tę próbę.

- Pani Sonnier była tak miła, że zgodziła się spotkać ze swymi najbardziej oddanymi wielbicielami na prywatnym przyjęciu po występie. W jego trakcie zbieramy datki na rzecz opery. Z pewnością chętnie złożą podpis na pana programie. W trakcie przyjęcia serwowany będzie szampan i hors d'oeuvres.

- Ile kosztuje taka przyjemność?

- Dwieście pięćdziesiąt dolarów od osoby, ale w tę cenę wliczone są miejsca w pierwszych rzędach podczas koncertu.

- Dwieście pięćdziesiąt dolarów?

- Tak, dokładnie.

Byłem o krok od podziękowania tej miłej dziewczynie i odłożenia słuchawki. Mógłbym się wtedy zająć moim marnym życiem i wszystko jakoś by się ułożyło. Ale nagle zdałem sobie sprawę, że muszę poznać tę śpiewaczkę. Michele Sonnier była najważniejszą osobą w życiu mojego zmarłego przyjaciela, a ja nie miałem o niej bladego pojęcia. Spoglądając na terminarz jej występów, zdałem sobie też sprawę, że w ciągu najbliższego roku nie zagości ponownie w Atlancie. Podjąłem nagłe decyzję.

- Rozumiem, że można u państwa płacić kartą Visa?

Pierwszą rzeczą, o jaką musiałem zadbać, było znalezienie osoby towarzyszącej. Potrzebowałem kogoś, kto pomoże mi się wmieszać w tłum i nawiązać rozmowę. Na występach i przyjęciach jak to, rzeczą nie do pomyślenia jest pokazać się samotnie. Niestety, moje życie towarzyskie ograniczyło się ostatnimi czasy do popijaw z Sammym. Nie umawiałem się na żadne randki z

prostego powodu: nie potrzebowalem w zyciu niczego, czego nie bylbym w stanie samemu kontrolowac. Jednego nauczylem sie na wlasnej skórze: jezeli pozwolę uczuciom kierowac moimi poczynaniami, skrzywdzę nie tylko tę drugą osobę, ale i siebie.

Mój wzrok padł na burzę blond włosów, która była chlubą Blu. *Mowy nie ma*, pomyślałem. Choć z drugiej strony, czemu by nie? Blu była oszalamiająca i młoda. Z pewnością ubierze się tak, że mężczyźni nie będą w stanie oderwać od niej wzroku, a kobiety po czterdziestce popadną w nostalgię. Przez myśl przeszła mi jeszcze pewna dziewczyna, którą widywałem na sądowych korytarzach, ale szczerze mówiąc brakowało jej walorów, pewnych walorów... Jeszcze raz spojrzałem na Blu.

Podobnie jak Sammy, lubiłem na nią patrzeć, ale w zyciu nie próbowałem jej poderwać. Mówiłem do niej czasem „skarbie” lub „kochanie”, ale ona przyjmowała moje udawane umizgi z wyższością. Doskonale rozumiała, iż nie darzę jej żadnym głębszym, romantycznym uczuciem. A ja, dzięki temu, że mogłem tak do niej mówić, w dalszym ciągu czułem się mężczyzną. Cóż z tego, że ten mężczyzna jest facetem prawie na dnie, dopiero rozpoczynającym nowe życie? Zaproszenie Blu do opery było jednak zupełnie nowym wyzwaniem. Sam nie wiedziałem, co o tym myśleć. Nie chciałem, aby mnie źle rozumiała. Choć nigdy nie próbowałem jej nigdzie wyciągnąć, to milcząco uznawałem, że umawiała się albo z bogaczami, albo kulturystami. Poza tym coś mi mówiło, że jezeli Blu się zgodzi i źle odczyta moje intencje, będziemy mieli poważny kłopot. Mój związek z nią przypominałby operę mydlaną i pewnie skończyłby się przed obiadem dnia następnego. Cóż, fakt pozostawał faktem - potrzebowalem jej

pomocy. Jeszcze z czasów pracy u Carthy'ego, Williamsa i Douglasa pamiętałem, że dziewczyna taka jak ona w pewnych przypadkach może dać wprost nieocenione wsparcie. Z nią u boku będę mógł wprosić się do każdego kółka wzajemnej adoracji i wyciągnąć od rozmówców praktycznie wszystko, podczas gdy oni będą się zastanawiać, co właściwie taka kobieta robi ze mną, i jak szybko da się mi ją odbić.

Przez chwilę siedziałem zamyślony, obmyślając różne warianty i plany, aż w końcu podjąłem męską decyzję.

- Blu - powiedziałem. - Masz ochotę poznać kilku bardzo bogatych facetów?

Rozdział czwarty

Dzień przed wyjściem do opery zdałem sobie nagle sprawę, że prywatne spotkanie z diwą będzie wymagało oficjalnego ubrania. W spadku po pracy w kancelarii Carthy, Williams & Douglas został mi bardzo fajny garnitur Hugo Bossa, który miałem na sobie dokładnie dwa razy w życiu. Wyjąłem go z szafy, przymierzyłem, i krytycznym spojrzeniem obrzuciłem moje odbicie w sypialnianym lustrze. Zawsze lubiłem się dobrze ubierać. W prawniczym świecie to cecha wrodzona, pomijając fakt, że odpowiedni wygląd w kancelarii jest kwestią życia i śmierci. Już pierwszego dnia pracy postanowiłem, że będę wyglądał tak, jakbym nigdy w życiu nie słyszał o moim rodzinnym Dothan w stanie Alabama. Sztukę wiązania krawatów ćwiczyłem tak długo, aż opanowałem ją do perfekcji. Kiedy stałem w sypialni, uważnie obserwując swoje odbicie, daleki byłem od narcyzmu. Pomimo krytycznego podejścia do samego siebie, odczułem jednak coś na kształt zadowolenia. Kiedy zamknąłem oczy, przez chwilę mogłem uwierzyć, że wróciły stare, dobre czasy. Wyglądałem na bogatego, pewnego siebie i niebezpiecznego gościa.

O osiemnastej podjechałem pod mieszkanie Blu w Hunter Downs. To urocza dzielnica, w której mieszkają ludzie mający jakieś pieniądze, jednak nie na tyle zamożni, aby zaciągnąć kredyt hipoteczny i postawić sobie własny dom. Osiedle jest zamknięte i strzeżone, a budynki mieszczą w sobie przestronne mieszkania. Na parkingu rzędami stały błyszczące, nawoskowane samochody, zapewne i one kupione były na kredyt.

Zastukałem do drzwi Blu, po chwili otworzyła. Kiedy kobieta ładnie się ubierze i umaluje, ulega jakiejś dziwnej transformacji. Włosy Blu otaczały jej twarz kaskadą loków. Założyła sznur pereł, a suknia podkreślała kobiece kształty i przy każdym ruchu akcentowała wdzięki.

Przy obiedzie emocjonowała się historią Romea i Julii, czym mile mnie zaskoczyła. Nie protestowałem nawet, kiedy zamówiła butelkę wina za trzydzieści cztery dolary, choć w sklepie kosztowałoby ono dwadzieścia. Gdybym tak postąpił, mógłbym ją zrazić.

- Romeo i Julia to najsmutniejsza historia, jaką kiedykolwiek czytałam - mówiła Blu. - Bardzo piękna i wzruszająca. - Pociągnęła łyk wina i dodała po chwili milczenia: - Dlaczego dwoje zakochanych ludzi nie może po prostu być ze sobą?

- Nie wiem - odparłem. - Jak ci smakuje obiad?

- Jest pyszny.

- Cieszę się.

- Jack, ta historia chyba do ciebie nie przemawia, prawda?

- Tak mi się wydaje.

- Nie rozumiem - odparła.

- Wiesz... W dzisiejszych czasach ta historia nie ma szans się ziścić. Romeo i Julia uciekliby razem do Vegas i się pobrali. Powiedzieliby rodzicom, że im mogą skoczyć. - Blu spojrzała na mnie smutno, a ja pożałowałem, że tak bezpardonowo zniszczyłem jej romantyczne marzenia. - Wspaniała fryzura, Blu. Jak się dochodzi do takich rezultatów?

Blu uśmiechnęła się do mnie ciepło, momentalnie wybacząc mi moją gruboskórność.

- Czemu opera? - spytała.
- Czysty przypadek - odparłem. - Muszę się czegoś dowiedzieć o pewnej śpiewaczce, Michele Sonnier.
- Tej, która śpiewa partię Romea? Pokiwałem głową.
- Słuchaj, Blu, muszę cię o coś spytać. Na pewno wielu facetów zaprasza cię na randki...
- Może tak, może nie...
- W każdym razie, co byś pomyślała o facecie, który miałby na ścianie kilka twoich zdjęć?
- Ile? - spytała, marszcząc czoło.
- Ze dwadzieścia.
- Nie spodobałoby mi się.
- Czemu? Nie byłoby ci miło? Pokręciła głową.
- Gdyby to były dwie, może trzy fotografie, to jeszcze. Ale nie dwadzieścia!
- A co z ludźmi, którzy obejrzeni „Koty” po czterysta razy? Nie byli niebezpiecznymi maniakami.
- Sama nie wiem. Chyba bym nie chciała rozmawiać z kimś takim, kto ma nierówno pod sufitem.

Przez resztę obiadu kontynuowaliśmy ten temat. Blu miała ogromne doświadczenie, jeśli chodzi o obsesyjne zainteresowanie mężczyzn. Wystarczyło zresztą popatrzeć na zachowanie facetów, którzy siedzieli przy sąsiednich stolikach. Skończyliśmy jeść i uregulowałem rachunek. Potem przeszliśmy się spacerkiem do jednego z najstarszych teatrów Atlanty, Foxa, gdzie odbywały się przedstawienia operowe. Przed wejściem stała grupka gustownie ubranych palaczy. Pewnie musieli dać upust swojemu nałogowi

przed trzygodzinnym przedstawieniem. Podałem bilety, i bileter zaprowadził nas na miejsca.

Teatr Fox jest jednym z najbardziej charakterystycznych budynków Atlanty. Jest to relikwiarz czasów, kiedy bogaczy było stać na utrzymywanie artystów upiększających ich świat. Hall wykończono w iście mauretańskim stylu, a nieopodal sceny piętrzyły się miniaturowe minarety sięgające sufitu. Na jego tle migotały sztuczne gwiazdki i przez chwilę miałem wrażenie, jakbym przeniósł się w krainę rodem z baśni tysiąca i jednej nocy. Innymi słowy, różnica pomiędzy tym miejscem, a gorszymi dzielnicami Atlanty, o których nie potrafiłem przestać myśleć, była iście kosmiczna. Nie mówię, że to coś złego, sfinansować miejsce, gdzie może kwitnąć sztuka i piękno, ale jeżeli wyrosło się na wsi albo w biedniejszej dzielnicy miasta, można było oszaleć, zdając sobie sprawę, ile kosztowało utrzymanie tego teatru.

Ta myśl sprowadziła mnie na ziemię. Ponownie zacząłem się zastanawiać nad Dougiem, któremu nie było dane obejrzeć tego przedstawienia. Opera jest rozrywką dla bogatych ludzi. Byłem pewien, że Townsenda, na równi z osobą Michele Sonnier, oczarowały panujący w tego typu gmachach blichtr i przepych. Wyobraziłem go sobie, jak kroczy przez hall, ubrany w swój jedyny porządny garnitur, siada w swoim fotelu i przez kilka godzin żyje w innym świecie, w którym nie ma miejsca na biedę Jefferson Arms. Przez chwilę zastanawiałem się, czy próbował kogoś zagadnąć w przerwie, mówiąc: „Czyż to nie wspaniałe?”. W oczach stanęły mi łzy.

Zasiedliśmy z Blu na naszych miejscach. Fotele były obite czerwonym aksamitem. Pomyślałem, że chociaż może one

wynagrodzą mi wydatek na bilety. Miałem nadzieję, że nie zanudzę się na śmierć. Chwilę później byłem już pewien, że tak się nie stanie. Siedziałem kilka kroków od sceny i czułem, jak powietrze wibruje dźwiękami. Orkiestra zagrała uwerturę, kurtyna się uniosła i zobaczyłem ludzi w pięknych kostiumach, którzy wyłonili się zza kulis. Spore wrażenie zrobiły na mnie dekoracje przedstawiające średniowieczne Włochy i tło namalowane na ogromnych płótnach.

Kiedy na scenę wkroczyła Michele Sonnier, powitały ją gromkie oklaski. Po raz pierwszy zobaczyłem ją na własne oczy i stwierdziłem, że wygląda inaczej, niż na zdjęciach. Po pierwsze, ubrana była w męskie spodnie i szeroki kaftan, który miał skrywać jej piersi. Włosy związała z tyłu, ale najbardziej zaskoczył mnie jej chód. Większość kobiet, która próbuje udawać mężczyzn, porusza się przesadnie, jak John Wayne. W przeciwieństwie do nich, Sonnier potrafiła naśladować męski sposób poruszania się, nie popadając przy tym w komizm. Uznałem, że jest doskonałą aktorką, ale kiedy zaczęła śpiewać, pojąłem, w jaki sposób zawładnęła sercem Douga. To był najwspanialszy głos, jaki w życiu słyszałem. Bellini nie próbował pisać muzyki tak, aby bohater wydawał się jeszcze bardziej męski. Sonnier śpiewała, wyznając miłość Julii, jednak jej głos należał do najpiękniejszej kobiety świata.

Wychowałem się w Dothan w stanie Alabama, gdzie muzyka operowa była równie obca jak przybysze z kosmosu. Szczerze się przyznaję, że nie wiedziałem, co powinienem czuć, oglądając aktorów w renesansowych kostiumach, którzy zamiast wygłaszać swoje role, śpiewali je. Na początku Romeo o damskim głosie nie

pasował mi, ale po chwili uznałem, że jest w tym jakaś głębsza myśl. Wysoki głos śpiewaczki skojarzył mi się z głosem nastoletniego chłopaka, co w zasadzie było zgodne z librettem. Z jakiegoś powodu jego roli nigdy nie śpiewał młodzieniec, tylko mężczyzna dwudziesto- lub trzydziestoletni. Teraz rozumiałem sztukę na zupełnie inny sposób. Romeo nie był pewnym siebie zdobywcą kobiecych serc, ale naiwnym, młodym chłopcem, który padł ofiarą okrutnego systemu. Nie mógł być oparciem dla Julii, ponieważ podobnie jak ona, był zagubiony w świecie, którego nie rozumiał. Swoją miłością ośmielił się wystąpić przeciwko siłom, z których istnienia nie zdawał sobie nawet sprawy. Ilekroć otwierał usta, aby wyśpiewać wyznanie, wiedziałem, że jest zgubiony. Wrażenie pogłębił aktor, który grał rolę jego ojca: mężczyzna postawny i zwalisty, dysponujący niskim, grzmącym głosem. Ilekroć spierali się o walkę, jaką toczyły ze sobą rodziny Capuletti i Montecchi, tylekroć miałem wrażenie, że Romeo odbijał się od kamiennego, niewzruszonego muru. Nie było żadnego sposobu, aby mógł być z Julią. Nagle zdałem sobie sprawę, że to tragedia doskonała. Romeo i Julia cierpieli, bo nie potrafili uwolnić się od więzi. Gdyby dali sobie spokój i postąpili wedle woli rodziców, nie zginęłyby dwie niewinne osoby.

Choć prawie wszyscy zgromadzeni na sali znali tę historię, to wiele osób popłakało się, kiedy Romeo wypił truciznę. Sonnier była nie tylko wspaniałą śpiewaczką, ale i znakomitą aktorką. Romeo w jej wykonaniu był delikatny i wrażliwy, a jego śmierć porażająco prawdziwa. Odegrała ją skromnie, bez przesadnej ekstrawagancji i taniego patetyzmu. Jej głos był poważny, jakby naprawdę zdawała sobie sprawę, że czasem w życiu człowiek

popęłni tyle błędów, że nie ma innego wyjścia, jak uciec w objęcia śmierci. Moim zdaniem to był prawdziwy sens tej historii. Niektórzy ludzie nie potrafią sobie odpuścić, nawet jeśli zależy od tego ich całe życie.

Przedstawienie się skończyło. Blu popłakała się jak bóbr, więc dałem jej kilka chwil na zebranie się do kupy. Większość widzów już cofała się do foyer, na widowni pozostali tylko ci, którzy, jak my, kupili droższe bilety i byli zaproszeni na przyjęcie. Wyszliśmy prywatnym wyjściem i pojechaliśmy do Four Seasons. Apartamentowiec był oddalony o jakieś piętnaście przecznic, więc dotarliśmy na miejsce w jakieś pięć minut. Zrobiłem Blu przysługę i zostawiłem samochód trochę dalej. Nie chciałem, aby skompromitowała się, wysiadając z takiego zdezelowanego grata, jak mój.

Wspięliśmy się po szerokich schodach. Na widok tłumu przystojnych i bogatych ludzi, Blu wyprostowała się i uniosła głowę. Przyciągała wzrok każdego mężczyzny, nieważne czy był w towarzystwie żony, narzeczonej czy przyjaciółki. Jeszcze nigdy nie widziałem tylu pożądlivych spojrzeń, skupiających się na jednej kobiecie.

Przyjęcia, takie jak to, zwykle należą do spokojnych i grzecznych imprez towarzyskich. Każdy trzyma się swojej grupki znajomych i nie ma w tym nic złego. Ludzie, zgromadzeni w tym pomieszczeniu, byli finansową elitą Atlanty, więc mieli ze sobą sporo wspólnego. Dało się to wyczuć, kiedy witali się nawzajem: wszystkie te partyjki golfa i koktajle służyły załatwianiu pożyczek, kredytów, przejmowaniu udziałów i całych firm. Żony finansistów, przeciętnie o dziesięć lat młodsze od mężów, nie były

plastikowymi laleczkami, jakie się czasem widuje u boków milionerów z Hollywood. Emanowała od nich elegancja i styl. Pomimo tego żaden mężczyzna nie był w stanie oderwać wzroku od Blu. Mówię wam, to było magiczne doświadczenie.

Choć nie miałem nic przeciwko, to celem naszej wizyty nie było wprowadzanie Blu na salony. Interesowało mnie tylko spotkanie z Michele Sonnier i zebranie o niej jak najwięcej informacji. Zadanie okazało się tym trudniejsze, że kobiety interesowała sukienka Blu, a mężczyźni numer jej telefonu. Jedyne, czego się dowiedziałem, to że Michele Sonnier była światowej sławy gwiazdą, a jej głos olśniewał słuchaczy od początku kariery. Urodziła się w Nowym Jorku, wychowała się na Manhattanie i studiowała w Juilliard. Dwa lata przed ukończeniem szkoły porzuciła ją, aby zająć się profesjonalnym śpiewaniem. Sporo rozmów dotyczyło jednak Charlesa Ralstona i jego firmy, Horizn. Dyskutowano głównie nad strategią, jaką ma przyjąć firma, i nad cenami jej akcji. Nie miałem wątpliwości, że takie informacje mogli mieć tylko rzeczywiście ważni gracze giełdowi. Ogólna opinia była taka, że na akcjach Horizn wzbogaci się wielu ludzi. Brokerzy tylko czekali na sygnał startowy.

W końcu pozwoliłem Blu na trochę luzu. Nie mogła wiecznie za mną dreptać, wystarczyło, że z jej pomocą zwróciłem na siebie uwagę. Dałem jej znak, że jest wolna, a ona ruszyła przez salę z uroczym uśmiechem na twarzy.

Ja podszedłem do stołu z jedzeniem. Spróbowałem pasty szpinakowej z grzybami. Potem skubnąłem tortillę z mięsem i sięgnąłem po jeszcze jeden kieliszek szampana.

Rozejrzawszy się dookoła, zauważyłem, że obok Blu kręci się dobrze ubrany przystojniak. Zacząłem odliczać od dziesięciu do jednego. Kiedy dotarłem do siódemki, ustąpił miejsca kelnerowi i jednym płynnym ruchem porwał z jego tacy dwa kieliszki szampana. Doliczyłem do pięciu, a on stanął za nią, a przy jedynce dotknął delikatnie jej ramienia. Bingo. Przyglądając mu się uważniej, stwierdziłem, że skądś go znam. Miałem wrażenie, że czytałem o nim w gazecie. Nie było to nic miłego, chyba zrobił komuś jakieś świństwo. Nie miałem żadnych wątpliwości co do tego, jakie miał zamiary wobec mojej sekretarki. Zaczął z nią rozmawiać, ewidentnie próbując najlepszej strategii na zwrócenie jej uwagi. Musiał być dobrym biznesmenem. Nieważne, czym się zajmował na co dzień, teraz myślał tylko o wdziękach Blu.

Stałem, obserwując ich z fascynacją w oczach. Byłem pewien, że Blu doskonale wie, o co mu chodzi, choć w tej sytuacji okoliczności chyba ją otumanily. Jak inaczej mogła się poczuć wśród mężczyzn ubranych w garnitury, których ceny nie schodziły poniżej dwóch tysięcy dolarów. Bez swoich milionów na koncie facet nie różniłby się niczym od kolesia w barze, który na starą corvette podrywa dziewczyny z prowincji. Dałem Blu kilka minut, potem zbliżyłem się do nich i przedstawiłem się:

- Jestem Jack Hammond. Miło mi cię poznać.

- Derek Stephens - odparł. Na oko miał trzydzieści parę lat i pachniał dobrymi cygarami. - Właśnie rozmawiałem z twoją...

- Kuzynką - wyjaśniłem. - Blu przyjechała z Arkansas.

Stephens przeniósł spojrzenie na Blu i nieznacznie przysunął się bliżej niej.

- Pan Stephens powiedział mi, że jest prawnikiem, tak jak ty. Pracuje dla Horizon Pharmaceuticals. Sponsorują trasę koncertową Michele Sonnier.

- To musi być dla was wspaniały wieczór - odparłem.

- Nie tylko dla nas, ale i dla opery w Atlancie - powiedział Stephens, taksując mnie wzrokiem. - Jesteś prawnikiem... Dla której kancelarii pracujesz?

W zasadzie w grę wchodziły tylko cztery firmy prawnicze, które człowiek podobny Stephensowi uważałby za godne uwagi. Jack Hammond i S-ka na pewno nie znajdowali się na tej liście.

- Pracuję na własną rękę, zajmuję się sprawami kryminalnymi.

Stephens spojrzał na mnie z udawanym zaciekawieniem, ale wiedziałem, że myśli tylko o tym, jak przy najmniejszym wysiłku odbić mi Blu. Choć zupełnie go nie obchodziło moje zdanie, spytał:

- Jesteś wielbicielem opery, czy Michele w szczególności?

- To dla mnie nowe i nieznanne terytorium - odparłem. Bawiła mnie rozmowa z tym człowiekiem. - A ty?

- Jestem członkiem Rady Nadzorczej Opery - wyjaśnił. - To zabawne zajęcie, zwłaszcza że nie mam na jej temat bladego pojęcia.

- Musisz mieć zatem inne kwalifikacje. Stephens oderwał wzrok od Blu i na chwilę przeniósł go na mnie.

- Byle wieśniak zostałby członkiem rady, gdyby tylko wypisał czek na odpowiednio wysoką kwotę.

Z powrotem spojrzał na Blu, która opróżniła prawie cały kieliszek.

Bierze się do roboty, pomyślałem.

- Panno McCledon, mogę napełnić pani kieliszek?

- Proszę się nie kłopotać. Pójdę z panem. Muszę spróbować tych pysznych kanapeczek z serem.

Znikli jak kamfora. Choć czułem się odpowiedzialny za Blu, to nie wiedziałem o Stephensie nic, co powinno wzbudzić moje podejrzenia. W zasadzie nigdy nie rozmawiałem z Blu o mężczyznach, bowiem zawsze sprawiała mi przyjemność myśl, że z nikim nie jest związana na stałe. Moje rozmyślania przerwało jednak pewne poruszenie.

Odwróciłem się, wyczuwając ruch za plecami. Tłum rozstąpił się, a ludzie bili brawa. Charles Ralston i Michele Sonnier zeszli do gości, witani niczym para królewska. Ralston był wysokim, postawnym mężczyzną. Jego wieku można się było domyślać jedynie po tym, że na skroniach zaczął lekko siwieć. Plotki głosiły, że dobiegał pięćdziesiątki, ale wyglądał na człowieka o połowę młodszego. Jego skóra była ciemna i gładka, co zapewne zawdzięczał pracy w sterylnych warunkach.

Michele Sonnier z kolei przeszła transformację, jakiej nie byłem w stanie pojąć. Z biednego, targanego namiętnościami Romea, przeobraziła się w oszałamiająco piękną kobietę, która z właściwym sobie wdziękiem łamała niepisane zasady ubioru panujące na tego typu przyjęciach. Było wielce prawdopodobne, że jej strój kosztował dwa tysiące dolarów, choć wyglądał na zakup wart dwadzieścia w sklepie z odzieżą używaną. Podczas gdy wśród gości dominowały eleganckie suknie i garnitury, ona ubrana była w czarne dzinsy i koszulkę odsłaniającą ramiona i podkreślającą zalety jej figury. Biodra miała opięte srebrnym łańcuszkiem, którego ogniwa pieczołowicie spatynowano. Odślonięty brzuch zdominowany był przez kolczyk w pępku, a w

lewym uchu Michele Sonnier nosiła kilka srebrnych łąbków. Choć na pierwszy rzut oka nie pasowała do tego towarzystwa, to jej pewność siebie była tak wielka, że to reszta gości sprawiała wrażenie nieodpowiednio ubranych. Moją uwagę przyciągnęła jej cera. Tak samo jak na zdjęciach w pokoju Douga, była ciemna i gładka. Lekko krocąc u boku męża, nie mogłaby sprawić większego wrażenia, nawet gdyby wjechała do Four Seasons na harleyu.

Ralston od razu został otoczony przez maklerów, brokerów i biznesmenów. Wielka finansjera wolała bawić się w swoim własnym gronie. Ralston przywitał się z każdym rozmówcą, tak jakby w całym towarzystwie dostrzegał tylko ich.

Podczas gdy Ralston został odciągnięty w jedną stronę salonu, Michele podążyła w drugą. Towarzyszył jej jakiś mężczyzna. Bogacze otaczali ją wciąż należną artystce umożliwiającą wydanie dwustu pięćdziesięciu dolarów, wsparcie akcji dobroczynnej, wypicie szampana i zjedzenie kanapki z kawiozem. Widząc panią Sonnier w zasięgu ręki, postanowiłem nie przejmować się Ralstonem. Ostatecznie przyszedłem tutaj z jej powodu. Obserwowałem, jak wita się z ludźmi, trzymając ich grzecznie na dystans, i pomimo wszystko okazując wszystkim sympatię.

W oczach prawnika kryminalnego (czyli z mojej perspektywy), Michele Sonnier była nie bardziej niebezpieczna od przeciętnego harcerza. Śpiewaczka operowa mogła sobie udawać dziewczynę z ulicy, jednak wiedziałem, iż nie nosi gnata za pazuchą, ani nie spróbuje przejechać człowieka samochodem. Wiecie, o co mi chodzi, prawda? Jej zachowanie na przyjęciu było po prostu kolejnym występem. Równie dobrze mogłaby zacząć teraz śpiewać

niewolniczego bluesa o niedoli czarnych, ale zamiast tego wołała przechadzać się pośród przyjaciół i słuchać, jak mówią jej, że jest największą diwą operową wszech czasów.

Patrzyłem na nią, pamiętając o Dougu i jego obsesji. Dzięki sporym koturnom zdawała się być znacznie wyższa, niż w rzeczywistości. Zapewne miała jakieś metr sześćdziesiąt wzrostu, była drobnej budowy i miała silnie zarysowane ramiona. Jej twarz charakteryzowały delikatne i regularne rysy, a brązowe włosy z kasztanowymi odcieniami związała w kucyk. Biedny Doug, pomyślałem. *Nie miał żadnych szans.* Kiedy na chwilę została sama, postanowiłem wykorzystać okazję. Podszedłem do niej i przedstawiłem się:

- Jack Hammond.

- Miło mi pana poznać, panie Hammond - odparła miłym, ciepłym głosem.

- Wszyscy panią wielbią.

- Nienawidzę takiego zamieszania.

- Próbują panią uhonorować.

- Pewnie ma pan rację - odparła z uśmiechem.

- Jak się pani podoba odgrywanie mężczyzny?

- To spore wyzwanie, ale lubię je podejmować.

- Z powodu muzyki?

- Ona mi nie przeszkadza - odparła, wzruszając ramionami.

Zaskoczyła mnie i zbiła z tropu tym jednym, prostym zdaniem.

- Tak po prostu?

Michele Sonnier pochyliła się ku mnie. Poczułem jej zapach, ulotny i nieokreślony, choć kojarzący się z owocami. Szepnęła mi do ucha:

- Wyjawię panu pewien sekret, jeżeli obieca pan, że nikomu go nie zdradzi.

- Wydaje mi się, że jakoś podołam temu zadaniu.

- Akurat ta opera nie należy do moich ulubionych. Śpiewam w niej z zupełnie innego powodu.

- Jakiego?

- Och, to zakrawa na słodką ironię.

- Nie jestem znawcą opery. Może mi pani wyjaśnić?

Sonnier przysunęła się do mnie jeszcze bliżej. Czuję się, jakbyśmy konspirowali ze sobą od bardzo dawna.

- Naprawdę, panie Hammond? Sprawia pan wrażenie dobrze obeznanego z tematem.

Uśmiechnąłem się zażenowany, choć w głębi serca czułem, że nie polubię Michele Sonnier. Drażniła mnie, bowiem doskonale widziała, jaka jest prawda i tylko bawiła się ze mną. Choć doskonale zdawałem sobie sprawę, jak się rzeczy mają, to nie potrafiłem położyć kresu tej grze. Najgorsze było to, że ona także pojmowała, w jakiej jestem sytuacji i wykorzystywała atut swojej kobiecości, aby mnie jeszcze bardziej pogryźć. Nie mogłem oderwać wzroku od jej ust. Coraz bardziej jej nie znosiłem, ale w pewnej chwili zdałem sobie sprawę, że to nie jej nienawidzę, ale Charlesa Ralstona. Dlaczego? Bo mógł ją pocałować, a ja nie.

- Czy wie pan, że w czasach Szekspira rolę Julii grał mężczyzna? W zasadzie wszystkie role powierzano mężczyznom. Kobietom nie wolno było grać na scenie.

- Słyszałem o tym. Czyli na balkonie...

- Dwójka Anglików wyznawała sobie miłość.

- Świetnie.

- Bellini, który był Włochem z krwi i kości, postanowił odwrócić proporcje i tak napisał muzykę, aby Romea grała kobieta.

- Chce pani powiedzieć, że to był taki artystyczny odwet?

Sonnier roześmiała się perliście, a ja poczułem, jak przechodzi mnie dreszcz.

- Panie Hammond, jeśli chce pan poznać tajemnicę świata opery, nie może pan zapominać o jednej regule: nieważne, co się dzieje, zawsze chodzi o zemstę.

Jej towarzysz zbliżył się i szepnął jej do ucha kilka słów. Sonnier skinęła mi głową na pożegnanie, i kiedy miała się już odwrócić, postanowiłem zadać jej pytanie o Douga. Musiała zobaczyć coś w moich oczach, bo zagadnęła:

- Tak, panie Hammond?

- Zastanawiam się, czy słyszała pani smutne wiadomości o naszym wspólnym znajomym?

- O kim?

Od jej odpowiedzi zależało rozstrzygnięcie: albo stanie się coś niezwykłego, albo po prostu wrócę do domu uboższy o pięćset dolarów, z odrobiną wiedzy o operze i ochotą na czarną dziewczynę.

- O Dougu Townsendzie.

Na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień, a uśmiech pozostał taki sam, jak poprzednio.

- Przykro mi, ale chyba się pan pomylił. Nie znam nikogo takiego.

- W takim razie przepraszam - odparłem. - To bardzo dobrze, że nastąpiła pomyłka.

Towarzysz Michele wziął ją pod ramię i chciał odprowadzić, ale zawahała się przez chwilę, jakby moje słowa ją zainteresowały.

- Tak?

- Tak, ponieważ Doug przedawkował narkotyki i zmarł cztery dni temu.

Jej uśmiech, który jeszcze przed chwilą był ciepły i przyjazny, zamienił się w maskę przerażenia ukrytą pod grymasem wesołości.

Miałem ją. Wielka Michele Sonnier znała Douga Townsenda równie dobrze, jak ja.

Rozdział piąty

Po dwóch latach pracy w sądzie Thomasa Odoma z całkowitą pewnością mogę stwierdzić tylko jedno: ludzie nie kłamią po to, aby ich słuchano, a po to, żeby ukryć coś ważnego, coś, czego nie chcą wyjawić przed innymi ludźmi. Kiedy następnego dnia pojawiłem się rano w pracy, moje myśli zaprzętało jedno pytanie: co takiego chciała ukryć Michele Sonnier i jak daleko zamierzała się w swoich matactwach posunąć? Podstawowym problemem, którego nie potrafiłem wyjaśnić, była społeczna i finansowa przepaść dzieląca jej życie od nędznej egzystencji Douga. Podczas kiedy ona obracała się pośród dżentelmenów z Europy, którzy posługiwali się czterema językami obcymi, on żył w przedsionku piekła, migając się przed więzieniem. Fakt pozostawał jednak faktem, że co najmniej dwadzieścia razy opłacił gotówką przelot samolotem i bilet na jej występy. Właśnie to, oraz fakt, że Sonnier skłamała na temat znajomości z Dougiem, sprawiło, że nie mogłem zostawić tej sprawy. Rozwiązanie zagadki nie zapowiadało jednak żadnych korzyści finansowych, a ja musiałem z czegoś zapłacić pensję Blu. Tak więc, mimo całego mojego zapału do rozwiązania sprawy śmierci Townsenda, byłem całkiem zadowolony, kiedy przekroczyłem próg budynku sądu. Dzięki znajomości z Sammym Listonem miałem dziś na afiszu dwie sprawy.

Jak zwykle moich klientów poznałem tuż przed wejściem na salę. Pierwszą sprawę zakończyliśmy bez większego wysiłku. Całkiem ładna dziewczyna o oczach smutnych i przerażonych (jak u większości moich klientów), oskarżona była o drobną kradzież i

naruszenie nietykalności. Poszło nam całkiem nieźle, bowiem skończyło się na tradycyjnej przemowie sędziego, który „nie chciał jej więcej na oczy widzieć” i zapowiedział, że „dobierze się jej do skóry, jeśli choć raz zostanie przyłapana na posiadaniu lub zażywaniu narkotyków”.

Druga sprawa była miłym wyjątkiem od nudnej i szarej monotonii sądowej rzeczywistości, bowiem oskarżenie nie miało nic wspólnego z nielegalnymi substancjami. Oskarżony, Michael Harrod, popełnił jakieś drobne przestępstwo, dokładniej kradzież.

Jego pojawienie się w sądzie wzbudziło lekką konsternację. Samo w sobie było to już nie lada osiągnięciem, bowiem na sali Odoma widzieliśmy przecież niejedno. Harrod miał krótkie, postawione na sztorc włosy, ufarbowane na kilka różnych kolorów, twarz ozdobioną kolczykami powbijanymi w nos, brwi i wargi. Ubrany był w koszulkę z logo Nine Inch Nails, która rozpaczliwie wołała o pranie. Oprócz tego Harrod sprawiał dość przygnębiające wrażenie: był wysoki i chudy, a bladość skóry sprawiała wrażenie, jakby od kilku lat za dnia nie wychodził na ulicę. Rozglądał się nerwowo dookoła i podskakiwał, gdy tylko usłyszał jakiś głośniejszy dźwięk. Spotkaliśmy się poza salą sądową na godzinę przed rozpoczęciem procesu.

- Jack Hammond - powiedziałem, wyciągając ku niemu dłoń na przywitanie. Nie uścisnął jej, tylko obrzucił mnie podejrzliwym spojrzeniem. - Jesteś Michael Harrod, prawda?

- Może mi pan mówić Koszmar - odparł. Wybuchnąłem śmiechem. Nie chciałem tego zrobić, ale wydźwięk przezwiska, skonfrontowany z jego posturą, sprawił komiczne wrażenie.

- No dobrze, panie Koszmarze. Nie możemy przejść na ty?

Harrod obrzucił mnie jeszcze raz nieprzyjemnym spojrzeniem i odparł:

- Jak może mnie pan z tego wyciągnąć? - spytał, starając się robić jak najbardziej butne wrażenie. - Po to tutaj jesteśmy, nie?

W zasadzie darzę moich klientów prawie nieskończoną cierpliwością, powtarzając sobie, że większość z nich miała ojca, a za chwilę pozna Tatuśka. Tak nazywamy sędziego Odoma. Powiedzmy szczerze, to dobry i sprawiedliwy człowiek, ale bywają chwile, kiedy staje się straszny. Rozzłoszczenie faceta, w którego mocy jest wysłanie kogoś do prawdziwego piekła, nie jest mądrym rozwiązaniem. Z reguły po dwóch minutach z cwaniaka robi się pokorne cielątko. Jak przy pomocy wehikułu czasu, podsądni cofają się do dzieciństwa, kiedy jedno porządne, ojcowskie lanie dzieliło ich od stania się porządnymi obywatelami.

- W zasadzie, Koszmar, myślę, że powinieneś zacząć od tego, że przed sędzią Odomem zaczniesz udawać skruszonego. On tak lubi.

Koszmar spoglądał na mnie przez chwilę, a ja widziałem, że elementy układanki zaczynają w jego głowie pasować do siebie.

- Mogę się uśmiechnąć i przeprosić.

- Na początek wystarczy. - Otworzyłem jego akta i przerzuciłem kilka kartek. - Widzę, że nie zapłaciłeś za kilka przedmiotów, które wziąłeś z Radio Shack.

- Potrzebowałem ich - odparł, wzruszając ramionami. - Poza tym nie były zbyt wiele warte.

- To dlaczego nie zapłaciłeś za nie?

- Nie miałem forsy, poza tym to relikw starych ekonomii.

- Starych ekonomii?

Koszmar rzucił mi zmęczone spojrzenie i odparł:

- Tak. To część starego systemu społecznego. Jesteście jak dinozaury. - Rozejrzał się dookoła, omiatając wzrokiem ściany sądu. - Cały system jest przestarzały.

- Dinozaury, co? - Nagle zdałem sobie sprawę, że zaczynam nie lubić tego dzieciaka.

- Tak. Wszystko to, co znacie: rządy, ekonomia system prawny, armia czy wojny... To stary system, który zdycha, tylko wy o tym jeszcze nie wiecie.

- Czyli w nowym systemie nie powinieneś płacić za zakupy?

- Czy zdajesz sobie sprawę z tego, jak szybko zmienia się świat? Powiniennem zostać w tyle z powodu części, które są warte pięć dolców?

Zerknąłem do akt i spytałem zaskoczony:

- Pięć dolarów? Tylko tyle?

- Tak. Kilka złączek i autodialer.

- A co to takiego?

- Przyrząd, który automatycznie wybiera zakodowany numer.

- Część komputerowa?

- Też może być.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że mam do czynienia z hakerem. Koszmar był złodziejem, który nie wybijał szyb, a łamał programy. Kilka sekund później w mojej głowie zagościł pewien plan: musiałem sprawić, aby ten gość poczuł się moim dłużnikiem. Po wypadkach ostatnich kilku dni wiedziałem, że będę potrzebował pomocy kogoś z jego umiejętnościami. Choć Koszmar nie wyglądał na kogoś, kto lubi oddawać przysługi, to mogłem go do tego

zmusić. Po pięciu minutach wiedziałem już dokładnie, co muszę zrobić.

Spojrzałem na zastępcę prokuratora, która miała prowadzić sprawę. Rozmawiała właśnie z jakimś grubym facetem o ciemnych włosach, który mógł sobie liczyć maksymalnie trzydzieści pięć lat. Myślałem przez chwilę, a potem wstałem ze swego miejsca. Koszmar aż podskoczył, zaskoczony moim nagłym ruchem. Popatrzyłem na niego, zastanawiając się, ile razy dostał manto od kumpli w szkole. Choć był słabeuszem, to uzbrojony w komputer robił się niebezpieczny, jak zawodowy morderca. Choć nie podobało mi się, w jaki sposób opisał zmieniający się świat, to Koszmar miał rację. Podobni mu dziwacy trzymali w dłoniach klucze do nowego królestwa. Jednak ich władza nie była przesadzona, a póki co Koszmar potrzebował mojej pomocy.

- Posłuchaj mnie - powiedziałem. - Z pewnością pokocham świat przyszłości, który zamierzacie zbudować ty i twoi cyber-anarchiści. Jak na razie jednak, to stara ekonomia sprawi, że posadzą cię do więzienia, jeśli nie zrobisz tego, co ci powiem. Mówię śmiertelnie poważnie.

- Nikt mnie nie pośle do pierdła za pięć dolców.

- Michael...

- Koszmar - poprawił mnie.

Wtedy chyba trochę puściły mi nerwy. Nie byłem na niego zły, po prostu spieszyło mi się. Jeżeli zostalibyśmy wezwani na salę sądową, nie mógłbym wprowadzić w życie mojego planu.

- Posłuchaj mnie uważnie, ty koszmarny dupku - warknąłem. - W tej chwili znalazłeś się w świątyni starej ekonomii, która zazdrośnie strzeże swoich praw, i masz poważne kłopoty. -

Wyjąłem portfel z kieszeni i wysupłałem z niego dziesięciodolarówkę. Wcisnąłem ją w dłoń zaskoczonego chłopaka i kontynuowałem. - Bierz pieniądze i rób dokładnie to, co ci każę.

Koszmar posłusznie schował banknot do kieszeni i ruszył za mną korytarzem. Ciemnowłosy grubas zauważył go i aż zadygotał ze złości.

- To on - powiedział, wskazując na Koszmar. - To ten dupek mnie okradł.

- Ciebie? - zdziwił się chłopak. - Radio Shack to międzynarodowa korporacja, która nawet nie zdaje sobie sprawy z twojego istnienia. Rocznie więcej wydają na papier toaletowy, niż twoją pensję z ubezpieczeniem.

Chwyciłem go za ramię i zacisnąłem dłoń. Chłopak stęknął z bólu, co wcale mnie nie zdziwiło, bo przy nim figura anorektyczki mogła uchodzić za przykład jędrnego ciała. Skinieniem głowy przywitałem się z prokuratorem i spojrzałem na grubasa.

- Z kim mam przyjemność? - spytałem.

- Vincent Buffano - odpowiedział. - Jestem kierownikiem sklepu.

- Panie Buffano, pan Harrod chciałby coś panu dać, i powiedzieć kilka słów.

Grubas spojrzał na chłopaka, który wił się w moim uścisku.

- Daj panu pieniądze - syknąłem. Koszmar próbował coś powiedzieć, ale wbiłem palec wskazujący w jego biceps i tylko załkał. Posłusznie wyjął banknot z kieszeni i podał go Buffano. - Michael chciałby pana przeprosić, prawda?

Koszmar próbował się cofnąć, ale przytrzymałem go w miejscu. Wymamrotał coś niewyraźnie pod nosem, a grubas sapnął ze

zdeenerwowania. Zniecierpliwiony mocniej zacisnąłem dłoń na ramieniu chłopaka, aż temu łyzy stanęły w oczach. W końcu, kiedy knykcie mi zbieleły z wysiłku, Koszmar poddał się i wyjąkał cicho:

- Bardzo, bardzo pana przepraszam.

- To już się więcej nie powtórzy, prawda Michael? - spytałem, rozluźniając, a potem zaciskając dłoń na jego ramieniu.

- Nigdy więcej. Naprawdę. Obiecuję...

Buffano patrzył na chłopaka przez chwilę, mierząc go spojrzeniem od stóp do głów. Zwinął w końcu banknot i wsadził go do kieszeni spodni, po czym burknął niskim głosem:

- Nigdy więcej nie pojawiaj się w moim sklepie, chłopcze. Zrozumiano?

Spojrzałem na panią prokurator, która oglądała całą tę scenę z uśmiechem pełgającym po wargach. Podobnie jak i ja, nie chciała marnować kilku godzin na prowadzeniu tej nudnej i beznadziejnej sprawy.

- Rozumiem, że oskarżenie wycofa sprawę? Buffano spojrzał na Koszmar, najwidoczniej radując się każdą chwilą swego tryumfu.

- Niech stąd zmiata - powiedział. - Ale ma się słuchać i żebym go nigdy więcej w moim sklepie nie widział.

- Czyli mamy sprawę z głowy? - spytałem raz jeszcze, tym razem znacząco spoglądając na panią prokurator. Ta pokiwała głową i roześmiała się cicho:

- Tak. Niech chłopak już idzie.

Nie wypuszczając ramienia Michaela z dłoni, syknąłem mu do ucha:

- Podziękuj systemowi starej ekonomii, Michael.

- Dziękuję - wyłkał chłopak.

Puściłem go wolno, a on odszedł w głąb korytarza, rozcierając bolące miejsce. Skinąłem na pożegnanie pani prokurator, uścisnąłem dłoń Buffano i ruszyłem w ślad za Koszmarem. Kiedy zrównałem się z nim, spojrzał na mnie z wyrzutem i powiedział:

- To bolało, koleś. Naprawdę, nie musiałeś tego robić.

- Powiedz mi, Koszmar, który system ekonomiczny panuje w więzieniu?

- Nikt by mnie nie posłał do pierdła za pięć baksów, człowieku.

- Być może jesteś człowiekiem przyszłości, ale nic nie wiesz o systemie penitencjarnym stanu Georgia.

- O czym ty mówisz?

- O tym, że nasi prawodawcy byli co najmniej staromodnymi ludźmi i zadbali, aby sędziowie mogli nakładać kary do pięciuset dolarów za drobną kradzież. Sprawa kosztowałaby cię pół tysiąca plus koszt sądowe.

- A skąd ja miałbym wziąć pięć stów?

- Nie zapominaj o kosztach.

- Na to też nie mam.

- Czyli dostałbyś dziesięć dni paki, z których musiałbyś odsiedzieć, co najmniej sześć.

- Za durne pięć baksów?

- Stara ekonomia to niezła zdzira, co nie?

Spojrzałem na Koszmar, do którego powoli docierało to, co dla niego zrobiłem. Najwidoczniej wdzięczność była dla niego czymś nowym, więc dopiero po chwili powiedział:

- Straszne dzięki, *man*.

- Nie ma sprawy.

- No co ty? Ale by było do dupy.

- Racja.

- Słuchaj... Głupia sprawa, ale ja nie mam dziesięciu dolarów.

- Możesz mi się odwdzięczyć w inny sposób. Koszmar spojrział na mnie podejrzliwie, nie wiedząc, co zrobić.

- O tym nie było mowy.

- Nie masz zbyt wielkiego wyboru. - Spojrzałem na niego tak, jakbym zamierzał zrobić mu krzywdę. - Nie poradzisz sobie w więzieniu. Młodzi, chudzi chłopcy są tam niezwykle popularni. Zwłaszcza w zatłoczonych celach, gdzie śpi trzydziestu niewyżytych facetów. Nad ranem dzieją się tam dziwne rzeczy. Koszmar zadrżał.

- Dobra, człowieku, tylko bez żadnych świństw.

- Nie masz się co martwić. Potrzebuję twoich umiejętności. Musisz się włamać do pewnego komputera i trzymać gębę na kłódkę.

Na twarzy chłopaka pojawił się wyraz niedowierzania, potem ulgi, który na koniec ustąpił miejsca grymasowi szczęścia.

- Jasne, człowieku - powiedział z radością. - Nie ma problemu!

Rozdział szósty

Uczucie sympatii do Dereka Stephensa nie przychodzi łatwo. Jego arogancki sposób bycia działał mi na nerwy. Nie było w tym nic osobistego, gdybyśmy poznali się kilka lat wcześniej, w Dothan, po prostu spuściłbym mu manto, żeby poszedł po rozum do głowy i nabrał perspektywy. Nadal mógłby wypuścić się w szeroki świat i zostać jego królem, choć może byłby ostrożniejszy w pysznieniu się swoimi osiągnięciami. Kiedy koło południa wróciłem do mojego biura i zobaczyłem bukiet kwiatów od niego na biurku, nie byłem zbyt szczęśliwy. Blu zbyła to stwierdzeniem, że to słodki facet, a taki bukiet to dla niego żaden wydatek. Nie wiedziała nawet, jak blisko była prawdy. Jeżeli Derek był bogaty, to zapewne dzięki okazałemu pakietowi akcji Horizn, których ceny osiągają na giełdzie zawrotne ceny. W moim prywatnym odczuciu trzydzieści sześć róż z dedykacją było oznaką wyraźnego zainteresowania, nawet jeśli były żółte, nie czerwone.

Blu była w siódmym niebie. Atlanta pełna jest kobiet, które żyją marzeniami o bogatym księciu z bajki, który dostrzeże je na ulicy i porwie do swego pałacu. W zasadzie spodziewają się, że taka chwila może nastąpić lada dzień. Kręcą się więc dookoła milionerów, udają bogaczki i czekają na okazję. Dla łowczyń posagów Derek Stephens był wart tyle, co równowartość jego wagi w szczerym złocie. A nawet więcej.

W tym świecie prawnicy nie byli zbyt cenieni. Jeszcze mniejszą wartość przedstawiali ci, którzy wypadli z łask i ledwie wiąźali koniec z końcem, ciułając każdy grosz. Przez chwilę obserwowałem Blu, jak wacha kwiaty, a potem wyszedłem na

obiad z Sammym. Chadzaliśmy zwykle do „The Refactory”, gdzie on kiedyś podawał za barem, a teraz był częstym gościem.

Życie Sammy’ego jest dowodem na słuszność dość niesamowitej teorii: jeżeli jesteś nieudacznikiem i schrzanisz wszystko to, czego pożądasz, dopiero wtedy pojmiesz, czego pragniesz. Sammy pracował za barem i podawał drinki podchmielonym prawnikom. Po kilku latach takiej pracy uznał, że chce się stać jednym z nich. Jednym słowem - zaczął mieć marzenia i ośmielił się myśleć, że je zrealizuje. Na jego nieszczęście w Atlancie była tylko jedna szkoła prawnicza, na naukę w której mógł sobie pozwolić. Zajęcia odbywały się późnymi wieczorami na parterze hotelu YMCA. Biorąc pod uwagę akademicką menażerię, z jaką studiował w jednej klasie, powinien był się poważnie zastanowić, co oznacza dziewiętnaste miejsce na roku na dziewiętnaście możliwych. Podczas pierwszego roku praktyki przegrał wszystkie swoje trzy sprawy. W akcie desperacji przyjął posadę sekretarza sędziego Thomasa Odoma i w ciągu pierwszego tygodnia pracy dokonał niesamowitego odkrycia. Celem jego życia było: dobrze się ubierać i mieć choć trochę władzy. Ku jego zdumieniu marzenie się spełniło, Sammy był szczęśliwy. Rozumiecie, co mam na myśli?

Wystarczy się rozejrzeć, powiedzieć, czego się chce i do dzieła. Nagle okazało się, że w rękach Sammy’ego znajdują się losy kilkuset prawników.

Kiedy dotarłem do „The Refactory”, Sammy wychylił już kilka głębszych. Niestety, taki tryb życia mu nie służył. Choć jego sylwetka jeszcze w szkole średniej mogła być uznawana za w miarę atrakcyjną, teraz zaczynała tracić swój urok. Sammy wyglądał jak mój kolega z klasy piętnaście kilogramów później. W

dalszym ciągu miał czarujący uśmiech, ale na jego twarzy malowały się ślady wielu przepitych nocy i poranków naznaczonych kacem. Jego brązowe włosy zaczynały się przerzedzać, policzki były blade. Sammy bawił się do upadłego i kwestią pół roku było, kiedy zacznie wyglądać na dziesięć lat starszego, niż w rzeczywistości.

Pierwszą rzeczą, którą zrobiłem po przyjściu, było postawienie mu drinka. Tak czy siak, Sammy zamierzał dać sobie w szyję, a nie mnie oceniać, co ludzie robią w wolnym czasie. W zasadzie zamierzałem wyciągnąć z niego kilka informacji, a najlepszym sposobem było upicie Sammy'ego. Ten, nieświadom złowróżbnych wieści, jakie dla niego miałem, spoglądał na przemian na topniejące kostki lodu i na wdzięki barmanki krzątającej się po przeciwnej stronie kontuaru.

- Cześć, Sammy - powiedziałem na przywitanie. - Nie patrz na nią tak nieprzyzwoicie.

- Cześć, Jackie. Nie odbieraj mi marzeń, to jedyne, co mi pozostało.

- Może gdybyś częściej gdzieś wychodził, to nie musiałbyś poprzestawać tylko na marzeniach.

- Możliwe - odparł, popijając łyk ze szklanki. Szybko oceniłem, że jeśli się nie pospieszę, będę musiał tutaj tkwić przez kolejne trzy głębsze. - Zamawiasz coś?

- Tak. Szkocką z lodem, proszę - rzuciłem do dziewczyny. - Słuchaj, Sammy, muszę ci zadać kilka pytań.

- O co?

- Kto pociąga za sznurki w dzielnicy McDaniels Glen?

Sammy milczał przez chwilę, myśląc intensywnie.

- Wydaje mi się, że Jamal Pope.

- Pope?

- Tak. Jest na urlopie, że tak powiem. Z tego, co wiem, prowadzi jakieś interesy. - Sammy pociągnął ze szklaneczki i dodał: - W dalszym ciągu myślisz o sprawie Douga Townsenda?

- Tak - odparłem. - Chcę się dowiedzieć, skąd wziął fenatyl. Może dowiem się czegoś, co chodziło po głowie Dougowi.

- Nie wydaje mi się, żeby pan Pope należał do rozmownych ludzi.

- Pewnie masz rację. Mamy na niego jakiegoś haka?

Sammy odchylił się na krześle, zastanawiając się głęboko. Na szczęście nie zalał się jeszcze w trupa i myślał dość klarownie.

- Może - mruknął po chwili. - To ty prowadziłeś sprawę Keshana Washingtona kilka miesięcy temu?

- Słuchaj, Sammy. To nie moja wina, że rozbite światło nie jest wystarczającym powodem do rewizji osobistej motocyklisty.

- Tak. Ty i twoi klienci zawsze twierdzicie, że to nieporozumienie i ktoś ich wrabia. Sprawa wygląda jednak w ten sposób, że dzięki tobie pan Washington znowu grasuje po ulicach Atlanty. Zgadniesz, z kim się kumpluje?

- Pracuje dla Jamala Pope'a?

- Bingo. Moim zdaniem król Glen wisi ci obiad.

- Dzięki, Sammy. Mogę coś dla ciebie zrobić?

- Tak, zawieś prawa obywatelskie. Musimy pozbyć się kilku drani.

- Zobaczę, co da się zrobić.

- Słuchaj, Jack - powiedział Sammy, opróżniając jednym haustem szklanekę. - Skoro wybierasz się na pogaduszki z Popem,

czemu nie poprosisz Billy'ego Little'a o kilku mundurowych ochrony?

- O tak, dzięki temu Pope zrobi się bardziej rozmowny.

- No jasne, więc daj się zabić. Ja za tobą płakać nie będę...

Sammy skinął na kelnerkę, a ta podeszła do nas. Nie sposób było nie zatrzymać spojrzenia na jej zgrabnych nogach, krótkiej spódniczce i kołyszących się piersiach. Dziewczyna miała pewnie ze dwadzieścia lat, przez co Sammy, ze swoją trzydziestką z hakiem na karku, wyglądał na starca. Zamówiłem kanapkę, a Sammy pokazał na szklankę i uniósł palce w geście zwycięstwa:

- Jeszcze dwa razy to samo i raz dla ciebie, kochanie.

Muszę jej przyznać, że miała odrobinę klasy, bo nie przewróciła oczyma na dźwięk jego słów. Zamiast tego uśmiechnęła się do nas i oddaliła w stronę kontuaru, pewnie myśląc o swoim chłopaku, ratowniku plażowym. Pół minuty później już o niej nie pamiętałem, ponieważ spytałem go:

- Sammy, co wiesz o Dereku Stephensie?

- A czemu pytasz?

- Tak bez powodu.

- Żyje z tego, że niszczy w sądzie ludzi, którzy występują przeciwko Horizn Pharmaceuticals. Głównie procesuje się o własność intelektualną i sprawy praw patentowych.

- Cholernie śliski temat w ostatnich czasach.

- Zwykle nie kręci się w okolicy, ale kiedy ma się pojawić w sądzie, to wrze tam, jak w ulu.

- Czemu?

- Wszyscy go nienawidzą.

- Jakież konkretne powody?

- To kawał sukinsyna. Traktuje ludzi jak gówno i uchodzi mu to na sucho, bo jest geniuszem. Po jakimś czasie każdego w taki sposób można wyprowadzić z równowagi. Poza tym stara się zaliczyć każdą panienkę, która nie ucieka przed nim na czubek drzewa.

- Nie jest żonaty?

- Nie. Ma podobno jakąś stałą dziewczynę, choć rzadko kiedy można ich zobaczyć razem. Ją samą spotkałem ze trzy, może cztery razy. Bardzo wyniosła osoba, taka w typie naukowca. Zachowuje się tak, jakby dyplomami uczelnianymi podcierała sobie tyłek.

- Jednym słowem - sztywna?

- Tak. Wygląda tak, jakby brzydziła się świata. Ale nosi pierścionelek.

- Czyli są zaręczeni.

- Najprawdopodobniej. Ale mówię ci, to nie jest ktoś, z kim można się wypuścić na miasto. Pewnie dlatego Stephens ugania się za każdą sekretarką w sądzie. - Sammy upił łyk i mówił dalej. - Choć wiedzą, że to dupek, to każda z nich myśli, że dla niej się zmieni. No a potem jest ryk, łzy i szloch.

- Może chodzi o wyzwanie? Wiesz... ujarzmić bestię.

- Ja tam uważam, że one myślą o jego portfelu. Wiesz, że załatwił sobie przepustkę do podziemnego parkingu, bo nie chciał, żeby jego ferrari mokło na deszczu?

- Jeździ ferrari?

- Tak, ale tylko w bezchmurne dni. Nie o to mi chodzi.

- A o co?

- O to, że Derek Stephens może każdego namówić do wszystkiego.

Pokiwałem głową, wyobrażając sobie, jak oczarowuje Blu. Nie powinienem się mieszać, ale skoro taka okazja sama pchała się w ręce, grzechem byłoby jej nie wykorzystać. Zebrawszy się w sobie, postanowiłem uświadomić Sammy'ego w pewnych sprawach.

- Sammy, mój chłopcze - powiedziałem. - Od dziś masz w swoim życiu nowy cel.

- Naprawdę? A co to takiego?

- Od tej chwili poświęcisz każdy swój dzień uprzykrzaniu życia Derekowi Stephensowi.

- A czemuż, do cholery, miałbym to robić?

Oto nadeszła chwila, którą porównałbym do zrzucenia bomby atomowej.

- Bo następną osobą, która będzie płakała przez Dereka Stephensa będzie kobieta, którą kochasz, Blu McCledon.

Patrząc na twarz Sammy'ego Listona wiedziałem, że wojna będzie krwawa.

Blu zdecydowanie powinna wiedzieć więcej o życiu Stephensa, ale to wcale nie oznaczało, że to ja mam ją uświadamiać. Po pierwsze: nie pozwalały mi na to stosunki szef-podwładna; wiedziałem doskonale, że nie wolno mi przekroczyć pewnej granicy. Po drugie: Blu miała dwadzieścia osiem lat i była piękną kobietą, dlatego na pewno wiedziała, że większość mężczyzn, oglądających się za nią, nie była aniołkami. Co więcej, sam nie wiedziałem, na ile poważnie powinienem traktować zachowanie Stephensa. Zapewne był bardzo zajęтым człowiekiem i nie ograniczał się tylko do niszczenia przeciwników Horizn

Pharmaceuticals i podrywaniu wszystkich dziewczyn w okolicy. Teraz na dodatek poszczułem go Sammym, który pewno będzie bardzo upierdliwy.

Ja sam miałem wiele pracy przed sobą. Musiałem się dowiedzieć, dlaczego umarł Doug. W zasadzie nie wiedziałem od czegoś zacząć, więc pozostało mi szukanie na chybił trafił, licząc, że przypadkiem trafię na jakieś informacje. Niezależnie od tego, jedna rzecz była pewna: Doug wszedł w posiadanie takiej ilości fenatyłu, która mogła wykończyć całą dzielnicę. O czternastej trzydzieści wsiadłem do samochodu i ruszyłem ulicą Ralph Abernathy do zjazdu I-75, skręciłem w lewo w Pollard i skierowałem się w stronę McDaniels Glen.

Atlanta w doskonały sposób pokazuje, że rozkład i zniszczenie to tylko część cyklu życiowego. Żadna inna część miasta nie uosabia tego procesu tak bardzo, jak Glen. Co i rusz na miejscu starych budynków powstają nowe. Podczas kiedy niekończący się strumień pieniędzy zasila budowy nowych osiedli na północy, centrum miasta coraz bardziej przypomina getto. Im dalej od przedmieść, tym budynki są bardziej zaniedbane i zapuszczone. Człowiek ma wrażenie, jakby nagle znalazł się w Bejrucie zniszczonym bombardowaniami. Kiedy miasto zostało wybrane na gospodarza olimpiady, a burmistrzem został Murzyn, nakazano oczyścić centrum z biedoty i przenieść ją jeszcze dalej na południe. W rezultacie stare fabryki zostały zamienione na luksusowe lofty, ale w ich okolicach nadal stoją porzewiałe samochody i wałęsają się biedacy. Tuż obok siebie żyją różne klasy społeczne oddzielone jedynie kilkoma ulicami. Biedota i bogactwo nie mieszają się ze sobą, ale żyją tuż obok. Olimpijskie inwestycje nie wpłynęły w

najmniejszym stopniu na Glen. Dzielnica trwa nadal, taka sama jak kiedyś, pozostając reliktem brzydszej i niechlubnej przeszłości. Tak jak kiedyś, nadal jest wylęgarnią beznadziejności, braku perspektyw, a także przestępczości i zła.

Aby odnaleźć Glen, trzeba skręcić w lewo za zakładem pogrzebowym Pollarda. To pierwszy znak, że człowiek wkracza na nieprzyjazny teren. Kolejnym jest Dom Spokojnej Starości pod wezwaniem Najświętszej Pani, który także przyczynił się do niewesołej opinii, jaka przyłgnęła do dzielnicy. Przeciąwszy Pryor Street, minąć trzeba mieszkania nuworyszy, którym udało się skorzystać na olimpijskich inwestycjach, jednak każdy przejechany metr przybliża człowieka do dziesięciopiętrowego budynku fabryki opon Toby Sexton. Zakłady są od dawna zamknięte, hale sypią się ze starości, ich ściany pomazano graffiti, a okna powybijano. Każdy, kto nie mieszka w Glen, dojechawszy do tego miejsca mówi: „*Nie, nie, nie. To zła droga, zawracamy*”. Kierowca takiego zagubionego samochodu zwykle nerwowo zawraca, gnany instynktem samozachowawczym, którego działanie podsycają obrazy zapamiętane z programów informacyjnych o przestępczości w gettach. Przestraszeni ludzie odjeżdżają, udając stałych bywalców, którzy wpadli do kuzynostwa, ale oddychają spokojniej dopiero wtedy, kiedy znajdą się w centrum miasta.

Przeważnie ten strach jest bezzasadny. Racja, okolica nie należy do bezpiecznych, jednak ludzie obawiają się niewłaściwych rzeczy. Za dnia, jeżeli nie prowadzi się samochodu z ogromną flagą Konfederacji na antenie, nikt człowieka nie napadnie. Owszem, przez pierwsze dziesięć przecznic będą ci próbowali

opchnąć prochy, ale potem zostawią cię w spokoju, bowiem tak głęboko nie zapuszcza się nikt oprócz miejscowych lub pracowników opieki społecznej.

Prawdziwym niebezpieczeństwem McDaniels Glen jest nuda, niszczący duszę marazm i codzienność. Dzielnica składa się z ponad tysiąca takich samych, czerwonobrazowych domów. Kwartal za kwartałem, ulica za ulicą, wszystkie domy są identyczne - brudne i zapuszczone. Wszędzie na balkonach wisi pranie, a na rogach rdzewieją podobne do siebie wraki samochodów. Jeżeli pomieszka się tutaj dość długo, to nawet myśl o innym świecie zaczyna przychodzić z trudem.

Kiedy znalazłem się na głównej ulicy Glen, zacząłem rozglądać się za Popem. Pozwoliłem, aby dilerzy i dzieciaki dobrze mnie sobie obejrzeni, a potem zaparkowałem samochód. Gdyby spadło na was jakieś nieszczęście i musielibyście przeprowadzić się do budynku komunalnego, nie bójcie się. Posłuchajcie mojej rady. Każda z dzielnic zarządzana jest przez Federalne Miejskie Biuro Mieszkaniowe. Im bliżej jego siedziby zamieszkacie, tym lepiej. Tutaj budynki są czasami remontowane i odnawiane, a latarnie uliczne świecą po zmroku. Dzieje się tak, że kiedy przyjeżdżają oficjele z Waszyngtonu, trzeba im pokazać kawałek idyllicznego raj, w przeciwnym wypadku zaczną dokładnie sprawdzać finanse spółdzielni. Jeżeli będziecie mieli okazję, zajmijcie mieszkanie tuż obok biura.

Pope trzyma w ręku handel narkotykami, dlatego można powiedzieć, że w swoim małym, przerażającym światku jest szczytowym ogniwem łańcucha pokarmowego. Co więcej, pracuje też na państwowej posiadzie, dlatego pewnie ucieszy was

informacja, że płacicie mu tygodniowo sześćset czterdzieści dolarów. Jako kierownik ekipy serwisowej, dwa razy w miesiącu otrzymuje czek ze znakiem wodnym wyobrażającym budynek Capitolu, co sprawia, że praktycznie nie można go podrobić. W przypadku Jamala Pope'a te pieniądze zdają się psu na budę, ponieważ zarabia trzydzieści tysięcy nieopodatkowanych dolarów miesięcznie jako główny farmaceuta i specjalista od narkotyków w Glen.

Myślicie pewnie, że nie ma takiego zajęcia w wydziale mieszkań komunalnych, które warte byłoby uwagi. Zastanówcie się więc po raz kolejny. Istnieje pewna funkcja, która daje człowiekowi prawie boską władzę, zbliżoną do absolutnej dyktatury rodem z krajów trzeciego świata. Bycie szefem zespołu serwisowego to niezbyt ekscytujące zajęcie. Co gorsza, wymaga tego, aby mieszkać w okolicy rewiru. Jednak człowiek taki jak Pope nie musi się troszczyć o świat zewnętrzny, bowiem w swoim małym królestwie jest pierwszym po Bogu.

Źródłem tej nadprzyrodzonej mocy jest prosty pęk kluczy. Oprócz drzwi można nimi otworzyć każdą komórkę, schowek, obudowę świetlóвки, a także skrzynki telefoniczne, przeciwpożarowe, apteczki, ale przede wszystkim pokrywy urządzeń klimatyzacyjnych. Nie zapominajcie, że mieszkamy w Atlancie. Tutaj każdy potrzebuje tych urządzeń. Już dzięki temu jednemu pękowi człowiek dzierży ogrom władzy, ale prawdziwą potęgę daje drugi ich zestaw.

Dzięki nim człowiek ma dostęp do mieszkań. Może uprzykrzyć albo niespodziewanie ułatwić życie ich mieszkańców. Ma prawo wejść, kiedykolwiek zechce. Jednak to nie ten pęk kluczy decyduje

o prawdziwej władzy ich właściciela. Jest jeszcze jeden zestaw, dzięki któremu można otworzyć drzwi do pustych mieszkań.

Jedną z cech szczególnych handlu narkotykami jest jego pokątny charakter. Uczestnicy transakcji wolą pozostać anonimowi, a człowiek, który ma dostęp do wolnych pomieszczeń, trzyma ten proceder w garści. Z jego pomocą można spokojnie i bezpiecznie produkować, rozprowadzać i sprzedawać narkotyki. Jest jednocześnie producentem, pośrednikiem i handlarzem. Jamal Pope trzymał biznes narkotykowy w garści.

Zaparkowałem samochód i ruszyłem ulicą, przy której wznosił się budynek Zarządu Mieszkań Komunalnych. Nie przeszedłem dwudziestu metrów, kiedy zza rogu wyjrzał Jamal Pope i uważnie obrzucił mnie spojrzeniem, zastanawiając się, kim jestem: klientem, czy zagrożeniem. Niezależnie od rozwoju sytuacji, był przygotowany na każdą ewentualność. Jamal nie wyglądał na bogatego człowieka. Dobiegał trzydziestki i ubrany był w luźne spodnie i koszulkę z napisem „Glock around a Clock”. Zatrzymałem się jakieś dwadzieścia metrów od niego i przez chwilę przyglądaliśmy się sobie.

- Wiesz coś o śmierci Douga Townsenda? - spytałem.

Pope nie odpowiedział, tylko dalej mierzył mnie wzrokiem. Nie próbował mnie zastraszyć, jedynie zastanawiał się, co to wszystko ma znaczyć. W końcu uśmiechnął się i odparł:

- To ty wyciągnąłeś Keshana z mamra?

Na sercu zrobiło mi się prawie ciepło, kiedy zdałem sobie sprawę, że ktoś jednak docenia moją pracę. Dzięki niej mogłem przez chwilę porozmawiać z człowiekiem, który być może znał tajemnicę śmierci mojego przyjaciela.

- Nie widziałem małego Douggy'ego od dłuższego czasu - powiedział po chwili milczenia. - Coś się dzieje...

- Pół grama czystego towaru... to raczej nie twoja skala. Mógłbyś popytać ludzi na ulicach?

- Zero, przecinek czterdzieści dziewięć - poprawił mnie Pope. Jeżeli policja znalazła w trakcie przeszukania narkotyki w ilości powyżej pół grama, aresztowanego można było oskarżyć o handel narkotykami, a nie ich posiadanie. Większość handlarzy bardzo skrupulatnie przestrzegała tej reguły. - Spytam Królika. Powinien coś wiedzieć.

Królik był prawą ręką Pope'a oraz jego kurierem i chłopcem na posyłki. Na reputację i pozycję zapracował, własnoręcznie załatwiając faceta, który usiłował zająć miejsce Jamala. Zarabiał tysiąc dolarów miesięcznie, kontrolował co najmniej dziesięciu handlarzy, którzy wymieniali pieniądze na towar, miał niecałe czternaście lat i był synem Jamala.

Pope wyciągnął z kieszeni telefon komórkowy i wybrał numer. Pięć minut później Królik wyjechał z za rogu na motocyklu i zatrzymał się z piskiem opon. Sprawiał wrażenie zwykłego, energicznego dzieciaka, jeśli nie liczyć oczu, które były zimne jak lód. Pomimo upału ubrany był w czarną bluzę Oakland Raiders.

- Co jest?

- Facet ma pytania - odparł Jamal. - Mów wszystko, chyba że ci zabronię.

Stosunki ojciec-syn, jakie pomiędzy nimi panowały, były po prostu wzruszające.

- Posłuchaj, Króliku - powiedziałem. - Staram się dowiedzieć, co się stało z Dougiem Townsendem.

- Nie żyje - odparł, wzruszając ramionami. - Zszedł kilka dni temu.

- Wiem. Muszę się dowiedzieć, czy brał coś w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Potrzebuję szczerzej, konkretnej odpowiedzi. Nie martw się, nie chodzi o was, tylko o niego.

Królik spojrzał na ojca, który kiwnął tylko głową.

- Był czysty jak łąza. Nie widziałem go od kilku miesięcy.

- Kupował fenatyl?

- Nie sprzedajemy takich rzeczy - wtrącił Pope. - Dbamy o klientów, nie próbujemy ich zabić.

- Powiem ci jedno, człowieku. Douggy wdepnął w pieprzone gównno.

- To znaczy?

- Cholera, nie wymówię nawet tej nazwy. Chodziło o prawdziwe lekarstwa, żaden towar, który bym znał.

- Co masz na myśli?

- Człeni, znam każdy rodzaj prochów, jaki biorą ludzie. Heroina, kokaina, LSD, ekstaza, wszystko. Reszta mnie nie obchodzi.

Pomimo młodego wieku, Królik był prawdziwym ekspertem w swoim fachu i mówił ze znawstwem, z którym inni opowiadają o uprawie zbóż na Ukrainie.

- Umarł z powodu przedawkowania fenatyłu - wyjaśniłem. - Skoro nie kupił go od was, to gdzie go dostał?

Królik myślał przez dobrą minutę, zanim powiedział:

- Pewnie na Dilaudid Avenue.

Pokiwałem głową, dając znak, że wiem, o co mu chodzi. Siódma Ulica biegła dokładnie przez centrum Perry Homes.

- Znasz tam kogoś? - spytałem. Królik ponownie spojrzął na ojca, ale ten pokręcił głową.

- To nietypowy towar i raczej nie znajdziesz go na ulicy. Trzeba mieć receptę, żeby kupić najmniejszą odrobinę tego świństwa.

Do głowy przyszła mi myśl, że Doug mógł sam sprzedawać i rozprowadzać narkotyki. Narkomani często tak robili. To by oznaczało, że kompletnie się co do niego myliłem. Spojrzałem na Pope'a i spytałem:

- Gdyby ktoś chciał obracać takim towarem na większą skalę, z kim musiałby rozmawiać?

Pope zastanawiał się przez chwilę. Bóg jeden wie, o kim myślał i jakie powiązania rozważał, ale w końcu odparł:

- Ja zacząłbym od rozmowy z lekarzem. Umówiłbym się, wiesz, trzeba ustalić, ile wynosi jego działka. Albo lepiej, pogadałbym z jakimś chemikiem, farmaceutą. To zależy, jak wiele towaru chciałbyś, on może go więcej podwędzić.

Pokiwałem głową.

- Nie przypuszczam, żebyś wiedział...

- Koniec pogaduszek - odparł Pope. Nie wyglądał na rozzłoszczonego, raczej zdawał sobie sprawę, że rozmowa z białym krawaciarzem nie służy dobrze jego reputacji.

- Ostatnie pytanie - powiedziałem szybko. - Czy słyszałeś o kobiecie, nazwiskiem Michele Sonnier?

- Sonnier?

- Tak.

- Oczywiście. To śpiewaczka operowa. - Pope uśmiechnął się szeroko. - Kurde, uwielbiam się odprężyć przy takiej muzie. -

Spojrzał na swojego buicka i powiedział do Królika: - Widzisz, do czego prowadzi uczciwe życie?

Wybuchli głośnym rechotem, a ja się wycofałem, znikając w labiryncie zaułków wijących się pomiędzy identycznymi budynkami.

Rozdział siódmy

A więc do tego doszło, że moje życie stało się lekcją pogładową dla syna handlarza narkotykami. Choć słowa Pope'a brzęczały mi w uszach, owinąłem się płaszczem obojętności, niezbędnej do przecięcia się przez korki Atlanty bez ryzyka obłądu. Wyjechałem podjazdem na kompletnie zatkaną betonową aleję wybudowaną w czasach, kiedy słowa „droga szybkiego ruchu” nie miały jeszcze ironicznego wydźwięku. Kierowałem się na południe, jednak musiałem odwiedzić pewne szczególne, święte miejsce. Zmierzałem do kościoła, którego trzodę wiernych ustanowiła pamięć o jednym człowieku.

Samochód toczył się na południe z prędkością piętnastu kilometrów na godzinę. Po dziesięciu minutach beczynnego obserwowania krajobrazu Atlanty, zawróciłem i skręciłem w ulicę Martina Luthera Kinga, która prowadziła w głąb starszej i zaniedbanej części miasta. Zatrzymałem się przy niewielkiej kwiaciarni i kupiłem bukiet tulipanów. Po dziesięciu minutach jazdy wspiąłem się na szczyt łagodnego zbocza Oakland Avenue i zobaczyłem wejście do miejsca, które było moim celem.

Podobnie jak ulica, cmentarz także nosił nazwę Oakland i został założony na długo przed czasem, kiedy jeden hektar ziemi w okolicy miasta osiągnął cenę pół miliona dolarów. Krótki spacer pomiędzy grobami, w cieniu dębów i wierzb jest jak podróż w czasie. Człowiek opuszcza tętniącą hałasem wielkowiejską codzienność i znajduje się w miejscu, gdzie dusza zaznaje spokoju. Ściana z liści i żywopłotu wycisza wszelkie hałasy, a spacerujący

po cmentarzu obcuje z historią zakłęta w ziemi, roślinach i kamieniu.

Zaparkowałem samochód, wysiadłem i pozwoliłem, aby spokój tego miejsca zawładnął moją duszą. Szedłem po zielonym trawniku, rozkoszując się ciepłymi promieniami słońca na twarzy. Cmentarz znałem dobrze, a nazwiska z nagrobków witałem tak, jakbym widział znajomych. Otaczała mnie historia amerykańskiego Południa w nazwiskach Andrewsów, Sullivanów, Franklinów i Pearych. Sto pięćdziesiąt lat dziedzictwa historii i kultury. Przed Wojną Secesyjną był taki czas, kiedy Atlanta była centrum wszechświata Południowców, a możni i zasłużeni byli chowani właśnie na cmentarzu Oakland.

Minąwszy mauzoleum rodziny zamożnej na tyle, żeby ufundować dom nawet swoim zmarłym, skręciłem w lewo i po krótkim spacerze dotarłem na miejsce. Odliczyłem sześć nagrobków po prawej stronie i przystanąłem pod szczytem niewysokiego wzgórza. Spojrzałem w prawo, na niewielki pomnik z białego marmuru. Wyryto na nim kilka słów: *Violetta Ramirez 1974-1997. La flor Innocente. Bella como la luna y las estrellas.*

Na kwaterę i nagrobek wydałem praktycznie wszystkie oszczędności, jakie miałem. Wydałem je bez żalu, bo dla mnie liczyło się tylko to, że w otoczeniu elity dawnej Atlanty leżał mój niewinny kwiat, piękny jak księżyc i gwiazdy. Położyłem na płycie tulipany, czerwone i jasne jak krew, a potem zmówiłem cichą modlitwę za jej duszę, a potem kolejną, za moją.

Kiedy wróciłem do biura, Blu podała mi listę telefonów. Z Biura Prokuratora zadzwonili, żądając ode mnie ustalenia terminu złożenia zeznań, odezwało się też kilku klientów, jedni

czegoś chcieli, inni mi grozili. Nie było to nic dziwnego. Zdziwiła mnie tylko wiadomość rozzłoszczonej matki jakiegoś chłopaka, który tydzień wcześniej został skazany. Spotkałem go trzydzieści minut przed procesem, więc w żaden sposób nie mogłem go skutecznie obronić, poza tym wszyscy na sali sądowej wiedzieli, że był winny.

Miałem wyrzuty sumienia co do Blu. Wszelkie rozmyślenia o uczciwości i etyce skłoniły mnie do zastanowienia, czy powinienem opowiedzieć jej, jakim typem jest Stephens. Co więcej, zacząłem mieć wątpliwości, czy poszczucie go Sammym miało sens. Z drugiej strony Stephens miał narzeczoną, której przyprawiał rogi. Zapewne umiał o siebie zadbać, ale Sammy jest Południowcem z dziada pradziada, co w sporach o kobietę dawało mu genetyczną wręcz przewagę. Jeżeli któregoś dnia zorientujecie się, że w waszym związku jest ktoś trzeci, módlcie się, aby pochodził z Kanady. Jeśli będzie z Tennessee, albo z Alabamy, jak Sammy, to macie poważne problemy.

Kiedy usiadłem w swoim fotelu, z miejsca zapomniałem o tych kłopotach. Miałem swoje własne i musiałem je przemyśleć. Królik miał rację, mówiąc o farmaceutykach, co dla mnie oznaczało tylko jedno. Pytanie było następujące: po co Dougowi takie środki? Jego narkotyczna ścieżka była dość prosta: zaczął od ekstazy, która bardzo pasowała do jego charakteru, a potem zaczął brać kokainę. Wzięło się to z tego, że ktoś zaczął rozprowadzać ekstazę właśnie koką. Po Atlancie krążą różne jej rodzaje: mieszane z kwasem, heroiną, spidem. Każdy z tych rodzajów ma idiotyczną nazwę rodem z kreskówek i komiksów: X-Men czy Kaczor Duffy. Koniec końców Doug stwierdził, że najbardziej lubi kokainę i odstawił

wszystkie inne prochy. Przez kilka miesięcy był pewnie szczęśliwy, a potem wszystko zaczęło się sypać. Tragiczna arytmetyka nałogu pociągnęła go w dół. Nie potrafił już nastarczyć na czystą kokainę, ale nie chciał brać cracku, po który sięgają biedacy, dlatego przerzucił się na amfetaminę. Dla nocnych marków, którzy całymi nocami ślęczą przed komputerem, była ona idealnym rozwiązaniem, zwłaszcza że nie kosztowała zbyt wiele.

Po żaden z tych narkotyków nie trzeba było się wybierać na Dilaudid Avenue czy do Perry Homes. Nie potrafiłem wymyślić żadnego logicznego rozwiązania. Nie miałem odpowiednich kontaktów, aby dalej drążyć ten temat. Jeżeli zacząłbym rozmawiać z niewłaściwymi ludźmi, w okamgnieniu zaczęłyby po mieście krążyć plotki, i mógłbym mieć kłopoty. Na szczęście rysowała się przede mną pewna alternatywa.

W moim biurze przez cały czas stał komputer Townsenda. Na jego twardym dysku czekały odpowiedzi na moje pytania, a ja podświadomie wiedziałem, że im więcej ich poznam, tym mniej prawdopodobna będzie hipoteza o samobójstwie Douga. Gdyby planował samobójstwo, usunąłby z komputera większość informacji. Nawet samobójcy nie lubią pozostawiać po sobie kompromitujących dowodów.

Podniosłem słuchawkę i zadzwoniłem do Michaela Harroda. Po chwili oczekiwania włączyła się automatyczna sekretarka:

- *Lepiej, żeby to było coś ważnego. Spowalniaz mi transfer.* - Potem usłyszałem pisk.

- Michael? - powiedziałem. - Słuchaj, potrzebuję twojej pomocy. Odpowiedziała mi cisza.

- Wiem, że tam jesteś. Nigdzie się nie ruszasz, chyba że chcesz coś zwędzić z Radio Shack.

Dalej cisza.

- Koszmar?

- O co chodzi? - usłyszałem w słuchawce głos Harroda.

- Pamiętasz, jak mówiłem o małej robótce dla ciebie?

- Aha.

- Myślę, że łatwiej by nam poszło, gdybyś do mnie zajrzał.

- Pewnie tak.

- Niech no sobie przypomnę... Chyba cię ocaliłem od posady czyszciciela basenów w klubie więziennym Fulton, prawda? Czas spłacić dług.

W słuchawce ponownie zapadła cisza. Po bardzo długiej chwili Koszmar spytał:

- Czyj to komputer?

- A czy to ma jakieś znaczenie?

- Tak, nie chcę wdepnąć w jakieś gówno.

- Dawny klient. Nie sądzę abyś go znał.

- Jak się nazywał?

- Doug Townsend.

Ponownie zapanowała cisza. Minęła prawie minuta, i Koszmar powiedział:

- Widzę, skąd dzwonicz. - W głośniku usłyszałem dźwięk odkładanej słuchawki.

* * *

Nie miałem pomysłu, co mogła oznaczać odpowiedź Koszmar. Kiedy odłożyłem słuchawkę na widełki, usłyszałem z sekretariatu

odgłos domykanych szuflad i trzaskających drzwiczek od szafy. Wyrzuciłem z biura i okazało się, że to Blu porządkuje i układa swoje rzeczy, jakby miała się zbierać do domu. Spojrzałem na zegarek i stwierdziłem, że biuro powinno być otwarte co najmniej jeszcze przez godzinę. Blu miała swoje wady, ale jedną z niezaprzeczalnych zalet była sumienność i punktualność. Wszedłem do poczekalni i usiadłem w jednym z foteli. W milczeniu obserwowałem, jak pakuje swoją torebkę i próbuje w niej upchnąć gazetę. Zastanowiła mnie nagła myśl, jak bardzo nasze światy się od siebie różnią. Jak to by było, myślałem, posiadać tak ograniczoną liczbę spektakularnych środków wyrazu? Jak to jest być dziewczyną, na której widok każdy normalny facet traci oddech? Najbardziej zastanawiało mnie, jak to jest, kiedy się wie, że te wdzięki mogą przyciągnąć uwagę mężczyzny, który będzie zdolny spełnić wszystkie twoje marzenia? Czy Blu będzie się zastanawiała nad tym, że jej adorator to gnój do potęgi? Rzuciła mi przyjazne spojrzenie i uśmiech.

- Wyjdę dzisiaj wcześniej, dobrze? - spytała, a jej głos aż tętnił od zmysłowości.

- Właściwie to pracujemy jeszcze przez godzinę - odparłem.

- Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko, Jack? W sumie od godziny nikt nie zadzwonił. - Musiałem jej milcząco przyznać, że miała rację. - Mam randkę - powiedziała, zakładając buciki. Nie zauważyłem, że chodziła po biurze boso.

- Umówiłaś się ze Stephensem?

Blu uśmiechnęła się ukradkiem, a ja zamarłem. Czekałem, co powie. Jedno jej zdanie potwierdziło moje przypuszczenia:

- To bardzo miły człowiek. - Zrzuciła pasek torebki na ramię i ruszyła ku drzwiom. - No to leczę. Do zobaczenia jutro. Do widzenia, Jack.

Zostałem sam w biurze, wyobrażając sobie Blu na pokładzie prywatnego odrzutowca Horizn Pharmaceuticals, lecącą do Nowego Jorku na zakupy.

Szwendałem się po biurze, aż przyjechał Koszmar. Ku mojemu zaskoczeniu zmienił koszulkę. Tym razem widniała na niej owca o zaskoczonym wyrazie pyska, a napis głosił: „*Dolly Lama - Nasz duchowy przywódca*”. Na twarzy chłopaka malował się wyraz ekscytacji.

- Gdzie on jest? - spytał, nie tracąc czasu na przywitania.

Skinąłem głową w stronę mojego gabinetu i odparłem:

- Musiałem wypowiedzieć jakieś magiczne zaklęcie, prawda?

- Tak.

- Znałeś Douga Townsenda?

- Nigdy go nie spotkałem, ale Bandzior miał swoją reputację.

- Bandzior?

- Tak, Doug.

- Dlaczego nazywaliście go Bandziorem?

- Posłuchaj, członku. Komputery to zupełnie inny wszechświat. Tam ksywa Bandzior nie oznacza człowieka z pistoletem, ale kogoś, kto potrafi rozpruć pliki.

- Ale twierdzisz, że Townsend miał swoją reputację wśród hakerów.

- Nie ma czegoś takiego, jak społeczność hakerów - odparł z uśmiechem Koszmar.

Spoglądałem na niego przez chwilę w milczeniu, a potem powiedziałem:

- Komputer jest tam.

Koszmar ruszył za mną. Komputer Douga ustawiłem na niewielkim biurku, a Michael od razu przysunął krzesło i otworzył walizkę, w której roziło się od dyskietek, płyt kompaktowych i wszelkiego rodzaju sprzętu elektronicznego. Odkrycie, że próba włamania do komputera Douga będzie problemem, zajęło nam jakieś pięć minut.

- Cholera - powiedział Koszmar.

- Problemy?

- Niewiele tutaj znajdziemy. Musiał operować przez główny komputer, który znajdował się gdzieś indziej. Stawiałbym na Georgia Tech.

- Czemu na nich?

- Bo to duża uczelnia, która nie zwraca zbytnej uwagi na detale. Są wyluzowani. Nad komputerami sprawują pieczę studenci ostatnich lat.

- Czyli nic nie możemy zrobić? Koszmar uśmiechnął się złośliwie.

- Oczywiście, że możemy. Po prostu zajmie nam to więcej czasu.

- Chcesz coś? Coca-coli?

- Masz wodę mineralną?

- Nie.

- No to idź i kup.

Najwidoczniej Koszmar należał do osób zakręconych na punkcie zdrowej żywności. Wyszedłem i skierowałem się do sklepu

spożywczego na rogu. Kiedy wróciłem, na twarzy Koszmara malował się niewesoły grymas.

- To niezłe bagno - powiedział.

- Czyli?

- Poważna sprawa.

- Dzięki za wyjaśnienia, teraz wszystko rozumiem. - Koszmar nachmurzył się, a ja spytałem: - Chcesz powiedzieć, że ten, z kim Doug miał na pieńku, dysponował systemem obronnym? Coś w tym rodzaju?

- Nie wiem, kto to był - odparł Koszmar. - Ale ktokolwiek to był, Bandzior się na nich wziął. Zabezpieczenia to jedno, ale on nie zasypiał gruszek w popiele.

- Nie rozumiem.

- Bardzo dokładnie zacierał za sobą ślady. Zdecydowanie nie chciał, żeby ktoś dotarł do niego po śladach w DSL. Wszystko jest opatrzone hasłami, bo Bandzior nie miał dostępu do sprzętu. W cokolwiek się wplątał, to było straszne gówno. Większość haseł składa się z sześciu do ośmiu znaków. W tym przypadku jest ich dwadzieścia sześć. To szaleństwo.

- Dwadzieścia sześć?

- Tak, ale to nie jest najgorsze.

- Pięknie. Co jeszcze?

- Bandzior używał kodowania na 4096 bitów. To oznacza, że ilość kombinacji jest równa... Powiem tak, kalkulator tego nie obliczy. Wydaje mi się, że to miliard miliardów.

- Cudownie.

- Może być więcej, sam nie wiem. Spoglądałem przez chwilę na niego, starając się wierzyć, że będzie w stanie włamać się do

komputera Douga.

- Więc co robimy?

- Mogę zaatakować go programem, który rozpracowuje hasła na siłę, próbując wszystkich kombinacji. Ma jednak pewną wadę?

- Jaka.

- Złamanie zabezpieczeń zajmie mu z sześćset lat.

- Zaraz, na filmach gość wciskał jeden klawisz i było po krzyku.

Koszmar spojrział na mnie, jak na bluźniercę.

- Czyste Hollywood. Żeby przełamać takie zabezpieczenia, potrzeba tygodni. Musimy znaleźć inny sposób, bo działanie na pałę to strata czasu i środków. Odpaliłem Cracka, ale to nic nie da. - Nim zdążyłem spytać, co to, Koszmar wyjaśnił: - To atak słownikiem. W programie są zakodowane wszystkie słowa występujące w języku angielskim, ale to raczej nie da zbyt wiele. Szyfrowanie jest tak zakręcone, że nawet sprzęt w moim domu nie da rady. Musiałbym mieć jeszcze kilka sprzętów...

- Można tak zrobić?

- Tak. Wystarczy rozprzestrzenić program na kilka platform i atakują wtedy symultanicznie. Może gdybym przejął kontrolę nad komputerem Tech, poszłoby szybciej.

- Jesteś w stanie to zrobić?

- Może.

- Posłuchaj, Michael, dasz radę to zrobić?

- Przestań hałasować i daj mi się skupić.

Minęły cztery godziny, dochodziła dziewiąta trzydzieści. Koszmar powiedział, że jest głodny, a kiedy zaproponowałem, że zamówimy pizzę, odparł:

- Kurwa, człenu. Wracam do domu.

- Poddajesz się?

Wstał z krzesła i zaczął przechadzać się po pokoju. Uznałem, że lepiej mu nie przeszkadzać. Po chwili powiedział:

- Muszę to wszystko przemyśleć. Spotkamy się rano. - I co wtedy?

Koszmar spojrzał na mnie bardzo poważnym wzrokiem.

- Bandzior był niezły, ale ja jestem lepszy.

Rozdział ósmy

Jeśli chcecie zobaczyć romantyczną stronę Atlanty, musicie poczekać do zmierzchu. Wtedy, w ciągu kilkunastu szczególnych minut, kiedy światło staje się coraz bardziej mętne i ciemniejsze, miasto odsłania swoje przedziwne, zaskakujące oblicza. Atlanta wyłania się z otaczających ją lasów, które łagodzą ostre krawędzie budynków liśćmi dębów, klonów, jaworów i orzechów. Dla tych, którzy całe dni spędzają na samym dnie miasta, nurzając się w jego brudzie, takie chwile są szczególnie cenne i rzadkie. Wraz z zapadającym zmierzchem, historia miasta odpływa w niebyt i coraz bardziej daje się odczuć wielkomięjską atmosferę Atlanty. Staje się ona miastem uchwyconym pomiędzy historią, a dniem jutrzejszym, nocą, a światłem słonecznym.

Historia Atlanty zaklęta jest w kwiatach magnolii, które pomimo korków ulicznych i spalin w jakiś cudowny sposób trwają na kwietnikach. W cieniu drapaczy chmur powiewają flagi Konfederacji, które w dalszym ciągu uznawane są za romantyczny symbol lepszej przeszłości. Choć tradycje starego Południa odchodzą w cień, to nadal wielu ludzi czuje do nich sentyment, na przekór kulturoznawcom, którzy wieszczą im rychły koniec. Zabawne, ale mało który z nich pochodził z Południa. W tym świecie dziewczęta noszą białe sukienki i uczą się grać na pianinie, jeśli tylko ich rodziców na to stać. Ludzie trzymają się kurczowo tradycji, bowiem przeczuwają, że z każdym rokiem zbliża się świat rządzony przez nową ekonomię Koszmara. Ten świat ma swoje centrum także i w Atlancie. To moloch ze szkła i stali, nieposiadający własnej historii i nieuznający żadnych

granic, pełen bezdusznych i bezimiennych twarzy. Ta rzeczywistość wkrótce się ziści, opanowując resztę świata. Kiedy tak się stanie, terminy „Południowiec” czy „szlachetny” będą równie puste, co „synowie Konfederacji”. Pomiedzy nimi trwa, desperacko nie dając się rozedrzeć na dwoje, Atlanta dnia powszedniego. Jej prawdziwe oblicze znam lepiej, niż większość mieszkańców miasta. Wychowywałem się w wiejskiej części stanu i podobnie jak wielu innych przyjechałem do miasta w poszukiwaniu lepszego życia. Emigrancka mentalność jest mi bardzo bliska. Chodziłem do Emory School, dlatego znam sposób myślenia i zachowania dzieci bogatych białych Południowców, którzy za wszelką cenę próbują ochronić swoje pociechy przed wpływem świata zewnętrznego. Dla nich tragedią jest przekroczenie limitu wypłat dziennych ze złotej karty kredytowej. Pracując dla Carthy’ego, Williamsa i Douglasa poznałem od podszewki sposoby, jakimi ich rodzice dochodzą do pieniędzy. Dzięki chwili słabości i swoim uczynkom, wiem, wedle jakich zasad żyją wyrzutki Atlanty, dla których arystokracja miasta nie widzi innego końca, jak stryczek na szubienicy. Czy tego chciałem, czy nie, stałem się ekspertem od ciemnej strony nowego Południa Stanów Zjednoczonych.

Piętnaście mil, które dzielą Fox Theater od mojego mieszkania może posłużyć za tablicę poglądową, obrazującą to, co przed chwilą powiedziałem. Wjechałem na obwodnicę i skierowałem się na północny zachód, przecinając podmiejskie parki i dzielnice domków, co jakiś czas wjeżdżając pomiędzy wysokie na dwadzieścia pięter apartamentowce ze szkła i stali. Potem wjechałem na I-75, skręciłem na północ i minąłem węzeł kolejowy

i magazyny, które czynią z Atlanty największe centrum dystrybucji na całym wschodnim Południu. Potem przemknąłem przez McDaniels Glen, które skojarzyło mi się z zagrodą dla bydła, i w końcu zjechałem ślimakiem na Ósmą Ulicę, do centrum, które było królestwem banków i starej finansjery. Kilka przecznic dalej zatrzymałem się przy Fox.

Do teatru przygnała mnie ta sama przyczyna, za sprawą której pojechałem do Glen. Nie potrafiłem wymyślić innego wyjścia. Dzisiejszego wieczora po raz ostatni wystawiano „I Capuletti e i Montecchi”, była to ostatnia szansa, abym ponownie spotkał Michele Sonnier. Kiedy przejeżdżałem przed wejściem do teatru, spojrzałem na zegarek. Była jedenasta wieczorem. Przedstawienie skończyło się pół godziny wcześniej. Bez problemów zaparkowałem samochód na prywatnym parkingu. Ochroniarze już dawno byli w swoich domach. Wysiadłem z samochodu i poszedłem w kierunku tylnego wyjścia. Zebrał się przed nim spory tłumek ludzi. Większość z nich ubrana była dość sztywnie, jednak nie tak, jak ci, których widziałem w Four Seasons. Ci fani opery rekrutowali się raczej spośród studentów.

Podszedłem bliżej i spytałem dziewczynę na końcu kolejki, czy czekają na Michele Sonnier. Uśmiechnęła się przyjaźnie i pokiwała głową. Nie wiedziała, kiedy diwa wyjdzie, najwidoczniej śpiewaczka się wcale nie spieszyła. Mnie to odpowiadało, bowiem i tak zamierzałem czekać do skutku.

Kilka minut później otworzyły się drzwi i tłum zafalował. Ludzie z początku natarli do przodu, ale kiedy zdali sobie sprawę, że to nie Sonnier, cofnęli się. Współczułem śpiewakom, którzy z uśmiechem przeciskali się przez tłum. Pewnie zrobiło im się

przykro, że to nie na nich czekają łowcy autografów. Po chwili drzwi otworzyły się ponownie i wyszedł z nich ochroniarz, który towarzyszył Michele Sonnier w Four Seasons. Ukryłem się głębiej w cieniu, zadowolony, że mogę obserwować z dala. Facet wyglądał na znudzonego i z nonszalancką miną palił papierosa, obserwując tłum. Chwilę później wyłoniła się Sonnier. Pomimo gorąca, jakie panowało na dworze, gardło miała owinięte ciepłym szalikiem. Tłum ponownie zafalował, dały się słyszeć okrzyki radości. Śpiewaczka uśmiechnęła się i zaczęła rozdawać autografy, a ja przyglądałem się jej ze zdziwieniem. Wyglądała na zmęczoną, bardziej niż na przyjęciu. Najwidoczniej występy trzy wieczory z rzędu odbiły się na jej siłach.

Ludzie otoczyli ją, dziękując za autografy, kilka osób nawet ją objęło. Eskortujący Michele ochroniarz odsunął co śmielszych. Sonnier wyglądała na bardzo zmęczoną. Kilka osób zagadnęło ją o śpiewanie. Słuchała ich z uśmiechem i grzecznie odpowiadała, ale w jej oczach dostrzegłem potworne zmęczenie. Musiała powtarzać te odpowiedzi setki razy. Pomimo tego rozmawiała z każdym i rozdawała autografy na prawo i lewo.

Kiedy wokół niej pozostało troje, może czworo fanów, zbliżyłem się tak, aby mnie zauważyła. Śpiewaczka stała lekko pochylona, podpisując się na kopercie podsuniętej płyty, ale wyczuła, że obok pojawił się ktoś nowy. Skończyła pisać imię i powędrowała wzrokiem w górę, mierząc mnie spojrzeniem. Nie mogła zobaczyć mojej twarzy, bo stałem w półmroku, ale coś jej mówiło, że nie jestem zwykłym fanem. Miała ten dziwny rodzaj intuicji, który pozwala odróżnić ludzi mających jakiś ukryty cel, od takich, którzy go nie mają. Michele podpisała jeszcze kilka autografów.

Podjechała limuzyna, która miała ją zabrać do hotelu. Kiedy jej ochroniarz podszedł do kierowcy, ja wyłoniłem się z cienia, po lewej. Odwróciła się i spojrzała na mnie, zamierając w pół ruchu. Nasze oczy się spotkały, a ona opuściła wzrok i dokończyła podpisywać autograf.

Być może straciła grunt pod nogami? Jeśli wierzyła, że zdołała mnie oszukać za pierwszym razem, teraz zorientowała się, że tak nie jest. Stałem parę metrów od niej, nie zbliżając się. Michele kończyła rozmowę z ostatnimi fanami, ale widziałem, że chce ją jak najszybciej skończyć. Kiedy tamta dwójka odeszła, Michele zawołała:

- Bob, możemy już jechać?

Mężczyzna odwrócił się do nas i podszedł kilka kroków. Nie wiem, czy mnie rozpoznał, ale na pewno zareagował na ton jej głosu. Całkowicie mnie ignorując, zwrócił się do kobiety, która stała w drzwiach, tuż za śpiewaczką.

- Pojedziesz z nami, prawda?

Sonnier ruszyła w kierunku otwartych drzwi samochodu, ale zatrzymała się jeszcze na chwilę, aby podpisać ostatni autograf. Nie szedłem za nią, nie było sensu. Musiałem zadać jej tylko jedno pytanie, na które i tak nie odpowiedziałyby mi na parkingu teatru Fox.

- Dlaczego skłamałaś o Dougu Townsendzie? - spytałem.

Drzwi limuzyny się zatrzasnęły i samochód ruszył, kierując się w stronę Patchtree. Obserwowałem tylne światła limuzyny zlewające się z nocnym krajobrazem Atlanty, a potem wsiadłem do mojego samochodu. Sonnier świetnie ukrywała swoje uczucia, a jednak wiedziałem, że coś jest nie w porządku. Nie byłem pewien,

czy to przez zaskoczenie moim widokiem, czy z powodu zmęczenia, ale przez kilka krótkich chwil na parkingu dowiedziałem się więcej, niż przypuszczałem. Mogła mówić, co chciała, ale byłem pewien, że Doug Townsend był dla niej kimś więcej, niż kolejnym fanem.

* * *

Kiedy zadzwonił telefon, było wpół do drugiej w nocy. Nie spałem, a raczej dryfowałem w dziwnym miejscu, pomiędzy snem, a jawą. Choć trudno mi było pozbierać myśli, to od razu rozpoznałem głos po drugiej stronie słuchawki.

- Pan Hammond?

Otworzyłem szeroko oczy, ze zdumieniem upewniając się, że rozmawiam z tą osobą, o której myślę.

- Czyż to nie pani Sonnier?

Odpowiedziała mi cisza, ale po chwili usłyszałem:

- Czy rozmawiam z Jackiem Hammondem? - Tak.

- Wiem, że jest późno i przepraszam, jeśli pana obudziłam. Mam nadzieję, że nie obrazi się pan, że dzwonię do domu.

- Nie ma problemu. - Znow zapadła niezręczna cisza, więc spytałem: - Czy dzwoni pani, aby mnie o coś spytać?

Jej głos się nie załamał, ale zadrżał lekko.

- Tak - odparła. - Musimy o czymś porozmawiać.

- Może będzie nam obydwójgu łatwiej, jeśli powiem, o co mi chodzi.

- To na pewno pomoże.

- Chodzi mi o zmarłego przyjaciela, Douga Townsenda.

Wyraźnie usłyszałem, jak wzdycha.

- Tak, Doug...

- Jeżeli chodzi o niego, to zadzwoniła pani pod właściwy numer.

- To wszystko jest okropne.

- Wiem, zgadzam się.

- Niech pan posłucha, to nie są sprawy na telefon. Jeżeli to możliwe, powinniśmy spotkać się osobiście. - Te słowa powiedziała pospiesznie, jakby przyciszonym tonem.

- Gdzie i kiedy?

- Four Seasons, Ansley Suite. Może pan tam przyjść? Na chwilę mnie zatkało. Siedziałem na łóżku, wpatrując się w słuchawkę i nie wiedziałem, co powiedzieć.

- Nie chciałem być niemiły, ale czy pani...

- Nie siedzi w domu, z mężem?

- Nie chciałem być niegrzeczny.

- Nie jest pan. Możemy się spotkać jeszcze dziś?

- Oczywiście. Powiedzmy za pół godziny, dobrze?

- Oczywiście.

- W takim razie do zobaczenia - powiedziałem, szukając po omacku ubrania.

Kiedy zaparkowałem przed Four Seasons, padało. Nie przywitał mnie żaden parkingowy, co nie dziwiło mnie ze względu na porę, więc sam znalazłem wolne miejsce i wszedłem do budynku. Jak zwykle przywitał mnie przepych i luksus. Na same kwiaty wydawali więcej, niż wynosiła moja miesięczna pensja.

Ansley Suite znajdowała się na dziewiątym piętrze. Wjechałem windą wykładaną drewnem wiśniowym, wysiadłem i skierowałem się w stronę trzecich drzwi na lewo. Zapukałem, ale odpowiedziała

mi cisza. Zastukałem jeszcze raz, i tym razem usłyszałem poruszenie za drzwiami. Ktoś wyglądał przez wizjer. Drzwi uchylły się, a ja zobaczyłem Michele Sonnier, której twarz była mokra od łez.

Bez słowa odwróciła się i wycofała w głąb mieszkania. Ruszyłem za nią, zamykając drzwi. Zaprowadziła mnie do salonu. Po drodze musiałem przystanąć i popatrzeć przez parę ogromnych okien, z których widać było panoramę nocnej Atlanty. Sonnier usiadła na długiej, miękkiej kanapie i pozwoliła, aby łzy płynęły jej po policzkach. Zająłem fotel i czekałem cierpliwie.

Uspokoila się po pięciu minutach. Ciężko mi było powiedzieć, ile czasu upłynęło, ale każdą sekundę okupiłem nerwami. Ralston mógł pojawić się w każdej chwili i pewnie byłby bardzo zdenerwowany, widząc obcego mężczyznę siedzącego o drugiej rano w jednym pokoju z jego zapłakaną żoną. Kiedy Sonnier się opanowała i spojrzała na mnie, musiała być zaskoczona tym, że pozwoliłem jej w spokoju szlochać. Spędziłem setki godzin z ludźmi, którzy byli o krok od wyznania grzechów, dlatego potrafiłem rozpoznać chwilę, kiedy prawda samoczynnie wypływała na wierzch. Miewałem klientów, którzy za wszelką cenę próbowali oszukać wszystkich dookoła, a ich z kolei zdradzało własne sumienie. Nauczyłem się, kogo należy nacisnąć, a kogo po prostu wysłuchać. Wyraz twarzy Michele Sonnier, jej postawa i głos mówiły wyraźnie, że chce pozbyć się brzemia, jakie na niej ciąży.

Odgarnęła włosy z twarzy, wygładziła golf i zielone spodnie.

- Przepraszam - szepnęła. - Ale chyba lepiej się już czuję.

- Nie ma sprawy.

- Jest mi głupio, że się tak rozkleiłam.

Pomimo zmęczenia i łez była oszałamiająco piękna. Jej skóra była idealnie gładka i brązowa. Miałem ochotę wyciągnąć dłoń i jej dotknąć, aby się przekonać, czy Michele Sonnier istnieje naprawdę.

- Chciałaś porozmawiać o Dougu.

- Tak, Doug. - Wbiła spojrzenie w ścianę tuż nad moją głowę. - Wiesz doskonale, że cię okłamałam. Myślałam, że jestem lepszą aktorką.

- Jesteś doskonała, ale i ze mnie jest niezły krytyk... Sonnier zmierzyła mnie wzrokiem, i szepnęła:

- Ludzie, którzy nie kłamią, są w obecnych czasach cenną rzadkością. - Podeszła do barku, a ja nie mogłem oderwać spojrzenia od jej wspaniałej sylwetki. - Nie można już nikomu ufać, ani prezydentom, ani księżom.

- Zauważyłem.

- Pewnie już dawno straciłabym wiarę, gdybym ją kiedykolwiek miała. - Sonnier naląła sobie wody mineralnej do szklanki. - Chcesz się czegoś napić?

- Nie. Przyszedłem tutaj, żeby wysłuchać prawdy o Dougu.

- Co twierdzi policja?

- Uważają, że przedawkował narkotyki. Sonnier odstawiła butelkę i uniosła szklankę do ust.

- Jestem pewna, że policjanci z Atlanty są świetnymi fachowcami i wiedzą, co robią.

- To bardzo obywatelska postawa...

Spojrzała na mnie ostrym spojrzeniem i powiedziała:

- Nie każda czarna kobieta nienawidzi policji, panie Hammond.

- Nie każda czarna kobieta jest bogatą śpiewaczką operową.

- To znaczy?

- Kolor skóry w tym mieście ma znaczenie, ale mnie kompletnie nie obchodzi. Na jednego białego klienta przypada dziewięciu czarnoskórych. Mnie to nie robi różnicy, jestem zadowolony, że ich mam. Jeżeli chcesz porozmawiać o rasizmie, to dajmy sobie spokój. Pójdę do domu, bo już późno.

Przez chwilę myślałem, że wyrzuci mnie za drzwi, ale Sonnier powiedziała:

- W takim razie chyba źle się wyraziłam. Po prostu jestem już zmęczona oskarżeniami, że staram się uchodzić za białą.

- Doskonale rozumiem. Podobnie jest w wypadku moich klientów.

- Domyślam się. - Uśmiechnęła się blado i powiedziała: - Dlatego myślę, że możemy porzucić ten temat.

- Świetnie. Wracając do rzeczy, przyszedłem, aby się czegoś dowiedzieć.

- Mogę ci mówić po imieniu? - Tak.

- Wiesz, co jest najgorsze w prawnikach, Jack? - Nie.

- Wszyscy uważają, iż najlepszym rozwiązaniem wszystkich problemów jest szczerłość. Zaglądają pod każdy kamień i grzebią w ludzkiej przeszłości, wyciągając na wierzch sprawy, które powinny pozostać zapomniane. Przez to ludzie tracą życie.

- Kiedy ktoś umiera, nie można się chować za zasłoną prywatności. W ten sposób działa sprawiedliwość.

- Nawet, jeżeli w trakcie dochodzenia do prawdy zostanie zniszczone czyjeś życie? A jeśli w sprawę przypadkowo zostanie zamieszany ktoś, kto nic złego nie uczynił, a w to bagno wdepnął nie ze swojej winy?

- Mówisz o sobie?

- Ja? Niewinna? - pytała z półdrwiącym uśmiechem. - Ty naprawdę nie wiesz, o czym mówisz.

- Masz szansę wszystko naprawić, uporządkować. Znowu spojrzała ponad moją głowę, sięgając wzrokiem gdzieś daleko.

- Sama nie wiem, od czego zacząć.

- Opowiedz mi, jak spotkałaś Douga. Przytaknęła mi skinieniem głowy i zaczęła zbierać myśli.

- W zasadzie nie było pierwszego spotkania. Zbliżał się do mnie krok za krokiem. Byłam na scenie, spoglądałam na publiczność i nagle dostrzegałam twarz. Było w niej coś znajomego, co sprawiało, że ją zauważałam. Zwykle jestem tak skupiona na muzyce, że nie zdaję sobie sprawy z istnienia widzów... - Ponownie zapatrzyła się w ścianę, jakby wracała wspomnieniami do tamtych czasów. - To trwało sporo czasu. Przynajmniej kilka występów, w końcu jednak nabrałam pewności. To był on, choć nie wiedziałam kim jest. Wszystko mogło się zmienić: scena, opera, budynek, aktorzy, widownia, ale on zawsze gdzieś tam był.

- Bałaś się?

- Douga? - Pokręciła głową. - Nie, skądże. Śpiewaczki operowe mają zagorzałych fanów, ale zwykle są to ludzie kulturalni, nieśmiali, ekscentryczni dziwacy. Nikt go nie znał, choć Doug zdawał się być wszędzie. - Sonnier westchnęła ciężko. - Pomimo to zdawał się być nieszkodliwy, poza tym wiedział dużo o muzyce, co

mnie uspokoiło. Mówię poważnie. Żaden z maniakałnych morderców nie interesował się muzyką klasyczną.

- W pewnym momencie zaczęliście rozmawiać. Pokiwała głową.

- Tak. Po raz pierwszy zamieniliśmy kilka słów przed rozpoczęciem obecnej trasy koncertowej. Zauważyłam go poza salą i to była pierwsza zmiana. Czekał zwykle przy tylnym wyjściu, gdzie zwykle czają się łowcy autografów. Zwykle tylko stał i się uśmiechał tym swoim chłopcym, nieśmiałym uśmiechem. Naprawdę, nie był ani trochę przerażający.

- Mów dalej.

- Zwykle ledwie go zauważałam. Krył się tak, jak ty dzisiejszego wieczora. Nigdy nie poprosił o autograf, zawsze stał z boku. Chyba nie chciał być brany za część tego tłumu. - Michele zamilkła, sięgając do wspomnień. - W końcu coś do mnie powiedział.

- Co?

- *L'amore non prevale sempre.*

- Co to znaczy?

- „Miłość nie zawsze przeważa”. To cytat z Romea i Julii.

- Rola, którą śpiewałaś?

- Tak. To moja najślawniejsza kreacja, ciągle jestem proszona o jej odśpiewanie. Staram się tego unikać, robię to tylko kilka razy w roku.

- Gdzie to miało miejsce?

- Chyba w San Francisco.

- Co się stało później?

- Musisz zdawać sobie sprawę, że to było bardzo miłe. Zewsząd napierali na mnie ludzie, a on stał spokojnie z boku i czekał

cierpliwie. Aż tu nagle słyszę *L'amore non prevale sempre*. Spojrzałam na niego, a on ze wstydu zaczął oglądać swoje buty.

- Jak mu odpowiedziałas?

- Kolejnym wersem, cytatem Romea: *E c'è ancora nessun altra maniera a vivere*. „A pomimo to, nie ma innego sposobu, aby żyć”.

- Zamilkła na chwilę. - Posłuchaj, wiem że byłam niemądra. Powinnam była chwilę pomyśleć, że takie ciągłe podróżowanie za mną może oznaczać, iż Doug ma jakiś problem.

- Zgadza się.

- Ale co mogłam zrobić? W pewnym sensie to mi schlebiało, zwłaszcza że nie sprawiał wrażenia niebezpiecznego człowieka. Wiesz dobrze, jaki on był. Miły, odrobinę nieśmiały. Kilka razy po występie rozmawialiśmy. Powiedział, że zna się trochę na komputerach i zamierza otworzyć niewielką firmę. - Michele uśmiechnęła się smutno. - Chyba chciał, abym była z niego dumna.

- Jestem tego pewien.

- Tak, na swój sposób był dziecinny, dlatego zachęcałam go do działania. Słuchałam opowieści o jego sukcesach, bo czułam, że potrzebuje aprobaty. To takie smutne...

Tak, *smutne*, pomyślałem, oczyma wyobraźni widząc Douga osuwającego się z kanapy z igłą wbłą w przedramię.

- Coś się jednak stało, prawda? - spytałem. - W przeciwnym wypadku nie byłoby mnie tutaj.

Sonnier wzdrygnęła się, jakbym powiedział coś, czego bała się usłyszeć.

- Doug był na swój sposób geniuszem, ale nie można go było spuszczać z oka. Chciał mi pomóc, ale wtrącił się w sprawy, o

których nic nie wiedział. - Sonnier splotła ręce na piersi i odwróciła się do mnie plecami, spoglądając przez okno. - Pewnego dnia, kiedy spotkaliśmy się po występie, wyczułam, że coś się zmieniło. Powiedział, że ma dla mnie wiadomość. Chciał mi coś opowiedzieć, jednak milczał. W końcu przełamał się, podszedł do mnie i szepnął do coś ucha.

- Co takiego?

- *Zrobię wszystko, żeby ci pomóc.* Spoglądał na mnie tak, jakby chciał przewiercić spojrzeniem na wylot. *Znam twoją tajemnicę i mogę pomóc w rozwiązaniu kłopotów.* Nie spodziewałam się czegoś takiego, choć miałam wrażenie, że gdybym poprosiła, aby rzucił się dla mnie z mostu, zrobiłby to bez wahania.

- Czy masz jakieś podejrzenia, o co mogło mu chodzić?

Sonnier stała przez chwilę nieruchomo, a potem powiedziała głuchym głosem:

- Muszę w takim razie opowiedzieć ci historię mojego życia. - Pochyliła głowę, zbierając siły, a potem zaczęła mówić: - Wszystko zaczęło się w dwupokojowym mieszkaniu, gdzie nie było telefonu, bo nikt nie płacił rachunków, a meble pozbierano ze śmietnika. Miałam sześć lat, ale jak dziś pamiętam matkę, która miotła się w łazience.

- Była nauczycielką, prawda? Czytałem twoją biografię na stronie internetowej.

Michele roześmiała się, ale w jej głosie nie było ani krzty wesołości.

- Nauczycielką? Nie, sekretarką. Nagrody dla Matki Roku nie zdobyła dlatego, że lubiła ćpać. Pewnie odejmują za to punkty, co nie?

- A co z twoim ojcem? Czytałem, że był lekarzem.

- Mój ojciec zarabiał na życie jako kierowca ciężarówki. Tak przynajmniej mówiła matka, bo nigdy w życiu go nie spotkałam.

- Może usiądę, bo jeszcze chwila, a zemdleję z wrażenia.

- Dobry pomysł, zwłaszcza dlatego, że dopiero zaczynamy. - Zrobiłem, jak mówiłem i usiadłem na sofie, po drugiej stronie pokoju. - Kiedy moja matka miała siłę pracować, była sekretarką. Niestety, wraz z upływem czasu więcej uwagi poświęcała valium i precodanowi, niż poważnemu życiu. W tamtych czasach nie brała żadnego poważniejszego świństwa, ale na to czas przyszedł później.

- Rozumiem.

- To zadziwiające, jak nisko może upaść człowiek i nie dostrzegać tego, co się wokół niego dzieje. Dzień za dniem igra z ogniem i nie dostrzega chwili, kiedy jest już za późno. Pewnego dnia rozgląda się i zdaje sobie sprawę, że przegrał z kretesem, nie wiedząc nawet, że bitwa się rozpoczęła. - Sonnier przymknęła oczy i wróciła do swojej opowieści: - Zaczęliśmy mieć problemy z pieniędzmi. Raz za razem wylewali ją z pracy, kiedy tylko orientowali się, że przychodzi na haju lub po kilku głębszych. Dawaliśmy sobie jednak radę, bo matka miała pewne atuty, a mężczyźni w niektórych okolicznościach bywają hojni.

- Ile miałaś wtedy lat?

- Wydaje mi się, że osiem.

- Bardzo mi przykro.

- Cóż, mnie też, Jack. Zwłaszcza tego, że zamiast troszczyć się o mnie, myślała tylko o tym, jak zdobyć kolejną działkę. Nienawidziła mnie, bo byłam jej wyrzutem sumienia, dowodem na

to, że jest okropną matką. Kiedy ją o coś prosiłam, patrzyła na mnie, jakbym była obcą osobą. W pewnym momencie uznała, że posiadanie córki przeszkadza jej w życiu i kiedy wróciłam ze szkoły, nie zastałam jej w domu. Spakowała się i znikła, jak kamfora.

- Porzuciła cię?

- Tak, uciekła z którymś ze swoich chłopaków. To był kawał niezłego drania. Im niżej się staczała, tym gorszymi facetami się otaczała. W większości to były obiboki, które w życiu nie splamiły się uczciwą pracą. Cóż... Matka miała już za sobą swoje najlepsze dni, ale w półmroku nadal nieźle wyglądała. - Sonnier zamilkła na chwilę, a potem ciągnęła dalej:

- Uciekła ode mnie, żeby móc się zaćpać na śmierć. Zapadła cisza, którą przerwało dopiero chrząknięcie.

- A co się działo z tobą?

- Moją nową mamusią stał się dobroduszny stan Georgia - odparła, wzruszając ramionami. - Był w tym niezły.

- Georgia? Myślałem, że pochodzisz z Nowego Jorku.

- Wszyscy tak uważają.

Przez chwilę nie byłem w stanie wydobyć z siebie głosu.

- Naprawdę wszyscy?

- Tak, Jack. Nawet mój mąż.

- To fatalnie - szepnąłem, patrząc tępo przed siebie.

- W ciągu czterech lat żyłam z sześcioma rodzinami zastępczymi. Mieszkałam nawet w Glen.

Spojrzałem na nią zdziwiony.

- Glen? Chyba żartujesz.

- Wręcz przeciwnie - odparła, kręcąc głową. - Powiem ci z własnego doświadczenia, że dobroczynny wpływ rodziny zastępczej to kupa bzdur. Ludzie uważali, że jestem... trudnym dzieckiem. Uważam, że to kłamstwo stulecia, bo byłam po prostu okropna. Szczerze mówiąc, nie wiem dlaczego, bo wszystko układało się jak w bajce. Ostatecznie tylko dwoje z nich wykorzystywało mnie seksualnie, mężczyzna i kobieta. - Jej ton był przepełniony drwiną i kpiną: - Ależ niewdzięcznica ze mnie.

Obraz operowej diwy z wyższych sfer na moich oczach sypał się w gruzy. Z każdym słowem Michele Sonnier przypominała mi moich klientów. Jak w pacierzu powtarzała te same elementy, które składały się na ich życie: brak opieki, rozbity dom, przemoc. Grzechy, które jedno pokolenie przekazywało kolejnym. A jednak, w jakiś sposób ta kobieta zdołała wydzwignąć się z dna i wejść na salony.

- Jak byłaś w stanie to wytrzymać?

- Nie bądź niemądry, nie wiesz jeszcze wszystkiego.

- Jak do tego doszłaś? - spytałem, rozglądając się po mieszkaniu.

- To, że nie byłam kochana, nie ma nic wspólnego z moim talentem, Jack - odparła z uśmiechem. - Jeśli już, to sytuacja tylko mnie zmobilizowała. Oddzieliłam jedno życie od drugiego grubą kreską. Zniszczyłam wszystkie wspomnienia i ślady i stałam się nowym człowiekiem, którego osobowość i historię zaprojektowałam w najdrobniejszych szczegółach. Stworzyłam ją po tym, kiedy wszystko się zawaliło. W tym życiu nie było bólu, nawet cienia nieszczęścia. Stare życie po prostu... znikło. Dzięki temu nie oszalałam.

- Wracanie do tych wspomnień musi być bardzo trudne.

Skinęła głową.

- To głębokie rany. Wiele czasu zabrało mi wymazanie z pamięci wszystkich nieszczęść, jakich zaznałam. W moim życiu był okres, który psychologowie nazywają... *odgrywaniem się*. Tułałam się po różnych domach i przytułkach, ale dzięki temu mogłam doskonalić swój kunszt.

- Śpiew?

- Nie, aktorstwo. W zasadzie to nie odgrywanie ról, ale udawanie. Pojęłam, że potrafię oszukiwać ludzi. Kiedy do przytułku przyjeżdżało małżeństwo, zawsze znajdowałam sposób, aby skłonić któregoś z nich, że to mnie powinni wybrać. Siedziałam na krześle z nogą założoną na nogę i szczebiotałam jak grzeczna dziewczynka na przyjęciu. Wymazałam z mojego życia tragedie. *Tak, proszę pani, poproszę jeszcze jedno ciastko. Nie, proszę pani, moja mama nie ćpała przez kilka dni z rzędu. Nie mam już mamusi.* Wtedy jeszcze nie wiedziałam, ale udawałam całe życie. Doskonalałam swój kunszt.

Słuchając jej, zastanawiałem się nad hartem ducha Michele Sonnier. Znałem ten typ ludzi: dziewiętnastu na dwudziestu moich klientów poddało się sytuacji i popłynęło z prądem rzeki, ale pośród nich był zawsze ten jeden, który walczył o swoje. Odporność na ciosy i zawziętość takich ludzi sprawiała, że mogli poruszyć niebo i ziemię, byle tylko dopiąć swego. To byli ludzie z prawdziwym charakterem.

- Co się później stało?

- Znalazłam się w domu pewnych ludzi. Najpierw zamieszkałam z nimi na okres próbny, który trwał kilka miesięcy.

To było miłe małżeństwo, mieszkali na przedmieściach i mieli samochód.

- Ile miałaś lat?

- Trzynaście.

- Mało która para jest gotowa adoptować trzynastolatkę.

- Czarną trzynastolatkę, nie obawiaj się tego powiedzieć.

Skinąłem głową.

- Racja. To był śmiały ruch.

- Nie do końca.

- Co masz na myśli?

- Z punkt widzenia zachcianek mężusia byłam w odpowiednim wieku - powiedziała Michele, a jej twarz przybrała zacięty wyraz.

- Pedofilów znajdziesz wszędzie, nawet pośród najlepszych ludzi z dyplomami i pieniędzmi. Może właśnie spośród nich łatwiej będzie ci ich wyłuskać.

Siedziałem w milczeniu, zastanawiając się nad smutkiem w jej głosie. Bywają takie chwile w życiu, że człowieka spotyka jedno nieszczęście za drugim i trzeba mieć hart i siłę ducha, żeby nie zginać pod ich nawałą.

- Nie sądzę, aby od początku myślał o tym, aby mnie wykorzystać. Jestem raczej pewna, że walczył ze sobą i w końcu przegrał. Dręczyły go wyrzuty sumienia, ale nie potrafił nad sobą zapanować. Najpierw zaczął na mnie patrzeć w specyficzny sposób, a potem, któreś nocy, przyszedł do mojego pokoju. - Michele Sonnier zamilkła na chwilę, a po jej postawie widziałem, że przeżywa tamtą chwilę na nowo. - Wymyśliłam więc plan. Był doskonały i udał się w każdym calu. Tatuś więcej mnie nie dotknął.

- Co zrobiłaś?

- Zaszłam w ciążę - odpowiedziała głuchym tonem. Zapadła długa cisza i dopiero po chwili Michele odezwała się ponownie: - Udało mi się go pozbyć. Nie chciał mnie dotknąć, bo nie byłam już takim niewinnym kwiatuszkiem. - Michele roześmiała się gorzko, ale ja miałem wrażenie, że jest na granicy płaczu.

- Kto był ojcem dziecka? Mąż?

- Nie, nie. Nie zdążył się posunąć tak daleko. Bardziej interesowały go inne zabawy ze mną.

- W takim razie kto?

- W okolicy mieszkał bardzo przystojny chłopiec. Wybrałam go, ponieważ miał siedemnaście lat i czułam się przy nim bardzo dobrze. Wymykałam się z domu, żeby z nim być. Nigdy nie powiedziałam mu o dziecku, nie było sensu. Wiedziałam, co się stanie, poza tym on niedługo potem się wyprowadził, widywaliśmy się jeszcze kilka razy i zawsze miło wspominam te spotkania.

- Co powiedzieli przybrani rodzice?

- Och, ci uroczy ludzie? To, czego można się było spodziewać. Odesłali mnie z powrotem. Pożegnanie było bardzo czułe, tylko mężusia zabrakło w domu, bo miał ważniejsze sprawy.

- Powiedziałaś komuś o tym, co próbował zrobić? - Nie.

- Dlaczego?

- Bo to nie miało znaczenia. On zniknął, a ja byłam wolna. Urodziłam dziecko w szpitalu obok przytułku.

- Więc jesteś matką!

Michele zaczerpnęła tchu i odparła powoli:

- Urodziła się we wtorek. W pokoju było bardzo jasno i panował zgiełk. Nigdy potem jej nie zobaczyłam.

Niewinna istota, której nie chciała pociągnąć za sobą na dno. Córeczka. Spoglądałem na Michele Sonnier, która ponownie przeżywała jedną tragedię za drugą. Resztki brawury młodej dziewczyny rozsypały się w proch, a na jej twarzy malował się smutek i wstręt do samej siebie.

- Rozumiesz? - spytała napastliwym szeptem. - Zrobiłam to samo, co moja matka. Porzuciłam Briah! - Otarła łzy, które spływały po jej policzkach i potrząsnęła głową. - Moja córeczka ma na imię Briah.

- Piękne imię - powiedziałem.

Skinęła tylko głową, próbując zwalczyć łzy.

- Prawdziwa rzeczywistość rzadko przypomina operę, prawda? Naprawdę nazywam się T'antiqua Fields.

W sali sądowej Odoma widziałem swoją porcję ludzkich nieszczęść, ale historia Michele Sonnier biła je wszystkie na głowę. Gdyby ludzie wiedzieli, jak ich szaleństwo wpłynie na losy potomstwa, zmieniliby się w okamgnieniu.

- Urodziłaś córkę, a co się stało później?

- Nie mogłam wrócić z Briah do ośrodka. Na kilka dni przed jej urodzeniem skończyłam czternaście lat. Dlatego zabrali ją. - Spojrzała na mnie z rozdzierającym żalem w oczach. - Odebrali mi ją.

- A więc jej nie porzuciłaś. Została ci odebrana.

- Nie sprzeciwiałam się, nie walczyłam. Po prostu leżałam w łóżku i patrzyłam, jak ją zabierają. Kiedy wyjmowali ją z łóżeczka zamknęłam tylko oczy.

- Miałaś ledwie czternaście lat. Nie wiedziałaś, co się dzieje dookoła ciebie.

Michele odwróciła się i spojrzała na mnie. W jej oczach gotował się gniew.

- Nie rozumiesz? Chciałam, żeby ją zabrali! - Ponownie odwróciła się twarzą w stronę okna i zapłakała. - Miałam nadzieję, że ból zniknie, jakby go nie było. Myślałam, że świat wróci do dawnej postaci, chciałam być dzieckiem, jakie sobie wymarzyłam. - Michele płakała. - Dwa dni później uciekłam z ośrodka. Ukradłam pieniądze z kasy, wsiadłam do autobusu i uciekłam. Robiłam różne rzeczy...

Zamilkła, nie chcąc dalej opowiadać o ciemnych stronach swego życia. Zapadło milczenie, które było ciszą przed burzą. Cały mechanizm obronny, stworzony przez te wszystkie lata, rozpadł się. Jak na ironię, coś podpowiadało mi, że być może jestem świadkiem spektaklu, nieraz widywanego w wykonaniu podsądnych. A jeśli nie doceniłem aktorskiego kunsztu Michele Sonnier? Podszedłem i położyłem dłonie na jej ramionach.

- Już dobrze - szepnąłem.

- Co się z nią dzieje, Jack? - wyszeptała. - Zostawiłam ją w...

- Wiem, cicho - powiedziałem, dopowiadając w myślach brakujące słowo jej ostatniego zdania: *piekle*.

- I nagle pojawił się Doug, który mówi, że zrobi wszystko, aby mi pomóc.

- Dowiedział się?

- O wszystkim - syknęła. - Nie mam pojęcia jak, ale doszedł do prawdy.

- Musiały pozostać jakieś zapiski, choćby w archiwum opieki społecznej. Jeśli ktoś był zdeterminowany, mógł je odnaleźć. Doug miał dryg do komputerów.

- Niech go diabli!

- Chciał ci tylko pomóc.

- Wszystko zepsuł. Zapomniałam o bólu, pogrzebałam stare życie, wspomnienia i żal. - Jej ciałem wstrząsnął spazm szlochu. - A teraz jeszcze raz widzę, jak ją ode mnie zabierają. Jeszcze trochę i postradam zmysły.

- Uspokój się.

- Stworzyłam sobie nowe życie, Jack. Na początku miało mnie tylko uchronić przed szaleństwem, ale stało się dla mnie prawdziwe.

- Rozumiem - odparłem. - Zakładam, że twój mąż o niczym nie wie?

Michele roześmiała się gorzko.

- Jack... Mój mąż uczył się w Groton, potem studiował na Yale i w Harvard Medical School. Na litość boską, wspierał finansowo kampanię prezydencką Busha. Charles uważa, że pojęcie getta jest dziedzictwem kulturowej zależności jednej grupy od drugiej. - Pokręciła głową. - Widziałeś biura Horizn? - Nie.

- Błyszczą czystością od podłóg do sufitów. W całym biurówcu nie znajdziesz ani odrobiny kurzu. Oczyszczają i filtrują nawet powietrze. - Znowu podeszła do barku, oddalając się ode mnie. - Świat mojego męża jest bardzo uporządkowany. Mój, to niestety chaos i bałagan. - Otworzyła butelkę armaniaku i nalała sobie kieliszek. - Ludzie, którzy kończą Groton, nie żenią się z córkami narkomanek. Co więcej, nie oglądają się za dziewczynami, których nieślubne dzieci zostały zabrane przez opiekę społeczną. Taki przypadek nie zdarzył się chyba od początku świata.

Przez chwilę myślałem nad tym, co powiedziała.

- Jesteś pewna, że on o niczym nie wie? Pokręciła głową.

- Kiedy spotkałam Charlesa, od siedmiu lat żyłam nowym życiem. Boże, sama uwierzyłam w ten życiorys. Wymyśliłam wszystko, nawet najdrobniejsze szczegóły.

Milczałam, intensywnie myśląc.

- Jak się poznaliście?

- Charles usłyszał mnie, kiedy śpiewałam. To były moje początki, obsadzano mnie w niewielkich rolach, ale było jasne, że mam potencjał i będę wielka. Charles okazał się szarmanckim i ambitnym mężczyzną. Od razu się w nim zakochałam. Byłam oszołomiona, że ktoś taki jak on zainteresował się mną. Dzięki niemu poczułam, że moje nowe ja jest prawdziwe. Jak mógłby mnie pokochać, gdybym nie była godna jego uwagi? Uznałam, że po ślubie moja przeszłość nie będzie w stanie mnie już dopaść. - Przerwała na chwilę, a potem dodała: - Dopiero po jakimś czasie zorientowałam się, o co mu naprawdę chodzi.

- Co to takiego?

- Nie miałam żadnego doświadczenia w kontaktach z prawdziwym światem, ale było pewne, że się nim rozczaruję. Charles to wykorzystał. Rozciągnął nade mną swój parasol ochronny, w zamian za to, co miałam osiągnąć. W końcu zrozumiałam, że dla niego liczyła się jedynie kariera. Są na świecie tacy, którym nie imponują nuworysze, zwłaszcza czarni. Ale dzięki mnie drzwi na ich salony stanęły przed nim otworem, bowiem ci ludzie doceniają sztukę. - Opróżniła kieliszek jednym haustem. - Czy to nie ironiczne? Stałam się gwarantem wejścia do dobrego towarzystwa. - Michele odstawiła kieliszek i ponownie go napełniła. - W zamian za to, że siedzę cicho i nie stwarzam

problemów, mogę wieść życie na odpowiednim poziomie. Charles i ja mamy swoje światy i nie przeszkadzamy sobie nawzajem. Zwłaszcza teraz.

- Chodzi ci o wejście korporacji na giełdę? Pokiwała głową.

- Mój mąż poświęcił całe lata pracy na zbudowanie korporacji. Masz rację, mówiąc, że nie spodziewa się, iż jego żona jest tym, kim jest. Nie mam dla niego uczuć, jakie powinna mieć żona dla swojego męża, ale nie mam prawa rujnować mu życia. To, że jest emocjonalnym inwalidą, nie czyni z niego złego człowieka. Taki już po prostu jest.

- Może w takim razie powinnaś poczekać, aż wszystko się uspokoi?

- Nie zamierzam marnować ani minuty dłużej, panie Hammond. Moja córka żyje i jest gdzieś w Atlancie.

- Skąd o tym wiesz? Doug ci powiedział?

- W ostatnim e-mailu napisał: „*Jest tutaj, musimy działać szybko*”. Chyba przeczuwał, że coś mu grozi. To było tylko kilka słów. Może nie ufał swoim zabezpieczeniom?

Michele podeszła do okna z kieliszkiem w dłoni i obserwowała nocną panoramę Atlanty. Byłem pewien, że wypatruje samotnej dziewczyny, która nie zna swoich rodziców.

- Nie mogłam zignorować takiej wiadomości. Wiem, że ona gdzieś tam jest. Tylko gdzie?

- Czy jest możliwe, żeby Doug ją znalazł?

- Nie wiem. Widzę ją wszędzie, gdziekolwiek spojrzę. Nie potrafię myśleć o nikim innym. Muszę ją jakoś znaleźć...

Odwróciła się do mnie, a na jej twarzy malowało się błaganie.

- Chcesz mojej pomocy, prawda?

- Kiedy cię zobaczyłam wieczorem, zdałam sobie sprawę, że możesz mi pomóc. Byłeś przyjacielem Douga, więc mogę ci zaufać. Muszę komuś powierzyć moją tajemnicę. Sama nie mogę zacząć jej szukać, nie wzbudzając przy tym sensacji.

- Będę chciał czegoś w zamian - powiedziałem cicho.

Uśmiechnęła się ponuro.

- Wiem. Ile to będzie mnie kosztować?

- Ani grosza. Chcę, abyś pomogła mi w sprawie Douga. Nie zapominaj, że chcę wyjaśnić tajemnicę jego śmierci.

- Co mogę zrobić?

- Muszę wiedzieć o wszystkim, co się między wami wydarzyło. Dosłownie o wszystkim.

Skinęła głową, a potem znowu spojrzała za okno.

- Widziałeś mnie, jak śpiewam? - Tak.

- Co wtedy pomyślałeś?

- Stwierdziłem, że jesteś niesamowita. Mogłaś złamać serce każdej osoby na sali.

Uśmiechnęła się lekko, jakby nie spodziewając takich słów.

- To już coś, nieprawdaz? Dla takich słów warto żyć. - Opróżniła kieliszek i kontynuowała: - Śpiewam, aby zagłuszyć sumienie, Jack. Staram się błagać Boga, aby nie posłał mnie do piekła. - Westchnęła ciężko. - Jestem bardzo zmęczona. Nie pamiętam, kiedy byłam tak wycieńczona.

- Jeżeli nie masz nic przeciwko, porozmawiamy jutro.

- Dobrze - odparła, przymykając oczy. - Tak będzie lepiej.

Odwróciła się do mnie i podeszła, podając dłoń. Trzymając mnie za rękę, odprowadziła do drzwi i zatrzymała na chwilę w

przedpokoju. Z niewielkiego biurka wzięła kartkę i zapisała na niej numer.

- To telefon do mnie. Prywatna komórka, więc możemy porozmawiać bez obaw.

- Zadzwoń jutro - obiecałem. - Jak tylko się wyśpimy.

- Wątpię, abym na dłużej zmrużyła oczy. - Położyła dłoń na moim ramieniu i otworzyła drzwi. - Znasz informacje, które mogłyby zniszczyć niejedno życie. Postępuj rozważnie, Jack.

Kiwnąłem głową i wyszedłem na korytarz. Zza pleców dobiegł mnie dźwięk zamykanych drzwi.

Michele Sonnier, pomyślałem. Pomimo wszystko nadal jest wielka

Rozdział dziewiąty

Następnego ranka czułem jej obecność przy sobie. Zapach Michele przywarł do mojego ubrania, ale równie dobrze mogło to być tylko wyobrażenie. Spojrzałem na biurko, gdzie leżała pognieciona kartka z numerem telefonu. Wstałem i rozprostowałem kości. *Mój Boże, Doug nie miał z nią szans.* Michele Sonnier była niezemska, piękna i przewyższała klasą wszystkie kobiety, jakie znałem. Egzotyczna, wysmakowana, prawdziwa dama... *Weź się w garść, człowieku, pomyślałem. Tutaj nie chodzi o nią, ale o Douga.*

Wręcz przeciwnie, powiedziałem do siebie w myślach. Skoro wziąłem na siebie część jej smutku, to muszę sobie też poradzić z jej problemami.

Gdzieś w Atlancie znajdowała się czternastoletnia dziewczynka, która nie znała swojej matki. Było też całkiem możliwe, że nie chciała jej spotkać. Ta dziewczynka mogła być ofiarą bezduszności systemu opieki społecznej, ludzkiej bezduszności i dwulicowości. Myśl o kłopotach Michele i śmierci Douga sprowadziła mnie na ziemię. Spróbowałem jeszcze raz zestawić ze sobą dwa słowa: Townsend i samobójstwo. W żadnym wypadku nie pasowały do siebie. Im dłużej nad tym myślałem, tym coraz bardziej byłem pewien, że Billy Little popełnił błąd. Zgoda, na pierwszy rzut oka sprawa była jasna i nie musiał się nią przejmować. Billy to porządny facet, ale ma za dużo spraw na głowie. Uznanie śmierci Douga za samobójstwo zdejmowało jeden problem z barków Billy'ego.

Dla mnie śmierć Douga Townsenda nie była jedną ze spraw, którymi się zajmowałem. Umarł mój przyjaciel, człowiek odważny,

naiwny, romantyczny, ale i sprawiedliwy. Kiedy dotarłem do biura o dziewiątej rano, ucieszyłem się, widząc, że w poczekalni siedzi Koszmar. Miałem wrażenie, że fotel parzy go w tyłek, tak się wiercił. Blu nie wpuściła go do gabinetu, gdzie czekał komputer. Widok tej dwójki w jednym pomieszczeniu przypominał starcie cywilizacji. Nie wiem, co musiałyby się stać, żeby tych dwoje spotkało się z własnej woli, nie zmuszeni przez sytuację. Przywitałem się z Blu i wpuściłem Koszmar do biura. Ubrany był w tę samą koszulkę i dżinsy, co wczoraj. Jediną różnicą było to, że z jego twarzy znikł pewny siebie uśmiezek. Hakerzy mogą być świrami, ale należą do najbardziej upartych ludzi na świecie. Jeśli zavezmą się na jakąś stronę internetową, potrafią nie spać całymi nocami, byle pokonać jej zabezpieczenia. Kiedy tylko zobaczyłem Koszmar, zdałem sobie sprawę, że złamanie zabezpieczeń komputera Douga przestało być kwestią spłaty długu, a stało się osobistym wyzwaniem. Do takiego wniosku musiał dojść dopiero nad ranem, bo wyglądał jak z krzyża zdjęty. Mimo wszystko ucieszyłem się, widząc go w biurze, bo bardziej niż kiedykolwiek chciałem dowiedzieć się, co takiego skrywał na twardym dysku Doug.

Koszmar nie należał do ludzi, którzy zawracają sobie głowę konwenansami. Położył torbę obok biurka i wyciągnął z niej stację dysków i kilka kaset.

- Zdobyłem ją po trupach - powiedział. - To taran, który niszczy zabezpieczenia.

- Kto ci ją dał?

- Szatan.

Postanowiłem nie drażnić tematu. Znając Koszmar, mógłbym nie polubić odpowiedzi. Zresztą, nie miała dla mnie żadnego znaczenia. Liczyło się tylko to, że chciałem poznać zawartość komputera.

Cztery godziny później Koszmar wyrzucił mnie z mojego własnego biura. Nie mogę go winić, bo zrobiłem się nieznośny. Zostawiłem mu numer mojej komórki i wyszedłem. W sklepie na rogu kupiłem kawę, podreptałem to w jedną, to w drugą stronę po ulicy i wróciłem do biura. Koszmar nie wyglądał na szczęśliwego.

- W czym tkwi problem? - spytałem.

- Sprawdziłem hasła milion razy i nic nie działa. Co to może być?

Spojrzałem na gwiazdki migające na ekranie. Reprezentowały hasło, którego nie mógł złamać Koszmar.

- To mają być litery?

- Pewnie tak, choć może się mylę.

- A czemu pomyślałeś, że to mogą być one?

- Bo to w stylu Bandziora.

- Chcę szczerzej odpowiedzi. Czy Doug był na tyle znany, że studiowałeś jego metody?

Koszmar pokiwał głową.

- To niewielka społeczność, więc ludzie się znają. Bandzior miał takie ironiczne poczucie humoru. Kiedyś zmienił hasło administratora eBay na „*wredny_hacker*”.

- Włamał się na stronę eBay?

Koszmar wzruszył ramionami.

- Zrobił to w jakieś dziesięć minut. Bandzior był najlepszym cypherpunkiem na Południowym Wybrzeżu, jeśli nie w całych

Stanach.

- Cyberpunkiem.

- Nie, cypherpunkiem. Łamaczem zabezpieczeń.

- Jaja sobie robisz - powiedziałem, siadając w fotelu.

- Mówię poważnie, wszyscy go podziwiali. Najbardziej wkurzające jest to, że człowiek, który tak dobrze łamie zabezpieczenia, umie się bronić przed tego typu atakami. Szczerze mówiąc, to nie moja działka.

- A w czym się specjalizujesz?

- Ja? Grzebię w liniach telefonicznych. Przełączanie, zmiana numerów, takie sprawy. Prawdopodobnie jestem w tym najlepszy na świecie. - Spojrzał ponuro na ekran i dodał: - Żadna kombinacja słów w języku angielskim nie daje wstępu do systemu. To pozostawia nam szukanie jakiegoś losowego układu, ale znalezienie właściwego zajmie kilkaset lat. - Zamilkł na chwilę. - Czego szukamy?

- Nie jestem pewien. Jakiejś wskazówki, która pomoże mi znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Doug umarł.

- Szukaj wiatru w polu.

- Jest coś jeszcze - dodałem, wahając się przez chwilę i ostrożnie dobierając słowa. - Muszę znaleźć pewną osobę, która... zaginęła.

- Nikogo nie znajdziemy, jeśli nie dobierzemy się do tego przeklętego komputera.

- Żadne hasło nie jest odpowiednie?

- *Nada.*

Cięzko mi powiedzieć, ale być może to hiszpański odpowiednik słowa „nic” podsunął mi pewien pomysł.

- Powiedziałaś, że nie pasuje żadne ze słów, istniejące w języku angielskim.

- Aha.

- Nie próbowałaś innych języków? Koszmar spojrzał na mnie ironicznie.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że na świecie istnieje piętnaście głównych języków, nie biorąc pod uwagę pięciu tysięcy dialektów i niezliczonych narzeczy? Jeśli chcesz je sprawdzić wszystkie po kolei, to będziemy ślęczyć nad tym całymi miesiącami.

- Doug był fanem opery - odparłem. - Libretta pisane są po francusku i włosku.

- Słuchał oper? - Koszmar popatrzył na mnie zdziwiony. - Robisz mnie w balona!

- Nie. Możesz to sprawdzić?

- Na razie nie - odparł, kręcąc głową. - Musiałbym ściągnąć słownik i przekonfigurować Cracka.

- Co o tym myślisz?

- Sądzę, że wdepnęliśmy w niezłe gówno, ale można spróbować.

Wyszedłem z biura, nie chcąc oglądać Koszmar, który odprawiał swoje czary-mary. Wróciłem godzinę później i zobaczyłem, że siedzi z zamkniętymi oczyma w moim fotelu, opierając nogi na blacie biurka. Zrzuciłem je i obudziłem go.

- Udało się?

- Żartujesz chyba. Zainstalowałem słownik włoski i przejąłem kontrolę nad komputerem Tech. Mamy kilka godzin, zanim się połapią i mnie wywalą.

- Nie powinieneś czegoś teraz zrobić?

- Czego niby?

- Nie wiem, czegoś konstruktywnego. - Wskazałem na komputer. - Tak działają hakerzy? Siedzą na tyłku, kiedy sprzęt nie działa?

Koszmar uśmiechnął się.

- Załatw mi coś do jedzenia.

- Wiesz, kolego, zastanawiam się, czy nie zrobiłbym lepiej, pozwalając ci iść do pudła. Może byś się czegoś przynajmniej nauczył.

- Chciałbym kanapkę z grzybami. Do tego sałatka z fasolki. Potrzebuję protein. - Machnął na mnie dłonią, jak na kelnera. Stałem przez chwilę, zastanawiając się, czy nie wyrzucić go za kołnierz z biura, kiedy spojrzał na mnie i powiedział: - Człeniu...

- Co?

- Przydałaby się też musztarda. Oby nie francuska. Blu poszła na obiad, więc wyszedłem z biura bez słowa. Wracając z kanapkami, wpadłem w korek uliczny i do biura zajechałem dopiero przed drugą. Położyłem siatkę na biurku i spytałem:

- No i jak?

Koszmar nie odpowiedział, tylko zaczął grzebać w siatce. Wyjął kanapkę i uchylił wieczko pojemnika z musztardą. Powąchał ją zadowolony i rozsmarował na kanapce. Ugryzł spory kęs i powiedział:

- Dieta oparta na mięsie nie jest już odpowiednia. Ilość ziarna, jaka potrzebna jest do wyhodowania jednej krowy...

- Nie jestem w nastroju do pogadank o ekologii, Michael.

Koszmar wzruszył ramionami i pokazał na monitor.

- Czy to coś ci mówi?

Podszedłem do komputera i spojrzałem na ekran. Pobłyskiwały na nim słowa: *L'amore non prevale sempre*.

- Żartujesz sobie ze mnie?

- Mowy nie ma. Co to jest?

- Cytat z opery. Doug czasem go powtarzał.

- Aha, to jest też hasło do jego komputera.

- Chcesz powiedzieć, że się do niego dostałeś?

- Jeszcze nie. - Koszmar obrócił się w fotelu i nacisnął klawisz „Enter”. - Teraz już tak.

Twardy dysk zaczął cicho buczeć, a my weszliśmy do prywatnego świata Douga Townsenda.

Myślę, że samotność może być naturalnym stanem człowieka. Wszędzie, dokąd podążamy, jesteśmy zamknięci w bańce izolacji. Nie umiem inaczej wyjaśnić chaosu, który panował w duszy Douga, oraz obrazu w binarnym systemie zapisu plików na dysku jego komputera. Niespokojna część duszy mojego przyjaciela spoczywała teraz pogrupowana w katalogi odsłaniające jego osobowość.

W cyberprzestrzeni obsesja Townsenda na punkcie Michele Sonnier nie знаła już ograniczeń związanych z miejscem, czasem czy prawami fizyki. Dzięki mocy komputera rozkwitła, jak chory kwiat wyobraźni.

Jeżeli mam opisać to, co działo się w sercu Douga, odczuwam ból, który bierze się z poczucia gwałtu na pewnym rodzaju osobistego bezpieczeństwa, jaki pozwala nam wieść normalne, spokojne życie. Wiem, że owo poczucie jest fałszywe, zdaję sobie z tego sprawę, że jest ono nam niezbędne, tak samo jak nieodzowne do podróży samolotem jest wyzbycie się strachu przed lataniem.

Istnieje matematyczne prawdopodobieństwo, że dojdzie do katastrofy, ale przeciętny człowiek nie myśli o tym. Bierze życie takim, jakim ono jest. Jeżeli zacząłbym się zastanawiać, co myśli i co może zrobić każda spotkana na ulicy osoba, nie wychodziłbym w ogóle z domu.

Przegadałem z Dougiem całe godziny, ale ani słowem nie wspomniał o istnieniu Michele Sonnier. Dzięki spędzanemu wspólnie czasowi nawiązała się pomiędzy nami nić przyjaźni i, jak mi się wydawało, zrozumienia. W tamtych czasach nie było w nim nic nienormalnego, co najwyżej uchodził za dziwaka. Zdaję sobie sprawę, że każda obsesja ma swój początek, ale czy oznacza to, że przez całą naszą znajomość mnie okłamywał? Nawet dwa tygodnie temu, kiedy rozmawialiśmy o jego planach co do założenia firmy, ani słowem nie wspomniał o istnieniu śpiewaczki. Co czuł, kiedy ze mną rozmawiał? Czy powstrzymywał się siłą woli, aby nie napomknąć o niej ani słowem? Czy opowiadając o dzieciństwie spędzonym w Kentucky, pragnął, aby jej imię wymknęło mu się z ust, tak niby przypadkiem? A może potrafił oddzielić jedno życie od drugiego i światu pokazywał jedynie część swojej osoby?

Nie było odpowiedzi na te pytania. Doug odszedł, ale jakaś część jego osoby pozostała, stopiona ze zdjęciami Michele Sonnier. Townsend stworzył całą galerię poświęconych jej obrazów. Czy powinienem zapamiętać jej fotografie o zakłóconych proporcjach i zrobionych pod kątemi, które były nie do uzyskania w normalnej sytuacji? A może mam spoglądać na niego przez pryzmat półmęskich i półkobięcych mieszańców stworzonych ze zdjęć jego i Sonnier? Co mam powiedzieć o świątyni, do której budowy użył tylko fotografii jej oczu?

Poznawszy, co tak naprawdę grało w duszy Douga, byłem zmuszony przyznać, że moje przekonanie o niemożliwości jego samobójczej śmierci, okazało się zbudowane na bardzo kruchej podstawie. Doug Townsend, którego znałem, nie byłby w stanie targnąć się na własne życie. Doug Townsend, którego komputer oglądałem, był człowiekiem, którego nie znałem, zdolnym do rzeczy, jakich nie byłbym w stanie sobie wyobrazić. Z jakichś powodów byłem jednak przekonany, że ten dziwny, nieznany mi w gruncie rzeczy człowiek, także nie byłby zdolny popełnić samobójstwa. Ta dziwna, niepojęta siła, która popchnęła go do stworzenia obrazów, znalazła swoje ujście w czymś innym, niż samozniszczeniu.

Zdegustowany i zaskoczony Koszmar pokręcił tylko głową i powiedział:

- To jest chore.

Przytaknąłem skinieniem głowy i szepnąłem:

- Wiem, ale... Nie ma w tym nic niedozwolonego.

- Skoro tak mówisz.

- A więc po to były te wszystkie zabezpieczenia? Koszmar zmierzył mnie wzrokiem i wtedy zdałem sobie sprawę, że wie więcej, niż chciał powiedzieć. Kiedy mnie nie było, musiał przejrzeć zawartość komputera, bo powiedział:

- Zabezpieczenia były po to, żeby ktoś nie znalazł tego.

Pochylił się nad klawiaturą i wstukał kombinację klawiszy. Po chwili na monitorze pojawiło się logo Grayton Technical Laboratories, a pod nim dostrzegłem długą listę komend.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w ekran, szukając informacji o córce Michele, ale nie znalazłem nic.

- Grayton Technical Laboratories? - spytałem. - Próbował się włamać na ich serwer?

- Można to tak nazwać.

- To co w takim razie robił?

- Ja bym powiedział, że miał na ich punkcie totalną obsesję.

- Czemu tak twierdzisz?

- Ponieważ zgromadził na dysku ponad terabajt danych.

- Chcesz powiedzieć, że to sporo informacji?

- Bez jego wiedzy w ich biurze nie zesrałyby się mucha. - Koszmar wstał od biurka i rozprostował ramiona. - Hacking to jedna sprawa, a to jest szpiegostwo. Haker włamuje się do komputera, robi trochę bałaganu i ucieka. A Bandzior... Cholera, on zduplikował ich serwer. Całej firmy. To chore...

- Obsesja kompulsywna?

- Dokładnie. Tyle że występowała u najlepszego hakera na świecie. Nie licząc oczywiście mnie. - Spojrzał ponownie na monitor i dodał: - Kurde, człowieku. To jest po prostu piękne.

- Co?

- Podziwiam jego kunszt. - Wskazał na fragment tekstu. - Tutaj zdobywa dostęp do kodu źródłowego, dzięki czemu wygląda na użytkownika lokalnego. To oznacza, że wszyscy traktują go jak swojego. Od tej pory może robić, co tylko zechce.

- Mów po angielsku.

- Zdobył Świętego Graala. Jeżeli kontrolujesz zasadniczy panel administratora, możesz robić, co tylko zechcesz. Zmieniasz hasła innym użytkownikom, ustawiasz identyfikator ukrytego wejścia. Moja ulubiona część to skrypt zapisywania klawiatury. Z

dowolnego terminala jesteś w stanie czytać i wydrukować to, co użytkownicy piszą. Rządzisz światem.

- Doug miał takie możliwości?

- Tak. Mógł ich zniszczyć, zmieszać z błotem, a gdyby był złośliwy, wrobić w to administratorów sieci. Siedzieliby i patrzyli, jak ich „Titanic” tonie. - Roześmiał się cicho i dodał. - A to cwaniak.

Byłem zbity z tropu. Spodziewałem się, że znajdziemy choćby minimum informacji o tym, gdzie znajduje się córka Michele Sonnier, tymczasem dowiedzieliśmy się, że Doug włamał się do sieci potężnej korporacji, o której nigdy nie słyszałem.

- Do kogo należy Grayton's Lab?

- Nie wiem.

- Możemy się rozejrzeć?

Koszmar wpisał adres internetowy i zaczęliśmy oglądać oficjalną stronę firmy. Jej polem działań był przemysł farmaceutyczny, a kilka stron poświęcono terapii lekami nowej generacji, które opracowała firma. Chwilę później jednak trafiliśmy na strony wypełnione bezsensownymi ciągami cyfr i liter.

- Jak szeroki mamy dostęp?

- Możemy robić, co chcemy. Problem w tym, że możemy nie wiedzieć, co znaleźliśmy. Czegokolwiek Bandzior szukał, naprawdę mu zależało, bo przeszukał dokładnie cały serwer.

- Wiemy, że miał obsesję. Może po prostu nie mógł się oprzeć szukaniu?

- Na pewno.

Patrzyłem na ekran w milczeniu, a potem zaświtała mi nagła myśl.

- Słuchaj... Ludzie tacy, jak ty...

- Hakerzy?

- Tak... Ludzie wynajmują was, żebyście zdobyli informacje, które inni chcą odkryć, prawda?

Koszmar uśmiechnął się blado.

- Chodzi ci o to, co teraz robisz?

- Nie, mam na myśli korporacje i poważne pieniądze.

- Cóż, jest popyt na takie usługi.

- Doug był niezły.

- Bandzior naprawdę był bardzo, bardzo dobry.

- Istnieje więc możliwość, że Doug pracował dla kogoś innego, kto chciał pozostać w cieniu? - Spojrzałem na Koszmar. - Wiesz, nowa ekonomia.

- To całkiem możliwe. Taka robota byłaby warta wiele milionów.

- Dość, żeby opłacić bilety lotnicze na koncerty Michele Sonnier.

- Człowieku, to ma ręce i nogi - odparł Koszmar, na którego twarzy pojawił się wyraz nagłego olśnienia.

Jeszcze raz spojrzałem na ekran. *A więc tym Doug zajmował się naprawdę. Dzięki elektronicznemu szpiegostwu opłacał rachunki i swoje drogie hobby. Sprawa Michele Sonnier przyszła później.*

- Dobra, czyli wiemy, co mamy zrobić. Musimy dowiedzieć się, dla kogo pracował Doug i dlaczego chcieli tak dużo wiedzieć o Grayton Laboratories.

- Ktokolwiek to był, ci goście się nie patyczkowali. To poważny włam. - Koszmar siedział przez chwilę bez ruchu, a mnie zdało się, że jest bledszy, niż zwykle.

- Bandzior hakował tych gości, racja?

- Tak.

- A teraz jest martwy.

Zapadła nerwowa cisza. Wiedziałem, co zaraz powie Koszmar, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w logo Grayton Technical Laboratories. Chciałem go jakoś uspokoić, ale było za późno.

- Chłopie - powiedział w końcu. - Musimy się zwijać.

- Nie wpadaj w panikę, Michael.

- Jak mam nie panikować? Oni zabili Bandziora!

- Owszem, dlatego musimy dojść prawdy.

- Zwariowałaś? Odłączam komputer, zanim nas namierzą. Sięgnął ręką w kierunku kabla, ale złapałem go za nadgarstek.

- Posłuchaj mnie uważnie. Chcę się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Rozumiesz mnie? Żeby to zrobić, potrzebuję twojej pomocy.

- Nie masz dość kasy, żeby mnie przekonać.

- Racja, jestem splukany, ale mogę cię przekonać. - Michael oddychał szybko, a jego wąta klatka piersiowa opadała i unosiła się w przyspieszonym rytmie. Wyglądał tak, jakby przed chwilą zobaczył ducha. - To, co powiem, nie będzie miłe, ale robię to dla twojego dobra.

- Przejdź do rzeczy, bo im szybciej skończysz, tym prędzej się stąd zmyję.

Obróciłem fotel tak, że musiał mi patrzeć w twarz i wycodziłem przez zęby.

- Utalentowany z ciebie dzieciak, Michael. Jesteś inteligentny, cwany i, na swój dziwny sposób, ambitny. Ale naga prawda wygląda tak, że nie zrobiłeś jak do tej pory nic, aby zrealizować swoje marzenia. - Koszmar próbował wstać, ale zmusiłem go, żeby usiadł z powrotem. - Posłuchaj mnie uważnie, włamania na jakieś idiotyczne strony, a potem chwalenie się tym na spotkaniach, gdzie boicie się mówić do siebie po imieniu, nic nie znaczy.

- Może dla ciebie.

- Powiem brutalnie, lećcie sobie w kulki. Ja dam ci szansę na prawdziwą robotę.

- Co to znaczy?

- Możesz zrobić coś naprawdę wartościowego, zamiast udawać, że żyjesz. Jesteś dobry w komputerach.

- Nie dobry, ale świetny.

- Dobrze, świetny. Patrząc na twoje życie, wcale tego nie widać. Na litość boską, wyciągnąłem cię z pierdła, gdzie miałeś trafić za kradzież w sklepie!

Koszmar wbił spojrzenie w podłogę. Był wściekły, ale po raz pierwszy, odkąd się poznaliśmy, nie potrafił ukryć swoich uczuć za cwaniacką maską.

- Zrób wreszcie coś wartościowego, Michael. Coś ważnego. - Patrzyłem na niego w milczeniu, a po chwili dodałem: - Z drugiej strony, możesz nadal marnować życie. Masz wprawę, robisz to od dziecka.

Koszmar rzucił mi podejrzliwe spojrzenie i spytał:

- Niby, że pomoc tobie ma zrobić ze mnie porządnego gościa?

- Właśnie tak. Tym samym pomożesz Dougowi, który był równym facetem.

- Ej, miałem ci pomóc w sprawie Bandziora i to zrobiłem.

- A czy ty myślisz, że ja się w tym grzebię z ciekawości? Śmierć Douga musiała mieć coś wspólnego z tym, co ty odkryłeś. Z zawartością tego komputera.

- Nic mnie to nie obchodzi. Miałem ci pomóc, zrobiłem to i jesteście kwita.

- Zrób wreszcie coś pożytecznego Michael! Wyjdź z tej jaskini i zmierz się ze światem. Człowieku, potrzebuję partnera! - Po raz kolejny zapadło milczenie. Widziałem, jak Koszmar zmagają się z własnymi obawami, jak toczy bitwę z myślami. - Bądź mężczyzną. Przestać uciekać przed własnym cieniem.

Usiadłem w fotelu naprzeciwko i patrzyłem na niego. Cisza wisiała nad nami, jak chmura burzowa. Nagle coś w Michaelu pękło. Może zrozumiał, że jeśli wycofa się teraz, już nigdy nie będzie miał drugiej szansy na znalezienie w sobie odwagi. Może zobaczył się za dwadzieścia lat, opasłego, bladego, i popadającego w powolny obłąd przed monitorem. Minuty z wolna mijały, ale w końcu powiedział:

- Dobra. Pomogę ci. Będziemy partnerami, jak Jackie Chan i ten czarny.

Odetchnąłem głęboko, ulżyło mi i mruknąłem:

- Raczej jak Abbot i Costello.

- Kto to?

Spojrzałem na niego i powiedziałem z uśmiechem:

- Dwóch martwych koleśków.

Rozdział dziesiąty

Tym, co oddziela życie od filmu, jest codzienność. Michael pojechał do domu około drugiej, i to tylko dlatego, że musiałem odwalić papierkową robotę dla Odoma. Jeżeli nie zmusiłbym się do tego, nie dostałbym wypłaty. Potem miałem spotkanie z moim kolejnym klientem, krzepkim czterdziestosiemioletkiem, który był żywym dowodem tezy, że narkotyki są nie tylko dla młodych. Kiedy wszedł do biura, odniosłem wrażenie, że facet ma siedemdziesiąt lat, a pomimo zniszczenia, jakie w jego ciele sięją prochy, jego apetyt nie wygasł. Mężczyzna stawał przed sądem po raz kolejny, udowadniając tym samym, jak niesprawny był system sądowy i społeczny związany z problemem narkotyków. Do Michele zadzwoniłem około trzeciej. Odebrała od razu.

- Witaj, tutaj Jack. Możesz rozmawiać?

- Oczywiście - odparła bez wahania. Choć w słuchawce panował hałas, to i tak dawało się wyczuć, że jest w lepszej kondycji, niż wczoraj. - Jadę samochodem.

- Chciałem cię spytać o kilka rzeczy. Możemy porozmawiać teraz, albo później...

- Dowiedziałeś się już czegoś? - przerwała mi, a w jej głosie dał się słyszeć niepokój i niecierpliwość.

- Mam komputer Douga - odpowiedziałem. - Niestety, nie znalazłem, w nim nic interesującego o... O tym, o czym rozmawialiśmy. Jeszcze nie.

- Więc co znalazłeś?

Przez pamięć przemknęły mi obrazy stworzone z obsesji Douga. Postanowiłem wiedzę o nich zachować tylko i wyłącznie

dla siebie. Co innego informacje o firmie Grayton.

- Musimy porozmawiać.

- Jadę teraz na próbę. - Rzeczywiście, w tle słyszałem warkot silników i dźwięk klaksonów. - Mogę się teraz nie wyrobić, mam napięty terminarz.

- W takim razie spotkajmy się później.

- Nie - ucięła dyskusję. - Koło piątej powinnam być już wolna. Będziemy mogli spokojnie porozmawiać.

- Na pewno?

- Tak. Na próbach towarzyszą mi jedynie muzycy akompaniujący. Znasz campus Emory'ego?

- Jak własną kieszeń.

- Świetnie. Znajdziesz kaplicę opodal Callaway Center?

- Oczywiście.

- Przed drzwiami będzie tabliczka „Nie przeszkadzać”. Ciebie nie obowiązuje.

- Miło to słyszeć.

Do spotkania pozostało mi trochę czasu, więc skoczyłem do domu. Na automatycznej sekretarce nagranych było kilka wiadomości, ta sama co zwykle mieszanka ludzkiej niegodziwości i żalu. Po wysłuchaniu drugiej groźby skasowałem wszystkie nagrania. Znowu zacząłem myśleć o Michele. W mojej głowie zapaliła się ostrzegawcza lampka. Są takie kobiety, które, świadomie albo i nie, przyciągają do siebie problemy. Także i mężczyźni przyciągają jak magnes, a takich kłopotów nie przewidziałem. W tej chwili zależało mi na informacjach i w zamian za nie byłem w stanie pomóc Michele w rozwiązaniu jej kłopotów. Jeżeli pomogę odnaleźć córkę, to dobrze, choć mąż

Michele wcale nie będzie się z tego cieszyć. Spędziłem wystarczająco dużo czasu pośród porzuconych ludzi, którzy stoczyli się na dno, i zrozumiałem, jak wielką krzywdą jest opuszczenie przez najbliższych. Chociażby z tego powodu uważałem, że próba naprawienia błędów młodości jest jak najbardziej godna pochwały. Jednak w tej chwili najważniejsze było, aby skupić się na sprawie Douga.

Do kaplicy przyjechałem przed umówioną godziną, dosyć już miałem siedzenia w mieszkaniu. Zaparkowałem samochód i przez frontowe drzwi wślizgnąłem się w półmrok wnętrza. Kiedy tylko wszedłem do środka, uderzyła mnie siła głosu Michele. W kaplicy było niewiele ponad sto miejsc siedzących, a od sceny dzieliło mnie około piętnastu metrów. Sonnier ubrana była w czarne dżinsy i czerwony golf. Nie miała makijażu, a włosy związała w zwyczajny kucyk. Jej głos wypełniał całą salę, pod jego wpływem wibrowało powietrze. Stałem jak oniemiały, podziwiając jej kunszt i talent. Na pianinie akompaniował jej łysiejący mężczyzna w średnim wieku, ale jego obecność była ledwie zauważalna. Za sprawą niesamowitej barwy i siły głosu diwa zaprzeczała wszelkim prawom fizyki. Wnętrze kaplicy tętniło czystą, żywą energią. To wprost nieprawdopodobne, potężny śpiew przy takiej posturze.

Zająłem miejsce z boku, w cieniu i słuchałem. W śpiewie Michele było coś drapieżnego i desperackiego zarazem. Widziałem ją w roli Romea, kiedy odgrywała jego rozpacz i ujawniała ciemne strony charakteru, ale teraz zdawała się przekazywać swoim śpiewem uczucia targające nią samą. Przypomniałem sobie, jak mówiła, że śpiewa po to, aby Bóg jej wybaczył i nie skazał na potępienie. Jej słowa, tajemnicze i niepokojące, powróciły do mnie.

Nie miałem wątpliwości, skąd się wzięła jej kunszt. Dlaczego nie potrafiłem odwrócić od niej wzroku? Odpowiedź była prosta: każda nuta, każde słowo niosły ze sobą smutek, który wypełniał jej serce. Michele Sonnier cierpiała, a każda chwila jej udręki znajdowała ujście w śpiewie.

To misterium trwało dobre dwadzieścia minut. Niekiedy śpiewała całe arie, innym razem zaczynała i przerywała, mówiąc coś do akompaniującego jej pianisty. Co chwila zerkała na widownię, szukając mnie wzrokiem, dlatego kiedy zrobiła przerwę, wstałem z fotela. Dostrzegła mnie w półmroku i uśmiechnęła się w moim kierunku. Ten drobny gest sympatii, zrodzony ze smutku i bólu przedstawienia, zdawał się być tak kruchy, jak najdelikatniejsza porcelana.

Spodziewałem się, że kiedy tylko mnie zobaczy, zrobi sobie przerwę, ale zamiast tego szepnęła coś do instrumentalisty. Spojrzał na nią zdziwiony, a potem zaczął grać. Michele wyszła na środek sceny i stanęła nieruchomo, z zamkniętymi oczyma, jakby była nie człowiekiem, a figurą z hebanu. Po chwili skinęła głową, a pianista zaczął grać właściwą melodię.

Co chłopak taki, jak ja, urodzony na wsi i wychowany w Dothan, mógł wiedzieć o muzyce tej klasy? Mój ojciec słuchał Bucka Owensa i Waylona, a pierwszy raz pocałowałem dziewczynę przy dźwiękach starej kasety z piosenkami Guya Clarka. Była to muzyka, która miała wyrwać człowieka z nieczułości i uczynić wrażliwym jego serce. Szkoda, że go wtedy nie miałem. Teraz jednak, słuchając śpiewu Michele, pojąłem, że każdy rodzaj muzyki mówi o tym samym, tylko w inny sposób. Nieważne, czy kochankowie byli bogaci, czy biedni. Nie miało znaczenia czy mieli

czarną, czy białą skórę. Ból zrodzony z ich miłości był ten sam, nieważne czy śpiewała o nim swym anielskim głosem operowa diwa, czy barowy zaśpiewało. Były to tak silne i osobiste emocje, że słysząc ich echa odbite w muzyce, siedziałem bez ruchu zdjęty strachem. Oniemiałem, gdyż zdałem sobie sprawę, że jedna z największych śpiewaczek naszych czasów śpiewa tylko dla mnie. Nie potrafiłem udawać, że nie robi to na mnie wrażenia. Nie mam wątpliwości, że dla głosu, jakim dysponowała, wzięła na barki brzemień, jakie musi dźwigać. Jeśli prawdziwa sztuka rodzi się w cierpieniu, to kunszt Michele zrodził się z jego oceanów.

Z brzmienia słów zrozumiałem, że Michele śpiewa po rosyjsku. Choć nie rozumiałem sensu pieśni, nie miało to dla mnie zbyt wielkiego znaczenia. Muzyka oscylowała pomiędzy silnymi prądami melodii, a delikatnymi pasażami. Stałem w ciemnościach i pozwalałem, aby jej głos przejął nade mną kontrolę.

Kiedy skończyła śpiewać, zawstydzona opuściła wzrok, jak dziecko, które zostało przyłapane na kradzieży słodyczy. Pocałowała pianistę w policzek i powiedziała coś do niego, a potem zabrała swoje torby i ruszyła ku schodom, po lewej stronie sceny. Ruszyła w kierunku wyjścia, a ja, idąc wzdłuż rzędu foteli, spotkałem ją tuż przy drzwiach. Ucałowała mnie na przywitanie w obydwie policzki, i spytała:

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy porozmawiali w moim samochodzie?

Wyjęła z torby metalowe okulary o zielonkawych soczewkach i założyła je. Pachniała tak samo, jak tego dnia, kiedy widzieliśmy się w Four Seasons.

Pokiwałem głową i ruszyliśmy w stronę wyjścia.

- Ta ostatnia pieśń - powiedziałem. - Jaki ma tytuł?

- Mam nadzieję, że ci się spodobała. Wybrałam ją specjalnie dla ciebie.

- Dlaczego to zrobiłaś?

- Ponieważ uważasz, że opera to sceniczny melodramat dla bogaczy. A ja wiem, że się mylisz.

Ruszyliśmy w kierunku tylnego wyjścia. Otworzyłem drzwi prowadzące z sali do długiego korytarza.

- Nikt, kto by cię dzisiaj usłyszał, nie powiedziałby czegoś takiego.

Uśmiechnęła się do mnie, zadowolona.

- Libretto jest dziełem Puszkina. Znasz?

- Osobiście nigdy nie spotkałem.

- Mój Boże! On...

- Wiem, jest czołowym przedstawicielem rosyjskiego dramatu.

O czym jest opera?

Michele zatrzymała się na chwilę i zastanowiła.

- Opowiada o losach kobiety rozdartej pomiędzy miłością do dwóch mężczyzn. Jednego kocha gorącą i gwałtowną miłością, ale ten człowiek jest biednym nieudacznikiem. Nie ma absolutnie niczego.

- A drugi kochanek?

- To bogaty i wpływowy mężczyzna. Ma wszystko, czego ona mogłaby pragnąć. Jednak ona nie kocha go tak mocno jak pierwszego.

- Pewnie ten bogacz jest zły do szpiku kości, a biedak jest poczciwiną?

Michele ruszyła przed siebie, kręcąc głową.

- To nie jest opera mydlana, ale Puszkina. *Krasnojuznaja, bogatstvom dostojnomu, padrugij ni takoj, kak ja.*

- Co to znaczy?

- „Życie jest znacznie bardziej skomplikowane, niż nam się to podoba”.

- Zgadza się.

- Bohaterka uważa, że nie jest zdolna sprostać wymaganiom wielkiego księcia i to popycha ją w ramiona biedaka - tłumaczyła dalej Michele. - Obawia się, że przyniesie mu wstyd i stąd bierze się jej dramat.

Dotarliśmy do drzwi prowadzących na zewnątrz i opuściliśmy budynek kościoła.

- Wybiera biedaka i ryzykuje dla niego życiem i przyszłością. W zamian on ją sprzedaje. Przegrywa w karty.

- Żartujesz. - Nie.

- Pewnie na koniec książkę wykupuje ją z niewoli, co? Jest szczęśliwe zakończenie?

- Ona zostaje sama, porzucona i niekochana. Koniec opowieści.
- Spojrzała na mnie ironicznie i spytała: - Wiesz jaki tytuł nosi ta opera? „Dama Pikowa”. - Zawiesiła głos na chwilę, dość długo, abym pojął ironię tego tytułu, a potem odwróciła się na pięcie i ruszyła w kierunku samochodu, zostawiając mnie na chodniku. Obserwowałem ją przez chwilę, jak z gracją stawia krok za krokiem, a potem ruszyłem jej śladem i otworzyłem drzwi lexusa. Kiedy zająłem miejsce w fotelu pasażera, Michele uruchomiła silnik, ale pozostawiła go na jałowym biegu.

- Czego się dowiedziałeś? - spytała.

Tego, że nasz przyjaciel miał obsesję na twoim punkcie, pomyślałem. Całkowicie mu na twoim punkcie odbiło.

- Chciałbym cię najpierw o coś spytać. Czy wydaje ci się prawdopodobne, że Doug się w tobie zakochał? Czy byłby w stanie darzyć cię obsesyjnym uwielbieniem?

Michele zastanawiała się przez chwilę, wyglądając przez boczną szybę.

- Kto wie? Turandot, Tosca, Romeo... Ich miłość prowadziła do obsesji. To najwięksi kochankowie świata... Żyję w świecie, którym rządzi obsesja.

- Ale to fikcyjne postaci.

- Dla Douga były jak najbardziej prawdziwe. Wydaje mi się, że chciałby żyć w świecie, w którym rozgrywały się te sztuki.

- Powiedz mi, czy któryś z bohaterów odszedłby bez słowa pożegnania? Zabiłby się bez słowa?

- Do czego zmierzasz?

- Twierdzisz, że jego świat był rodem z opery. Nie uwierzę, że nie chciałby powiedzieć swojej ukochanej o swoich uczuciach.

- O kim mówisz?

- O tobie. Doug cię kochał, a ty musiałaś zdawać sobie z tego sprawę. Facet nie lata za kobietą po całych Stanach Zjednoczonych, jeśli jej nie kocha. - Michele odwróciła wzrok. - Czy myślisz, że Doug popełnił samobójstwo, bo wiedział, że nigdy nie będzie mógł z tobą być?

- To możliwe.

- Nie łudź się, nie było tak.

Wyraz jej twarzy powiedział mi, że tym jednym zdaniem zdjąłem ciężar z jej serca.

- Gdyby tak było, zostawiłby choć list pożegnalny. Chciałby, żebyś wiedziała, że masz go na sumieniu.

- Dostał, co chciał, jeśli tego pragnął.

- Nie przesadzaj - powiedziałem tak delikatnie, jak tylko mogłem. Nie chciałem jej zranić, ale z drugiej strony widziałem w życiu tyle smutku i gniewu, że byłem w stanie powiedzieć, iż jej uczucia nie szły w tym kierunku. Michele była zaskoczona, ale nie załamana.

Chciała coś powiedzieć, ale zamilkła. Przez chwilę zastanawiała się nad czymś, a potem dodała:

- Przyjmuję do wiadomości to, co powiedziałaś. Zawsze to lepszy punkt widzenia, niż inny.

- Świetnie.

- Na czym w takim razie stanęliśmy?

- Czy słyszałaś kiedykolwiek o firmie Grayton Technical Laboratories?

- Nie - odparła, kręcąc głową.

Tylko ogromnym wysiłkiem woli zdołałem ukryć zawód i niezadowolenie.

- Czy płaciłaś Dougowi za jego poszukiwania?

- Nie. Nigdy by nie przyjął ode mnie pieniędzy.

- W takim razie sporo się wyjaśniło.

- Nie rozumiem.

- Doug zebrał ogromną ilość informacji na temat Grayton Technical Laboratories. Wydaje mi się, że konkurencyjna firma wynajęła Douga, aby ich szpiegował. Najprawdopodobniej było to bardzo nielegalne przedsięwzięcie, więc pewnie nieźle go opłacali.

- Doug? Szpiegował?

- Wydaje mi się, że źle go oceniliśmy. Nie był taką ofertą życiową, za jaką go braliśmy. Co więcej, był świetnym hakerem, który cieszył się renomą w komputerowym podziemiu.

- Myślałam, że jest zwykłym amatorem - odparła Michele, kręcąc w zdumieniu głową. - Wyobrażałam sobie, że jest nieszkodliwym fascynatem, jak te dzieciaki, które rozmawiają przez Internet całymi nocami.

- Te dzieciaki, jak je nazywasz, potrafią wyrządzić spore szkody. Faktem pozostaje, że Doug był niesamowicie utalentowany. Z mojego doświadczenia mogę ci powiedzieć, że każdy obdarzony wybitnymi zdolnościami człowiek trafi w końcu tam, gdzie zostaną one sownie wynagrodzone. Dla pewnych ludzi umiejętności Douga mogłyby być warte miliony dolarów.

- Jak się tego dowiedziałeś?

- Przez przypadek - odpowiedziałem. - Znam kogoś z tego światka i jak się okazało, ów młodzieniec świetnie wiedział, kim był Doug. - Zamilkłem na chwilę, ważąc w myślach pewne bardzo ważne pytanie. - Posłuchaj... W zasadzie twój mąż może być potencjalnym zleceniodawcą Douga. Horizn i Grayton to ta sama branża.

- Charles? - Michele była całkowicie zbita z tropu. - Nie, on nic nie wie o Dougu.

- Jesteś absolutnie pewna?

- Tak bardzo, jak to tylko możliwe. - Westchnęła ciężko, a ja zdałem sobie sprawę, że musi być niezwykle zmęczona. - Jutro wyjeżdżam z miasta. Dlatego miałam dzisiaj próbę, jutro śpiewam w St. Louis.

- Na jak długo wyjeżdżasz?

- To niewielkie tournee, w zasadzie jednorazowy występ. Będziemy grać „La Bohemę”.

- Opera?

- Nie, występ na festiwalu. Nie ma przymusu ubierania się we fraki, pewnie część ludzi przyjdzie w krótkich spodenkach. Scena na rusztowaniach i dekoracje zmieniane w biegu. Kompletny chaos. - Nagle na twarzy Michele pojawił się błysk radości. - Mam pomysł. Poleć ze mną. Nienawidzę samotnych podróży.

- Nie mówisz chyba poważnie.

- Oczywiście, że tak. To tylko kilka godzin i będziemy z powrotem. Zrobisz to dla mnie?

Nie powinienem, w zasadzie nie mam powodów.

- Wiesz, nawet bilety last minute są poza moim zasięgiem finansowym.

- Nie bądź śmieszny. Lecę prywatnym odrzutowcem Horizn.

- Jezu Chryste.

- Będziemy mogli porozmawiać o Dougu.

- Dougu?

- Tak. Może wreszcie się zaprzyjaźnimy? - Zamilkła na sekundę, a potem dodała bardzo osobistym tonem. - Potrzebuję kogoś takiego, Jack. Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę, jak to jest, kiedy nie można z nikim szczerze porozmawiać.

Obróciłem głowę i wyjrzałem przez okno, próbując znaleźć jakiś szczegół w okolicy, który nie miałby nic wspólnego z jej idealną brązową skórą.

- Nie jestem pewien, czy to dobry pomysł.

- No dalej, Jack. Nie opieraj się. Będę śpiewała arię tak piękną, że się popłaczesz.

- To ostatnia rzecz, jakiej potrzebuję - odparłem, ale ledwie wypowiedziałem te słowa, zdałem sobie sprawę, że popełniłem straszliwy błąd.

Boże, pomóż mi, pomyślałem. Teraz będzie chciała wszystkiego się dowiedzieć i nie spocznie, dopóki nie opowiem jej o Violetcie. Wtedy rozgryzie mnie i będzie w stanie owinąć wokół palca.

- Wiedziała, że coś się za tym wszystkim kryje - powiedziała Michele. Spoglądała mi prosto w oczy, a ja czułem, że za chwilę padną pytania, których się obawiałem. Ku mojemu zaskoczeniu Michele milczała.

- Nieważne - powiedziała nagle. - Prędzej czy później wszystko sprowadza się do jednego.

Spojrzałem zdziwiony na nią:

- Do czego?

- *L'amore non prevale sempre.* Miłość nie zawsze trwa. - Uśmiechnęła się do mnie ciepło. - Pomyśl o jutrze. Chciałabym, żebyś ze mną pojechał. Spędzimy miło czas i... zaprzyjaźnimy się.

Popołudniowe korki w Atlancie sprawiają wrażenie konspiracji przeciwko prawu swobodnego przemieszczania. Z doświadczenia wiedziałem, że nie było sensu pchać się do domu, nie zajechałbym do niego przed wieczorem. Okolice uniwersytetu słyną z tanich, ale za to ciekawych knajp, w których można niedrogo i smacznie zjeść. Postanowiłem więc, że wyskoczę na wcześniejszy obiad. Nabierałem właśnie trzecią łyżkę zupy, kiedy zadzwonił mój telefon komórkowy. Po numerze zorientowałem się, że to Sammy. Rzeczywiście, zadzwonił, żeby mi powiedzieć, iż Odom wcześniej skończył urzędowanie i wybiera się do „The Refactory”. Dzięki temu, że wcześniej pracował w knajpie jako kelner, barman lał mu

niezłe alkohole po cenach zwykłego sikacza. Jeżeli człowiek pije tak jak Sammy, taka różnica w cenie zaczyna się robić znaczącą ulgą dla portfela. Kiedy skończyłem obiad i dojechałem na miejsce, Sammy wypił już parę kolejek. Idealna noc według Sammy'ego to taka, kiedy wyczerpuje swój kredyt w barze w momencie ostatecznego spłynięcia pod stół. Choć pora była jeszcze wczesna, to zapowiadało się, że dziś Sammy zrealizuje swoje marzenia o perfekcyjnym wieczorze.

- Zabrał ją do „Nikolia Roof” - powiedział bez ogródek.

- Kto zabrał kogo? - spytałem, zajmując krzesło naprzeciwko.

- On - syknął zajadle Sammy. - Do „Nikolii”!

- To ta droga restauracja na dachu Hiltona?

- Na litość boską, Jack! Jest tylko jedna restauracja „Nikolia” w mieście. I on ją tam właśnie zabrał!

Nagle doznałem olśnienia. Sammy mówił o Blu i Stephensie.

- Jasna cholera! Skąd o tym wiesz?

- Jeden znajomy był mi winien przysługę - odparł Sammy. - Miał wtedy zmianę.

- Czy ty aby nie przesadzasz, Sammy?

- Aby odpowiednio się zemścić, należy poznać wroga - odparł, wpatrując się w szklanekę z mordercą w oczach.

- Rozumiem, ale śledzenie gościa... Zamilkłem, zastanawiając się, czy nie popełniłem straszliwego błędu, mówiąc Sammy'emu o zamiarach Stephensa co do Blu. Tak, czy owak, było za późno. - Słuchaj. To dosyć popularny lokal. Może ktoś zobaczył ich razem i doniesie jego narzeczonej? Ona się wkurzy i gość podkuli ogon, a wtedy...

- Nic z tego. Popytałem się trochę i wiem, że Stephens ma prywatną salę do swojej dyspozycji. Kumpluje się z Nikolią, czy coś w tym rodzaju.

- No tak... Wiesz, w zasadzie gość nie jest zonaty, więc może robić, co mu się podoba.

- Równie dobrze ktoś mu może skuć mordę.

- Sammy, błagam cię, nie przyprawiaj mnie o zawał. Opanuj się i myśl logicznie.

- Jackie, stary kumplu, wiesz co u ciebie najbardziej mnie wkurza? - spytał Sammy, spoglądając na mnie zamglonymi od alkoholu oczyma.

- Zdaję sobie sprawę, że musi być to więcej, niż jedna rzecz, więc zacznij od litery „A”.

- Mylisz się. Tak naprawdę denerwuje mnie u ciebie jedna cecha. Jak to się mówi... Rzucasz perły przed wieprze. - Sammy zamilkł na chwilę i próbował wzrokiem przyciągnąć kelnerkę, aby ta napełniła jego szklanekę, ale został zignorowany. - Słuchaj mnie, Jackie. Jesteś prawdziwym geniuszem, a spędzasz całe dni w sądzie Odoma, rozmieniając się na drobne.

- Muszę zarobić na rachunki.

- Obserwuję cię codziennie i zadaję sobie pytanie: co gość, który gada jak najęty, wygląda jak z żurnala i jest oblatany w procedurach jak nikt inny, robi w tym chlewie? Jack, wygrywasz dziewięćdziesiąt procent spraw.

- Tyle, że w połowie z nich następuje odwołanie, Sammy - odparłem półgłosem.

Pięknie, pomyślałem. Sammy prawi mi dokładnie taką samą gadkę, jaką ja uraczyłem Koszmara.

- Jasne, ale tylko dlatego, że ci goście są przestępcami.

- Nie wszyscy.

- Właśnie, kurwa, że tak! Sam dobrze o tym wiesz.

- No dobra, w większości.

- A pomimo to wyciągasz ich z pudła raz za razem, cholerny geniuszu. - Sammy spojrzał na mnie tępo. Miał już tego w czubie i język zaczął mu się plątać.

- Co to, wieczór szczerości z Jackiem Hammondem? O co ci chodzi?

- Chociażby o to, że w porównaniu z tobą, Jack, jestem skończonym kretynem.

- Sammy...

- Jack, wiem jak jest naprawdę. Ale pomimo mojej głupoty, zamierzam urządzić Stephens tak, że się popłaczesz.

- Sammy, co ty kombinujesz? - spytałem. Nagle przebiegł mnie dreszcz, budzący najgorsze przeczucia. Cokolwiek by mówić o Sammym, Stephens nie grał w jego lidze.

- Nie twój zasrany interes - odparł.

- Sammy...

- Daj spokój, Jackie. Ta sprawa już cię nie dotyczy. Nie masz na nią wpływu. Jedyne, co musisz wiedzieć, to że nowego chłopaka Blu czeka bardzo paskudny dzień.

Rozdział jedenasty

Nicole Frost nosiła całkowicie niewłaściwe nazwisko. Jak na pracownika korporacji finansowej była miłą, wrażliwą i ciepłą osobą. Chodziliśmy razem do college'u, ale nie zdążyła poznać Douga. Żyła w zupełnie innym świecie, pełnym ludzi, którzy może nie uczyli się świetnie, ale za to prowadzili intensywne życie towarzyskie. Z góry było wiadomo, że Nicole jest skazana na sukces, i nie zawiodła pokładanych w niej nadziei. W lepszych czasach zarządzała moim kapitałem, do chwili, kiedy musiałem wycofać wszystkie oszczędności, aby nie umrzeć z głodu.

Następnego dnia po rozmowie z Michele zadzwoniłem do niej, aby spytać o Grayton Technical Laboratories.

- Witaj, Jack - powiedziała na przywitanie. Jej głos był zawsze pełen radości i ciepła. - Świetnie, że dzwonisz. Co u ciebie słychać?

- Mam kupę pieniędzy do zainwestowania - odparłem. - Problem w tym, że to prawie sam bilon i ze dwie pięćdziesięciodolarówki. Czy jest to dla ciebie jakiś kłopot?

- Żartowniś z ciebie.

- Wiesz, mogłem przejść na ciemną stronę mocy.

- Samo bronienie takich ludzi jak twoi klienci, jest czymś złym, ale to temat na inną rozmowę. Skoro nie masz pieniędzy, które moglibyśmy z zyskiem zainwestować, to jak mogę ci pomóc?

- Potrzebuję informacji.

- Jesteś splukany.

- Dzięki, to już wiem. W każdym razie, nie chodzi o mnie.

- No to wal bez ogródek.

- Czy jest ci znana firma o nazwie Grayton Technical Laboratories?

W słuchawce zapadła cisza. Nicole pewnie zastanawiała się przez dłuższą chwilę, aż w końcu odpowiedziała:

- To niewielka firma zajmująca się biotechnologią. Unikają rozgłosu. Pewnie bym o niej nie słyszała, gdyby nie to, że mają siedzibę w okolicy.

- Znasz jakieś ciekawostki na ich temat?

- Niespecjalnie. Biotechnologia średnio mnie interesuje.

- Wiesz może, do kogo należy firma?

- To rodzinny interes. Grayton jest prezesem zarządu, ale może być figurantem. Nie mają specjalnie dużego kapitału. Pewnie w ogóle nic nie robią.

- Dobra, następne pytanie. Co mi możesz powiedzieć o Horizn? Nicole roześmiała się na głos.

- A co ma być? Dzięki nim wielu ludzi stanie się bogaczami.

- Ich akcje są aż tak wartościowe?

- Nawet więcej. Ich patenty będą przynosić zyski przez lata. Choroba idealna... - wyszeptała pod nosem. - Nie ma co się dziwić.

- Wybacz, ale kompletnie nie rozumiem.

- Pacjenci będą musieli brać leki doktora Ralstona do końca swego długiego, mam nadzieję zdrowego, życia. Ich stan zdrowia nie będzie się polepszał, ale też nie grozi im śmierć w męczarniach. Z biznesowego punktu widzenia to sytuacja idealna. To naprawdę zabawne.

- Czemu?

- Wiesz, na czym Ralston zbił majątek?

- Nie.

- Jeszcze jakieś dziesięć lat temu był zwykłym śmiertelnikiem, jak nie przymierzając ja, czy ty. Potem stanął na czele zespołu badawczego na Uniwersytecie Columbia.

- Wiem, jest naukowcem.

- Jego zespół opracował lek, który Horizn sprzedaje jako własny - dodała Nicole. - Oczywiście uniwersytet miał wszelkie prawa patentowe, tak im się przynajmniej wydawało. Ralston, jako twórca leku, miał otrzymywać swoją działkę, ale jemu to nie wystarczało. Chciał dla siebie wszystkich zysków.

- Pozwał ich do sądu?

- Tak, ale nikt nie dawał mu najmniejszej szansy na wygraną. Wiesz, ludzie na uczelniach wiedzą, jak konstruować tego rodzaju umowy. Nim doszło do rozprawy, Ralston skumał się z pewnym prawnikiem, nazwiskiem...

- Derek Stephens.

- Dokładnie. Najwidoczniej Stephens jest geniuszem, albo wiodącym autorytetem, jeśli chodzi o prawo związane z własnością intelektualną. W Wall Street Journal nie cytują nikogo innego. Dzięki jego przewodowi procesowemu Ralstonowi przyznano prawa do patentu, a teraz obydwaj są multimilionerami.

- Obydwaj?

- Ralston nie miał pieniędzy, więc opłacił jego usługi procentem od zysków patentowych. Stephens zamknął kancelarię i obydwaj ruszyli na podbój świata.

- Bardzo interesujące.

- Obecnie cena lekarstwa jest trzy razy wyższa, niż kiedyś.

- Chrzanić drobnych ciułaczy, zawsze to powtarzam.
 - Świat jest po prostu okrutny, słonko - powiedziała Nicole i zamilkła. - Jack, skąd to nagle zainteresowanie Horizn?
 - Pracuję nad pewną sprawą.
 - Jack, skarbie, nie wyrolujesz mnie, prawda?
 - O czym mówisz?
 - Coś się dzieje, czyż nie? Twoi dziwni koledzy coś zwęszyli, tak?
 - Hmm. Sam nie wiem.
 - To nieuprzejme unikać odpowiedzi, kiedy ktoś udziela ci ich bez skrępowania. Mogłabym ci policzyć za poradę. Powiedz Nicole, co wiesz.
 - W zasadzie to nie mogę.
 - Czyli to gruba afera - odparła przygaszonym głosem.
 - Posłuchaj, nic by mnie bardziej nie uszczęśliwiło, niż możliwość dania ci jakiegoś cynku, ale na razie nie wiem, co się dzieje.
 - Biorąc pod uwagę środowisko w którym się obracasz, to musi być coś niedobrego. Zdajesz sobie sprawę, że za pięć dni Horizn wchodzi na giełdę, prawda? Złe wieści będą bardzo... niemiłe widziane.
 - Wyluzuj, Nicole, nie mam żadnych konkretów. Jeżeli zaczniesz przejmować się niesprawdzonymi plotkami, to ani się obejrzysz, a będziesz sprzedawać akcje syberyjskim niedźwiedziom.
- Wyczułem, że Nicole trochę się uspokoiła.
- Co chcesz mi powiedzieć?
 - Na razie chciałem zadać ci tylko pytania.

- OK. - W jej głosie ponownie zabrzmiały radosne nutki. - Ralston ma być w przyszły piątek w kampusie Georgia Tech. Czytałam oficjalne zapowiedzi.

- Bo jest genialnym naukowcem? W chwili obecnej nie może przecież robić szumu wokół Horizn, przynajmniej do chwili, kiedy akcje zadebiutują na giełdzie.

- Regulacje nadzoru giełdowego?

- Trafiony-zatopiony. Skoro nie wolno mu reklamować swojej firmy, a jednocześnie chce, żeby każdy potencjalny inwestor o niej wiedział, to co powinien zrobić?

- Nie mam zielonego pojęcia.

- Ufundował budynek szkoły. Nazywa się Szkoła Bioinżynierii Medycznej Charlesa Ralstona. Kosztowała go jakieś cztery miliony dolarów, na potrzeby opinii publicznej rozdmucha to do dwudziestu, i jeszcze odpisze od podatku. W każdym razie wybieramy się na otwarcie i jeśli chcesz, możesz jechać z nami. Jak go znam, na pewno przemyci jakąś aluzję do Horizn.

- Nie masz nic przeciwko mojej obecności?

- A skądże. Poza tym apetyczny z ciebie kąsek - roześmiała się na głos.

- Żartujesz sobie ze mnie, Nicole.

- No co ty. Poza tym nie przejawiasz zainteresowania kobietami, co czyni z ciebie jeszcze atrakcyjniejszą zdobycz. Inna sprawa, że będzie tam jeden przystojny koleś i chciałabym, żeby był zazdrosny.

- Wykorzystujesz mnie.

- On potrzebuje motywacji. Kiedy będę wisiała na twoim ramieniu, zacznie zachodzić w głowę, o co chodzi. Uroczystość

zaczyna się o jedenastej, więc możemy umówić się przed wejściem o dziesiątej. Umowa stoi?

- Stoi.

- Tylko ubierz się odpowiednio. Do zobaczenia, kochanie.

- Jedź ze mną do St. Louis - powtarzał głos w mojej głowie. - Zostaniemy przyjaciółmi.

Słyszałem go przez cały czas, nawet kiedy Odom patrzył na mnie krzywym spojrzeniem, gdy starałem się udowodnić, że w przeciwieństwie do opinii policjanta, sprzedaż marihuany nieznanemu, który był podstawionym agentem, nie jest wcale przestępstwem. Głos Sonnier towarzyszył mi, kiedy spoglądałem na dziewczynę, która, aby zarobić na kokainę, zaczęła się prostytuować w najgorszy możliwy sposób. Słowa Michele nie opuszczały mnie w trakcie obiadu i kiedy próbowałem wyciągnąć jakieś zeznania z człowieka, który mówił tylko po chorwacku.

Jedź ze mną do St. Louis. Zostaniemy przyjaciółmi.

Spojrzałem na zegarek, była druga czterdzieści. Jeżeli postradałbym zmysły i odrobinę się pospieszył, zdążyłbym na samolot.

Oszalałem.

Rozdział dwunasty

Odrzutowiec Horizn był czarny i błyszczący. Już na pierwszy rzut oka wiedziałem, że nie należał do tanich. Spoglądając na tę maszynę stwierdziłem, że musi być warta każdego centa z kilku milionów dolarów, jakie musiał kosztować. Logo firmy, stylizowane czerwone „H” nas czarnym tle, zdobiło ogon samolotu. Zostawiłem samochód na Brown Field, strzeżonym parkingu dla osób korzystających z lotniska położonego na północny-zachód od Atlanty. Zamknąłem samochód i włączyłem alarm, co rozbawiło mnie prawie do łez. Czego się obawiałem, kiedy dookoła stały same luksusowe samochody, a wartownicy przechadzali się, czujnie lustrując okolicę. Kiedy tylko wszedłem do budynku, zobaczyłem Michele.

Siedziała samotnie nieopodal recepcji, ubrana tak niedbale, jak tylko potrafią bajecznie bogaci ludzie. Jej dżinsy były wytarte i poszarpane u krawędzi nogawek, a pomarańczowa bluza o dwa numery za duża. Podniosła głowę, kiedy przeszedłem przez drzwi, a na widok jej promiennego uśmiechu o mało nie zemdlałem. Na przywitanie pocałowała mnie w policzek, a ja rozkoszowałem się dotykiem jej miękkich, wilgotnych warg. Razem weszliśmy na pokład samolotu.

Posiadanie prywatnego grummana jest miernikiem różnicy pomiędzy ludźmi po prostu bogatymi, a bajecznie bogatymi. Dla tych ostatnich pierwsza klasa w samolocie linii lotniczych jest obrazą dla dobrego smaku. Spędzają godziny z projektantem wewnątrz, podejmując niebywale trudne decyzje rodzaju: czy uchwyty w łazience powinny być złote, platynowe czy tytanowe?

Dzięki pieniądzom Horizn Pharmaceuticals, Michele zaliczała się do grona takich ludzi.

Przez pierwszą część lotu Michele trajkotała jak najęta. Uśmiechała się i popijała do spółki ze mną szampana. Potem usiadła wygodnie w fotelu i podziwiała chmury nad Georgią, które przesuwają się pod brzuchem samolotu. Było mi tak dobrze i wygodnie, że prawie zapomniałem o istnieniu Charlesa Ralstona. Jednak był on realną postacią i nieważne, do jakiego doszedł porozumienia z Michele, nadal był jej mężem.

- Tak sobie pomyślałem, że dokonałaś wielkiej rzeczy - powiedziałem. - Biorąc pod uwagę to, co przeszłaś i jaką drogę przebyłaś, powinnaś być z siebie dumna.

Odstawiła kieliszek i spojrzała na mnie odrobinę zirytowana.

- Można tak powiedzieć.

- Co masz na myśli?

Westchnęła ciężko.

- Tutaj chodzi kolor skóry.

- Wybacz, ale teraz już nic nie rozumiem.

- To taki rodzaj sytuacji, kiedy biały chłopak decyduje, że czarna, nawet ładna dziewczyna w zasadzie powinna być kucharką albo pokojówką.

Spojrzałem na nią zaskoczony, kompletnie już nie rozumiejąc, do czego zmierza.

- Wyjaśnij mi to jak pięciolatkowi, proszę, bo nic kompletnie nie rozumiem.

- Uciekłam do Nowego Jorku. Spotkałam tam życzliwych ludzi i, koniec końców, przeniosłam się na drugą stronę rzeki, do New Jersey. Znasz Elizabeth?

- Niestety, nie.

- Nie żałuj, to prawdziwe piekło. Mieszka tam spora populacja Portorykańczyków. Nie są tacy źli, dbają o swoich i niczym się nie przejmują. W czarnych dzielnicach jest jednak gorzej.

- Co się stało?

- Zapisałam się do szkoły średniej. Byłam bardzo samotna, liczyłam, że tam znajdę jakieś towarzystwo.

- Słuszna myśl.

- Istniał tam pewien program, w liceach organizowano występy orkiestry i śpiewaków. Oprócz muzyki dostawaliśmy paczki ze słodyczami, owocami i innymi łakociami. Jeżeli oglądałeś wiadomości z wojny w Somalii, powinieneś wiedzieć, o czym mówię.

- Gdybym mieszkał w Somalii, pewnie bym się cieszył z takiej pomocy - szepnąłem.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz.

- Przepraszam, myślałem, że będziesz mówić o kwestii koloru skóry.

- Tak. Chodziło nam po prostu o to, że... Nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego to robią. Czemu nie mamy własnej orkiestry szkolnej? Widzieliśmy, jak z politowaniem patrzą na naszą szkołę. Traktowali nas z uprzejmością, z jaką traktuje się pacjentów hospicjum. - Michele wzdrygnęła się na samo wspomnienie tamtych czasów. - Wtedy zdałam sobie sprawę, że jedyne, co się liczy w moim życiu, to muzyka. Dopóki ona grała, świat przestawał istnieć. Większość dzieci nawet nie słuchała, ale ja siedziałam w pierwszym rzędzie, jak w transie. Nigdy w życiu nie widziałam, ani nie słyszałam czegoś podobnego.

- Czy ktoś śpiewał?

- Tak. Nie wiem, czy był dobry, czy kiepski, a teraz trudno mi to ocenić. Za dużo czasu upłynęło i pod zbyt wielkim wrażeniem byłam wtedy, żeby teraz obiektywnie powiedzieć coś o umiejętnościach tamtych śpiewaków. Pamiętam, że występowała dla nas piękna kobieta, ubrana w bogatą suknię. Obserwowałam ją jak śpiewa, siedząc z nogami niedbale zarzuconymi jedna na drugą. Uśmiechała się do nas, a ja pomyślałam, że ona musi znać wszystkie tajemnice świata. W pewnym momencie wstała ze swojego miejsca i wyszła na środek sceny. Oniemiałam.

- Zawładnęła tobą, tak jak teraz robisz to ty. Michele uśmiechnęła się zawstydzona.

- Pewnie masz rację.

- Co się stało?

- To była niewielka orkiestra kameralna, dziesięciu, może dwunastu muzyków. Zaczęła śpiewać po francusku. To bardzo ważne. Choć nie znałam tego języka, wiedziałam, że pochodzi z Europy, a nas nauczono nienawidzić wszystkiego, co pochodzi ze Starego Kontynentu. - Michele przerwała na chwilę, oddając się wspomnieniom. - Nie wiedziałam, co począć, ponieważ dla mnie był to najpiękniejszy język na świecie.

- Co zrobiłaś?

Jej twarz przybrała pochmurny wyraz.

- Zaczęłam słuchać więcej i więcej muzyki, ale nie tak, jak robią to studenci konserwatorium, a raczej jak dziecko. Słuchałam wszystkiego, co wpadło mi w ręce. Każdy rodzaj muzyki był mi bliski. Zaczęłam naśladować manierę śpiewu, ale nie wiedziałam,

czy robię to dobrze, dlatego nikomu nie powiedziałam o mojej pasji.

- Jak długo to trwało?

- Kilka lat. Poznawałam repertuar muzyki klasycznej i śpiewałam arie, choć nie rozumiałam z nich ani słowa. Parę razy zaśpiewałam dla przyjaciół, ale oni się tylko śmiali lub mnie przedrzeźniali. Nie mogłam tego znieść, zdecydowałam, że muszę znaleźć ludzi, którzy czują podobnie, jak ja.

- Co zrobiłaś?

- Musisz wiedzieć, że to był dla mnie zupełnie nieznaną świat. Wiedziałam tylko, że w Lincoln Center odbywają się występy śpiewaków. Któregoś dnia zebrałam w sobie całą odwagę, na jaką było mnie stać, i pojechałam tam autobusem. Nie pamiętam, co sobie wyobrażałam. Chyba myślałam, że śpiewacy operowi będą stać na rogu ulicy w kostiumach i wykonywać arie operowe. W jakiś sposób trafiłam do Juilliard School i szwendałam się po korytarzach w olśnieniu. Zza zamkniętych drzwi słyszałam cudowną muzykę. Biegałam od jednej pary do drugiej, byleby usłyszeć nową nutę.

- To niesamowite.

- Owszem. Nie wiem, ile czasu tam spędziłam, ale bałam się, że wyrzucą mnie za drzwi, dlatego unikałam ludzi, jak tylko mogłam. W końcu jednak mnie złapano. Podśluchiwałam pod drzwiami, kiedy te się nagle otworzyły. Prawie wpadłam pod nogi jakiejś kobiecie. Pamiętam, że pomimo wszystko próbowałam zajrzeć do jej studia, gdzie pełno było książek, a w rogu stało pianino.

- I co dalej? - spytałem, czując, że jej opowieść mnie wciągnęła i zafascynowała.

- Spytała, czy się zgubiłam. Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa... - Michele wyjrzała przez okno, jeszcze raz pozwalając wspomnieniom, aby wzięły górę nad jej opowieścią. - Kobieta miała już odejść, kiedy wydobyłam z siebie głos. Powiedziałam, że tak, naprawdę się zgubiłam.

Michele spojrzała na mnie przenikliwie, choć na jej ustach pełgał zakłopotany uśmiech. Przez chwilę panowała kompletna cisza.

- Kobieta była dla mnie bardzo miła. Opowiedziałam jej o tym, jak wypożyczałam z biblioteki płyty, jak śpiewałam moje ulubione arie. Nie wiem, czy zrobiłam na niej wrażenie. Ostatecznie w Juilliard nie brakuje utalentowanych dzieci. Co innego zwróciło jej uwagę.

- Co takiego?

- Powiedziałam jej, że powinnam jej nienawidzić, ale nie potrafię. - Michele ponownie zamilkła, wyglądając za okno, a potem przeniosła spojrzenie na mnie. - Wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozplakać.

- Zaczęła cię uczyć?

Michele opróżniła kieliszek i odstawiła go na stół.

- Nie do końca. Powiedziała, że mogę przychodzić i patrzeć, jak robią to inni.

- Czyli okazała trochę serca. Myślę, że jesteś dla niej niesprawiedliwa.

- Wiedziałam, że nie zrozumiesz, Jack.

- Sam nie wiem, dlaczego mi cię bardziej żal: czy z powodu tego, że latasz prywatnym samolotem, czy dlatego, że płacą ci fortunę za śpiewanie Mozarta. Sama zdecyduj - odparłem złośliwie.

- Odprawiałam mężczyzn za mniej zuchwałe słowa - rzuciła, a w jej oczach dostrzegłem iskierki złości.

- Nie strasz mnie. Jestem na ty z większością bandytów ze śródmieścia Atlanty.

Spoglądała na mnie przez chwilę, a potem wybuchła śmiechem.

- Widzę, że nie zamierzasz przyjąć na swoje barki brzemienia winy białego człowieka?

- Nie, jestem uodporniony na poczucie winy. Podobne opowieści słyszałem setki razy. Opowiedz mi, jak doszłaś do tego, kim jesteś.

- Nie dajesz się nastraszyć - powiedziała i pocałowała mnie w policzek. - Podoba mi się to.

W tym jednym bardzo się myliła. Bałem się jak diabli, lecz nie jej gniewu. Chciałem ją pocałować i sama myśl o wzięciu jej w ramiona sprawiała, że czułem jak ogarnia mnie panika. Tylko resztkami siły woli powstrzymywałem się przed tym.

- Zaczęłam przychodzić w każdy wtorek. Pozwolono mi zaśpiewać i jakimś cudem zaczęłam uczęszczać na zajęcia także i w czwartki. Ani się obejrzałam, a ćwiczyłam całe dni. Wiele czasu zajęło mi zrozumienie tego, co ona dostrzegła w mgnieniu oka.

- Czego?

- Tego, że kiedy śpiewam, wkładam w to całe swoje serce i duszę. Niezależnie od repertuaru, zawsze pozwalam muzyce

zawładnąć sobą bez reszty.

Uśmiechnąłem się.

- To jak Johnny Cash. W tym tkwi tajemnica jego sukcesu, tak przynajmniej uważam.

- Mój Boże, Jack, nie możesz tego porównywać! - Na twarzy Michele pojawił się wyraz czystego przerażenia.

- Jeżeli nie uznasz wielkości człowieka w czerni, wyrzucę cię przez okno - zażartowałem.

- No dobrze - przytaknęła, choć nadal porównanie muzyka country i operowych arii było dla niej trudne do zaakceptowania. - To jak w przypadku Johnny'ego Casha, tylko że śpiewam po włosku, w stroju rodem z epoki elżbietańskiej.

- Jak znalazłaś się w Atlancie?

- Dzięki mężowi - odparła. - Jeżeli jesteś ambitnym czarnoskórym, nie ma innego miejsca na świecie, gdzie mógłbyś i gdzie powinienesz robić karierę. Poza tym siła robocza tutaj jest tańsza. - Ponownie wyjrzała przez okno. Jej humor widocznie się pogorszył, kiedy przypomniała sobie o Ralstonie. - Muszę oszczędzać głos. Nie obraż się, ale spróbuję złapać trochę snu.

Lecieliśmy w milczeniu. Samolot najpierw skierował się w stronę Nashville, a potem St. Louis. Michele siedziała rozparta wygodnie w fotelu i choć miała zamknięte oczy, nie byłem w stanie powiedzieć, czy śpi, czy tylko udaje. Czas włókł się niemiłosiernie, a ja obserwowałem ją, zastanawiając się, czy podjąłem słuszną decyzję, lecąc z nią na występ. Oddech Michele się wyrównał i nabrałem pewności, że śpi. Musiały ją trapić jakieś koszmary, bowiem przez jej twarz wciąż przebiegały grymasy.

Pilot posadził samolot na prywatnym lotnisku w Spirit, na przedmieściach St. Louis. Pas startowy wytyczono na nizinie, więc kiedy kołowaliśmy, w górę wzbijały się tumany ziemi. Obok wieży kontrolnej stała zaparkowana limuzyna, a obok niej mężczyzna, którego widziałem poprzednio obok Michele. Samolot zatrzymał się w miejscu, a silniki zamarły.

- Kto to jest? – spytałem.

- Bob Trammel - odparła Michele. - To mój agent na trasie. Jeździ przede mną i upewnia się, że wszystko jest w porządku, gotowe do występu. Organizuje też kolejne koncerty.

Wyjrzałem przez okno, uważnie mierząc go wzrokiem. Trammel miał około czterdziestu lat, miał metr osiemdziesiąt wzrostu i atletyczną budowę ciała. Jego czarne włosy zaczesane były do tyłu. Stał, niespiesznie paląc papierosa.

Pilot wychynął z kabiny i otworzył drzwiczki, następnie obniżył schodki. Trammel ruszył w naszą stronę, a na jego twarzy malowało się znużenie. Michele wysiadła pierwsza, ale nim zeszła na ziemię, Trammel dostrzegł mnie, i skrzywił się nieprzyjemnie. Nim zbliżył się do nas, spytałem:

- Od dawna razem pracujecie?

- Nie. Menedżer trasy to pomysł Charlesa i trzeba mu przyznać, że świetnie się sprawdza.

Zeszliśmy na ziemię, a drugi z pilotów wyniósł bagaże.

Michele podeszła do Trammela, a ja od razu zauważyłem, że nieważne dla kogo on pracuje, to ona wydawała rozkazy. Nie znam się na operze, ale jak każdy człowiek wiem, co oznacza słowo „diwa”. W ciągu dziesięciu sekund, które dzieliły wyjście z samolotu od spotkania z Trammelem, Michele zmieniła się nie do

poznania. Wyprostowała się i nabrała godności, jej twarz zdołał poważny i zacięty wyraz, a każdy krok był pełen energii i werwy. Podeszła do Trammela i przywitała się z nim, nie zwracając sobie jednak głowy przedstawieniem nas sobie.

- Weź bagaże, Bob.

Michele wsiadła do samochodu, pokazując, że chce, abym jej towarzyszył. Nie spojrzała nawet, czy Trammel wykonuje jej polecenia, po prostu miała pewność, że wszystko będzie tak, jak sobie zażyczyła. Kiedy na chwilę dotknęła mojej dłoni, poczułem jak przechodzi mnie przyjemny dreszcz. Jeszcze nigdy nie widziałem kobiety, której z taką łatwością przychodził autorytet władzy. W tym świecie Michele Sonnier była prawdziwą królową.

Trammel zatrzasnął bagażnik i zajął miejsce kierowcy.

- Mam nadzieję, że lot był udany? - spytał, spoglądając na mnie we wstecznym lusterku.

- Rozmawiałeś z Collinem? - Michele całkowicie zignorowała jego pytanie.

Trammel kiwnął głową.

- Zgodził się na zmiany bez najmniejszych oporów.

- Kim jest Collin? - spytałem Michele.

- Collin Graham to kierownik artystyczny festiwalu. Bardzo kochany człowiek. Dyryguje orkiestrą, jakby zamiast batuty trzymał młotek, ale poza tym jest uroczy. - Michele zamilkła i wyjrzała za okno, omiatając wzrokiem nieciekawy krajobraz przemysłowych przedmieść St. Louis. Wycofała się do swojego intymnego, wewnętrznego świata, mentalnie przygotowując się do występu. Spotkałby mnie srogi zawód, gdybym spodziewał się po tej podróży jakiejś prywatnej atmosfery. Od momentu lądowania

Michele stała się stuprocentową profesjonalistką. Za kilka godzin czekało ją wyzwanie, jakim był śpiew dla publiczności, która znała całą jej karierę i oceniała kolejny występ.

Przez resztę drogi na Uniwersytet Webstera, gdzie mieściło się Loretto-Hilton Center, Michele milczała jak zaklęta. Budynek był mniejszy, niż Fox Theater, choć różnica była ledwie zauważalna. Otoczony był ogrodem oraz parkiem, z egzotycznymi, bajecznie kolorowymi kwiatami i drzewami. Każdy szczegół cieszył oko, dlatego, wysiadając z samochodu, powiedziałem:

- Urocze miejsce.

- Tak, bardzo miłe i takie... intymne - przytaknęła Michele. - Poza tym ma świetną akustykę.

Ruszyła w kierunku drzwi, a kiedy chciałem pójść w jej ślady, zatrzymał mnie Trammel, kładąc dłoń na moim ramieniu.

- Znam cię - powiedział. - Widziałem cię na przyjęciu w Atlancie, a potem na zapleczu w Fox.

- Racja. Większość ludzi mówi do mnie Jack, więc i ty możesz.

Moja uprzejmość nie zrobiła na Trammelu wrażenia. Zmrużył oczy i syknął:

- Dzisiejszy występ jest bardzo ważny. Jestem pewny, że nie chcesz wchodzić w drogę, prawda?

- Racja, nie zamierzam przeszkadzać.

- Świetnie. Oranżeria jest po przeciwnej stronie budynku. Znajdziesz tam wszystko, czego potrzebujesz. Jeśli chcesz się napić, albo zjeść trochę owoców, proszę bardzo. Tam poczekaj.

Ruszyłem przez parking i przeszedłem przez tylne drzwi, za którymi przed chwilą znikła Michele. Na zapleczu teatru panował przedziwny rodzaj uporządkowanego chaosu. Ludzie biegali po

scenie, wprowadzając ostatnie poprawki. Grupka obdartych dzieci słuchała uważnie jakiejś kobiety, która udzielała im poleceń. Trammel pokazał mi metalowe drzwi na końcu korytarza i powiedział:

- To tam.

Ruszyłem posłusznie i znalazłem się w korytarzu prowadzącym do garderób. Żadna z nich nie należała do Michele, więc zmuszony byłem sam odnaleźć oranżerię. Nazwanie tego pokoju na zapleczu zimowym ogrodem było stanowczą przesadą. Za wystrój wnętrza służyło kilka sof, a na długim stole, który zajmował środek pomieszczenia, ustawiono kwiaty w doniczkach. W rogu pokoju stał barek, więc chwyciłem pierwszego lepszego drinka z brzegu i usiadłem na kanapie. Na ścianie wisiał telewizor, który przekazywał obraz z głównej sali. Co chwila artyści, ubrani w najróżniejsze kostiumy sceniczne, wchodzili do oranżerii i częstowali się owocami albo butelką wody mineralnej.

Nikt na szczęście nie próbował nawiązać ze mną rozmowy. Po godzinie milczących obserwacji przeniósłem wzrok na monitor. Ku mojemu zadowoleniu zobaczyłem na ekranie Michele, która rozmawiała z siwym mężczyzną we fraku. Najprawdopodobniej prosił ją o coś, ale z powodu braku fonii nie mogłem domyśleć się, o co mu chodziło. Jedno było pewne, spoglądała na niego ze znużeniem. W pewnym momencie zaczął wymachiwać ramionami i błagać ją o coś, ale położyła mu dłoń na ramieniu, kładąc kres jego tyradzie. Powiedziała kilka słów, odwróciła się na pięcie i wyszła. Mężczyzna coś do niej jeszcze wołał, ale po chwili machnął ręką i zszedł ze sceny. Do koncertu pozostało jeszcze trochę czasu, więc wyszedłem na spacer. Kiedy ledwie godzina

dzieliła mnie od rozpoczęcia, wróciłem za kulisy. Ponownie zacząłem się kręcić w okolicy garderób, aż w końcu natrafiłem na drzwi z tabliczką „Pani Sonnier”. Zapukałem ostrożnie.

Przez chwilę nikt nie odpowiadał, ale nagle drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanęła w nich na wpół ubrana w ozdobną suknię Michele. Jej włosy zebrane były z tyłu w kok, materiał kusząco odsłaniał część piersi.

- Gdzie jest Trammel? - spytała.

- Nie mam pojęcia - odparłem. - Coś się stało?

- Dyrygent jest idiotą, właśnie wyrzuciłam garderobianą, baryton chyba ogłuchł i śpiewa tak głośno, że mnie nie słychać.

- Czyli dobrze, że wpadłem.

- Dobrze na mnie wpływasz, wiesz? - odparła pytaniem, a z jej twarzy znikł wyraz primadonny.

- Miło mi to słyszeć.

- Pomożesz mi? - spytała, odwracając się do mnie plecami. Suknia była rozpięta do połowy i wyraźnie widziałem czarny biustonosz. Moje spojrzenie powędrowało niżej, wzdłuż szczupłych pleców i dostrzegłem górę od majteczek stanowiących komplet ze stanikiem.

- Co mam zrobić? - spytałem, siłą woli zmuszając się do oderwania wzroku od jej bielizny.

- Musimy poradzić sobie z tym - odparła, podając mi brązową suknię. Wyglądała na starą i znoszoną. Michele uniosła ręce do góry, i w końcu jakoś zdołaliśmy naciągnąć ją na głowę. Od pasa w dół suknia opadła sama.

- Rozumiem, że masz wyglądać na biedną? - spytałem.

- Tak, choć w paryskim rozumieniu ubóstwa.

- Wiem, o co chodzi.

- Czyżby, Jack? - spytała, mierząc mnie wzrokiem. Jej ton stał się nagle bardzo bezpośredni i oschły, jakby należał do cwanej dziewczyny z przedmieść. Nie wiedziałem, czy to przez chwilę spod maski wyjrzała prawdziwa Michele, czy też może to kolejna poza przybierana tak, jak role w różnych operach.

- Nie chodziłem nigdy głodny, ale wiem, co to znaczy być poza nawiasem.

- Tak myślałam - odparła, spoglądając na swoje odbicie w lustrze.

- Pójdę już - mruknąłem. - Trammel kazał mi siedzieć w oranżerii i się nie wtrącać. Zjem trochę sera.

- Baw się dobrze - odparła ze śmiechem. Nawet kiedy mówiła, jej głos pełen był muzyki. Rzuciła mi przelotne spojrzenie i dodała:
- Cieszę się, że tutaj jesteś, Jack. Dodasz mi otuchy... przyjacielu.

Spoglądałem na nią jak zauroczony. Na moich oczach przeobraziła się w ulicznego urwisa, będącego mieszaniną niewinności i uwodzicielskiego piękna. Jedyne, czego pragnąłem, to wziąć ją w ramiona i uchronić przed mrozem paryskiej zimy.

- Czas na mnie - szepnąłem.

- Tak - odparła i pocałowała mnie na pożegnanie. Siedząc w fotelu na zapleczu bez przerwy wspominałem dotyk jej ust na moim policzku.

Na salę zaczęli wchodzić pierwsi goście. Była to mieszanina studentów i starszych ludzi, jednak wszyscy sprawiali wrażenie znacznie mniej sztywnych, niż wielbiciele opery w Fox. Michele

zarezerwowała mi miejsce pośrodku piątego rzędu, które skwapliwie zająłem, oczekując jej występu.

Od początku coś mnie drażniło w operze. Z początku nie wiedziałem, o co może chodzić, ale im dłużej obserwowałem spektakl, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że w tej sztuce coś nie gra. Dopiero po pół godzinie spektaklu zorientowałem się, o co chodzi. Jak wyczytałem w informatorze, Puccini pochodził z biednej rodziny, jednak szybko zdobył sławę, pozycję i pieniądze. Kiedy pisał „La Boheme” był uznanym twórcą, który cieszył się bogactwem. W tym tkwił szkopuł. Każdy, kto się dorobi, idealizuje czasy, kiedy był biedakiem, zatracając prawdziwą perspektywę swego położenia. Ludzie opowiadają dyrdymały o tym, jak dobrze im było, kiedy nie znali bolączek bogatych ludzi.

Wiem, bo sam tak kłamałem, ale pod tym względem Puccini przewyższył mnie i wszystkich innych nowobogackich łgarzy. Obraz zimowego Paryża był tak przerysowany i podkoloryzowany, że nie powstydziliby się go sam Disney. Gdzież mu było do realiów biednych dzielnic Atlanty! Przedstawiciele bohemy: malarz, poeta i ich kompani, byli szczebiotliwi i radośni jak ptaszki z kreskówek. Przez większość czasu cieszyli się z tego, że są biedni. Jediną postacią, w której istnienie byłem gotów uwierzyć, była Mimi i to tylko dlatego, że umierała. Nie żebym nie wierzył, że w getcie nie można znaleźć odrobiny szczęścia. Widywałem je setki razy, jednak zawsze podszyte było ono nerwowością, rodzącą się ze świadomości, że w życiu człowieka nie ma nic pewnego. O tym Puccini zapomniał. Kiedy biedni ludzie się śmieją, robią to nie z wesołości, ale po to, aby nie poddać się okrutnemu losowi.

Bohaterowie „La Boheme” śpiewali o miłości i poezji, jakby nic innego na świecie się nie liczyło. Innymi słowy - byli bogaczami, którzy nie martwią się o dzień jutrzejszy i po prostu nie mają przy sobie żadnej gotówki. Prawda jest taka, że brak pieniędzy to straszna rzecz. Wielu biednych ludzi wam to powie. Johnny Cash nie zapomniał o tym.

Nie chcę przez to powiedzieć, że opera mnie nie zachwycała. Wręcz przeciwnie, była cudowna. Choć pod pewnym względem kompletnie mnie zawiodła, to pod innymi zrobiła ogromne wrażenie. Muzyka była tak oszałamiająca, że mogła złamać serce. W centrum uwagi wszystkich była Michele Sonnier, która śpiewała jak anioł zwiastujący przyjście Pana. Była równie dobra, jak w roli Romea, choć w innym sensie. Niekiedy śpiewała z delikatnością porcelanowej laleczki, innym razem zdawało mi się, że potrafiłaby strzaskać kryształ samą siłą swego głosu. Najwspanialsze były jednak te chwile, kiedy uwodziła publiczność pełnym zmysłowości głosem. Wiercie mi, nie było na sali mężczyzny, który nie byłby pod jej wpływem.

Wydaje mi się, że to jej talent trzymał nas w zauroczeniu. Inni śpiewacy starali się równie mocno, co ona, a nawet jeszcze bardziej. Pomimo to widziałem w ich oczach wyraz pewnej rezygnacji, zazdrości, smutku, a czasem złości. Pomimo całego wysiłku, pozostać muszą przecież w jej cieniu. Godziny ćwiczeń, śpiewania skal i wszystkich innych ćwiczeń, zdały się na nic. Po prostu nie byli w stanie jej przyćmić, ba, oderwać wzroku widzów od Michele, i choćby na krótką chwilę skupić go na sobie! Nieważne, kto stał obok niej, zawsze pozostawał w cieniu. Było tak, jak mówiła: na scenie wyśpiewywała swoją duszę. Opanowała

rzadką sztukę oddania się muzyce. Była szczerą i dlatego, w tamtej chwili, pomimo wszystkich obietnic, jakie sobie składałem, zacząłem ulegać jej czarowi. Nie jestem z tego dumny, ale też nie wstydzę się, że uległem urokowi Michele. Z perspektywy późniejszych wydarzeń wiem, że doszło do czegoś, czego nigdy nie zrozumieć. Bogatszy o wiedzę zdobytą z takim trudem, mogę powiedzieć, że przyciągało nas do siebie pragnienie zatracenia się bez reszty. Dla każdego z nas oznaczało to coś innego, ale sens był ten sam.

Zakochałem się. Na te słowa było jeszcze za wcześnie, choć przeczuwałem, co się święci. Jednak niekiedy wystarczy zrobić jeden krok, a droga sama człowieka poprowadzi. Być może właśnie wtedy gdzieś w mojej głowie powstała ta przedwczesna, prorocza myśl. Póki co doszło do sceny śmierci. Widziałem Michele w dwóch sztukach operowych, i w obu musiała umrzeć. Tym razem odchodziła za sprawą gruźlicy, której przyczyną było lodowate paryskie powietrze. Zacząłem się zastanawiać, czy śmierć nie jest immanentną częścią opery? Scena, w której Mimi oddawała ducha, była zupełnie różna od tej, w której umiera Romeo. Kurczowo czepiała się życia, walcząc o każdy oddech i kolejną sekundę, a obserwowanie Michele w tej roli było chwytającym za serce widowiskiem. Jej głos stawał się coraz cichszy i słabszy, a orkiestra delikatną muzyką podkreślała jedynie jego milknące echa. W końcu wydała z siebie ostatnią nutę, a wraz nią odetchnęła cała publiczność. Podobnie jak na widowni Foxa, tak i tutaj, jakaś część widzów umierała wraz z bohaterką. Tu i ówdzie ludzie popłakiwali. Czułem się tak, jak w

kaplicy, tyle że oprócz mnie setki obcych ludzi wzruszyły się do łez.

Przedstawienie się skończyło, zapadła cisza, a potem wybuchły owacje. Zza kulis poleciały na scenę kwiaty, a za nimi biegli widzowie, aby pogratulować gwiazdzie cudownego występu. Siedziałem nieruchomo w cieniu, z daleka obserwując ten spektakl. To nie był mój świat. Nie wiedziałem dlaczego, ale pośród tłumu, składającego jej gratulacje, Michele była samotna. Podobnie jak ja nie należała do tej rzeczywistości, i rozpaczliwie pragnęła odnaleźć swoje miejsce. W pewnej chwili spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i skinęła mi głową. Odwzajemniłem uśmiech, ale wtedy nasz kontakt się urwał. Wchłonął ją tłum wielbicieli i znikła.

Wyszedłem na zewnątrz, szukając chwili spokoju i świeżego powietrza. Na schodkach obok drzwi stał Trammel, paląc papierosa.

- Wspaniałe przedstawienie - powiedziałem, ale spojrzał na mnie tak, jakbym rozbił jego BMW.

- Co pan tutaj robi, panie Hammond? - spytał.

- Sam się zastanawiam - odparłem. - Zdecydowałem, że z odpowiedzią poczekam, aż ktoś mnie spyta.

- Czyli jesteś kolejną zabawką - parsknął pogardliwie.

- Słucham?

- Muszę tłumaczyć takie zasadnicze rzeczy? Zmierzyłem go wzrokiem. Oczy miał półprzymknięte, ale pobłyskiwała w nich inteligencja. Twarz wąska, nie do końca współgrająca z ciemnym garniturem.

- Chciałbym o coś spytać - powiedziałem, zmieniając temat. -
Czym się zajmuje menedżer tournée?

- Zazwyczaj inkasowaniem pieniędzy - odparł, wzruszając ramionami. - Poza tym mówieniem rzeczy, których Michele nie chce powiedzieć osobiście.

- Na przykład?

- W garderobie jest za zimno. Podano nie tę wodę mineralną, co trzeba. Scenograf to idiota. Poza tym żegnam w jej imieniu ludzi.

- Żegnasz?

- Tak, każę im odejść.

Staliśmy przez chwilę w milczeniu, a ja obserwowałem żarzącą się końcówkę jego papierosa.

- Często musisz to robić? - spytałem cicho.

- Kiedy tylko trzeba.

- Czemu ona nie robi tego sama?

- Bo to ja jestem od odprawiania ludzi.

- A co z Ralstonem? Na pewno mu się to nie podoba.

Trammel wzruszył ramionami.

- To już nie moja sprawa. Pan Ralston sam potrafi zadbać o swoje sprawy.

Zza naszych pleców dobiegły jakieś hałasy. Pierwsi śpiewacy opuszczali już budynek i kierowali się do swoich samochodów. Trammel rzucił niedopałek na ulicę i przydepnął go butem. Nim wrócił do swoich obowiązków, spytałem:

- Chciałbym dowiedzieć się czegoś jeszcze.

- Czego?

- Co się stało z ostatnim... przyjacielem Michele? Trammel uśmiechnął się złowieszczo i odparł jednym słowem:

- Odszedł.

* * *

Kiedy znaleźliśmy się na pokładzie samolotu, Michele ogarnęło zmęczenie po występie. Podszedłem do baru i zrobiłem drinka, o którego mnie poprosiła. Podałem jej szklanekę ze szkocką whisky z lodem, i usiadłem w fotelu. Wnętrze odrzutowca było jak ciepły, przyjazny kokon, chroniący nas od zgiełku i zamieszania. Siedzieliśmy obok siebie na podwójnej kanapie, a Michele oparła głowę o moje ramię i przymknęła oczy. Pozwoliłem jej zasnąć, obserwując, jak jej oddech stopniowo wyrównuje się i uspokaja. Leżała spokojna, rozluźniona i zrelaksowana. Była jak anioł, cudowna i doskonała, a na dodatek leżała w moich objęciach. Z bólem zdałem sobie sprawę, w którym kierunku dążą moje myśli, i uprzytomniłem sobie, że przecież ta kobieta jest żoną bogatego przemysłowca. Miałem w życiu już dość kłopotów, żeby wdawać się w romans z małżonką człowieka, który mógł mnie kupić z całym dobytkiem i długami. Wiedziałem doskonale, czym to grozi, bo wedle mojej własnej opinii byłem ekspertem od takich kłopotów.

- Trammel powiedział mi coś ciekawego po występie - powiedziałem. - Wiesz, w twoim zastępstwie dał mi kosza.

Michele uniosła głowę i spojrzała na mnie zdziwiona. W świetle lamp jej skóra była tak gładka, że ledwo oparłem się pokusie pogładzenia jej po policzku.

- Co dokładnie?

- Powiedział, że jestem zabawką.

Choć nie spodziewałem się tego po niej, roześmiała się na głos.

- Mogłam się tego po nim spodziewać.

- Czemu?

- Bo to taki rodzaj mężczyzny.

- Co masz na myśli?

- Od chwili, kiedy zaczęliśmy razem pracować, bez ustanku próbował mnie poderwać. Trwało to chyba ze trzy miesiące.

- Chcesz powiedzieć, że jest zwyczajnie zazdrosny i sfrustrowany?

- Kiedy w końcu zrozumiał że nie ma żadnych szans, obraził się na mnie. Jakie to typowe u mężczyzn. - Spojrzała na mnie znacząco. - Dlatego lubię ciebie.

- Bo już jestem ponurakiem? Uśmiechnęła się ciepło.

- Bo niczego nie próbujesz.

- Aha.

Michele wtuliła się jeszcze mocniej i pozwoliła, abym ją objął ramieniem. Koniuszki moich palców spoczywały na jej delikatnej skórze, tuż obok piersi. Minęły dwa lata od chwili, kiedy ostatni raz byłem tak blisko z kobietą, i kiedy tylko musnąłem ciało Michele, boleśnie zdałem sobie sprawę z każdego dnia tej samotności.

Siedziałem w milczeniu, czując, jak topnieje mój opór. Wiedziałem, do czego może zaraz dojść i zdawałem sobie sprawę, że nie oprę się pokusie. Choć wychowano mnie w duchu chrześcijańskim, i wiedziałem, iż jestem o krok od popełnienia grzechu, nie byłem w stanie nic zrobić. Człowiek może wycofać się z życia i trwać w swej samotni tylko przez pewien czas. W końcu jego uczucia i żądze staną się tak silne, że będzie musiał im ulec.

Im bardziej człowiek stara się zapanować nad nieokiełznaną stroną swojej duszy, tym silniej ona się broni i próbuje przejąć nad nim kontrolę. A może w tym nagłym przyływie emocji odnalazłem prawdziwego siebie?

W zasadzie nie pamiętam, jak się to stało. Wiem, że rozmawialiśmy o czymś, jednak nie pamiętam o czym. Zdawało mi się, że nie przekraczam żadnej linii. Michele ceniła mnie takiego, jakim jestem: cień dawnego prawnika, któremu z lepszych czasów pozostało jedynie kilka garniturów. Również dla mnie nic nie znaczył fakt, że jej małżeństwo było pozbawioną miłości formalnością, i że nosiła w sercu straszliwy sekret i poczucie winy, któremu, jak się miało później okazać, będę musiał stawić czoła. Ból spotkał się z bólem, a cierpienie z cierpieniem. Z tego zderzenia zrodziło się coś na kształt obopólnego zrozumienia. To właśnie daje siłę każdej prawdziwej miłości, o jakiej cokolwiek napisano, opowiedziano lub zaśpiewano.

Powiem wam coś i możecie mi całkowicie zaufać. Ludzie wolą niektóre rzeczy zachować w tajemnicy i żeby uchronić je przed wiedzą innych, potrafią nawet zabić. Jednak w głębi duszy pragną, aby ktoś je odkrył i się nimi zachwyił. Marzą o tym, aby zaakceptowano ich słabości. Kiedy kobieta przyjmie mężczyznę takim, jakim jest on naprawdę, będzie zgubiony. Przepadnie z kretesem.

Pamiętam swoje myśli. *Czego się boisz? Dlaczego nie zacząłeś kariery od początku? Dlaczego zadowolasz się siedzeniem w sądzie Odoma i zarabianiem kilkunastu dolarów od sprawy? Dlaczego nikogo nie pokochałeś? Dlaczego twoim najlepszym kumplem jest pijak i marny adwokacina? Dlaczego nie próbujesz wrócić na*

szczyt, z którego spadłeś? Dlaczego nie weźmiesz w ramiona tej cudownej kobiety, nie martwiąc się o to, co będzie później?

Choć te pytania dręczyły mnie gdzieś w głębi duszy, to na zewnątrz widać było jedynie przyspieszony oddech i rumieniec na twarzy. Próbowałem jeszcze nad sobą zapanować, ale było za późno.

Przejrzała mnie na wylot. Michele obserwowała mnie czujnym okiem i w lot pojęła, co się dzieje w mojej duszy. Wiedziona scenicznym doświadczeniem odkryła, co się dzieje w moim sercu i wykorzystwała tę przewagę. Nie wiem, kiedy musnęła moją twarz opuszkami palców. Wiem, że zamknąłem oczy, a jej dłonie wodziły po mojej szczęce. Kiedy dotknęła warg, otworzyłem oczy. Jej wargi były tak kusząco miękkie i wilgotne, rozchylone, jakby kryły odpowiedź na pytanie, które nigdy nie padło. Pochyliłem się i pocałowałem ją. Bóg mi świadkiem - tak długo nie byłem z kobietą, i po prostu miałem stracha, że zapomnę, co trzeba robić.

Kiedy patrzę na tamten wieczór z perspektywy czasu, mam wrażenie, że sprawy miały się inaczej, niż to sobie wyobrażałem. Chodzi mi o całą naszą znajomość, nie tylko o tamtą noc. Dystans czasowy zmienia sposób postrzegania niektórych rzeczy. Jakaś część mnie chce wierzyć, że to, co myślałem tamtej nocy, była prawdą. Nie wiem, jaka jest prawda. Fakt pozostaje faktem, że choć nieszczęśliwa w małżeństwie, Michele była mężatką. To, do czego doszło, nie było dobre. Jedno muśnięcie jej warg sprawiło, że zapomniałem o bogatych i biednych, białych i czarnych, złych i dobrych. Cofnąłem się do czasów, gdy nie było McDaniels Glen, podziału na lepszych i gorszych, do epoki przed Wojną Secesyjną, kiedy istnieli tylko ludzie nieznający pomiędzy sobą różnic.

Staliśmy się jednością, byliśmy sobą, nie obawiając się zdania innych i opinii, jakie mogą o nas wyrazić. Wiem tylko, że nikt mi nie odbierze tych cudownych, świętych chwil, oraz wolności, jaką dała mi wraz ze swym ciałem Michele Sonnier.

Rozdział trzynasty

Po miłosnym uniesieniu konfrontacja z rzeczywistością była jak trzęsienie ziemi. Kiedy samolot wylądował na płycie lotniska, weszliśmy nie tylko w duszną atmosferę miasta, ale i powróciliśmy do naszych własnych światów, których cele i realia były odległe od siebie o tysiące kilometrów. Pomogła nam w tym sama Atlanta, która wymogła na nas wejście w nasze role, jak gdyby nigdy nic się pomiędzy nami nie stało. W tym mieście jest miejsce dla miłości. Są parki, po których można się przechadzać pod rękę, są przedmieścia, gdzie można się cieszyć ułudą spokoju i bezpieczeństwa od wszelkich zagrożeń świata. Atlanta tkwi w tym stanie zaprzeczenia, skąpana w delikatnym świetle popołudniowego słońca, tego samego, które prażyło niegdyś na plantacjach bawełny, doprowadzając do omdlenia pracujących tam niewolników. Mimo tego piękno Atlanty nie poddaje się i trwa w wietrzyku owiewającym ulice, w rozkwicie drzew i delikatnej architekturze. Skąpane w blasku miasto chętnie pograża się w swej iluzji. To, czego można doświadczyć za sprawą Atlanty, można też porównać do uczucia, które powstaje w sercach zakochanych. Kiedy szedłem z Michele u boku, nie pragnąłem niczego innego, jak zaszyć się gdzieś w uroczych zaułkach i po prostu z nią być.

Daleko nam jednak było do pary szczęśliwych kochanków. Na domiar złego stanowiliśmy dwa przeciwieństwa: ona była mężatką, ja kawalerem. Ona miała czarną skórę, ja białą. Dzieliła nas zamożność: ona miała fortunę, ja ledwo wiązałem koniec z

końcem. Michele należała do świata kultury rodem z salonów, ja słuchałem Johnny'ego Casha.

Miałem niezliczone powody, żeby przed nią uciekać. Najważniejszym z nich był chyba fakt, że bez trudu otworzyła drzwi, które zatrzasnąłem za sobą z chwilą, kiedy pochowałem Violettę Ramirez.

Nawet zakazana miłość musi się stosować do pewnych niepisanych zasad. Nie miałem najmniejszych wątpliwości, że nie powinniśmy się spotykać. Nie wiedzieliśmy jeszcze, co tak naprawdę nas ze sobą połączyło, ale na pewno nie było to chwilowe uniesienie i dzika żądza. Dlatego zrobiliśmy to, co robiła każda para kochanków, od Romea i Julii poczynając, a na czasach obecnych kończąc: zapragnęliśmy uciec gdzieś razem, gdzie zawistne oczy nas nie dostrzegą, a okrutne prawa tego świata nie będą miały nad nami żadnej władzy.

Umówiliśmy się na spotkanie po południu następnego dnia. Przez cały ranek chodziłem jak otepiały, widząc jedynie jej twarz i wspominając dotyk jej dłoni. Tego dnia w sądzie Odoma miałem jedną sprawę, którą wygrałem z zamkniętymi oczami. Mój klient był gotów walczyć aż do śmierci, ale oskarżenie miało przeciwko niemu mocne dowody. Został sfilmowany, jak kupuje od tajniaka heroinę. Na szczęście było to jego pierwsze wykroczenie i zdołałem go przekonać, że warto iść na ugodę, dzięki której szybciej wyjdzie na wolność. Żałuję, że wyjrzałem potem przez okno, bo zobaczyłem limuzynę z ciemnymi szybami, zza których dudnił hip-hop, czekającą na mojego klienta. Kiedy tylko przyznał się do winy i zgodził na obowiązkową terapię od uzależnienia, wyszedł na zewnątrz, wskoczył do środka i odjechał z kumplami. Dawno temu

zaakceptowałem, że jestem tylko adwokatem, nie zbawcą i choć potrafię wybronić moich klientów przed sądem, nie jestem w stanie zmienić ich życia. Oferowałem im taką pomoc, jakiej byłem w stanie udzielić. Co zrobią później, to sprawa między nimi a Bogiem.

O trzeciej po południu byłem umówiony z Michele w Virginia Highlands, niewielkiej artystycznej dzielnicy w północnej części centrum Atlanty. Highlands to iluzja optyczna, która może człowieka przekonać, że różnorodne kultury potrafią ze sobą koegzystować w pokoju. Tego dnia ulice Highlands wyglądały niesamowicie: mieniły się wszystkim barwami tęczy i rozbrzmiewały dziesiątkami różnych języków. Wysocy rastafarianie w kolorowych strojach z dreadami mijali wojownicze feministki, obrzucając je zaciekawionymi spojrzeniami. Młodzi, brodaci muzułmanie przechodzili obok palących papierosy, odważnie ubranych dziewczyn i wymieniali zdawkowe, grzeczne powitania, szczerze się przy tym uśmiechając. Spacerując ulicami można było przez chwilę uwierzyć, że McDaniels Glen nie istnieje.

Michele ubrana była w luźną sukienkę w kolorach purpury, pomarańczy i czerni, które przy każdym jej ruchu tworzyły coraz to nowe, fascynujące wzory. Na lewym nadgarstku miała trzy bransolety, a włosy ciasno związała z tyłu, pozwalając kucykowi opadać swobodnie na plecy. Jej stroju dopełniały ciemne okulary, które zapewne miały jej pomóc ukryć prawdziwą tożsamość, choć nie podejrzewałem, aby w Highlands ktoś rozpoznał diwę operową.

Dzielnica jest Mekką ludzi, którzy chcieli się poczuć awangardą i przy tym za bardzo się nie wychylać. Sklepy New Age

sąsiadowały z restauracjami wegetariańskimi, które z kolei znajdowały się obok kramów z kadzidłami, bambusowymi dzwonekami i talizmanami. Odwiedziliśmy z Michele kilka z nich, oglądając towar. Szczerze mówiąc, nie czułem się tutaj dobrze, moje pojęcie o modzie ogranicza się do podziwiania sukien, a w zasadzie noszących je pięknych kobiet. Michele z kolei czuła się jak ryba w wodzie: w jednym miejscu przymierzyła parę azjatyckich kolczyków, w innym skórzany pas obszywany materiałem, później koszulę obszywaną strzępkami kolorowego materiału. Cieszyłem się jej widokiem, jak z entuzjazmem ogląda materiał lub z niesmakiem spogląda na parę dziwacznych butów.

Cieszyłem się każdą sekundą naszej wyprawy. W miejscu, gdzie Budda, Jezus i Mahomet jakoś się dogadywali, nie było miejsca dla podziałów na czarnych i białych. Po prostu byliśmy mężczyzną i kobietą, z czego obydwójce czerpaliśmy ogromną przyjemność. Pamiętam każdą godzinę, minutę, nawet sekundę z tego krótkiego okresu naszej szczęśliwości. Cały czas oddziaływał na nas urok tego, do czego doszło ubiegłej nocy. Syciłem się jej widokiem, zdawkowymi słowami, sposobem chodzenia i krótkimi chwilami, kiedy muskaliśmy się dłońmi. Atmosfera naładowana była seksem, a każda chwila groziła tym, że ponownie rzucimy się na siebie.

Ciepłe, słoneczne popołudnie odcisnęło na nas swoje piętno. Przechadzaliśmy się spokojnie, bez pośpiechu, z zainteresowaniem oglądając wystawy sklepów, w końcu zatrzymaliśmy się w „Darkhorse Tavern”, gdzie zjedliśmy wczesny obiad, popijając go winem. W restauracji nie było praktycznie żadnych gości, nie nadeszła jeszcze godzina obiadowego szczytu.

Jedliśmy spokojnie, podbierając i podsuwając sobie nawzajem smakowite kąski. Czas płynął leniwie, nie wchodząc nam w drogę. Powoli zaczął zapadać zmierzch.

Niektóre przyjemności są tak słodkie, że aż trudno je znieść. Miłość rozdzierała mi serce, kiedy patrzyłem na Michele. Siedzieliśmy i rozmawialiśmy, całkowicie nieświadomi tego, co się dookoła nas działo. Musiało upłynąć trochę czasu, bowiem w restauracji zaroilo się od gości. Z zaskoczeniem rozejrzeliśmy się po okolicznych stolikach i odkryliśmy, że w większości zajmują je same pary. Ucieszyliśmy się. Całe miasto zdawało się osiągać wewnętrzny spokój, idąc za naszym przykładem. Po kilku kieliszkach Michele powiedziała:

- Teraz twoja kolej.

- Na co?

- Opowiedz mi coś o sobie. Prawdę mówiąc, nic o tobie nie wiem, a to jest nie fair - wyjaśniła z uśmiechem. - Wiem tylko tyle, że świetnie całujesz.

- Naprawdę?

- Tak, doskonale ci to wychodzi.

- W takim razie, czego chcesz więcej?

- Nie żartuj. Gdzie się wychowałeś?

- W Dothan, w stanie Alabama. To miasto podobne do Nowego Jorku, tyle że bardziej wyrafinowane.

- Jack! Pytałam całkowicie poważnie.

- Znasz te bzdury, które opowiadają o małych miasteczkach amerykańskiego Południa?

- Tak.

- Można je między bajki włożyć. Michele roześmiała się perlistym śmiechem.

- No nie, aż tak źle na pewno być nie może. Masz chyba jakieś pozytywne wspomnienia?

- Pewnie nie zlinczowano by nas za publiczne pocałunki, chociaż kto wie?

- Czyli jednak jest pewien postęp. Pokiwałem głową.

- Miałem fajnego dziadka. To był dobry człowiek, który prowadził uczciwie życie.

- Czym się zajmował?

- Próbował zmienić ugór w uprawną ziemię. Imał się wszystkiego, od hodowli kurczaków, po kukurydzę i alpaki.

- Alpaki? Słyszałam o swetrach z alpaki.

- Tak, dokładnie.

- Nie żartujesz sobie ze mnie?

- Nie. Szczerze mówiąc, z dziadka był kiepski farmer, ale nigdy nie narzekał. Pewnie robił to, kiedy mnie nie było w pobliżu. Potrafił przejść na piechotę dziesięć kilometrów, żeby pomóc sąsiadowi, albo położyć się spać głodny, byleby dzieci nie zaznały głodu. W czasie II wojny światowej był działonowym na Pacyfiku. Kiedy o nim myślę, nie potrafię zrozumieć, co się do cholery dzieje z tym krajem. W sali sądowej Odoma zawsze się zastanawiam, czy przypadkiem jedno pokolenie nie zapomniało wydorosnąć.

Michele pokiwała głową na znak, że się ze mną zgadza.

- A co z twoimi rodzicami?

- Byli ulepieni z tej samej gliny, co dziadek. Też uprawiali ziemię. Niestety, już nie żyją, ale doczekali czasów, kiedy przenieśliem się do Atlanty.

- W tym jesteś podobny do mnie.
- Nie rozumiem.
- Udało ci się wydostać z getta.
- Chyba tak.

Zapłaciłem rachunek i ruszyliśmy w drogę powrotną do naszych samochodów. Zapadał już zmrok, dlatego objęliśmy się ciasniej. Kiedy przechodziliśmy obok otwartych drzwi knajpy, z jej wnętrza dobiegły nas dźwięki muzyki. Michele przystanęła i zaczęła słuchać. To był blues, muzyka zrodzona ze smutku i niewoli, która jak żadna inna poruszała serce.

- Chodźmy - powiedziała po chwili, ciągnąc mnie do środka.
- Nie sądziłem, że lubisz taką muzykę.
- Lubię każdą, oprócz Johnny'ego Casha, kochanie.
- Czemu tak się uwzięłaś na człowieka w czerni? On by cię pokochał.

Kiedy przekomarzaliśmy się, z klubu wyszła czule objęta para. W środku zobaczyłem zespół na scenie i niewielki parkiet, na którym tańczyły pary.

Weszliśmy do środka i wmieszaliśmy się w tłum. Nieważne, gdzie jest grany i przez kogo, blues zawsze pozostaje muzyką Południa. Z jednego, prostego powodu: niesie ze sobą równą miarę bólu i radości, które są naszym wkładem w lekcję moralności dla świata. Z tego właśnie powodu w duszy każdego Południowca jest miejsce dla bluesa. Poczuliśmy się tu jak w domu. Znaleźliśmy sobie wolny stolik, usiedliśmy i zamówiliśmy drinki. Michele usiadła wygodnie, ale jej ciało pulsowało rytmem muzyki. Obserwowałem ją przez chwilę, aż zauważyła i powiedziała:

- Chodźmy potańczyć.

- Chyba żartujesz.

Spojrzała na mnie zadziornie i z cwaniackim uśmieszkiem rzuciła:

- Ruszaj tyłek, białasie.

Wyszliśmy na parkiet, a Michele oddała się muzyce bez reszty. Wolna i nieskrępowana, była wcieleniem zmysłowości. Przywarła do mnie, i razem zaczęliśmy wirować na parkiecie.

Zabawną cechą ludzkiego mózgu jest to, że potrafi skoncentrować się wyłącznie na jednej rzeczy i nie zwracać uwagi na cały Boży świat. Tak się stało z nami, otoczenie przestało mieć jakiegokolwiek znaczenie, dostrzegaliśmy jedynie siebie. Zatraceni w muzyce, która zawsze będzie przypominała nam o tym, kim jesteśmy i co przeszliśmy, zjednoczyliśmy się z tłumem. Są takie chwile, kiedy szczęście równa się zapomnieniu, a dzięki muzyce i poczuciu wspólnoty z innymi ludźmi osiągnęliśmy naszą nirwanę. Liczyła się tylko ta chwila, rytm i melodia, oraz słodka radość płynąca z miłości. Gdyby ta noc mogła trwać wiecznie, byłbym najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Zostawiliśmy samochód Michele w Highlands i pojechaliśmy do mnie moim buickiem. Kiedy zaparkowałem przed domem, ostrzegłem ją, żeby nie spodziewała się niczego specjalnego po moim mieszkaniu:

- To zdecydowanie nie jest Four Seasons - powiedziałem gorzko. Nagle jednak uderzyła mnie myśl, że nie przyjechała tutaj ze mną, żeby podziwiać meble, a dlatego, że chciała być ze mną. Pocałowałem ją pod wpływem chwilowego impulsu. Odpowiedziała z dzikością, jakiej się nie spodziewałem, oplątując mnie

ramionami i przez kilka długich chwil mój samochód był świątynią najprawdziwszej miłości na Ziemi.

Wchodząc do mieszkania, które było smutne i zapuszczone, przechodząc po wytartym dywanie i mijając podniszczone sprzęty, mały telewizor i uginającą się kanapę, poczułem się mały, bezradny i zagubiony. Wstydziłem się tego, że nie stworzyłem tutaj prawdziwego domu, którym mógłbym się pochwalić. To była nora, która służyła za sypialnię i nic więcej.

- Urocze mieszkanie.

- Tak - odparłem z przekąsem. - Bywają takie dni, że nie mogę wysiedzieć w pracy i z niecierpliwością odliczam godziny do powrotu. Wtedy cieszę się tymi luksusami aż do bólu. Chcesz się czegoś napić?

- Dziękuję, niczego nie potrzebuję.

- Wiem o tym doskonale. Daj mi chwilkę, dobrze?

Wymknąłem się do sypialni, aby ją co nieco ogarnąć. Kiedy wróciłem, Michele oglądała dyplom, który trzymałem jako pamiątkę z dawnych czasów.

- „Certyfikat Sądu Najwyższego, wedle którego Jack L. Hammond może zasiadać w tej szacownej instytucji dla stanu Georgia, o czym zaświadczą podpisy” - wyrecytowałem z pamięci.

- Czemu nie powiesiłeś go w biurze? - spytała Michele.

- Wątpię, aby zrobił wrażenie na mojej obecnej klienteli.

Michele wstała z kanapy i podeszła do mnie, spoglądając bardzo poważnym wzrokiem.

- Musisz się wziąć w garść - powiedziała, obejmując mnie ramionami. - Może będę w stanie ci pomóc?

Pocałowała mnie delikatnie i namiętnie zarazem.

- W czym?

- W odbudowaniu życia - odparła i spojrzała mi w oczy. Nie wiem za bardzo, co się potem zdarzyło, bo ponownie zatraciliśmy się we wzajemnym pożądaniu. Tym razem nie pozwoliłem jednak wziąć góry dzikiej żądz, jaka opanowała nas w samolocie, ale świadomie kochałem się z nią, dając jej jak najwięcej rozkoszy i radości.

Znacznie później, kiedy leżeliśmy w łóżku, włączyłem płytę Billy'ego Joe Shavera, tę na której śpiewa o miłości, która odchodzi i ginie. Michele słuchała jej przez piętnaście sekund, a potem powiedziała:

- To tak tandetna muzyka, że nie znajduję słów, aby ją opisać.

- Wydawało mi się, że lubisz każdy rodzaj muzyki? Michele zamilkła i jeszcze przez chwilę słuchała piosenki, a potem odparła:

- Myliłam się.

- Hej! - zachnąłem się na niby. - Przecież to muzyka, zupełnie, jak „La Boheme”.

- Coś ty powiedział? - spytała z udawanym gniewem. - Nie waż się mnie dotykać.

- Przecież on śpiewa o miłości, o tym, że trzeba się nią cieszyć, radować każdą jej chwilą, bo jest ulotna i może zniknąć.

- Wydaje mi się, że śpiewał, że ona na pewno się skończy.

- Racja. On i Puccini mówili o tym samym, różni ich tylko rodzaj zakończenia.

Michele roześmiała się głośno.

- Dobrze, ścierpię tego szarpidruta, jeżeli obiecasz, kochanie, że dokończysz to, co zacząłeś.

- Praca, praca, praca - mruknąłem, muskając ustami jej ciało. Całowałem jej zgrabne nogi i ku swemu zdziwieniu odkryłem tatuaż na wewnętrznej stronie uda. Poprzednio go nie zauważyłem, ale teraz dostrzegłem litery układające się w słowa „Dama Pikowa”. Michele zaczęła głęboko oddychać, odwracając głowę. Chwyciła mnie dłonią za kark i podciągnęła do góry. Zaczęliśmy całować się jeszcze namiętniej, niż przed chwilą, a ona wyszeptała w pewnym momencie:

- To żadna tajemnica. Widać go, kiedy mam na sobie kostium kąpielowy, choć mało kto wie, jaki jest jego sens.

Michele przywarła do mnie, całując zachłannie i mocno. Na kilka następnych godzin zapomnieliśmy o całym świecie, zadowolając się tylko swoją obecnością. Zatraciliśmy się w rapsodii dotyku i rozkoszy, opadając w słodki niebyt.

Zasnęliśmy. Spałem tak spokojnie, jak nie zdarzyło mi się od lat. W zasadzie nigdy nie lubiłem dzielić z kimś łóżka, ale rytmiczny oddech uspokoił mnie i ukoił. Po raz pierwszy od dawna zaznałem spokoju, a koszmary przeszłości na jakiś czas odeszły w niepamięć.

Kiedy się obudziłem, siedziała w fotelu, obserwując mnie w milczeniu. Uśmiechnąłem się i wstałem z łóżka.

- Już się ubrałaś? - spytałem. - Która godzina?

- Zamówiłam sobie taksówkę - odparła. - Nie chciałam cię budzić.

- Daj spokój, odwiozę cię do twojego auta.

- Lepiej nie - odparła, kręcąc głową. Obwinałem się kocem i powiedziałem:

- Wezmę sobie dzień wolny, spędzimy go razem.

- Mam trochę spraw do załatwienia. Rzeczywistość odcisnęła swe nieuniknione piętno na bańce mydlanej naszej miłości. Michele miała swoje życie, w którym nie było dla mnie miejsca. Nie mogłem przecież zapytać, co takiego ważnego ma do zrobienia, ponieważ odpowiedź zniweczyłaby wszystko to, co razem stworzyliśmy.

Z podjazdu dobiegł sygnał klaksonu. Michele wstała, a ja podszedłem do niej, i objąłem ją czule. Nie pytałem, kiedy się ponownie zobaczymy, bo nie chciałem zburzyć resztek wczorajszego szczęścia. Niekiedy pytania o przyszłość potrafią zepsuć najpiękniejszą teraźniejszość.

Przez cały ranek, kiedy brałem prysznic i się goliłem, powtarzałem jej imię. Wypowiadałem je niczym zaklęcie, kiedy szukałem ubrania w szafie i jedzenia w lodówce. Szeptalem w samochodzie i kiedy stałem na czerwonym świetle w strugach deszczu. Wypowiadałem je, wchodząc po schodach, które prowadziły do mojego biura, jednak kiedy otworzyłem drzwi, od razu straciłem humor.

W biurze zastałem trzy osoby: poważnego sierżanta Fridaya, jego tłustego partnera i Blu.

- Co się dzieje z twoją komórką, Jack - powiedziała, wyrrywając mnie z błogostanu. - Od dwudziestu minut usiłuję się z tobą skontaktować.

- Nie wiem - odparłem, kompletnie zbity z tropu. - Pewnie się rozłądowała. Co tutaj jest grane?

- Włamanie - odparł bezbarwnym, pełnym profesjonalnego znudzenia tonem Friday. - Musimy sprawdzić, czy nic nie zginęło, wtedy będzie to włamanie z kradzieżą.

- Nic nie rozumiem - odparłem, rozglądając się dookoła. Dopiero teraz zauważyłem, że drzwi pomiędzy moim biurem, a recepcją są otwarte. Pomimo działającej klimatyzacji, powietrze było duszne. Wszedłem do gabinetu i zauważyłem, że okno za biurkiem jest otwarte. Na podłodze leżały porozrzucone papiery, jakby ktoś w nich szperał. Wróciłem do poczekalni i spytałem Blu:

- Nic się nie stało? Nie ukradli nic z twoich rzeczy? Pokręciła głową, choć widziałem, że myśl o tym, iż ktoś szperał w jej rzeczach, wstrząsnęła nią nie na żarty.

- Ma pan dosyć szemraną klientelę - powiedział grubas. - Może to któryś z nich.

- Nie wiem, dajcie mi chwilę.

Pomimo zaskoczenia sytuacją, miałem wrażenie, że coś jest nie tak. Zacząłem krążyć po biurze, uważnie rozglądając się dookoła. Wszystko zdawało się być na swoim miejscu, ale nie opuszczało mnie jakieś nieokreślone, złe przeczucie. W końcu spojrzałem na biurko, przy którym siedział Koszmar i zdałem sobie sprawę, co się stało. Zniknął komputer Douga.

Rozdział czternasty

Człowiek najbardziej boi się nieznanego. Strach, kiedy już zna się jego przyczynę, traci swoją moc. Zło potrafi na długo sparalizować myśli i czyny. Z początku szepcze ostrzeżenia, ale wkrótce potem przeradza się w ciężar, którego nie sposób się pozbyć. Człowiek, który padł ofiarą napadu czy włamania, zaczyna mieć poczucie winy, które sprawia, że staje się przeczulony i nadwrażliwy, a przez to wszędzie tam, gdzie tylko spojrzy, szuka przyczyny spadających na niego nieszczęść. Mnie trapiło przecucie, że włamanie było jakoś powiązane z tym, jak spędziłem zeszłą noc z Michele. Czy to przypadek, że ktoś wdarł się do mojego biura, kiedy ja kochałem się z nią w moim łóżku? A może to Bóg z jednej strony dawał mi rozkosz, a z drugiej doprawił ją goryczą?

Wina. W świątku prawniczym to kluczowe słowo. Nic dziwnego, że podsądni nie są uznawani za niewinnych, a za tych, którzy nie popełnili zarzucanego im czynu. Sędzia nie używa słowa „niewinny”, bo podświadomie zdaje sobie sprawę, podobnie jak wszyscy inni, że człowiek nie może być niewinny. Po prostu to pojęcie nie pasuje do ludzi. Nic dziwnego, że kiedy zorientowałem się, co się wokół mnie dzieje, uznałem włamanie za karę, która spadła na mnie, ponieważ uwiodłem cudzą żonę. Nieważne, że się w niej zakochałem, to przeze mnie dopuściła się zdrady.

Przestraszyłem się. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłem po wyjściu policjantów, było zwolnienie Blu do domu. Widziałem że jest roztrzęsiona i zdenerwowana, a sam zamierzałem wyjść z biura, dlatego nie chciałem, aby siedziała w nim sama, podskakując ze strachu, kiedy tylko usłyszy najdrobniejszy hałas. Spojrzała na

mnie z wdzięcznością w oczach, zebrała swoje rzeczy i prawie wybiegła. Usiadłem za swoim biurkiem i zadzwoniłem do Koszmara. Nie zdziwiłem się, kiedy nie podniósł słuchawki, więc tylko zostawiłem wiadomość, że zniknął komputer Douga. Dla Koszmara godzina dziewiąta rano była środkiem nocy. Przez chwilę się zastanawiałem, co też mój kompan robił w nocy i czyj komputer szpiegował. Potem rozparłem się w fotelu i zacząłem myśleć. Ktoś bardzo chciał tego, co znajdowało się w komputerze Douga. Pierwsza ewentualność była jak najbardziej oczywista: Horizn. Kazali Dougowi szpiegować konkurencję, a teraz, kiedy Townsend umarł, nie mogli pozwolić, aby informacje o tym wydostały się na zewnątrz. Kradzież była najprostszym rozwiązaniem, a do mnie ta teoria nadzwyczaj przemawiała. Była prosta i bardzo prawdopodobna. Niestety, była też druga możliwość, że Doug został zabity nim przekazał swojemu zleceniodawcy informacje i ktoś ukradł komputer, aby nikt inny nie dokończył transakcji. Jeśli to była prawda, oznaczało, że w sprawę zamieszany jest ktoś jeszcze.

Tak czy owak, musiałem się zobaczyć z Billym Little. Jeżeli sprawy miały przybrać niewesoły obrót, wolałem mieć go po swojej stronie. Szpiegostwo przemysłowe to jedna rzecz, morderstwo to już zupełnie inna para kaloszy. Szczerze mówiąc, wszyscy zdają sobie sprawę, że firmy takie jak Horizn starają się monitorować poczynania konkurencji. W obliczu ryzyka wielomilionowych strat nie cofnęliby się nawet przed kradzieżą z włamaniem. Wsiadłem w samochód i pojechałem do biura Billy'ego w City East Hall.

Wpadłem na niego w hallu, kiedy wychodził z za rogu korytarza. Zderzenie się z Billym jest jak uderzenie w kamienny

mur.

- Cześć, Billy - powiedziałem. - Właśnie cię szukałem. Możemy pogadać u ciebie w biurze?

- Jasne. Idź tam. Przyjdę, jak tylko zdobędę trochę kawy.

Ruszyłem korytarzem i zaczekałem przed drzwiami do jego gabinetu. Wrócił po chwili, niosąc dwa kubki. Podał mi jeden i wpuścił mnie do biura, zamykając za sobą drzwi.

- Co się dzieje? - spytał, siadając za biurkiem. Zająłem miejsce naprzeciwko i odparłem bez ogródek:

- Zeszłej nocy miałem włamanie do biura.

- O cholera, Jack. Strasznie mi przykro. Pojawili się mundurowi?

- Tak, spisali protokół.

- Wiesz, chłopie, mieszkasz i pracujesz w fatalnej okolicy.

- Nie sądzę, aby zrobił to ktoś z sąsiedztwa.

- Czemu?

- Ktoś zadał sobie sporo trudu, wchodząc po cichu, zwłaszcza że zginęła tylko jedna rzecz. Komputer Douga Townsenda.

Billy uniósł brwi w zdziwieniu.

- To twój zmarły klient, prawda?

- Tak. Mój własny komputer stał dwa metry dalej, ale nikt go nie ruszył.

- Może ktoś spłoszył włamywaczy?

- To całkiem możliwe, ze śladów wnioskuję, że wynieśli się szybko.

- Rozumiem.

- Problem tkwi w tym, co znajdowało się na twardym dysku komputera Douga. To były dosyć ciekawe i... niespotykane dane.

Billy upił łyk kawy i powiedział:

- Myślę, że powinieneś opowiedzieć mi wszystko, od początku do końca.

- Doug nie był zwykłym ćpunem - wyjaśniłem. - Był bardzo zdolnym człowiekiem.

- W jakim sensie?

- Komputery. Szczerze mówiąc, włamał się na serwer firmy Grayton Technical Laboratories i ich szpiegował.

Billy spochmurniał.

- Twój kumpel był hakerem?

- Tak, a na dodatek, jak wieść gminna niesie, świetnym. - Billy chciał coś powiedzieć, ale uciszyłem go gestem dłoni. - Nie wkurzaj się, nic o tym nie wiedziałem, dopóki nie obejrzałem jego komputera.

- Mów dalej.

- Doug spenetrował dane Grayton i nagle przedawkował.

Billy siedział przez chwilę w milczeniu, a potem mruknął:

- Narkomani umierają niespodziewanie, ale zainteresowałeś mnie, więc mów dalej.

- On umarł po tym, jak włamał się na serwer firmy. Kilka tygodni później ktoś włamuje się do mojego biura i kradnie jedynie jego komputer. To nie była zwykła kradzież, Billy. Ktoś dokładnie wiedział, czego szuka.

- Czym zajmuje się firma Grayton Technical Laboratories?

- Medycyną, opracowują nowe formuły leków. Eksperymentalne środki, nowe terapie. Nie zdążyłem zebrać o nich więcej informacji. Problem w tym, że działają na tym samym poletku, co Horizn.

- Czekaj, czekaj, nie tak szybko - powiedział Billy. - Szpiegostwem przemysłowym zajmuje się FBI. Policji nic do tego.

- A co z włamaniem? Komputery zwykle nie dostają nóg i nie wychodzą same przez okno!

Billy siedział w milczeniu i zastanawiał się przez chwilę.

- Pozwól, że cię o coś spytam, Jack. Dlaczego nie powiesz prosto z mostu, co masz na myśli?

- Nie rozumiem.

- Próbujesz mi dać do zrozumienia, że Charles Ralston ma coś wspólnego ze śmiercią twojego przyjaciela. To jakaś teoria spiskowa, jak nic!

- Jest możliwość, że on za tym stoi.

- Owszem, choć moim zdaniem jest niewielka. Pozwól, że dam ci inny przykład. Ilu ćpunów broniełeś w ciągu ostatnich kilku lat?

- Bo ja wiem? Tylu, ilu się dało. Będzie ich ponad stu.

- Przyjmijmy, że dokładnie tylu. Ilu z nich miało włamania na koncie? Sześćdziesięciu?

- Nie wiem, Billy...

- Przyjmijmy, że minimum sześćdziesięciu, bo ja uważam, że nawet osiemdziesięciu, jak nie więcej. Próbuję ci powiedzieć, że przez twoje biuro przewijają się ludzie, którzy ciągle potrzebują pieniędzy i nie cofną się przed kradzieżą. - Wzruszył potężnymi ramionami. - Nie mówię, że tak było i że nie masz racji. Ale dla mnie to jedna z bardziej prawdopodobnych ewentualności. Jeśli bym się miał założyć, postawiłbym na kogoś, kto żyje z kradzieży.

- To byłby niesamowity zbieg okoliczności.

- Owszem, racja, ale zanim wezwę FBI, otworzę sprawę o morderstwo i oczernię jednego z prominentnych obywateli

Atlanty, pozwól, że zastanowię się nad bardziej prawdopodobnymi i przyziemnymi ewentualnościami. Mam rację?

- Nie - odparłem, wstając z krzesła.

Billy podniósł się z fotela i uścisnął mi dłoń.

- Dzięki za szczerłość, Jack, zawsze cię za to ceniłem. Jeśli o mnie chodzi, myślę, że uganiaś się za cieniem.

Ruszyłem do drzwi i zatrzymałem się na chwilę.

- Może masz rację, ale to mój cień.

Do biura wróciłem o jedenastej. Zadzwoiłem do Koszmara, ale hrabia Dracula nie wstał jeszcze z trumny. Opadłem na swój fotel, zdając sobie sprawę, że muszę wykonać jeszcze jeden telefon, choć w tych okolicznościach wolałbym jednak go uniknąć. Niemniej, Michele zasługiwała na to, aby wiedzieć że ktoś ukradł komputer Douga. Istniała możliwość, że jakieś informacje o jej córce znajdowały się w jego pamięci i ktoś znalazł się w ich posiadaniu. Być może złodzieja wcale one nie obchodziły, ale gdyby wypłynęły, Michele miałyby poważne kłopoty.

Wybrałem jej numer. Odebrała po jednym sygnale. Kiedy usłyszałem jej głos w słuchawce, zrobiło mi się gorąco. Przed oczyma stanęły mi obrazy poprzedniej nocy i zapragnąłem jeszcze raz zatracić się w jej ramionach, poczuć smak jej ust. Jak bardzo chciałem, aby wszystko stało się prostsze. Chciałem po prostu z nią być, nie martwić się o Douga, zaginioną córkę i wszechpotężnego męża Michele. Czekala, aż się odezwę, a ja nie potrafiłem wydobyć z siebie ani słowa.

- Włamano się do mojego biura - powiedziałem w końcu.

- Nic ci się nie stało? - spytała poważnym tonem.

- Nie - odparłem. - Ktoś zabrał komputer Douga. Włamali się zeszłej nocy, kiedy byliśmy razem.

- O Boże, Jack! A co, jeśli...

- Wiem, ale nie popadajmy w panikę. Gdyby Doug coś wiedział, powiedziałby ci natychmiast.

- Mam złe przeczucia, Jack. Musimy coś szybko zrobić.

- Znamy datę jej urodzenia i prawdziwe imię. Poszukiwania zajmą nam trochę czasu.

- Nie mamy go, Jack. Obawiam się... Boję się, że ona jest w McDaniels Glen.

- Glen? Skąd ta myśl? Czy Doug ci coś powiedział?

- Pomyśl, Jack. Doug napisał, że „ona jest tutaj”. Musiało mu chodzić o dzielnicę.

- Skąd wiesz, gdzie mieszkał?

- Powiedział mi. Napisał, że musimy się spieszyć, więc jest prawdopodobne, że grozi jej niebezpieczeństwo.

- Posłuchaj, czy przeszło ci przez myśl, że ona może mieć rodzinę, przyjaciół, chodzić do szkoły i świetnie się czuć? - Sam nie wierzyłem w to, co mówiłem, ale zbyt często obcowałem z nieszczęściem, żeby myśleć tylko o nim. Czasem, dla zachowania zdrowia psychicznego, wyobrażałem sobie ludzi, którzy po prostu spokojnie żyją i nie mają nic wspólnego z narkotykami i adwokatami. Michele nie była przekonana.

- Setki razy o tym myślałam, ale nie sądzę, aby miała tyle szczęścia.

- Nie popadaj w czarnowidztwo. To włamanie może nie mieć żadnego związku z twoimi sprawami.

- Wiem, Jack. Po prostu musimy zacząć coś robić i to natychmiast.

- Co proponujesz? Mamy chodzić od drzwi do drzwi i pytać?

- Czemu nie?

- Po pierwsze to nic nie da, ale poza tym... Prędzej, czy później ktoś cię rozpozna, bo jesteś znaną osobą, Michele. Wtedy sprawą zainteresuje się prasa i rozpęta się piekło.

- Na miłość boską, Jack! Czy tobie się wydaje, że ludzie z Glen chodzą do opery?

- Niekoniecznie, ale istnieje możliwość, że widzieli cię na okładce jakiegoś czasopisma. Ludzie zapamiętują różne dziwne rzeczy.

- W takim razie to nie ja będę jej szukała - zaskoczyła mnie.

- Wybacz, ale samotny, biały facet, pytający o czarną dziewczynkę w Glen to bardzo podejrzany widok.

- Będziesz w biurze około trzeciej po południu?

- Tak, a czemu pytasz?

- Nigdzie się nie ruszaj.

* * *

Za pięć trzecia wyjrzałem przez okno i zobaczyłem szarego lexusa, który wyglądał jak ten należący do Michele. Lexus zaparkował przed budynkiem. Auto zatrzymało się dokładnie pod oknem, dlatego nie mogłem zobaczyć, kto siedzi za kierownicą. Ktokolwiek to był, czekał, nie wysiadając z samochodu. Wyszedłem z biura, aby przyjrzeć się dokładniej tajemniczemu kierowcy. Od czasu włamania zrobiłem się straszliwie podejrzliwy.

Kiedy podszedłem do auta, boczna szyba opuściła się, i jakaś kobieta powiedziała:

- Cześć, Jack.

Przez chwilę stałem jak osłupiały. Znałem ten głos, należał do Michele, tyle że jego właścicielka wyglądała zupełnie inaczej, niż kobieta, z którą spędziłem wczorajszą noc.

- Mój Boże - szepnąłem. - Co ty ze sobą zrobiłaś?

Chcąc uniknąć rozpoznania, Michele przeobraziła się z operowej diwy w zwykłą dziewczynę z miejskiego getta. Wszystko uległo zmianie, od uczesania, po wygląd i ubiór. Miała na sobie wytarte, brudne spodnie i o dwa numery za dużą koszulkę z logo uniwersytetu Miami. Spod pogniecionego kapelusika wystawała szopa nieuczesanych włosów, a na nosie miała tanie okulary przeciwsłoneczne. Gdyby nie siedziała w lexusie i była trochę bardziej nerwowa, nie odróżniłbym jej od moich klientów.

- Wyglądasz strasznie - dodałem po chwili.

- To świetnie - odparła. Podniosła szybę i wysiadła z samochodu, zamykając drzwi na klucz. - Pojedziemy twoim samochodem.

Nagle zdałem sobie sprawę, że jest niższa, niż mi się wydawało. Spojrzałem na jej buty i zobaczyłem, że ma na nogach zwykłe trampki.

- Nie mówisz poważnie, prawda?

- Jack, czy ci się to podoba, czy nie, wybieram się do Glen. Możesz jechać ze mną, albo zostać. Wybór należy do ciebie.

- Nie myślisz chyba, że pozwolę ci jechać tam bez eskorty?

- Bez ciebie będę tam bezpieczniejsza.

Michele miała rację. Czarna dziewczyna w towarzystwie białego mężczyzny z pewnością przyciągnie uwagę miejscowych.

- To się nie uda - odparłem. - Daj spokój, przemyślmy to przez chwilę.

- Nie mam już więcej czasu. Przez czternaście lat zbierałam się, aby to zrobić. Muszę odnaleźć moją córkę.

- W takim razie jadę z tobą - odparłem. Dziwna rzecz, ale kiedy podjąłem decyzję, przyszła mi do głowy maksyma profesora Spence'a. Rzecz w tym, że obawiałem się, iż może ona działać też w drugą stronę: jeśli człowiek babrze się w szambie, w końcu kłopoty same go znajdą. - Cholera, nie pozwolę ci samej włóczyć się po Glen.

Pojechaliśmy do mnie do domu, ponieważ musiałem się przebrać. Zmieniłem garnitur na koszulę i dżinsy, a do ich tylnej kieszeni wepchnąłem telefon komórkowy.

- Jesteś gotów? - spytała Michele.

- Tak, jedźmy.

Przejechaliśmy całe miasto i do Glen dotarliśmy około czwartej po południu. Zatrzymałem się przed bramą wiodącą do dzielnicy. Chciałem o coś spytać Michele, ale jedno spojrzenie na jej twarz sprawiło, że zapomniałem, co miałem powiedzieć. Z grymasem strachu spoglądała na miejsce, z którego w pewnym sensie się wywodziła. Do tej pory nie przyszło mi na myśl, że taki powrót może być dla niej trudny.

- Chcesz zawrócić? - spytałem, ale ona tylko pokręciła głową. Jak zafascynowana wpatrywała się w metalową bramę i mur, który okalał cały dystrykt.

- Wygląda jak wejście do Auschwitz - powiedziała. - Śpiewałam kiedyś w Polsce, w Warszawie i pojechaliśmy na wycieczkę do obozu koncentracyjnego. Po polsku nazywa się Oświęcim, ale Niemcy przemianowali go na Auschwitz. Do obozu prowadzi identyczna brama, ale nie zdawałam sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczyłam tej.

Przypomniałem sobie niegdyś oglądane zdjęcia obozu, i spojrzałem jeszcze raz na bramę. Michele miała rację, brakowało tylko słów „Praca czyni wolnym”. Zrozumiałem, że Michele dręczy poczucie winy, ponieważ to właśnie jej udało się wyrwać z tego piekła, a inni musieli tu zostać.

- Bóg jeden wie, czy nam się uda, ale warto spróbować - wyszeptałem.

W pobliżu bramy utknęliśmy w niewielkim korku. Zdziwiło mnie to, ilu mieszkańców Glen pracuje. Mimo wszystko pełno tu było nastolatków, którzy stanowili prawdziwe niebezpieczeństwo. Człowiek, który żyje w takiej dzielnicy, wie, jak należy zinterpretować pewne znaki. Zdaje sobie sprawę, które żarty mogą okazać się niebezpieczne, wie, w jaki sposób nie wolno mówić i gestykulować. Potrafi rozpoznać niebezpieczeństwo i go uniknąć. Jeśli zna się ten system, można wieść bezpieczne, nawet spokojne, a czasem dostatnie życie. Wiem o tym doskonale, bo widziałem tego przykłady. Ludzie potrafią zachować resztkę godności i stworzyć przyjazną życiu atmosferę nawet w takim piekle jak Glen. Niestety, z racji mojej pracy obracałem się głównie w kręgach, których przedstawiciele obierali inną ścieżkę. Spojrzałem na zegarek, była czwarta po południu, co oznaczało, że mamy jeszcze kilka godzin do zmroku.

- Jedź powoli - powiedziała Michele. - Poznam ją, jak tylko ją zobaczę.

- Mówisz poważnie?

Spojrzała na mnie urażona, ale odparła:

- Masz rację. Może powinniśmy popytać miejscowych? Znamy jej prawdziwe imię i datę urodzenia. Może ktoś sobie coś przypomni?

Skinąłem głową i zwolniłem. Przez kilka minut jeździliśmy ulicami, rozglądając się dookoła. Wiem doskonale, że człowiek darzy okolice, w których się wychował, specjalnym uczuciem, ale nie sądziłem, że można mieć miłe wspomnienia z Glen. Najwidoczniej się myliłem, bo Michele rozglądała się po okolicy ciekawie i z łezką w oku. Budynek, które dla mnie były szare i identyczne, dla niej miały tysiące szczegółów i połączonych z nimi wspomnień. W Glen nic się nie zmieniało, ta dzielnica była jak żywa skamielina. Życie, które się tutaj toczyło, z jego radościami, smutkami, tragediami i rzadkimi chwilami szczęścia, nie miało wpływu na okolicę, podobnie jak zmiany w życiu skazańców na ich więzienie. Domy przypominały cele, a to, co się w nich działo, nie wykraczało poza cztery ściany.

- Tutaj stawał autobus szkolny - mruknęła Michele. - Czekaliśmy na niego w kolejce, jak gąski za matką.

Kazała mi skręcić w lewo, a ja zrobiłem to, o co mnie prosiła.

- To moja ulica - powiedziała. - Patrz tam! Mój Boże, Jack!

- Tu mieszkałaś?

Nie odpowiadała przez chwilę. Patrzyła tylko na dom, a Bóg jeden wie, jakie wspomnienia musiała wynieść spomiędzy tych ceglanych ścian. W końcu szepnęła:

- Są pewne tajemnice, o których nie wolno rozprawiać na głos - wyszeptała.

- Bardzo mi przykro - powiedziałem. Nic nie mogłem zrobić, w żaden sposób jej pocieszyć. Dzielili nas takie różnice, że zrozumieć mogliśmy się jedynie w niewielkim stopniu.

Oderwała na chwilę wzrok od swojego domu i spojrzała na budynek po przeciwnej stronie ulicy.

- Mieszkała tam miła dziewczyna. Przyjaźniłyśmy się.

Z ciemnej klatki schodowej dawnego domu Michele wyszła grupa wyrostków.

- Spytam ich, może coś wiedzą.

- Poczekaj... - Nim zdążyłem ją zatrzymać, wysiadła i ruszyła w ich stronę. Obrzucili ją wzrokiem, który aż ociekał od pożądania. Chłopcy, niezależnie od tego, gdzie się wychowują, zawsze zachowują się tak samo, zwłaszcza jeśli są w grupie.

- Co jest, kochanie? - rzucił jeden z nich, zbliżając się szybkim krokiem.

- Spadaj, mały - odparła, a jej głos w ułamku sekundy zmienił się do poznania. Znikła operowa diwa, a jej miejsce zajęła twarda dziewczyna z sąsiedztwa. Patrzyłem na nią zdziwiony. W jej mowie, postawie, zachowaniu, widać było, że jest pewna siebie i domaga się szacunku.

- Panna ma gust, nie chce cię, Dario - roześmiał się drugi.

- Ej, mała, nie bądź niemila - powiedział pierwszy, jeszcze bardziej przysuwając się do Michele i prawie dotykając jej ramienia. - Polubisz mnie, jak z tobą skończę.

- Spieprzaj na szczaw - warknęła, a w jej głosie pobrzmiwały złowróżbne nutki. Nie wiedziałem, co mam ze sobą zrobić.

Wiedziałem, że ta kobieta poruszała siłą swego śpiewu tłumy, a teraz była w stanie zastraszyć młodocianych bandziorów. Dla mnie świat wywrócił się do góry nogami, choć gdzieś w głębi duszy tknęła mnie myśl, że być może właśnie wrócił on do stanu normalności. Wiem jedno, spoglądając w oczy Michele, Dario zrozumiał, co do niego mówiła i się wycofał. Pełen obaw i wątpliwości, otworzyłem drzwi i wysiadłem.

- To twój kochaś, skarbie? - spytał Dario.

- Szukam kogoś - rzuciła Michele, ignorując chłopaka. - Ten, który mnie doprowadzi do tej osoby, dostanie pięćdziesiąt dolarów.

- Wal, złotko. Kogo szukasz?

Michele jeszcze raz puściła jego uwagę pomimo uszu i powiedziała do całej grupy:

- Szukam dziewczynki. Ma czternaście lat i nazywa się Briah Fields.

- Taaa. Kojarzę ją - mruknął Dario.

Michele nadal nie raczyła na niego spojrzeć, tylko mierzyła wzrokiem pozostałych.

- Czy któryś z was ją zna?

Zapadła cisza, ale jeden z wyrostków pojął, o co jej chodzi i odparł:

- Tak. Mieszka na Trenton Street, budynek M. Widziałem ją kilka dni temu.

- No dalej, złotko - powiedział Dario, stając obok Michele. - Byłem pierwszy. Daj pieniądze, to cię do niej zaprowadzę.

- Zobaczysz je, kiedy ją znajdę.

Chłopak zorientował się, że nie naciągnie Michele, i zachmurzył się. Chciałem coś powiedzieć, ale nie wiedziałem, czy

nie pogorszę sytuacji. Kiedy zdecydowałem, że lepiej zabrać głos, zauważyłem ruch po mojej lewej. Zobaczyłem radiowóz. Toczył się wolno po ulicy i dzieliły go od nas cztery przecznice.

Chłopcy cofnęli się, a Dario spoglądał z wściekłością na Michele. Policyjny samochód przejechał obok, a gliniarze, jeden biały i jeden czarny, spojrzeli na nas podejrzliwie. Kilka metrów dalej zatrzymał się, i policjanci zaczęli wysiadać. Rozejrzałem się dookoła. Michele znikła. Bez wątpienia gliniarze ją zauważyli.

Cholera, pomyślałem. Mundurowi podeszli do nas i jasne było, że patrolem dowodzi wysoki sierżant, podczas gdy jego mniejszy kompan zabezpiecza tyły.

- Co jest grane? - spytał sierżant.

- Nic - odparł jeden z chłopaków. Dario znikł gdzieś w tłumie. Żaden z wyrostków nie patrzył gliniarzom w oczy, wszyscy wpatrywali się w asfalt. To była jedna z zasad obowiązujących na ulicy. Policja domaga się bezwzględnego autorytetu i ludzie traktują gliniarzy jak bogów. Nie przesadzam. Jeśli człowiek nie wchodzi im w drogę, zostawiają go w spokoju, przymkną nawet oko na małe szwindle. Jeśli nadeptnie się im na odcisk, mogą zamienić życie człowieka w piekło. W gettach dzieci z mlekiem matki wysysają poddańczą postawę wobec glin, dlatego kontakty z przedstawicielami prawa ograniczają się do krótkich i rzeczowych odpowiedzi na zadawane pytania.

Oficer podszedł do mnie i rzucił:

- Dokumenty.

- Oczywiście - odparłem, wyciągając portfel i pokazując mu legitymację.

- Co cię sprowadza do raju na ziemi?

- Jestem obrońcą. Szukam informacji o kliencie.

- Doprawdy? Kogo takiego szukasz, koleś? Może ja i Bobby go już przymknęliśmy?

- Pewnie chodzi o nią.

Pierwszy z policjantów podszedł do mojego samochodu i zaczął zaglądać do środka. Dzieciaki odsunęły się, robiąc mu miejsce. Gliniarz pewnie się zastanawiał, czemu adwokat jeździ taką kupą złomu.

- Nie przyjechałeś tutaj, żeby kupić jakieś świństwo, prawda?

- Nie, panie władzo.

Policjant zajrzał do środka przez uchylone okno. Cofnął się i spytał przewrotnie:

- W takim razie nie masz nic przeciwko temu, żebym zajrzał do środka?

- Mam.

- Słucham? - spytał niższy. - Masz coś do ukrycia? Bobby, on chyba coś kombinuje.

Dzieciaki zeszywniały, obserwując spektakl. Ja byłem biały, ale oni sprawowali tutaj władzę absolutną, dlatego żaden z nich nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Obserwowali nas zaciekawieni, jak naukowiec przeprowadzający eksperyment. Chciałem nawet utrzyć nosa gliniarzom, ale nie miałem na to czasu.

- Jeżeli stosuje pan formalną prośbę o przeszukanie pojazdu, to odmawiam.

Dla wszystkich obecnych, to co powiedziałem miało siłę trzęsienia ziemi. Oczy zebranych skupiły się na policjancie. Dzieciaki z zapartym tchem czekały na jego reakcję. Szacunek był

tym, co chroniło go w getcie lepiej niż kamizelka, mundur i odznaka. Miałem nadzieję, że nie będzie ryzykował, ale ten gliniarz należał do upartych typów.

- Mam rację, ten pan przyjechał kupić sobie prochy - powiedział jego partner. Podeszedł do samochodu i zajrzał do środka.

Nie rób tego, pomyślałem. Daj sobie spokój i nie szukaj kłopotów.

- Pytam jeszcze raz - powiedział policjant. - Czy dajesz mi oficjalne pozwolenie na przeszukanie tego samochodu?

- Nie.

Sięgnął ręką do klamki i kiedy jej dotknął, powiedziałem:

- Sięgam teraz do kieszeni, panie władzo. Mówię to, aby nie pomylił się pan i nie sięgnął po broń. Zrozumiano? - Policjant zamarł bez ruchu, spoglądając na mnie z groźbą w oczach. - Telefon - wyjaśniłem, powoli wyciągając go z kieszeni.

Zrobiłem to powoli, aby nie mogli mnie oskarżyć o niebezpieczne zachowanie. Uchyliłem klapkę i dodałem:

- Oto, jaki macie wybór: ja zostaję tutaj z twoim partnerem, a ty jedziesz do sądu, gdzie próbujesz przekonać prokuratora, aby wydał ci nakaz rewizji za to, że stoję na rogu i rozmawiam z ludźmi. Jako, że jestem tam znany, możesz mieć z tym problemy, ale to nie jest mój kłopot. Drugie rozwiązanie jest takie, że otworzysz drzwi, a ja zadzwonię do Billy'ego Little'a, a on już ci się dobierze do dupy.

Policjant zmierzył mnie wzrokiem. Był wściekły i zdawał sobie sprawę, że wdepnął w niezłe szambo.

- Znasz go?

- Uratowałem mu życie w Iraku - odparłem. - W przeciwieństwie do ciebie, on przejmuje się zasadami prawnymi, więc możesz mieć problemy. Twój wybór. Szczerze mówiąc, nawet mam ochotę go na ciebie nasłać, więc dalej, otwieraj drzwi. Daj mi powód.

Choć byłem mocny w gębie, to wiedziałem, że sytuacja jest napięta. Dookoła nas zebrał się całkiem pokaźny tłum dzieciaków, które uczyły się i zapamiętywały, jak biały stawia się policji. Mógłbym im powiedzieć, iż nie ma to nic wspólnego z moim kolorem skóry, że to podstawowe zasady prawa. One wiedziały swoje. Po dzień dzisiejszy nie wiem, kto miał rację: ja, czy policjanci.

Sierżant cofnął się. Widziałem, że podjął decyzję, ale był wściekły.

- Nadal twierdzę, że masz prochy w samochodzie - powiedział. - Skoro zamierzasz zasłaniać się konstytucją, to dobrze. Spieprzaj mi stąd.

- Pewnie nigdy mi się to nie znudzi - odparłem. - Żyję z tego.

- No to zjeżdżaj, bo w przeciwnym wypadku cię aresztuję.

- Najpierw muszę znaleźć mojego klienta.

- Mamy tutaj pewne zasady, panie mecenasie - powiedział złośliwie. - Jeśli nie mieszkasz w okolicy, musisz mieć zaproszenie. Kogo bronisz?

Sierżant miał rację. Glen było zamkniętą dzielnicą. Spojrzałem na zaułek, w którym znikła Michele i zdałem sobie sprawę, że jej nie znajdę. Banda tych chłopaków mogła w każdej chwili ruszyć jej tropem, a wtedy...

- Panie oficerze...

- Tak myślałem. Zjeżdżaj stąd.
- Posłuchaj mnie...
- Jeszcze jedno słowo, a cię przymknę.

Rzuciłem ostatnie spojrzenie na budynki i wróciłem do samochodu, nic więcej w obecnej chwili nie mogłem zrobić. Jeżeli Michele będzie potrzebowała mojej pomocy, to z więzienia nie będę mógł jej udzielić. Wsiadłem do buicka i ruszyłem. Tłum zaczynał się rozchodzić, tylko garstka dzieciaków obserwowała, co robi policja. Radiowóz ruszył i jechał za mną do chwili, kiedy opuściłem Glen. To była najdłuższa jazda w moim życiu. Gdybym zatrzymał się choć na chwilę, i nie byłby to obowiązkowy postój na skrzyżowaniu, aresztowaliby mnie bez wahania. W końcu przejechałem przez bramę, a gliniarze zaparkowali na zewnątrz muru, obserwując mnie uważnie. Nie było sposobu, abym wrócił tu przed północą, kiedy zmieniały się patrole. Nocna eskapada do Glen była śmiertelnie niebezpieczna, i nie chciałem podejmować tego ryzyka. Wyjąłem komórkę i wybrałem numer Michele. Dzwonek z tylnego siedzenia powiedział mi, że zostawiła telefon w samochodzie. Rozłączyłem się i siedziałem nieruchomo, zastanawiając się, czy mam dość odwagi, aby za nią pojechać. Wiedziałem, że muszę to zrobić. Gorzej, że ostatnim razem, kiedy usiłowałem ocalić kobietę, zginęła.

Rozdział piętnasty

W moim życiu bywały takie dni, które przelatowały w okamgnieniu. Kiedy siedziałem w moim samochodzie, dwie przecznice od bramy wjazdowej do Glen, minuty wlokły się niemiłosiernie wolno. Nic nie mogłem zrobić, aby pomóc Michele.

Oczywiście wyobraźni widziałem najgorsze sceny. Moje myśli pędziły jak oszalałe, kiedy zachodziłem w głowę, co się działo z Michele. Z drugiej strony, powinna dać sobie radę: wychowała się w tej okolicy, i znała ją jak własną kieszeń. Powiedziała, że beze mnie jest bezpieczniejsza w Glen, niż ze mną. Istniała spora szansa, że moje obawy są całkiem bezpodstawne. Getto nie poddaje się łatwo racjonalnej analizie. Choć kwitnie przestępczość, to ludzie przeżywają tam całe życie, nie padając ofiarą zbrodni. Inni z kolei cierpią tak, że człowiek się dziwi, jak dotrwali do trzynastych urodzin. Jedno wiedziałem na pewno, Glen było wszechświatem samym w sobie.

Po godzinie takich rozmyślań zamknąłem oczy i bezsilnie jęknąłem. Michele nie może się za bardzo pokazywać na ulicach. Gliny znają tutaj każdego i szybko się zorientują, że jest obca. Jeśli ją przymkną, prasa szybko się dowie, że wspaniała Michele Sonnier w przebraniu wymknęła się do najgorszej dzielnicy Atlanty i wybuchnie potworny skandal. Charles Ralston się wścieknie. Musiałem założyć, że Michele wie, co robi. Nie miała jednak wpływu na okoliczności i Bóg jeden wie, w jakiej była teraz sytuacji. Prawda była taka, że musiałem się wziąć w garść i po nią wrócić.

W sądzie Odoma nauczyłem się od moich klientów jednej przydatnej rzeczy: czasem zgrywanie wariata mogło uratować skórę. Jeżeli człowiek znajdzie się w sytuacji bez wyjścia, normalne zachowanie mu nie pomoże, ale ciskanie się i piana na ustach mogą go wyciągnąć z tarapatów. Po kilku godzinach beczynnego siedzenia zrobiłem najgłupszą rzecz na świecie: wyjąłem z kieszeni portfel, opróżniłem go z banknotów i wsadziłem je do schowka na rękawiczki. Założyłem czapkę baseballową na głowę i wysiadłem z samochodu. Zamknąłem drzwi i ruszyłem w kierunku Glen. Kiedy tylko zobaczyłem bramę, przystanąłem. W świetle zachodzącego słońca radiowóz błyszczał jak nowy. Gliniarze siedzieli na tyłkach, czatując na mój powrót. Przebiegłem kilka przecznic, omijając ich szerokim łukiem i skręciłem w boczną alejkę. Wziąłem najgłębszy wdech w życiu i rozejrzałem się na prawo i lewo, a potem przeskoczyłem przez mur, który oddzielał McDaniels Glen od reszty świata. Pół minuty później zeskoczyłem po drugiej stronie, stając się najbliźszym białasem w Atlancie. Wstałem na nogi i stwierdziłem, że jestem też najgłupszym człowiekiem w mieście. Po pierwsze: mój przyjaciel i klient dał się zabić. Po drugie: przekonałem się, że był po uszy zakochany w światowej klasy śpiewaczce operowej. Po trzecie: zgodziłem się jej pomóc w poszukiwaniach zaginionego dziecka. Po czwarte: szwendałem się po McDaniels Glen w jej poszukiwaniu, podczas gdy zaczynał właśnie zapadać zmrok. Po piąte: zaczynałem podejrzewać, że to nie inni przynoszą mi pecha, ale wręcz odwrotnie, ja sprowadzam go na nich.

Byłem kilka przecznic od miejsca, gdzie ostatni raz widziałem Michele. Ruszyłem biegiem, ale przeciąwszy dwie ulice

przestałem się bać, że Dario i jego kołesie zrobią Michele krzywdę. Wpadłem na nich, kiedy wyszli zza rogu. Kiedy tylko mnie zobaczyli, rozpierzchli się i otoczyli mnie ze wszystkich stron.

- Cześć, dupku - rzucił Dario. - Trenujesz na olimpiadę?

- Tak, dokładnie - odparłem, zmuszając się do uśmiechu.

- No to, kurwa, strasznie kiepsko ci idzie - powiedział inny z chłopaków. Sądząc z zadyszki przebiegłem ze trzysta metrów, a sił mogło starczyć ledwie na drugie tyle. Oni tymczasem byli u szczytu sił. - Coś mi się widzi, że nie zdobędziesz żadnych medali.

- A tam. Jeszcze zobaczysz, że będę na okładce płatków śniadaniowych - odparłem, rozglądając się za Michele. - Zarobię milion dolarów na reklamach.

Chłopak roześmiał się głośno. Może faktycznie go rozbawiłem, a może nie chciał, jak Dario, od razu komuś przyłożyć.

- Kawał zabawnego z ciebie palanta - powiedział. Dopiero teraz zauważyłem na jego ramieniu tatuaż domowej roboty. Była to ośmioramienna gwiazda. Jest kiepsko.

- Staram się jak mogę - odparłem, nie zwalniając kroku.

Jeden z chłopaków zabiegł mi drogę. Prawą nogawkę spodni miał podwiniętą wyżej niż lewą, co, tak jak gwiazda, było symbolem Folks Nation, gangu czarnoskórych, który w Glen był bardzo silny. Nie miałem wątpliwości, że spuszczą mi manto nie dlatego, że jestem biały, ale dlatego, że wszedłem na ich teren bez pozwolenia. Wierście mi, zacząłem się pocić ze strachu. Jezus Maria, pomocy, myślałem.

Rozejrzałem się dookoła. Byliśmy w okolicy, gdzie ostatni raz widziałem Michele. Oczywiście, istniała pewna szansa, że już jej

tu nie ma, ale pomimo to biegłem. Dario i jego koleś nie odstępowali mnie na krok.

- Podoba mi się twoja czapka - powiedział niski chłopak.

Czy to nie zabawne, że proste zdanie, wypowiedziane w pewnych okolicznościach, może być deklaracją nienawiści, albo poważną groźbą. Podoba mi się twoja czapka. Jeżeli spotka się dwoje znajomych i jeden z nich tak powie, to będzie komplement. Takie zdanie rzucone w knajpie to początek zwykłego podrywu. W obecnych okolicznościach znaczyło jednak: jesteś udupiony. Jeżeli mi jej nie oddasz, dołożę ci. Jak mi ją dasz, też ci przywalę, bo okażesz się słabeuszem.

Zatrzymałem się nagle. Wiedziałem doskonale, że jestem po uszy w tarapatach, każde wyjście było złe. Ale skoro do Glen zaprowadziło mnie szaleństwo, może ono pozwoli mi wyjść cało z opresji?

Nasz mały tłumek się zatrzymał. Chłopcy krążyli wokół mnie jak głodne wilki, a Bóg jeden wie, co im przez głowy przechodziło. W ich oczach widziałem ciekawość: co mogło skłonić człowieka do takiego ryzyka, jakie ja podjąłem? To była moja szansa, skoro wzięli mnie za świra. Może dzięki temu uda mi się ocalić skórę. Musiałem zacząć coś robić.

- Lubisz owsiankę? - spytałem Daria. - Co?

- Owsiankę - powiedziałem. - Zastanawiałem się, czy ją lubisz, bo ja uwielbiam. Uważam, że to pokarm godny bogów.

Zaskoczeni chłopcy wybuchli nerwowym śmiechem.

- O czym ty gadasz? - spytał zbity z tropu Dario.

- Moja czapka - odparłem chichocząc. - Nie mogę wam jej oddać, bo co rano jem z niej owsiankę.

- On jest szurnięty - powiedział, któryś z chłopaków.

- Taaaaa - przytaknął mu niższy. - Jest zupełnie popieprzony.

Chłopak, który chciał moją czapkę, burknął:

- Wali mnie to. I tak ją chcę.

- Z czego rankiem będę jadł owsiankę? - spytałem, a dzieciak cofnął się o kilka kroków. Przez chwilę miałem spokój. Wydawało mi się, że zostawią zwariowanego białasa w spokoju. Będę mógł znaleźć Michele, wrócimy do miasta i odwiezę ją do domu. Nie zauważyłem lewego sierpowego, który zbił mnie z nóg. Nie wiem, co się działo później.

Rozdział szesnasty

W mojej głowie rozbrzmiewały dźwięki „Gwiazdzistego Sztandaru”. Niestety, ten kto grał jego melodię, potwornie fałszował. Na tle nocnego nieba wybuchały fajerwerki, a na mnie sypały się płonące skry. Czułem, jak każda z nich wżera się w moją skórę, parząc i piekąc do żywego. Otworzyłem oczy, ale białe światło przeraźliwie mnie raziło.

- Obudź się! Już po wszystkim.

Niechętnie rozchyliłem powieki i wybełkotałem:

- Cssssoo jesssst...

- Leż i się nie ruszaj. Straciłeś przytomność.

Jęknąłem i wymamrotałem coś niezrozumiale pod nosem. Bolało mnie praktycznie całe ciało. Przypomniałem sobie ostatnie wydarzenie, i zdałem sobie sprawę, że gówniarze porządnie mnie złoili. Spróbowałem usiąść, ale mięśnie odmówiły posłuszeństwa.

- No już - powiedział głos. - Rozluźnij się. Otworzyłem oczy, chcąc przywyknąć do jasnego światła. Byłem w jakimś mieszkaniu i leżałem na sofie. Bezpośrednio nade mną wisiał żyrandol.

- Mogłem cię zabrać do szpitala - ciągnął dalej głos, którego właściciela nie mogłem dostrzec. - Ale nie było sensu. Nie przyłożyli ci tak mocno, żebym musiał czekać pięć godzin na izbie przyjęć, zanim ktokolwiek raczy cię obejrzeć.

- Dobrze sobie - mruknąłem i to było pierwsze składne zdanie, jakie wypowiedziałem. Obróciłem głowę w lewo i zobaczyłem, że w fotelu siedzi, uśmiechając się do mnie, Jamal Pope.

Trzeba wiać, pomyślałem, ale moje ciało było innego zdania. Nie miałem siły, żeby ruszyć palcem.

- Jak się tutaj dostałem?

- W Glen nic się nie dzieje bez mojej wiedzy - odparł. - Królik cię przywiózł.

- Przypomnij mi, żebym mu wysłał kartkę z podziękowaniami na święta - odparłem. - Muszę już lecieć.

Spróbowałem wstać, ale nogi odmówiły mi posłuszeństwa.

- Wyluzuj - powiedział Pope. - Nie musisz się nigdzie spieszyć. Odpocznij i wtedy sobie pójdziesz. - Wstał i wyszedł do kuchni. Rozejrzałem się dookoła i stwierdziłem, że Pope nie marnował pieniędzy na głupoty typu wyposażenie mieszkania. Meble były stare i zużyte, nie różniły się niczym od reszty sprzętów w innych domach w Glen. Ciekawe, na co przeznaczzał pieniądze, które zarabiał na prochach. Moje rozmyślenia przerwał kolejny spazm bólu.

Pope wrócił i podał mi szklanekę wody:

- Wypij. Przyda ci się po takich przejściach.

- Dzięki - odparłem i osuszyłem szklanekę kilkoma haustami. - Która jest godzina?

- Około północy. - Spojrzał na mnie. - Nie powinieneś zadzierać z ludźmi z Folks Nation. Nie lubią białych.

- Teraz już wiem, jasno mi pokazali. Pope się roześmiał na głos.

- Plotka głosi, że byłeś z kobietą. Nic jej nie jest.

- Tak - odparłem ostrożnie. - Robiłem rozeznanie w jednej sprawie.

- Ona nie jest stąd.

- Nie, mieszka w Bowen Homes.

- Bowen? No to jej nie znam.

- Pewnie nie - odparłem, ale Pope zmierzył mnie dziwnym wzrokiem. Na jego ustach pełgał niewyraźny uśmiezek. Wiedziałem doskonale, że zdawał sobie sprawę, iż go okłamuję. Niestety, nie miałem możliwości pociągnięcia go za język. Musiałem się wydostać z tego miejsca, zanim on zacznie mnie przepytawać.

- Jak ona ma na imię?

Cholera, Pope, daj nam spokój. Pozwól nam żyć swoim życiem, ty bezlitosny draniu, pomyślałem.

- T'antiqua Fields - odpowiedziałem.

- Racja, nie znam jej - mruknął, ale z jego twarzy nie byłem w stanie nic wyczytać. Podszedł do mnie, zarzucił moją rękę na swoje barki, i pomógł mi wstać.

- No dalej, chłopie. Rusz się i weź do kupy. Podniosłem się z sofy i oparłem na jego ramieniu.

Dobrą chwilę zajęło mi odzyskanie równowagi. Potem zrobiłem jeden chwiejny krok i następny.

- Dam sobie jakoś radę - powiedziałem. - Dzięki.

- Jasne - mruknął Pope. Wziął pęk kluczy i dodał: - Znajdźmy T'antiquę Fields.

- Posłuchaj, nie musisz... - Nie zdążyłem dokończyć, bowiem zacisnął dłoń na moim ramieniu tak samo, jak ja kiedyś na rękę Koszmara. Ten gest nie był wrogi, znaczył po prostu: jesteś teraz w moim królestwie, więc się mnie słuchaj. Nie podskakuj, bo pożałujesz. Spojrzałem na niego i uśmiechnąłem się blado. - Jasne, może kręci się jeszcze po okolicy.

- Nie chciałbym, żeby stała jej się jakaś krzywda. Po zmroku robi się nieciekawie na ulicach.

Ruszyliśmy do drzwi, a kiedy wyszliśmy, przed domem zauważyłem grupkę chłopców. Pomiędzy nimi kręcił się syn Pope'a, Królik. Teraz widziałem, dlaczego zyskał sobie taki przydomek, chłopak nie potrafił usiedzieć na miejscu.

- Jak tam? - spytał Pope.

- Nie widziałem jej, ale ludzie wiedzą.

- Wygląda na to, że twoja koleżanka bawi się z nami w ciuciubabkę. Lepiej ją szybko znajdziemy, zanim trafi na jakiegoś zboczeńca.

Pope zaprowadził nas do samochodu, który był pierwszym dowodem bogactwa, do którego doszedł. W zaułku stał czarny mercedes. W przeciwieństwie do samochodów większości Murzynów, ten nie miał na sobie śladów napraw i przeróbek. W świetle latarni ulicznych błyszczał nawoskowanym i wypucowanym lakierem. Obok nas pojawił się chłopak. Otworzył drzwi Pope'owi, a potem mnie. Usiadłem w skórzanym fotelu, a Jamal zajął miejsce za kierownicą. Opuścił szybę i powiedział:

- Znajdziemy ją prędzej, czy później. Musimy tylko popytać.

- Jestem pewien, że już jej nie ma w Glen. Po co miałyby się chować?

Pope przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył silnik. Jadąc przez Glen poznałem, co to znaczy prawdziwy szacunek. Można powiedzieć bez zbędnej przesady, że Pope'a traktowano jak króla. Co i rusz ktoś podchodził do nas, prosił go o coś, obiecywał pomoc czy namawiał do czegoś. Każdego z ludzi Pope witał po imieniu,

rozmawiał przez chwilę, i przez kilka sekund rozmówca czuł się centrum wszechświata.

Choć było już po północy, McDaniels Glen żyło własnym, nocnym życiem. Ludzie rozmawiali, dzieci bawiły się na schodach. Nikt nie wyglądał na przerażonego, nie było drzwi zawartych na głucho. Ludzie wyglądali na wesołych, prawdziwie zadowolonych. Żyli swoim życiem, wedle znanych im reguł i byli szczęśliwi. Widziałem społeczność zadowolonych ludzi w całej krasie. Prawie się uśmiechnąłem i uwierzyłem w tę utopię. Jedyne, co mnie przed tym powstrzymywało, to czarny mercedes, który został okupiony ludzkim nieszczęściem. Co gorsza, nikt nie widział Michele. Pope pytał, ludzie odpowiadali, ale widziałem, że w jego głowie kłuły się pytania. Kim była T'antiqua Fields? Co robiła w Glen wraz z białym prawnikiem?

Nasze poszukiwania trwały jakieś dwadzieścia minut. Zadzwonił telefon Pope'a. Rozmawiał przez niego, zdawkowo odpowiadając na pytania, i co i rusz spoglądając na mnie.

- Nie ma jej w Glen. Ludzie myślą, że wymknęła się kilka godzin temu.

- Tak, jak mówiłem - powiedziałem z największą dozą nonszalancji, na jaką było mnie stać. Miałem nadzieję, że Pope nie będzie chciał wydusić ze mnie siłą odpowiedzi na nurtujące go pytania. Jego świat opierał się na szacunku, a moje milczenie mogło być potraktowane jako jego brak. Ku mojej radości, Pope nie drażył tematu.

- Lepiej znikaj. Pewnie szuka cię po całej Atlancie.

Przez chwilę spoglądałem na niego, a potem wysiadłem z samochodu i wróciłem do domu.

Rozdział siedemnasty

A więc nic jej nie jest. Wymknęła się z Glen kilka godzin temu i jest bezpieczna, myślałem, jadąc do siebie. Pope był przekonany, że Michele opuściła jego królestwo, a byłem pewien jednej rzeczy: w Glen nic się nie działo bez jego wiedzy. Dzięki temu przekonaniu nie spędziłem kolejnej godziny na błakaniu się po zaułkach w poszukiwaniu Michele. Koniec końców dotarłem do mojego samochodu i ruszyłem w drogę powrotną. Kiedy dotarłem na miejsce, była druga w nocy. Nie miałem możliwości sprawdzić, co się dzieje z Michele, bowiem jej telefon komórkowy spoczywał na tylnym siedzeniu mojego samochodu. Chciałem zadzwonić na policję, ale wtedy cała nasza konspiracja poszłaby na marne. W końcu uznałem, że przesadzam, co było zrozumiałe, jeśli wziąć pod uwagę moje perypetie z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Rozstałem się z Michele osiem przecznic od granicy Glen, więc mogłem założyć, że pokonała bezpiecznie tę odległość i wróciła do domu. Na ulicach samej Atlanty nie powinno jej grozić niebezpieczeństwo, przynajmniej nie tak straszne, jeśli porównać je do tego, co mogło się wydarzyć w Glen.

Mogłem się tak uspokajać, ale przez pięć godzin, jakie pozostały mi z tej nocy, przespałem ogółem może dziesięć minut. Sobota ciągnęła się niemiłosiernie wolno, a weekend zapowiadał jeszcze gorzej. Krążyłem po mieszkaniu, jak wilk po klatce, sfrustrowany niemożnością skontaktowania się z Michele. Siedziałem obok telefonu, licząc, że zadzwoni. Co jakiś czas przysypiałem w fotelu i budziłem się przerażony, że nie usłyszałem dzwonka. Wycieńczony powlokłem się do łazienki i

spojrzałem w lustro. Może mi się wydawało, ale przez te kilka dni postarzałem się o dziesięć lat. W niedzielne popołudnie nadszedł kryzys. Przez dwa dni bez ustanku się zamartwiałem, a to było co najmniej o jeden dzień za wiele. Najpierw padłem na łóżko i przespałem kilka godzin, a potem wstałem i uznałem, że muszę coś wreszcie zrobić. Zadzwonię do Koszmar.

Tak jak poprzednio, nie odebrał telefonu. Kiedy włączyła się automatyczna sekretarka, powiedziałem:

- Odbierz telefon, Michael. - Cisza. - Tutaj Jack, do jasnej cholery! Ukradli komputer Douga.

Koszmar podniósł słuchawkę:

- Co mówisz? - wymamrotał. Najwidoczniej wyrwałem go ze snu.

- Kilka dni temu było włamanie do mojego biura.

- Kto to zrobił?

- Nie wiem. Na pewno ktoś, kto nie chce, abyśmy się zorientowali, co jest grane.

Po drugiej stronie słuchawki zapadła cisza. Koszmar musiał myśleć nad konsekwencjami kradzieży. Potem wymamrotał:

- Nie jest dobrze.

W słuchawce usłyszałem pisk. Po dobrej chwili dotarło do mnie, że Koszmar właśnie odłożył słuchawkę. Zadzwonię jeszcze raz. Odebrał, ale nie odezwał się ani słowem.

- Nie panikuj, partnerze - powiedziałem cicho. - Potrzebuję twojej pomocy. - Ponownie odpowiedziała mi cisza, ale czułem, że Koszmar siedzi napięty jak struna, czekając na to, co jeszcze powiem. - Pamiętasz, mieliśmy współpracować, jak Jackie Chan i ten drugi gość.

- Ukradli komputer Bandziora?

- Tak, Michael. - Postanowiłem mu oszczędzić opowieści o kłopotach Michele i napaści Folks Nation, Koszmar i tak był u granicy wytrzymałości.

- Człeni, jesteś kompletnie udupiony - powiedział szeptem, jakby ktoś mógł nas podsłuchać. - Skoro mają komputer, to wiedzą, że byliśmy na ich serwerze, i że jesteśmy w stanie obejść ich zabezpieczenia.

- Połączenie wykorzystywało linię telefoniczną mojego biura, więc nie mają żadnych dowodów na twój udział.

- Wiem i wolę, aby tak pozostało.

- Wyjaśnij mi jedną rzecz, Michael. Sądziłem, że działałeś przez komputer Georgia Tech.

- Tak. Sygnał próbny powinien połączyć się tylko z ich serwerem, ale jakoś wykryli, że działaliśmy za pośrednictwem ich komputera.

- Jak to zrobili? Zapadła kłopotliwa cisza.

- Nie wiem - szepnął po chwili.

- Jak to nie wiesz? Sądziłem, że jesteś jakimś bogiem cyberprzestrzeni.

- Stary, jesteś już trupem. Załatwią cię tak, jak załatwili Bandziora.

- Nie przesadzaj. Gdyby chcieli mnie załatwić, już bym nie żył. Jestem łatwym celem. Chodziło im o komputer Douga i o to, żebyśmy nie mogli wejść na serwer.

- Jeśli o to im chodzi, to są w dupie, bo mogę tam wejść kiedy chcę.

Pokręciłem w zdumieniu głową.

- Naprawdę, Michael?

- Jasne, bez bólu. Tylko, że musiałbym być kompletnym świrem, żebym chciał to zrobić.

- Michael, musimy tam wrócić.

- Jasne, stary! Wejdziemy sobie tam, ot tak, a potem będziemy czekali, aż nas załatwią, tak jak Bandziora. Sorry, ale muszę lecieć.

- Powiedz mi, jak jesteś w stanie to zrobić?

- Emulując akces Bandziora.

- Nie będą wiedzieli, że to robisz?

- Nie.

- To, po co zabierali komputer Douga?

- Jak sam powiedziałeś, nie wiedzą o mnie. W tej chwili chcą się dowiedzieć, kto i jak się włamał. To, że mają komputer Douga, nie da im zbyt wiele. Muszą złamać zabezpieczenia, a jeśli nie będą mieli tego włoskiego hasła, to mogą się pogapić w ekran.

- Jesteś pewien?

- Jak w banku.

- W takim razie musimy tam wejść jeszcze raz, tak aby nikt o tym nie wiedział. Wymyśl coś, jesteś geniuszem.

Ponownie zapadła cisza. Prawie się spodziewałem, że odłoży słuchawkę. Jeśliby tak zrobił, pojechałbym do niego, wykopał drzwi i tak długo bił jego głową o ścianę, aż wymyśliłby jakieś rozwiązanie.

- Gdzie się znajduje siedziba Grayton? Masz ich adres?

- Nie, ale poczekaj. - Wziąłem książkę telefoniczną i zacząłem ją wertować. Znalazłem adres i telefon firmy. - To Mountain

Industrial Avenue. Wiem, gdzie to jest, jedzie się autostradą 285 i skręca na drugim zjeździe za Stone Mountain.

W telefonie ponownie zapanowała cisza.

- Dobra, spotkamy się o jedenastej na rozjeździe obok biblioteki w Sandy Springs. Dokładny adres jest w książce telefonicznej.

- Biblioteka?

- Taaa.

- Czemu tam?

- To nie jest temat na telefon. Bądź tam.

Rozjazd przy bibliotece Sandy Springs znajdował się w północnej części Atlanty, czterdzieści pięć minut jazdy samochodem od mojego mieszkania. Kiedy dotarłem na miejsce, Koszmar dreptał w tę i z powrotem, a na jego twarzy malował się frasunek. Kiedy mnie zobaczył, mało nie potknął się o krawężnik.

- Kiepsko wyglądasz - powiedział.

- Miałem niewielkie spięcie z pewnymi ludźmi - odparłem. - Opuchlizna zjeździe za kilka dni.

Koszmar stał nieruchomo i przyglądał mi się, a potem ruszył w kierunku swojego samochodu.

- Stój! - rzuciłem mu ostro.

- Stary, wmieszaleś się w jakieś kłopoty, od których wolę się trzymać z daleka.

- Słuchaj, durniu! - Miałem dość, byłem wykończony, zdenerwowany i stanowczo nie w nastroju do wysłuchiwania jęków Koszmar. - Miałem kiepski tydzień: dostałem łomot, próbując chronić pewną osobę, włamano się do mojego biura. Nie mówię o tym, że zakochałem się w niewłaściwej kobiecie. Zrób mi

przyjemność, włącz komputer, wklep kilka zaklęć i odpowiedz na parę moich pytań, bo zwariuję.

Koszmar patrzył na mnie zdziwiony.

- Stary, kompletnie ci odbiło - powiedział.

- Bardzo możliwe.

- O co chodzi z tą babeczką?

- O nic. Po prostu mam przez nią zły humor. Zrób coś, zanim wyładuję go na tobie.

Koszmar ruszył niechętnie w kierunku budynku biblioteki.

- Mam przynajmniej nadzieję, że ten, kto cię tak urządził, popamięta.

- Nie sądzę. Nie pamiętam, żebym zdążył przy tym nawet palcem ruszyć. Idziemy.

Budynek biblioteki był niskim, parterowym klockiem z betonu wciśniętym pomiędzy drewniane domki. W środku nie było żadnych czytelników, tylko pięć czy sześć osób z obsługi. Koszmar zaprowadził mnie do rzędu komputerów, które ustawiono z tyłu czytelnicy.

- Mają tutaj łącze szerokopasmowe - wyjaśnił. - Na dodatek jest pozbawione administracji, więc jak się rozejrzysz, to zobaczysz kilku gości, którzy ściągają pornosy.

- Widzę, że nasze podatki się nie marnują - odparłem z przekąsem. - Przynajmniej moje, bo ty pewnie żadnych nie płacisz?

- Mowa - odparł, zdejmując z szyi niewielki płaski przedmiot podobny do gwizdka. Z jednego jego końca zdjął plastikową skuwkę i wsunął go do portu w przedniej części obudowy.

- To nośnik pamięci flash - wyjaśnił, wstukując jakieś komendy z klawiatury. - Miej oko, czy nie dzieje się coś niezwykłego. Aha, siebie nie bierz pod uwagę. Mówiłem ci, że wyglądasz jak psia kupa?

- Tak. Lepiej wyjaśnij mi, co robisz.

- Łączę się z Tech. Biblioteka ma swoje routery, dlatego nie ma siły, aby zlokalizować komputer. Jeśli ktoś nas będzie śledził, odkryje, że połączenie nastąpiło z sieci bibliotecznej, ale nie powie, skąd dokładnie. Mogą nas szukać do usranej śmierci.

- Koszmar, jesteś geniuszem.

- Wiem. A teraz miej się na baczności, bo to może potrwać chwilkę.

Usiadłem kilka stolików dalej i dyskretnie obserwowałem Koszmarę przy pracy. Dla niepoznaki wziąłem egzemplarz Atlanta Constitution i zacząłem przeglądać poranne wydanie. Zajrzałem do działu biznesowego, gdzie zgodnie z moimi podejrzeniami znajdował się artykuł o wejściu Horizn na giełdę. Na zdjęciu widniała uśmiechnięta twarz Charlesa Ralstona, a nagłówek mówił: „NA PODBÓJ GIEŁDY”. Szybko przejrzałem artykuł, którego konkluzja głosiła, że za kilka dni akcjonariusze Horizn staną się bogaci, a najbardziej zyskają na tym Stephens i Ralston. Cena wywoławcza za akcję wynosiła trzydzieści pięć dolarów, jednak wedle analityków miała szansę utrzymać się na tym poziomie nie dłużej niż pół minuty. Zwykli gracze giełdowi nie mieli szans ich kupić. Pierwszą emisją niepodzielnie zawładnęły domy maklerskie i pracownicy korporacji. Ralston i Stephens kontrolowali po pięć i pół miliona akcji każdy. Podczas gdy ja próbowałem się zorientować, ile wynoszą ich majątki,

Koszmar podszedł do mojego stolika. Wyglądał na roztrzęsionego i przestraszonego.

- Wszystko gra? - spytałem.

- Tak. Jestem już wewnątrz. Czego szukamy? Zamilkłem na chwilę, rozważając pewne fakty.

- Bria - powiedziałem w końcu. - Bria Fields. Koszmar wrócił do komputera i przez pięć minut stukał w klawiaturę. Wrócił, kręcąc głową i powiedział:

- Nic.

- Jesteś pewien?

- Tak. - Wzruszył ramionami. - To wszystko? Mogę już iść do domu?

- Jeszcze jedno. Poszukaj „LAX”.

- Portu lotniczego?

- Nie, samych liter. Znalazłem je w notesie Douga.

- Poważnie? - Koszmar pokręcił głową. - Jaja sobie ze mnie robisz.

- Po prostu poszukaj.

- Dobra, daję nam dwadzieścia minut, potem się rozłączam.

Poszedłem za nim do terminala, a Koszmar zaczął ponownie stukać w klawiaturę. Kolejne wyszukiwanie dało takie same rezultaty, jak poprzednie. Nic.

- Co to za duże sekcje? - spytałem. - Czy ta strona jest jakoś podzielona?

- Tak - odparł Koszmar. - Tutaj masz poszczególne działy: finanse, komunikacja, procesy medyczne...

- Procesy medyczne? Spróbuj tego.

Koszmar wzruszył ramionami i zaczął pisać. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, ale po chwili powiedział:

- O cholera.

- Co jest?

- Sam zobacz.

Ekran podzielony był na dwie kolumny. W każdej z nich znajdowały się po cztery nazwiska, a obok nich adresy, telefony i inne dane kontaktowe. Nagłówek strony głosił: *Test 38, LAX: podwójna dawka, krytyczna faza. Leczony na zapalenie wątroby typu C w szpitalu klinicznym w Atlancie. Badacz nadzorujący: dr Thomas Robinson.*

- Lax nie ma nic wspólnego z portem lotniczym - powiedziałem, wpatrując się w monitor. - To nazwa lekarstwa na zapalenie wątroby, a na tych ludziach prowadzono badania.. - Zacząłem przeglądać listę, szukając czegoś znajomego, ale kiedy natknąłem się na jedną z linijek, mój świat wywrócił się do góry nogami. Trzecim od dołu wpisem było: Doug Tonwsend. Obok nazwiska był jego adres zamieszkania oraz numer telefonu. Pokręciłem głową, ale nazwisko nadal znajdowało się przed moimi oczami.

Koszmar wyrwał mnie ze zdumienia.

- Bandzior - powiedział. - Brał ten lek?

Nagle coś mi zaświtało w głowie. Ralston zbił majątek na lekarstwie, które łagodziło i powstrzymywało postęp wirusowego zapalenia wątroby typu C. Być może w Grayton wynaleziono lekarstwo, które miało szansę podważyć jego monopol?

- Nie wydaje mi się, żeby miał zapalenie wątroby.

- Może nigdy ci o nim nie powiedział?

- Możliwe - przytaknąłem niechętnie. - Jednak, skoro nie żyje, to badacze chcieliby się przekonać, jaki los go spotkał. - Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, a potem wpadłem na pomysł. - Musimy się przekonać, co jest grane.

Rozejrzałem się dookoła, ale nikt się nami nie interesował, dlatego wyciągnąłem komórkę i wstukałem pierwszy numer z listy.

- Słucham - ze słuchawki dobiegł mnie przygaszony kobiecy głos.

- Dzień dobry, czy zastałem, Briana? - Odpowiedział mi szloch. - Chodzi mi o Briana Loudena, mogę z nim rozmawiać?

- Brian nie żyje - odparła, łkając, kobieta. - Moje słoneczko zmarło tydzień temu.

Poczułem, że serce wędruje mi do gardła.

- Najmocniej panią przepraszam. Nie chciałem pani niepokoić - oparłem i przerwałem połączenie.

- Co powiedziała? - spytał Koszmar.

- Daj mi drugi numer - mruknąłem. Wybrałem kolejny numer z listy. Tym razem odebrał mężczyzna.

- Dzień dobry, czy mogę rozmawiać z panią Chantelle?

- A kto mówi?

- Dr Robinson.

- Co to, jakieś żarty?

- Przepraszam?

- Dr Robinson, czy to nie on ją zabił? Po co dzwonicz? Chcesz się ponabijać z cudzego nieszczęścia?

- Przepraszam - mruknąłem pospiesznie. - Musiałem wykręcić zły numer.

Zerwałem połączenie i odłożyłem komórkę na blat. Siedziałem przez chwilę osłupiały.

- Co się dzieje? - spytał Koszmar. Pomimo klimatyzacji cały się pocił.

- Daj mi jeszcze jeden numer.

Wybrałem telefon do Jonathana Millsa z 225 Trenton Street. Odebrał mężczyzna, więc powiedziałem:

- Przepraszam najmocniej, jeżeli panu przeszkadzam. Nazywam się Henry Chastain i dzwonię z Mercy Hospital.

- Tak?

- To bardzo delikatna sprawa... Przeprowadzam badania dla szpitala i mamy bałagan w papierach. Przepraszam, że pytam, ale na jaką chorobę był leczony Jonathan?

- Wirusowe zapalenie wątroby typu C.

- Czy Jonathan brał udział w programie doktora Robinsona?

- Tak. Jak się pan nazywa?

- Henry Chastain z Mercy Hospital.

W słuchawce zapadła cisza. W końcu mężczyzna po drugiej stronie zapytał:

- Może mi pan powiedzieć, po co panu te informacje?

- Przeprowadzamy badania na temat śmiertelności chorych - odparłem. Miałem coraz gorsze przeczucia i wyrzuty sumienia, że okłamuję ludzi, których dotknęła potworna tragedia, ale nie miałem wyjścia. - Jeżeli woli pan o tym nie rozmawiać, to nie ma sprawy, doskonale pana rozumiem.

Znów zapadła cisza.

- Jonathan nie umarł z powodu choroby. To lekarstwo go zabiło.

- Bardzo, bardzo mi przykro. Mogę spytać, co się stało?

- To, co powiedziałem. Wziął lekarstwo, a tydzień później zmarł. - Ponownie zapadła cisza, usłyszałem tylko lekkie westchnienie. - Mogę do pana oddzwonić?

- Nie ma potrzeby, i tak bardzo mi pan pomógł. Dziękuję.

Rozłączyłem się.

- Co jest grane? - spytał po raz kolejny Koszmar. - Kim są ci ludzie?

Patrzyłem, przez chwilę na listę, drżąc ze strachu i smutku.

- Nie żyją. Wszyscy są martwi.

Uspokajałem Koszmarą przez jakieś dwadzieścia minut. Sięgnąłem szczytów moich umiejętności oratorskich, żeby go przekonać, iż nadal nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. Odprowadziłem go do białej toyoty, która, o dziwo, była w gorszym stanie niż mój buick. Położyłem mu dłonie na ramionach, spojrzałem w oczy i spytałem:

- Zamierzasz mnie wystawić? Teraz, kiedy jesteśmy tak blisko celu?

Patrzył na mnie, rozdarty pomiędzy strachem a ekscytacją, jakiej w swoim komputerowym świecie jeszcze nigdy nie zaznał.

- Posłuchaj - powiedział. - Sytuacja robi się niewesoła. Co zamierzasz z tym zrobić?

Dobre pytanie, pomyślałem. Jeśli dalej będę szukać, zaglądając pod każdy kamień, ktoś się w końcu wkurzy i dobierze nam się do dupy.

- Kiedy zaczynałem tę sprawę, chciałem się po prostu dowiedzieć, co spotkało mojego kumpla. Mnie też się nie podoba, że sprawy poszły w takim kierunku.

- Czyli nie muszę ci tłumaczyć, dlaczego stąd znikam?

- Nie uciekniesz.

- Lepiej się postaraj, bo nie będzie ci łatwo mnie przekonać.

Odetchnąłem głęboko, a potem strzeliłem mu taką gadkę, że sam się zdziwiłem:

- Są takie rzeczy, które po prostu trzeba zrobić. Los sprawił nam niespodziankę i jakkolwiek byśmy jej unikali, jest to nasze brzemię.

- Co ty, kurna, gadasz? - spytał Koszmar, spoglądając na mnie osłupiały.

- Chodzi o ciebie i o mnie. Cholera, potrzebuję ciebie, a ty mnie. Jak w tym filmie z Jackie Chanem. Każdy z nas ma swój talent i razem jesteśmy nie do powstrzymania. Posłuchaj, Michael, Doug Townsend był moim kumplem. Teraz on nie żyje, a wraz z nim co najmniej siedem innych osób. Zginęły dlatego, że jakieś firmy medyczne walczą między sobą. Nasza rola, to ukarać tego, kto za tym stoi.

Koszmar spoglądał na mnie przez chwilę, a potem wybuchł śmiechem.

- Jesteś porąbany!

- Pewnie tak.

- Tutaj chodzi o tę babeczkę, prawda?

- Dziewczynę?

- Tak, członku. Sam to powiedziałeś. Zakochałeś się w niewłaściwej dziewczynie.

- Wiem - odparłem, wbijając spojrzenie w ziemię. - Cholera jasna, wiem.

Odprowadziłem Koszmarą wzrokiem, obserwując, jak jego toyota włącza się do ruchu i znika za rogiem. Stałem samotnie na parkingu, czując jak ból powraca. Obita szczęka pulsowała. Rwała mnie noga. Jakimś cudem dzieciaki stłukły mi kolano, ale do tej pory tego nie poczułem.

W głowie dźwięczały mi słowa Koszmarą. *Dziewczyna*. Są takie chwile, kiedy dostajesz od życia jakieś sygnały. Doug i siódemka innych ludzi nie żyła. To był kiepski moment, żeby ignorować takie ostrzeżenia.

Praktykowanie prawa, zwłaszcza w takim środowisku jak moje, uczy podstaw psychologii. Potrafię rozpoznać człowieka, który zamierza pobić swoją dziewczynę, i zostawić ją zapłakaną. Umiem powiedzieć, która dziewczyna jest z facetem z miłości, a która dla jego pieniędzy. Po dwóch latach nurzania się w błocie w sali sądowej Odoma mam nosa do takich rzeczy.

Czasami na ulicy miałem wrażenie, że widzę duchy zbrodni. Raz dostrzegalem ironiczne zadowolenie w postawie mężczyzny, gdzie indziej puste spojrzenie narkomana. Policjanci mają ten sam zmysł, który w ich pracy jest błogosławieństwem. Dla mnie, prawnika, to przekleństwo, bowiem dostrzegam to, czego naprawdę nie chcę widzieć.

Stojąc obity i zmęczony na parkingu przed biblioteką, musiałem przyznać jedno. Ku mojej frustracji i złości, Michele wymykała się jednoznacznej ocenie. Wszystko, co zrobiłem, uczyniłem na podstawie założenia, wedle którego była niewinną ofiarą spadających na jej głowę nieszczęść. Dla tej biednej kobiety poruszyłbym niebo i ziemię. Każdy z prawników zaczyna swoją karierę z przekonaniem, że będzie naprawiał zło i czynił

sprawiedliwość. Michele w dzieciństwie popełniła straszliwy błąd, a od tamtej pory świat karał ją za grzechy młodości. Teraz zdałem sobie sprawę, że być może właśnie ta tragedia mnie pociągała. Judson Spence uczył nas, aby takich klientów unikać jak ognia. To prawda, w dalszym ciągu nie wiedziałem, do której kategorii zaliczyć Michele Sonnier. Jeśli dokonałem złego wyboru, to mogłem znaleźć się w ogromnych tarapatach. Ta świadomość doprowadzała mnie do szału. Można zmarnować całe życie, próbując pomóc ludziom, którzy nie zasłużyli nawet na wyciągnięcie ręki - i skończyć w wariatkowie przysypany ich problemami. Wiedziałem o tym doskonale, bo broniłem takich nieszczęśników. Dla nich nie było już nadziei, bowiem ledwie uniknąwszy kary, zaraz po wyjściu z sali sądowej powracali do starych nawyków.

Wsiadłem do samochodu i spojrzałem w lusterko. To nie blizny i opuchlizna mnie powstrzymywały. Potrzebowałem powodu, dla którego miałem stanąć po jej stronie. *Dlaczego, zastanawiałem się, właśnie w niej się zakochałem?*

Czy to jej kunszt mnie pociągał? A może wrażenie, że obnaża swą duszę, ilekroć wychodzi na scenę i śpiewa? Czy to możliwe, że chciałem ochronić jej świat, tak delikatny, wrażliwy i kruchy? Modliłem się, aby tak nie było. Gdyby to była prawda, to miałem do czynienia z Violetą Ramirez pod innym imieniem.

Nagle stwierdziłem, że tak łatwo się nie poddam. *Zanim się pogrążę, prześlę Ralstonowi kondolencje. Powodów mam wiele: odbiłem mu żonę, to załatwię i jego. Trzeba utrzyć mu nosa, ponieważ jest snobem. Samo w sobie nie jest to karalne, jednak uważa się za kogoś, kto stoi ponad prawem, lepszego od innych*

ludzi. Swoją obojętnością skrzywdził Michele i nie chce dostrzec tego, że doprowadza do rozpaczki kogoś, kto nie zaznał w życiu zbyt wiele szczęścia.

Najgorsze było, że działałem pod wpływem emocji. Gdybym tylko się zatrzymał i przemyślał sprawę, wszystko miaoby szansę dobrze się zakończyć. Niestety, nie było mi dane zaznać spokoju. Mój telefon zadzwonił, więc wyjąłem go z kieszeni i otworzyłem klapkę. Głos w słuchawce był zwiastunem burzy, która w ciągu następnych kilku godzin miała przejść przez moje życie. W czasie, gdy razem z Koszmarem szpiegowaliśmy Grayton Technical Laboratories, Sammy Liston wziął odwet na Dereku Stephensie. Jak zwykle, wszystko zaczęło się od szlochającej kobiety.

Rozdział osiemnasty

Blu próbowała mówić, ale łkała tak mocno, że nie była w stanie wykrztusić z siebie składnego zdania.

- Derek... To znaczy, pan Stephens... On jest bardzo zły na Sammy'ego.

- Już dobrze, kochanie. Uspokój się, dziecinko, zaraz będę w biurze. - Wdusiłem gaz do dechy, wyciskając z buicka tyle sił, ile tylko miał pod maską. Kiedy wszedłem do gabinetu, zobaczyłem Blu płaczącą w moim fotelu. Jej makijaż był w ruinie, a oczy zapuchnięte i czerwone.

- Co się stało? - spytałem.

- Zadzwoił - wybeczała Blu. - Zadzwoił i na mnie krzyczał. Derek.

- O co mu chodziło?

- Nie wiem... Był potwornie zły na Sammy'ego, i z jakiegoś powodu wrzeszczał na mnie. Nie wiem dlaczego, naprawdę.

- A co ma z tym wszystkim wspólnego Sammy? Blu pociągnęła nosem i wyszeptała:

- Też nie wiem, ale jakoś rozzłościł pana Stephensa.

- Ale dlaczego Stephens zadzwonił z pretensjami właśnie do ciebie?

- Bo wie, że podobam się Sammy'emu.

- Jak się dowiedział?

- Powiedziała mu.

- A po jaką cholerę? - Zdenerwowałem się. Jakbym nie miał dość kłopotów, to jeszcze Sammy wykreślił mi taki numer.

- Spotkałam się z Derekiem... To znaczy panem Stephensem w sądzie, a Sammy nas zauważył. Rzucił mu takie wrogie spojrzenie, a potem nas śledził, ukryty za kolumną.

- Mój Boże...

- Opowiedziałam panu Stephensowi o tym, że Sammy ciągle się za mną szwenda i żartowaliśmy sobie z niego. Myślę, że on coś usłyszał i się wściekł.

- To fatalnie.

- A teraz stało się coś strasznego, a ja w ogóle nie wiem, co!

- Nie płacz już, skarbie. Jadę do sądu i mam nadzieję, że znajdę Sammy'ego, zanim Stephens go dopadnie i żywcem obedrze ze skóry.

Jadąc do sądu, wyobrażałam sobie, jak Sammy, powiedzmy szczerze, grubszy i nieruchawy człowiek, siada przy stoliku w swojej ulubionej knajpie i widzi Stephensa zbliżającego się doń z mordem w oczach. Wtedy wychodzi na jaw, że jest on nie tylko genialnym adwokatem, ale i mistrzem sztuk walki. Chwilę później Sammy leży na podłodze, nie mogąc złapać tchu po celnym ciosie karate w splot słoneczny.

Jak się okazało, niepotrzebnie się martwiłem, marnując moje i tak już nadwątlone siły. Kiedy dojechałem na miejsce, budynek sądu aż huczał od plotek i opowieści o tym, jak Sammy zemścił się na Stephensie za to, że jest bogaty, przystojny i błyskotliwy, a na dodatek podoba się Blu McCledon.

Lubię doceniać elegancję zemsty, które musiała zrodzić się w głębi duszy Południowca, choć czasem mam wrażenie, iż trochę ubarwiam całą sprawę. Najprawdopodobniej Sammy zaczerpnął pomysł z doświadczenia dni spędzanych w sądzie. W każdym razie

dokonał podręcznikowej zemsty: prostej, bolesnej i całkowicie zgodnej z prawem.

Odkąd powiedziałem Sammy'emu o Stephensie, ten nie mógł opędzić się od myśli o odwecie. Jakimś cudem przyszła mu do głowy sprawa Burtona Randalla, legendarnego złodzieja samochodów, o którego wyczynach w sądach Atlanty krążyły niezliczone opowieści. Jego problem polegał na tym, że był kleptomaniem, który uwielbiał kraść samochody, i robił to doskonale. Jak na prawdziwego konesera przystało, nie zadowolalał się byle czym. Im droższy, rzadszy i cenniejszy był upatrzony cel, tym lepiej. Potrafił przejść obojętnie obok grata z kluczykami w stacyjce, ale nie potrafił się oprzeć prawdziwemu dziełu sztuki motoryzacyjnej. Tak się przypadkiem złożyło, że w sądzie toczyła się przeciwko niemu kolejna rozprawa. Sammy, którego władza w sprawach administracyjnych była nieograniczona, zdołał doprowadzić do opóźnienia rozprawy o całe cztery dni. Choć obrońca Randalla się pieklił, wolał nie ryzykować zadzierania z sekretarzem Odoma. Sammy czekał na dwie rzeczy. Po pierwsze: na dzień, kiedy Stephens będzie w sądzie, walcząc w imię Horizn Pharmaceuticals. Po drugie: na idealną pogodę. Choć Stephens od tygodnia codziennie pojawiał się w budynku sądu, aura nie dopisywała. Tego dnia słońce wstało na tle bezchmurnego nieba, a Sammy użył wszystkich swoich mocy i po raz kolejny przesunął sprawę Stan Georgia kontra Burton Randall. Co więcej, dziwnym zbiegiem okoliczności cofnął decyzję o preferencyjnym traktowaniu jednego z adwokatów, i przyznaniu mu podziemnego miejsca parkingowego. Właściciel auta miał dwa wyjścia: albo zaparkuje na zewnątrz, albo jego samochód zostanie odholowany.

Tym sposobem jasnoczerwone ferrari 360 modena, należące do Dereka Stephensa, stało samotne i bezbronne, kiedy Randall, czystym przypadkiem, wyszedł z sądu klatką schodową obok parkingu. Proces został odroczony, bowiem obrona przedstawiła dokumenty o chwilowej niepoczytalności jej klienta.

Kiedy trzy godziny później znaleziono samochód Stephensa, na jego liczniku było dwieście przejechanych kilometrów więcej, niż pamiętał to jego właściciel. Jednak nie było to jego największym zmartwieniem. Karoseria samochodu nosiła ślady pościgu próbujących go zatrzymać policyjnych radiowozów: niezbyt udanego wejścia w zakręt, skoszonej barierki oraz znaku drogowego, na którym ferrari zakończyło swój szalony wyścig. Trzeba obiektywnie przyznać - samochodowi jako całości raczej nie da się sprzedać, można by raczej liczyć na kupców zainteresowanych częściami.

Sammy'ego znalazłem dopiero po kilku godzinach. Zasył się w knajpie „Kapitańska”, która znajdowała się w okolicy piątego miejsca na liście naszych ulubionych spelunek. Siedział, uśmiechając się do siebie tryumfalnie, a przed nim stał szereg opróżnionych kieliszków. Kiedy podszedłem, uniósł głowę, i spytał bełkotliwym tonem:

- Jackie, mój chłopcze. Przyszedłeś świętować razem ze mną?

Obrzuciłem go czujnym spojrzeniem, ale nie znalazłem na jego twarzy oznak szaleństwa. Na oparciu krzesła obok wisiała marynarka, jakby czekając na właściciela, który właśnie wyszedł do łazienki. Krawat zwisał z szyi Sammy'ego, jak urwana pętla szubienicy, a rozpięty kołnierzyk odsłaniał tłuste podgardle.

- Wkurzyłeś bardzo wpływowego człowieka - powiedziałem.

Odpowiedź Sammy'ego była tyleż prosta, co trafna.

- Pieprzyć go. - Po raz kolejny uśmiechnął się tryumfalnie, i rozparł na krześle. Przez chwilę patrzył na mnie i nad czymś myślał, a potem dodał: - Kij mu w dupę, aż po gardło.

- Sammy, igrasz z kimś, kto włada tym wszechświatem. On cię zniszczy.

- Jak? Przecież ja niczego nie zrobiłem. Niczego. Co, pozwie mnie do sądu za to, że tego dnia w grafiku wypadła sprawa Randalla?

Przez chwilę wydawało mi się, że Sammy'emu może to ujść płazem, ale potem straciłem wszelką nadzieję. Stephens nie należał do ludzi, którzy grają zgodnie z zasadami.

- Wiesz, on to odebrał personalnie.

- A proszę bardzo. Wie, gdzie pracuję, więc może do mnie przyjść. Stłukę mu tylko ryj.

- Nie mówię o bójce.

- Jackie - mruknął Sammy. - Pomyliłeś mnie z kimś, kto ma coś do stracenia.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - spytałem, czując, jak ogarniają mnie najgorsze przeczucia.

- Mówię, że nie mam absolutnie niczego. Mieszkanie wynajmuję, samochód zastawiłem. Jedyne, co jest naprawdę moje, to sprzęt grający i kilka garniturów. Zarabiam rocznie trzydzieści sześć tysięcy dolarów, ale przez jedno popołudnie jestem królem świata, bo skopałem tyłek najpotężniejszemu facetowi na całym Południu. Sądzisz, że choć trochę przejmuję się tym, jak mnie urządzi?

Siedząc tak w knajpie i patrząc na Sammy'ego, doznałem nagle olśnienia. W chwili, kiedy potrzebowałem jego rady, na własnym przykładzie pokazał mi, gdzie popełniłem błąd. Sammy osiągnął prawdziwą, nieskrępowaną wolność ducha, mając w dupie to, co się z nim stanie. Czułem się tak, jakbym z odległej perspektywy spoglądał na moje własne życie. Ja, Sammy, Koszmar, Ojciec, Syn i Duch Święty, wszyscy stawaliśmy przeciwko jakiemuś niezidentyfikowanemu zagrożeniu, i dzięki temu starciu mieliśmy wyciągnąć własne, osobiste wnioski. Jakaś zbawcza siła zesłała mi Sammy'ego, aby przypomnieć o tym, jak powinienem się zachować. Nie wiedziałem już, komu mam wierzyć, ani nie byłem pewien, czy rzeczywiście chcę poznać prawdę o Michele Sonnier. Ale Sammy po raz kolejny udowodnił, że podejście *niech się dzieje wola Boża*, jest najbardziej sensowną filozofią ze wszystkich możliwych.

Sammy, poruszony swoją nauką, którą pewnie odnalazł na dnie kieliszka, czknął i mruknął:

- Odpuść sobie, Jackie. Przypieprzyłem Derekowi Stephensowi, bo chciałem obronić przed nim kobietę, którą kocham, i w tej chwili tylko to dla mnie się liczy. Jestem szczęśliwy.

Wtedy zrozumiałem, że niezależnie od tego, co się zdarzy, Sammy i tak wyjdzie cało z opresji. Może jest zwykłym drobnym pijaczną, ale doskonale wie, co robi. Chciałem paść na kolana i modlić się na głos, ale zamiast tego postawiłem mu kolejnego drinka.

- Sammy - wzniosłem toast. - Dzisiejszej nocy jesteś królem.
- Masz, cholera, rację. Zamilkliśmy na chwilę.
- Wiesz, że on cię zabije?

- Liczę się z tym.

Skinąłem dłonią na kelnerkę i powiedziałem:

- Butelkę tego, co pije kolega.

Rozdział dziewiętnasty

Wtorek przywitał mnie jasnym słońcem, hałasem korka ulicznego i gwarem ludzi spieszących do pracy. Jeżeli dodać do tego potwornego kaca, nie trzeba wiele wysiłku, aby zrozumieć, że czułem się fatalnie. Otworzyłem jedno oko i zerknąłem na tarczę zegarka. Za piętnaście dziewiąta. Zadzwoiłem do Blu, żeby dowiedzieć się, jak się trzyma.

- Dziecinko, u ciebie wszystko w porządku? - spytałem. - Jaki szatański plan obmyślił Stephens, żeby się zemścić na Sammym?

W słuchawce odpowiedziała mi cisza. Dopiero po chwili Blu powiedziała:

- Nie rozmawiałam z Derekiem od wczoraj.

- Aha, rozumiem. Nie odpowiada na telefony, czy po prostu nie mieliście okazji porozmawiać?

- On... To pierwsze.

- No widzisz, kochanie. Wszystko będzie dobrze, to kawał drania.

- Nie mów tak, Jack. Po prostu go nie znasz.

- I mam nadzieję, że tak pozostanie - mruknąłem. - Jedyne, co mnie obecnie interesuje, to twoje samopoczucie.

- W porządku. Dzwoniła Michele Sonnier.

Choć Blu wypowiedziała jej imię najzwyczajniej w świecie, ja podskoczyłem do góry jak oparzony. Przez ostatnich kilka dni ciągle o niej myślałem.

- Co powiedziała?

- Że u niej wszystko w porządku i że będzie w kontakcie.

- To wszystko? Nic więcej?

- Nic więcej.
- Jesteś pewna?
- Tak.
- Jack, przyjedziesz do biura?

Usiadłem na łóżku, czując ulgę. Jest bezpieczna i skontaktuje się ze mną. Ogarnęła mnie złość, bo wraz z myślą o Michele pojawiło się pożądanie, a nie powinienem go czuć. To sprawdzian, pomyślałem. Jeszcze kilka godzin temu zarzekałem się, że dam sobie spokój, a teraz jestem sprawdzany.

- Jack! - zawołała w słuchawce zniecierpliwiona Blu. - Jesteś tam?

- Tak, jasne. O co pytałaś?
- Przyjdiesz do pracy?
- Nie od razu, muszę najpierw kogoś znaleźć.
- Kogo?
- Nie martw się. Zadzwoń przed popołudniem.

Jednak nie zadzwoniłem, ponieważ człowiek, którego szukałem, był niezwykle trudny do znalezienia. Ubrałem się, i ruszyłem na miasto. Nie znalazłem go ani w domu, ani w jego biurze. Kiedy tylko wspominałem o nim przy współpracownikach, zmieniali temat. Facet był traktowany jak zadzumiony. Prawie dałem sobie spokój, kiedy zadzwoniła jego sekretarka. Ona także martwiła się o szefa. Szepnęła mi do słuchawki kilka wskazówek, jakby myślała, że ktoś może nas podsłuchać. Jeżeli wybiorę się do Orme Park, istniała spora szansa, że go znajdę. Miałem szukać drobnego człowieczka o brązowych włosach, który zapewne nie zmieniał ubrania od kilku dni. Więcej szczegółów nie mogła mi podać.

- Pan Thomas Robinson?

Mężczyzna ubrany był w brudne dżinsy i pulower. Zarost na twarzy świadczył, że nie golił się od kilku dni. *Przynajmniej trochę pasuje do opisu*, pomyślałem.

- Doktor Robinson, jak sędzę?

Mężczyzna spojrzał na mnie z obojętnym wyrazem twarzy.

- Proszę stąd odejść - odparł, sięgając dłonią do torebki z nasionami i okruszkami. Pochylił się i rozejrzał dookoła, ale nawet ptaki unikały jego ławki.

- Ładny dzień - powiedziałem. - Często pan tutaj zagląda?

- Ostatnio tak - odparł zmęczonym głosem. Był dość niewysokim mężczyzną o drobnej budowie ciała. Włosy miał krótko przystrzyżone, jednak widać było, że od dawna ich nie mył. Nieświadomie przebierał dłonią w nasionach, szukając wzrokiem ptaków.

- Trudno pana znaleźć. Sekretarka powiedziała, że nie trzyma się pan ustalonych godzin pracy.

- Owszem - odparł i odwrócił się ode mnie, jakby dając do zrozumienia, że nie odezwie się już ani słowem.

- Przejdę od razu do rzeczy. Chcę porozmawiać o LAX. Lipitran AX.

Zapadła cisza, aż w końcu spytał:

- A kim pan jest, prawnikiem?

- W zasadzie tak. Skąd pan wie? Robinson cicho się roześmiał.

- Tam gdzie jest padlina, zlatują się sępy. - Spojrzał na drzewa i dodał: - Marnuje pan swój czas.

- Czemu?

- Tym razem nie wytoczycie mi żadnych procesów. Nie chciałem zadawać tego pytania, ale prawnicza natura wzięła nade mną górę i powiedziałem:

- Skąd ta pewność?

- Bo lekarstwo nie działa. Dlatego nie macie powodów, żeby mnie zaskarżyć. - Spojrzał na torbę i usnął jeszcze trochę ziaren.

- Po co się handryczyć. Podpisali papiery. Sami mi je podsunęliście, więc nic na mnie nie zarobicie. Nie macie mnie o co oskarżyć.

Spojrzałem na jego twarz. Robinson wyglądał na człowieka załamane go, któremu odebrano sens życia. Siedzieliśmy jeszcze chwilę w ciszy, kiedy spytał:

- Jeszcze tutaj jesteś? Powiedziałem, na mnie nie zarobisz. Idź, uganiaj się za lekarzami pogotowia, którzy popełniają błędy ze zmęczenia - zamilkł na chwilę. - Mną się nie martw, ja zabiłem tylko siedem osób.

- Siedem? Sądziłem, że w eksperymencie brało udział osiem.

Robinson spojrzał na mnie wzrokiem przepełnionym goryczą pochodzącą ze świadomości własnej porażki.

- Siedem. Jeden z pacjentów przeżył, choć trudno powiedzieć, że jest w dobrym stanie. Nazywa się Lacayo i nie umarł. W zasadzie leży pod respiratorem w szpitalu Grady Memorial, kurczowo trzymając się tej resztki życia, jaka w nim jeszcze pozostała.

- Czemu nie opowie mi pan, co się tak naprawdę stało?

- Pewnie, nie ma nic lepszego, jak katować się tym jeszcze raz!

- Przykro mi, ale nie odejdę stąd, dopóki nie uzyskam odpowiedzi.

Robinson przymknął oczy i zaczął mówić:

- Lipitran AX miał być cudownym lekarstwem na wirusowe zapalenie wątroby typu C. - Spojrzał na mnie i dodał: - Choroba szerzy się z prędkością epidemii, wiesz o tym, prawda?

- Tak słyszałem.

- Zdajesz sobie sprawę, że znamy też typ E?

- Nie, nic mi na ten temat nie wiadomo. Robinson smutno pokiwał głową.

- Tak, ludzie pieprzą się na potęgę i ćpają jak szaleni, dlatego mutacja E rozwija się tak szybko.

- Jak groźny jest wirus typu C? Przepraszam, że pytam, ale jestem laikiem.

- Szczęściarz z ciebie - mruknął Robinson. - Typy A i B są najczęściej spotykane. W większości przypadków nie są śmiertelne, co najwyżej, jeśli sprawy wymkną się spod kontroli, mogą człowiekowi namieszać w życiu. O typie D i E dopiero się uczymy. Najgroźniejszy z nich wszystkich jest jednak wirus typu C. Niestety, mało kto zdaje sobie z tego sprawę.

- Czemu jest tak niebezpieczny?

- Bo w dwudziestu procentach wirus wywołuje u zarażonego raka wątroby. Ten nowotwór jest niewrażliwy na działania chemiczne, radiologiczne. Rozwija się szybko i doprowadza do śmierci. Jeśli zachorujesz, masz pewność, że umrzesz. - Robinson przerwał i spojrzał na park. - Wirus C to jak rosyjska ruletka. Idziesz do lekarza i masz jedną szansę na pięć, że nie usłyszysz wyroku śmierci.

- Myślę, że lekarstwo na wirus typu C przyniosłoby ogromne zyski?

- Powiedziałbym, że ocaliliby sporo ludzkich istnień.

- Nie chciałem się źle wyrazić, ale... Jak często zdarza się, że tylu pacjentów umiera podczas testu lekarstwa?

- Zwykle po prostu im nie pomagamy - odparł spokojniej, niż się spodziewałem. - Rzadko kiedy tak się dzieje.

- Przepraszam, ale musiałem spytać.

- Nie ma sprawy. Zwykle nie chwalimy się wynikami, bo w przeciwnym razie nikt by się nie zgłaszał do badań nad kolejnym cudem nauki. - Spojrzał na mnie, a w jego oczach dostrzegłem cierpienie. - Tym razem nie dość, że im nie pomogliśmy, to jeszcze ich zabiliśmy. I to w jaki sposób... Praktycznie wybuchali na stole operacyjnym. Krwawili z oczu, nosa, uszu i każdego otworu ciała. To wyglądało, jakby... Jezu Chryste, jakby wybuchła epidemia eboli. Zaczynało się po drugim zastrzyku. Krzyczeli, darli się w niebogłosy, a my nie potrafiliśmy im pomóc.

- Mój Boże.

Robinson odchrząknął i splunął za siebie. Nie zamierzał dbać o pozory i zachowywać się przykładowo.

- Z początku wszystko wyglądało pięknie. Testy przeprowadzane na tkankach wykazały, że wirus ginie pod wpływem leku w niezwykle szybkim tempie. Potem zaczęliśmy badania na myszach i myśleliśmy, że kilka eksperymentów wystarczy. Dlatego ominęliśmy kilka procedur i zaczęliśmy badania na ludziach. - Spojrzał na mnie. - I dlatego ty jesteś tutaj.

- Słucham?

- Człowiek to nie mysz laboratoryjna. - W końcu jakiś odważny ptak przysiadł na alejce, jakieś pięć metrów od nas. Robinson

zagwizdał, wabiąc go do siebie. - No dalej, malutki, nie bój się. Mam tu dla ciebie pyszne ziarenka.

Ptak przekrzywił łepkę, a potem podskoczył kilka razy, zbliżając się do nas. Robinson rzucił mu kilka ziaren, ptak chwycił je w dziób i odleciał. Robinson śledził go wzrokiem do chwili, kiedy ten znikł w koronie pobliskich drzew. Nagle spojrzał na mnie.

- Każdemu z nich, osobiście, obiecałem, że wyleczymy go z choroby.

- Musieli wiedzieć, na jakie ryzyko się decydują. Robinson spoglądał na mnie, a złość targała nim jak febra.

- Przez dłuższy czas nie mogliśmy znaleźć żadnych chętnych. Nikt nie chciał zaryzykować, choć prowadziliśmy kampanię reklamową i dawaliśmy ogłoszenia.

- Czemu?

- Cóż... Narkomani niezbyt szczególnie przejmują się swoim zdrowiem. Inna rzecz, że nie wierzą służbie zdrowia. Uważają, że albo ich wydamy policji, albo oszukamy i wykorzystamy. Nagle, kiedy już straciliśmy nadzieję, pojawiło się kilku chętnych. Byli zdenerwowani, ale chcieli spróbować.

- Obawiali się, że ich oszukacie?

- Nie wiem. Może. Każdemu groził prędzej czy później zdiagnozowany nowotwór. Ludzie musieli podjąć trudną decyzję. Zdołałem ich przekonać, w swojej arogancji obiecałem im, że ich wyleczymy.

- I wtedy poszło coś nie tak, jak planowaliście.

- Można tak powiedzieć - odparł Robinson z kamiennym wyrazem twarzy. Wstał z ławki i przeszedł kilka kroków.

Mamrotał coś pod nosem i choć szedłem półtora metra za nim, nie byłem w stanie rozróżnić słów.

- Nie rozumiem, co pan mówi.

- Moja sławetna kariera - odparł. - To takie ironiczne stwierdzenie, które czasem powtarzam. Kiedy wydaje mi się, że gorzej już być nie może, nagle dzieje się coś takiego, że wszystko bierze jeszcze bardziej w łeb. - Zatrzymał się, spojrzał na mnie i gorzko się roześmiał. - Widzisz, kolego, jestem podwójnym przegranym.

- Podwójnym?

- Tak. Mało kto potrafi spieprzyć sobie życie tak, jak ja to zrobiłem. Ale chyba nikt nie jest w stanie zrobić tego dwa razy. Mogę napisać doktorat o tym, jak najskuteczniej zmarnować swoje życie.

- Jak do tego doszło?

- Nie jestem dziś w nastroju do wspomnień. Może przejdiesz do rzeczy i powiesz, o co ci chodzi?

- Potrzebuję pomocy.

- Prawnik potrzebuje mojej pomocy? A czemuż miałbym to zrobić?

- Ponieważ nie wierzę, żeby wyniki testów były prawdziwe. Jestem pewien, że ktoś manipulował nimi, aby doprowadzić je do takich rezultatów, jak śmierć siedmiu osób.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - spytał Robinson, a jego oczy zwężyły się w pełne podejrzliwości szparki.

- Uważam, że ktoś tak pociągał za sznurki, aby lekarstwo okazało się całkowicie nieprzydatne.

- W takim razie to byłby najgorszy skurwysyn na Ziemi. Mam nadzieję, że nie rzucasz słów na wiatr, bo siedem osób już nie żyje.

- Zdajesz sobie sprawę, że systemy bezpieczeństwa komputerowego twojej firmy zostały złamane? - Robinson zbladł. - Wszystko, od zapisów procedur, po pocztę elektroniczną, zostało skopiowane i przeniesione na inny komputer.

Z zaskakującą szybkością Robinson chwycił mnie za nadgarstek i syknął:

- Kto to zrobił? Mów, człowieku!

- Mój klient.

- Zabiję drania.

- Za późno.

- Nie żyje?

- Tak, nazywał się Doug Townsend.

Robinson spoglądał na mnie przez chwilę, a potem zaczął się trząść, jakby dostał ataku epilepsji.

- Pamiętam go - wycharczał. - Taki wysoki facet, dosyć chudy.

- Dokładnie. Spróbuj się nie denerwować, zresztą uważam, że Doug był tylko narzędziem.

Robinson nie słuchał mnie, tylko spytał:

- Czy to ja go zabiłem? Pokręciłem głową.

- Umarł z przedawkowania fentanylu.

- Fentanylu? Townsend wylądował w szpitalu?

- Nie. Ciało znaleziono w jego mieszkaniu. Wyglądało na to, że sam go sobie wstrzyknął. Nikt nie wie, dlaczego, ale władował sobie w żyłę dawkę, która zabiłaby słonia.

- Mowy nie ma - odparł Robinson, kręcąc głową. - Kiedy wstrzykiwaliśmy mu lekarstwo, trzeba go było praktycznie

przywiązywać do krzesła.

- Wiem. Paranoicznie bał się igieł.

- Właśnie. Nie wyobrażam go sobie, jak się wkłuwa we własną rękę, szukając żyły.

- Poza tym, po co miałyby sobie wstrzykiwać narkotyk, skoro i tak zabiłoby go lekarstwo?

- Wiesz więcej, niż mówisz - powiedział Robinson, spoglądając na mnie uważnie.

- Doug był ledwie pionkiem. Ktoś płacił mu za wykradanie informacji, w posiadaniu których były laboratoria Grayton. Wydaje mi się, że wiem, dla kogo pracował. - Zamilkłem na chwilę, ostrożnie ważąc słowa. - Jeśli się nie mylę, zabito go z polecenia tego samego człowieka, który stoi za fiaskiem pańskich badań.

- Kogo?

- Na myśl przychodzi mi tylko postać Charlesa Ralstona.

Robinson zachwiał się, jakby otrzymał potężny cios. Zacisnął pięści i spojrzał ku niebu, po czym wyszeptał:

- Raz ci nie wystarczy? Już raz mnie zniszczyłeś, po co dalej pastwisz się nade mną?

- Rozumiem, że znacie się?

- Tak, jak najbardziej - odparł Robinson, spoglądając na mnie i biorąc się w garść. - To ma sens. W tym całym chaosie, to jedyne logiczne wytłumaczenie. Już raz mnie oszukał, więc czemu nie miałby zrobić tego ponownie?

- Czyli macie za sobą jakieś porachunki? - Robinson tylko pokiwał głową, a na jego twarzy malował się ból. - W takim razie pozostaje mi tylko jedno pytanie. Pomożesz mi?

Po raz pierwszy, odkąd go poznałem, widmo śmierci opuściło twarz Robinsona. Uśmiechnął się mściwie i odparł:

- Jeżeli chcesz mu się dobrać do tyłka, to z przyjemnością.

Musiałem ostudzić gniew doktora Robinsona i spokojnie z nim porozmawiać. Zadanie nie było łatwe, przypominało cucenie pijanego, ale w końcu się udało. Był zły i zrozpaczony, dlatego musiało minąć trochę czasu, nim ochłonął. Zabrałem go do „Trent’s”, knajpy położonej niedaleko parku, w którym się spotkaliśmy. Kiedy usiadł przy stoliku, jeszcze się trząsł, uspokoił się dopiero po kubku gorącej herbaty z Sumatry. Cokolwiek zaszło pomiędzy nim a Ralstonem, musiało odcisnąć na nim mocne piętno. Jedyne, co w tej chwili musiałem zrobić, to dowiedzieć się prawdy, podsycić jego gniew i skierować go na odpowiednie tory.

- Zaczniemy od początku - powiedział Robinson. - Ralston nie jest błyskotliwym naukowcem. To średniak, który udaje geniusza. Muszę mu przyznać jedno, jest świetnym oszustem i złodziejem.

- Możesz to wyjaśnić?

Robinson odstawił kubek i zaczął opowiadać.

- Było to gdzieś około osiemdziesiątego szóstego. Pracowałem w Emory, prowadząc tam zespół badawczy. Epidemia wirusowego zapalenia wątroby typu C wybuchła kilka lat wcześniej, postanowiłem wynaleźć lekarstwo na tę chorobę. Mój upór został nagrodzony grantem klasy RO1.

- RO1?

- To oznaczenie stopnia ważności projektu badawczego. W tym przypadku dostaliśmy cztery miliony dolarów.

- Kupa pieniędzy.

- Owszem. Pod moim kierunkiem pracowało szesnastu magistrantów, wytrącając osocze jak szaleni. Uniwersytet nas popierał, mieliśmy potencjał i pracowaliśmy pełną parą. Robiliśmy postępy, ale kluczem do sukcesu było uzyskanie enzymu o skłonności do wirusa.

- Skłonności?

- Przepraszam, to żargon laboratoryjny. Kiedy komórki się ze sobą łączą, mówimy, że mają do siebie skłonności. - Kiwnąłem głową na znak, że rozumiem, a on kontynuował. - Niestety, nie potrafiliśmy odkryć enzymu, który by działał na wirusa. Gdybyśmy go zidentyfikowali, nie miałby szans. Stworzylibyśmy lekarstwo idealne.

- Co zrobiliście?

- Zazwyczaj szuka się naturalnego enzymu tak długo, aż się na niego trafi. Potem przerabia się go, aż będzie w stu procentach skuteczny. Potem tworzy się substancję, która niszczy wirus, współpracując z enzymem, który ma do niego skłonność. To coś, jak pocisk sterowany przeciwko chorobie.

- Rozumiem.

- Święty Graal naukowców. Dajcie nam fundusze, a wynajdziemy lekarstwo na raka. Problem w tym, że łatwe jest to wtedy, kiedy się o tym mówi. Prawda jest inna. To cholernie trudne. Bardzo dużo zależy od enzymu, z którym zaczyna się pracę, a potem modyfikuje. Istnieją ich całe setki, więc jest spośród czego wybierać.

- Co się stało?

- Udało nam się, ale tylko dzięki ciężkiej pracy - odparł Robinson, pochylając się. - Tyraliśmy jak szaleni, studenci jeden

po drugim wykruszali się z zespołu. Byłem potwornym szefem. W końcu dokonaliśmy przełomu. Najśmieszniejsze okazało się to, że pomógł nam enzym P137, który występuje w ludzkim ciele, jednak w bardzo małych ilościach. Kryje się we krwi, i z tego, co wiemy, nie odpowiada praktycznie za nic. Jest pozostałością po bardzo dawnych czasach, kiedy nasi przodkowie potrzebowali go nie wiadomo do czego. Czatuje na poziomie molekularnym.

- Niesamowite.

- Potrzebowaliśmy go w sporych ilościach. Na początku próbowałem stymulować organizm, aby produkował go więcej, niż zwykle. Idealnym rozwiązaniem było zsyntetyzowanie go w warunkach laboratoryjnych, dzięki czemu moglibyśmy sztucznie wytworzyć dowolne ilości enzymu.

- Rozumiem.

- Mam nadzieję. To był wyścig z czasem, a linia mety okazał się być bliżej, niż ktokolwiek przypuszczał.

Wiesz, cień śmierci wisiał nad nami wszystkimi. Prowadzono wstępne badania nad AIDS, a równolegle zaczęliśmy sobie zdawać sprawę ze skali zagrożenia, jakim było zapalenie wątroby typu C. Opinia publiczna nie zwracała na nie uwagi, bo AIDS był znacznie bardziej spektakularną chorobą. Fakty były takie, że wirus typu C zbierał znacznie krwawsze żniwo. W tamtych czasach zarażonych nim było ponad trzy miliony osób.

- Nie wiedziałem.

- Nic dziwnego. To straszna choroba, a my byliśmy o krok od odkrycia leku. - Twarz Robinsona przybrała zacięty wyraz. - Działalem jak nakręcony, ale wtedy, właśnie wtedy, popełniłem najstraszliwszy błąd w moim życiu.

- Co się stało?

Robinson wyrzwał za okno, milcząc. Powracał pamięcią do tamtych czasów, na nowo przeżywając gorycz.

- Spotkałem Charlesa Ralstona, największego złodzieja na świecie.

- Opowiedz mi, co się stało.

- Duma. Ego. Głupota. - Spojrzał posępnie w kubek i powiedział: - Pojechałem na seminarium w Columbii.

- Tam pracował Ralston.

- Tak. Byłem strasznie podekscytowany, cieszyłem się z odkrycia. Mieliśmy szansę uratować wielu ludzi... Rozumiesz?

- Mój Boże, ty...

- Tak. Powiedziałem o jedno słowo za dużo. P137 był wtedy centrum mojego wszechświata - mruknął, pocierając skronie. - To było tylko jedno zdanie. Nie sądziłem, żeby ktoś się połapał.

- Ja bym nie wiedział, o co chodzi.

- Ale nie Ralston. On pracował nad podobnym rozwiązaniem. I nagle odpowiedź spadła mu prosto z nieba. W swoich eksperymentach poszedł jednak nie w tę stronę, co trzeba. Ja oddałem mu w ręce klucze do bram raj.

- Co zrobił?

- Ralston nie jest błyskotliwy, ale nie jest też idiotą. Mając odpowiednie wskazówki, w ciągu tygodni zduplikował moje wyniki.

- Nie opatentowałeś tego enzymu?

- Nie.

- Rozumiem - odparłem, sięgając pamięcią do czasów, kiedy słuchałem wykładów z prawa patentowego. - Jeżeli ktoś

publicznie ogłosi wyniki badań lub ich część, stają się one własnością publiczną i można je dowolnie powielać i wykorzystywać.

- Ralston zadzwonił do Nowego Jorku, do Stephensa. Ten powiedział mu to, co sam dobrze wiesz, i następnego dnia Ralston odszedł z uniwersytetu.

- Czyli Ralston cię wykiwał?

- Tak. Kiedy się o wszystkim dowiedziałem, Stephens miał w ręku wszystkie asy. Moja kariera legła w gruzach.

- W Emory nie byli zadowoleni?

- To było jedyne i największe upokorzenie, jakiego zaznali. Wiesz, ci studenci pracowali jak niewolnicy całymi miesiącami. Wszyscy wiedzieli, że jesteśmy na granicy sukcesu i nagle bum. Jedno głupie słowo i straciliśmy wszystko. - Upił łyk herbaty i mówił dalej. - Zniknąłem na jakiś czas. Nikt nie chciał ze mną współpracować, w sumie nie mogę się dziwić. Było tak źle, że szukałem pracy jako farmaceuta w aptece.

- Bardzo mi przykro.

- Tak. Przeszedłem przez piekło. Horizin zbijał fortunę na moim trudzie i nikt nie mógł im przeszkodzić. Najwidoczniej Stephens nie robił żadnych głupich błędów. Ich patenty były niepodważalne.

- Jakiego rzędu są to pieniądze?

- Liczba pacjentów liczona jest w milionach, zwłaszcza że choroba rozwija się w trzecim świecie. Każdy, kto choruje, musi brać lek Ralstona, i musi go przyjmować do końca życia. Można powiedzieć, że zarabiają na nim miliardy dolarów.

- Czyli, nie upiększając, zostałeś na lodzie, a tymczasem Ralston zbija kokosy? Jak skontaktowałeś się z Grayton?

- Chcę leczyć ludzi, a nie tuczyć się na ich nieszczęściu. Jednak tak naprawdę chodziło o urażone ego. Ralston ukradł wyniki moich badań. Dlatego zgłosiłem się do Grayton i powiedziałem, że można pójść dalej od Ralstona, że istnieje możliwość przebiccia jego wyników.

- Jak?

- Trzeba było pójść dalej. Nie można tylko powstrzymywać postępów choroby, należy ją wyleczyć.

- Grayton Laboratories było zainteresowane?

- Tak - kiwnął głową Robinson. - Chcieli zaryzykować, jednak ich firma ledwie się trzyma na powierzchni. Trudno im konkurować z taką korporacją, jak Horizn. Ale ja wiedziałem o tej chorobie więcej niż Ralston i jego badacze razem wzięci. Przy całej swej skuteczności jest to jedynie środek łagodzący objawy, i nie uderza w ognisko choroby. Wiem o tym, bo ja go opracowałem. Powiedziałem im, że z moją pomocą mogą stanąć do walki. Musieli zaryzykować, ale w końcu się dogadaliśmy. - Robinson spojrzał mi w oczy. - Znów było cudownie. Staruszek oddał mi do dyspozycji zespół, laboratorium, środki. A potem - jego ton stał się znowu ponury. - Wszystko poszło w diabły.

- Czy masz podejrzenie, dlaczego tak się stało? Robinson pokręcił głową.

- Przerabiałem ten temat chyba z tysiąc razy. Konfrontowałem dane i obliczałem je na nowo. Nadal uważam, że ci ludzie powinni być zdrowi i cieszyć się życiem.

Zapadła dłuższa chwila ponurego milczenia.

- Założmy przez chwilę, że to Ralston stoi za włamaniem do systemu informatycznego Grayton. Po co to zrobił? Żeby ukraść informacje o lekarstwie?

- Nie, nic z tego. Nie wzięłyby go, nawet gdybym oddał mu lipitran za darmo.

- Nie rozumiem.

- Lipitran leczy chorobę. Działa raz i nie trzeba go przyjmować przez całe życie. Po co mu takie lekarstwo, skoro może dość swoich pacjentów do końca życia?

- O co mu chodzi?

- Jeżeli nasz lek wszedłby na rynek, firma Ralstona musiałaby zwinąć swój kramik. Dopóki lipitran nie działa, dopóty on nie musi się bać o przyszłość. - Ponownie opuścił wzrok na dno kubka i ponurym tonem zapytał: - Siedmioro martwych pacjentów raczej nie jest dobrą wróżbą, co nie? Lipitran to śmiertelna trucizna.

Widząc, że Robinson pogrąża się w smutku, przejąłem inicjatywę.

- Czyli wiemy, na czym stoimy. Ralston zna twoje plany, i ze wszystkich sił próbuje położyć im kres.

- Tak.

- Nie wiemy tylko jednej rzeczy: w jaki sposób to robi?

- I tutaj cała teoria chwieje się w posadach. - Pokręcił smutno głową. - Chciałbym, abyś mówił prawdę, ale niestety, snujemy niesprawdzone teorie. Byłem w laboratorium i wiem, że błąd mógł wystąpić tylko w dwóch miejscach. Ktoś musiałby wpłynąć na skład chemiczny leku, albo sprawić, że zostałaby podana jego śmiertelna dawka.

- Zacznijmy od składu.

- Po pierwsze, nie ma sposobu, aby Ralston zanieczyścił skład lekarstwa. Było wytwarzane w laboratorium Grayton. Osobiście sprawdzałem jego skład do chwili, kiedy zostało podane pacjentom, było przez cały czas ściśle monitorowane.

- Rozumiem. A co z dawką?

- Też chybiony strzał. Nadzorowałem terapię. Wszystko szło zgodnie z planem, bez żadnych kłopotów.

- W dalszym ciągu pozostaje jedna ewentualność.

- Nie. Na początku myślałem, że to przypadek. Jeśli tak, to ta ósemka miała strasznego pecha, bo spotkała najgorszego lekarza na ziemi. Mnie. - Mówiąc te słowa, Robinson uderzył pięścią w stół. Ludzie, siedzący przy okolicznych stolikach, spojrzeli na nas z zaciekawieniem.

- Nie! - syknął, uspokajając się. - Błąd musiał się kryć gdzie indziej. Skład był idealny, dawki odpowiednie. Musi być jakiś inny sposób, w który Ralston mnie załatwił.

- Raczej ich, czyż nie?

- Tak, racja.

- Posłuchaj, chcę tylko dowiedzieć się, kto stoi za śmiercią Douga. Chcę, aby jego mordercę spotkała kara.

- Tutaj jest pewien problem - powiedział Robinson. - Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego Ralston go wynajął i czemu go załatwili po tym, jak przestał być im przydatny. Jeśli to prawda, to dlaczego wynajęli Douga, przecież musieli wiedzieć, że choruje. Po co wstrzykiwać mu fenatyl?

- Żeby upewnić się, że jest trupem?

- A po co niszczyć zbrodnię doskonałą? Zabicie go nie ma sensu.

- Racja. Morderstwo przyciągnęłoby niepotrzebnie uwagę policji.

- Jak najbardziej. Może powinieneś zacząć myśleć, czy to przypadkiem nie ktoś inny zabił twojego przyjaciela.

- Możliwe, ale nie wydaje mi się. Jesteśmy po tej samej stronie. Z moją pomocą możesz dać ludziom cudowne lekarstwo. - Zamilkłem na chwilę. - Będziesz miał też okazję zemścić się na człowieku, który zrujnował twoje życie.

Robinson spojrział na mnie.

- Zrobię, co tylko mogę, ale powiedziałem ci wszystko, co wiem. Jeżeli ci ludzie wpłynęli na moje badania, to mają wpływy, o których my możemy tylko pomarzyć. - Wstał od stołu i zabrał torbę z ziarnem. - Na chwilę obecną nie mamy nic.

- My?

Robinson spojrział na mnie z góry. Z jednej strony chciał podjąć bój, ale z drugiej zdawał sobie sprawę, że kolejnej porażki nie przetrzyma. Nasza klęska w jego przypadku zakończyłaby się w szpitalu psychiatrycznym. I tak był niebezpiecznie blisko załamania nerwowego.

- Kiedy dowiesz się czegoś nowego, będziesz wiedział, gdzie mnie znaleźć.

* * *

Nie wiem, jaka jest cena ludzkiego życia. Wychowano mnie tak, abym wierzył, iż nie ma nic droższego. Zostaliśmy stworzeni na podobieństwo Boga, a kiedy ktoś próbował nam odebrać jego dar, musiał zapłacić swoim życiem. Człowiekowi nie wolno ingerować w Absolut, bowiem jest ułomny. Im dłużej żyję, tym

trudniej jest mi wierzyć w to twierdzenie. Ostatnio w sali sędziego Odoma widziałem, jak ludzkie życie wyceniono na niecałe dwadzieścia dolarów, parę kapsli i papierków, które dzieciakowi zabrał narkoman zbierający na kolejną działkę. Przy okazji, za pomocą noża, odebrał mu życie. O tym samym morderstwie czytałem w gazecie, na stronie dziesiątej, bo na pierwszej emocjonowano się losami wiewiórki, która utknęła w rynnie. Patrząc na świat z takiej perspektywy, trzeba zająć jakąś pozycję, bo na *consensus* nie ma tutaj miejsca. Albo jesteśmy wszyscy braćmi i siostrami, połączonymi jakąś mistyczną więzią, albo zwierzętami, które walczą ze sobą o dominację. W pierwszym przypadku zabijanie jest niedopuszczalne, w drugim - to nic niezwykłego.

Dążę do tego, że nigdy nie podejrzewałem, aby medycy, jeśli chodzi o wartości, byli nihilistami. Można by się spodziewać, że stoją po stronie obrońców życia, ale tylko do chwili, kiedy uprzytomnimy sobie, jakie pieniądze mogą zarabiać. Historia pokazuje dobitnie, że kiedy ludzie mają szansę się wzbogacić, wtedy przestają darzyć bliźnich braterskimi uczuciami.

Puściłem w ruch trybiki w mojej głowie. Był wtorek, za niecały tydzień, w poniedziałek, Charles Ralston i Derek Stephens mieli stać się jeszcze bogatsi, niż dotychczas, a wszystko to za sprawą ludzi, którzy postanowią kupić ich akcje i żyć z pieniędzy nieszczęśników skazanych na dożywotnią terapię. Zgodnie ze słowami Robinsona, sukces lipitranu podważyłby spokojną przyszłość Horizn. Prawda, doktor miał powody, by nienawidzić Ralstona, dlatego mógł przesadzać w swoich opowieściach, chcąc się odegrać na dawnym wrogu. Porażki nie sprawiają, że świat

wygląda na zły, ale na nieprzyjazny. Czasem człowiek ma wrażenie, że wszystko się przeciwko niemu sprzysięgło. Robinson na pewno należał do klubu rozgoryczonych nieudaczników. Pozostało mi sześć dni, aby się dowiedzieć, czy Stephens i Ralston w imię swoich przyszłych profitów postanowili poświęcić życie ośmiu osób. Musiałem się przekonać, czy są potworami.

Wszystko było dla mnie jasne. Wiedziałem, kto jest dobry, a kto zły, i kogo należało ocalić. Wreszcie miałem jasny obraz sytuacji. Po piętnastu minutach nie byłem już pewny niczego.

Rozdział dwudziesty

- Jack? Powiedz mi, Jack, kiedy przyjedziesz do biura?

- Po kolei, Blu. Czy Derek Stephens odezwał się do ciebie albo dał znak życia?

- Posłuchaj, jest tutaj ktoś, kto chce się z tobą spotkać.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła piąta.

- Kto to? Nikt nie był ze mną umówiony.

- Pan Stephens.

Mało nie podskoczyłem w fotelu.

- O kurcze blade! Jest u ciebie? Czeka?

- Tak.

- Na mnie?

- Aha.

- Powiedz mu, żeby się nigdzie nie ruszał. Zaraz przyjadę.

- Nie wygląda, jakby zamierzał się stąd ruszać.

- Będę w biurze za piętnaście minut.

Derek Stephens nie wyglądał na wkurzonego. Nie sprawiał także wrażenia człowieka, który siłą woli powstrzymuje nerwy na wodzy. W zasadzie. Zachowywał się tak, jakby to był kolejny, zwykły dzień jego życia, a sprawa Sammy'ego Liston, Blu i ferrari była dla niego szaradą bez znaczenia. Kiedy wszedłem, podniósł się z fotela w poczekalni, i powitał mnie z taką nonszalancją, jakbym wchodził nie do mojego, ale do jego biura. Nawet pierwszy zabrał głos:

- Jack - powiedział. - Mam nadzieję, że znajdziesz dla mnie kilka minut.

Spojrzałem na Blu i spytałem:

- Wszystko w porządku, skarbie? - Kiwnęła głową. - Może wyskoczysz sobie na kawę?

- Nie martw się o mnie. - Blu popatrzyła na Stephensa, założyła zakiet, wzięła torebkę i wyszła. - Zapraszam do biura - rzuciłem w kierunku mojego gościa.

Stephens wszedł do gabinetu i odłożył okulary na blat biurka. Obrzucił wzrokiem biuro, fotel i sprzęty, pewnie zastanawiając się, jakim cudem jestem w stanie pracować w pomieszczeniu, które rozmiarami przypomina jego ubikację. Stałem spięty, bo chociaż w sądzie czasem wylewano mi wiadro pomyj na głowę, to nie zwykłem słuchać takich pretensji u siebie. Po rozmowie z Robinsonem byłem jeszcze bardziej bojowo nastawiony. Istniała spora szansa, że obok mnie stał morderca, choć, z drugiej strony, Stephens mógł być też niewinny. Z tego powodu postanowiłem zająć neutralne stanowisko. Wskazałem mu fotel, usiadłem po drugiej stronie biurka i pozwoliłem mu popatrzeć na moje podbite oko.

- W czym mogę pomóc? - spytałem.

Stephens siedział przez chwilę w milczeniu, uśmiechając się do mnie, a potem odparł.

- Wpadłem na pewien pomysł, Jack. Otóż wymyśliłem sobie, że możemy zostać przyjaciółmi.

Odwzajemniłem uśmiech i odparłem:

- Rany, Derek. Sam nie wiem, czy to wypali. Czemu sądzisz, że to dobry pomysł?

- W ten sposób mogę ci udzielić przyjacielskiej rady, zamiast ostrzeżenia.

- Cholera, nie wiedziałem, że potrzebuję któregoś z nich.

Stephens wzruszył ramionami.

- Ludzie w potrzebie rzadko zdają sobie sprawę z jej istnienia. Mam wrażenie, że źle zaczęliśmy tę rozmowę. Spróbuję jeszcze raz.

Uznałem, że dam mu szansę, aby się wygadał.

- Derek, stary kumplu, zamieniam się w słuch.

- Ostatnimi czasy wsadzasz nos tam, gdzie nie trzeba, zwłaszcza pod spódnicę żony Charlesa Ralstona.

Aha, czyli jednak pójdziemy na noże, pomyślałem. Nie ma problemu, możemy to załatwić i tak.

- Wybaczysz mi, mam nadzieję, że nie będę słuchał rad notorycznego podrywacza sekretarek?

Stephens uśmiechnął się, jakby pomyślał: *dobrze, że masz jaja. Teraz zacznij się robić interesująco.*

- Wiem, że to nie ma nic wspólnego z tą rozmową, ale nie aprobujesz mojego związku z Blu, prawda?

- Obawiam się, że gdybym miał szczerze odpowiedzieć, musiałbym być wulgarny.

Stephens machnął niedbale ręką.

- Nie krępuj się.

- Problem polega na tym, Derek, że Blu to wspaniała dziewczyna. Ma złote serce, choć nie jest specjalnie bystra. W przeciwieństwie do niej, ty jesteś bogatym snobem, który uważa się za lepszego od innych, bo przeczytałś w życiu kilka mądrych książek. Jednak nie dbam o to, w gruncie rzeczy. Martwi mnie coś innego.

- Co dokładniej?

- Fakt, że przez jakiś czas będziesz umawiał się z moją sekretarką, a potem zaciągniesz ją do łóżka. Potem będziesz się zabawiał z nią tak długo, aż ci się nie znudzi i - koniec końców - rzucisz ją. Niestety, Blu jest słodkim dzieckiem, które nie rozumie, dlaczego traktujesz ją jak zabawkę, a nie osobę z krwi i kości. Przecież nie ożenisz się z nią, nawet za sto lat. Nie żebym chciał, abys to zrobił, ale nie o to mi chodzi. Nie zrobisz tego, bo będziesz się wstydził przedstawić ją kolegom. Będziesz się bał, że zawstydzi cię na jakimś przyjęciu, pytając, którego widelca ma użyć do jedzenia, albo co właściwie napisał Dante, i o co chodzi z obrazami Kandinskiego. A może powie coś prostego, głupiutkiego i płynącego z głębi serca, na przykład, że chciałaby pomalować waszą sypialnię na błękitno, przez co stracisz swoją pozycję pośród kumpli. Nie, Derek, nie ożenisz się z nią, bo znam typy takie, jak ty, stary kumplu. Pobawisz się nią trochę, a kiedy przestanie być użyteczna, zostawisz. Blu w swojej naiwności nawet nie przypuszcza, że można tak postąpić. Ja ze swojej strony potrafię na pierwszy rzut oka rozpoznać takich drani. Im dłużej o was myślę, tym bardziej wstydzę się tego, że jestem mężczyzną.

Stephens siedział milcząco, bujając się w fotelu. Obserwował mnie baczным spojrzeniem, a w końcu odparł:

- Jaka szkoda, Jack, że się gdzieś zgubiłeś po drodze. Mówię zupełnie szczerze. Jesteś doskonałym mówcą. - Pochylił się w moją stronę i dodał: - Zdajesz sobie sprawę, że dowiedziałem się o tobie paru rzeczy. Nie miej do mnie pretensji, ale musiałem, skoro wpychasz łapy pod bieliznę Michele. - Oparł łokcie o blat i splótł dłonie. - Będę mówił krótko, bo czas mnie trochę goni. Byłeś świetny, Jack. W swoim czasie mogłeś być najlepszym prawnikiem

w mieście. Ambicja, talent i pracowitość, rzadko się spotyka taką kombinację. Niestety, uległeś niewłaściwej pokusie... - Rozejrzył się znacząco po moim biurze. - I wylądowałeś... tutaj.

Spoglądając na niego, powiedziałem sobie w duchu, że jeśli wymówi jej imię, huknę go prosto w pysk. Stephens nie popełnił tego błędu i mówił dalej:

- Dwa lata temu byłeś najbardziej obiecującym prawnikiem u Carthy'ego, Williamsa i Douglasa. Niezła kancelaria, szerokie perspektywy. Jeden zły ruch i wyleciałeś z toru. Prawda jest taka, że poświęciłeś się na ołtarzu miłości do kobiety. Chcesz popełnić ten sam błąd po raz kolejny?

Przez chwilę zastanawiałem się, ile lat bym dostał za połamanie nóg Stephensowi. On jednak coś chciał ode mnie.

- Pewnie ci się wydaje, że jesteś królem świata, czyż nie?

- Wszystko na to wskazuje.

- Czy twoja narzeczona nie pochodzi z Connecticut? Co skończyła, *gender studies*? Twarda z niej sztuka, dlatego nie możesz utrzymać łap przy sobie, widząc tyle fajnych dziewczyn z Południa. Teraz trafiła ci się najwspanialsza z cudownych, a za tydzień zostaniesz miliarderem.

- Do czego zmierzasz?

- Do tego, że nie masz nic. Stephens wyglądał na rozbawionego.

- Nic?

- Tak, nic. A wiesz dlaczego? Bo brakuje ci szlachetności. Derek, ty nie zapracowałeś na swój sukces. Ukradliście z Ralstonem formułę lekarstwa i teraz żyjecie z cudzej pracy.

Stephens zmierzył mnie wzrokiem.

- Takie oskarżenia wysuwa tylko jeden człowiek na świecie. Czy to nie zabawne, że akurat teraz z nim rozmawiałeś?

- Jest prawdziwym wielbicielem twojego szefa.

- Tom Robinson to dobry naukowiec. Odwalił kawał niezłej roboty, choć nie tak dobrej, jak uważa. Niestety, popełnił ogromny błąd, i nie potrafi się z nim pogodzić. Żal ci go? Mnie nie. Biznes to wojna, powie ci to każdy, kto odniósł sukces. - Ponownie rozejrzył się po biurze. - Czy po to studiowałeś prawo, Jack?

- To co mam, zdobyłem pracą własnych rąk.

- Jack, wiem, że mnie nie lubisz. Trudno. Uważasz mnie za drania, przeżyję to jakoś. Nie zamierzam cię jednak prosić o zaufanie. Zasłużę na nie.

- To nie będzie łatwe.

- W takim razie patrz i ucz się. - Stephens zamilkł i patrzył mi w oczy. - Czy Michele powiedziała ci już o Briaah?

Świat zatrzęsł się w posadach. Jej istnienie było największą tajemnicą Michele, sekretem, który za wszelką cenę miał pozostać w ukryciu. Tymczasem Stephens wymówił to imię z taką łatwością, jakby mówił o pogodzie.

- Briaah? - szepnąłem.

- Tak, Jack. Nic się nie martw. Wiem o jej istnieniu, podobnie jak i Charles.

- Ale ona powiedziała...

- Wiem, Jack. Ona kłamie.

- Ona nie wie, że ty i Ralston...

- Michele kłamie. Spytaj ją o to bezpośrednio, i patrz w oczy. Przekonasz się, że to ja mówię prawdę.

Zamknąłem oczy. Konsekwencje tego, co mówił Stephens były tak ogromne, że nie potrafiłem ich objąć. Zostałem oszukany, wykorzystany i to w sposób, który mógł zmienić mój sposób postrzegania do końca życia. Stephens siedział w ciszy, pozwalając mi pozbierać myśli.

- Czy wiesz, że Michele była notowana przez policję?

Otworzyłem oczy.

- Nie. - Czułem, jak ogarnia mnie fala mdłości. - Za jakie przestępstwo?

- Nie jedno, a kilka - odparł Stephens. - T'antiqua była bardzo niegrzeczną dziewczynką.

- T'antiqua?

- Tak, Jack. O tym też wiemy. Czułem, że brak mi tchu.

- Powiedziała, że Ralston o niczym nie wie. Nigdy by nie zaakceptował jej przeszłości.

- Wie o wszystkim, Jack. Sam rozumiesz, że nie ma sensu spierać się o to, czy przyjąłby ja taką, jaka jest.

Drań miał rację. Z faktami nie da się dyskutować. Jedno pytanie nie dawało mi jednak spokoju:

- Skoro Ralston o wszystkim wie, to po co te poszukiwania? Gdzie przeszkoda w odzyskaniu prawnej opieki nad Briah?

- Ponieważ odebrano jej prawa rodzicielskie, i nigdy legalnie ich nie odzyska. Dlatego próbuje wykorzystać ludzi, żeby jej pomogli. - Stephens zamilkł na chwilę. - Bez wątplenia powiedziała ci, że dziecko odebrała jej opieka społeczna, zaraz po narodzinach dziewczynki?

- Tak.

- To jej ulubiona wersja. Opowiadała też o kradzieży z wózka, lub ojcu, który uprowadził małą. Nie wiem, czy ci to pomoże, ale jesteś... Piątym facetem, którego tak nabrała. Twój przyjaciel, Doug, był czwarty.

- Znasz Douga? - spytałem, nie kryjąc już zdziwienia.

- Musisz zrozumieć, Jack, że ja wiem wszystko o Michele. - Spojrzał na mnie poważnie. - Dosłownie *wszystko*.

Przed oczyma stanęła mi noc spędzona na pokładzie samolotu Horizn. Stephens przyglądał mi się i jakby czytając w moich myślach, powiedział:

- Tak, o tym też wiem. Nie przejmuj się, wszyscy wiemy, że ona jest olśniewająca. Kiedy zaczyna śpiewać, można pomyśleć, że jest boginią. Niestety, to złudzenie. Michele ma poważne problemy. Jako dziecko była niezdolna. Później używała życia pełnymi garściami, nic dziwnego, że kiedy na świecie pojawiła się Bria, Michele nie potrafiła dostosować się do roli matki.

- Co się stało? - spytałem, czując jak ogarnia mnie emocjonalna tępota.

- Zdarzył się wypadek. Dziecko o mały włos nie utonęło, kiedy Michele bawiła się ze znajomymi w drugim pokoju.

- Rozumiem. - Prawda była taka, że nie wiedziałem już, gdzie jest góra, a gdzie dół.

- Kąpała małą w wanience, ale ją zostawiła. Tak się zdarza, kiedy w grę wchodzi marihuana i alkohol. Dziewczynkę uratowała policja, którą z powodu nocnych hałasów wezwali sąsiedzi. Policja weszła do mieszkania i znalazła Michele ze znajomymi na haju. Dziewczynka pływała w waniencie i gdyby tylko obróciła główkę, utopiłaby się. Brakowało ledwie kilku centymetrów. - Nie

wiedziałem, co powiedzieć. Siedziałem oniemiały. - Nie ma się czemu dziwić, że pracownicy opieki społecznej odebrali jej dziecko, a sąd pozbawił jej praw rodzicielskich. Zrobili to, aby ocalić małą.

- Gdzie ona teraz jest?

- Myślisz, że wiem?

- Zdaje się, że jesteś świetnie poinformowany.

- Masz rację - odparł, zastanawiając się poważnie. - Tak, wiem, gdzie ona teraz jest, ale to nie twoja sprawa. Dość powiedzieć, że Charles dba, aby małej niczego nie brakowało. Michele odbija raz na jakiś czas - westchnął ciężko. - Opanowuje ją wtedy poczucie winy i za wszelką cenę musi się dowiedzieć, co się dzieje z jej dzieckiem. Roi sobie, że ją odnajdzie i wyjaśni wszystko, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki stając się dobrą matką. Jestem w stanie to zrozumieć, jednak Bria nic z takiego spotkania nie wyniesie.

Siedziałem w milczeniu, próbując zrozumieć, co się dzieje dookoła mnie. Świat stanął na głowie. Kobieta, w której się zakochałem, okazała się bezlitosną intrygantką, a mój wróg powierzał mi swoje tajemnice. Nagle błysnęła mi w głowie pewna myśl.

- Słuchaj... Jeśli chodzi o Sammy'ego... On nie jest najbystrzejszym facetem na świecie, więc miej dla niego litość. On... po prostu jest sfrustrowany swoją własną osobą.

- Nie zamierzam mu nic zrobić - odparł Stephens.

- Rozwalił twoje ferrari. Przynajmniej zaaranżował to.

- Jestem tego świadomy.

- I nie zamierzasz brać odwetu?

- Nie.

- Blu powiedziała, że byłeś wściekły.

- A ty byś nie był?

- Pewnie bym wpadł w szal. Dlaczego nie zamierzasz dobrać się Sammy'emu do tyłka?

- Bo choć jest żalonym robakiem, to sprzyja mu szczęście. Wybrał taki moment, że nie mogę mu nic zrobić. Za sześć dni Horizn wchodzi na giełdę, więc nie mogę sobie pozwolić na skandal związany z jakimś podrzędnym adwokacina.

- A potem?

- Cena akcji Horizn jeszcze długo będzie się wahała. W tej chwili potrzebujemy ciszy i spokoju. Nie możemy sobie pozwolić na żadną niezdrową atmosferę. Kiedy będę udzielał wywiadów gazecie giełdowej, nie chcę zaczynać od tłumaczeń o awanturę z jakimś wieśniakiem.

Siedziałem oniemiały, zapomniawszy języka w gębie. Rozmowa toczyła się takim torem, którego nie przewidziałbym nigdy w życiu.

- Czyli ujdzie mu na sucho? - spytałem.

- Tak. - Stephens odchylił się w fotelu i dodał rzeczowym tonem. - I tak dochodzimy do ciebie.

Nagle zrozumiałem, po co była ta rozmowa, dlaczego powierzał mi brudne tajemnice żony Charlesa Ralstona. On i jego prawnik chcieli złożyć mi jakąś propozycję. *Niech go diabli, zna się na swojej robocie. Rzeczywiście, nie marnuje ani minuty swego cennego czasu.*

- Jestem nieprzewidywalnym czynnikiem, który należy opanować, tak?

Stephens wzruszył ramionami i odparł:

- Można cię tak określić.

- Chcecie, abym przestał badać sprawę śmierci Douga, prawda?

- W grę wchodzi miliardy dolarów, Jack. Każdy cent zależy od nienagannej reputacji Horizn.

- To już nie jest mój problem.

- Racja, ale chcesz znaleźć odpowiedzi na pewne pytania, czyż nie? A trapi cię ich cała chmara, głównie te o Douga.

- Niczego innego nie pragnę bardziej, niż odpowiedzi.

Stephens sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął z niej mały kartonik.

- Pojaw się jutro rano w siedzibie Horizn. Strażnikowi przy bramie przekaz tę wejściówkę.

- Po co? - spytałem, w zdziwieniu unosząc brwi.

- Masz umówione spotkanie z Charlesem Ralstonem.

- Serio?

- Wiem, że masz swoje podejrzenia, a spotkanie z Robinsonem tylko je pogłębiło. Jednak nie zapominaj, że to on sam był kowalem własnego losu, i nie może nikogo innego obwiniać o swoje niepowodzenia. Firma Horizn nie miała z nimi nic wspólnego. Charles zgodził się ze mną, że osobiste spotkanie z tobą jest najlepszym wyjściem z kłopotliwej sytuacji. Uważam, że ma więcej klasy ode mnie, bo nie wiem, czy wybaczyłbym komuś, że przyprawił mi rogi. - Stephens wstał z fotela i powiedział na pożegnanie: - W międzyczasie radzę ci, abyś darował sobie Michele.

- Mam się od niej trzymać z daleka, tak?

- To dość delikatny okres, a ona miewa niebezpieczne skłonności do skupiania na sobie niechcianej uwagi. - Ruszył w stronę drzwi, ale kiedy chwycił za klamkę, zatrzymał się jeszcze, spojrzał na mnie i dodał: - Przekaż panu Robinsonowi, że jeśli zacznie szkalować opinię Horizon w prasie, to zniszczę Grayton do tego stopnia, że nie zostanie po nich najmniejszy ślad. Na poparcie swoich tez nie ma żadnego dowodu, a ja obronę dobrego imienia firmy traktuję serio.

- Nie zapomnę.

- Zrób to.

Stephens wyszedł, a ja opadłem na fotel. Butelka szkockiej whisky, moja jedyna metoda obrony przed okrutnym światem, kusząco wzywała do opróżnienia kilku szklaneczek. Moja głupota i poczucie winy paliły jak żywym ogniem. Musiałem przemyśleć wiele rzeczy i spojrzeć na sprawę pod zupełnie innym kątem.

Obstawiłem nie tego konia, co trzeba. Ralston i Stephens skopali mi tyłek. Powiedzmy sobie szczerze, dałem się nabrać piękności, urodzie, gracji i talentowi kobiety, o której myślałem, że jest całkowicie poza moim zasięgiem. Dla niej wspiąłem się na szczyty i wtedy okazało się, że zostałem okręcony wokół jej palca, wykorzystany i oszukany. Michele Sonnier po prostu odgrywała kolejną rolę.

Wielokrotnie mówiono mi, że miłość to suka. Sama myśl o niej sprawia, że ludzie zaczynają zachowywać się, jak idioci. Od śmierci Douga Townsenda moje życie przypominało wariacki sen. Doug umarł dlatego, że próbował jej w czymś pomóc. Gdyby nie jego obsesja, żyłby nadal, czysty od narkotyków i być może wydzwignąłby się z rynsztoka. Sammy zaryzykował swoje życie i

pracę dla Blu, którą kochał bez nadziei na spełnienie. Mnie z kolei ratuje człowiek łamiący serce mojej sekretarce. Zdecydowanie, sytuacja dojrzała do tego, abym nalał sobie szklanekę płynnego bursztynu.

Z poczekalni dobiegły do mnie przytłumione dźwięki rozmowy, którym kres położył trzask zamykanych drzwi. Nalałem sobie whisky i pomyślałem o Blu. Nieraz słyszałem, że uroda może przeszkadzać kobiecie w życiu. Do tej pory nie rozumiałem, co to miało oznaczać. W ciągu ostatnich kilku dni przekonałem się, że wdzięki Blu są jej największym wrogiem. Co więcej, nawet tacy nieudani, choć szarmanccy, obrońcy typu Sammy'ego też nie ułatwiali im życia. Wystarczyłby jeden uśmiech, a Sammy stałby u jej drzwi z bukietem kwiatów i butelką szampana. Z drugiej strony, człowiek pokroju Stephensa, który trzymał w ręku klucze do jej rajy, zapewne po kilku tygodniach, może miesiącach, porzuciłby ją dla innej kobiety. Opróżniłem szklanekę do dna i ponownie ją napełniłem, wpatrując się w bursztynową głębię alkoholu. W pewnym momencie Blu zapukała i weszła do mojego gabinetu.

- Jak tam? - spytałem. - Wszystko gra?

- Tak - odpowiedziała cicho. - Mam na biurku kilka wiadomości dla ciebie.

- Słuchaj, Blu... Jeśli jest coś, o czym chcesz pogadać...

- Nic mi nie jest - odparła i przeczesła swoje cudowne włosy. Podeszła do mojego biurka i położyła kartkę na blacie. - Chciałam ci powiedzieć, że rezygnuję z pracy. Tutaj jest moje wypowiedzenie.

Spoglądałem przez chwilę na kartkę bezrozumnym wzrokiem, a potem przeniósłem wzrok na Blu.

- O czym ty mówisz? Nie przyjmuję rezygnacji! Blu zamrugła kilka razy oczyma, a ja zacząłem się bać, że wybuchnie płaczem.

- Jack, nie ma znaczenia, co myślisz. Odchodzę, niezależnie od twojego zdania. Próbuję tylko zachować się, jak na profesjonalistkę przystało.

- Ale czemu?

- Nieważne.

- Chodzi o Stephensa? Blu, jeśli ten skurczybyk...

- Nie, to coś innego - odparła, czerwieniąc się.

- Jak to? Chcesz mnie zostawić bez słowa wyjaśnienia?

Blu odwróciła się do mnie plecami i wybuchła szlochem. Spazmy wstrząsały całym jej ciałem, ale zdołała wydukać:

- Jack, proszę. Nie zmuszaj mnie, po prostu daj mi odejść.

Wstałem zza biurka i podszedłem do niej. Ująłem ją pod brodę i spojrzałem prosto w oczy.

- Możesz zrobić wszystko, co zechcesz, tylko powiedz mi, dlaczego chcesz mnie zostawić.

Blu stała, pochlipując cicho. Łzy spływały po jej policzkach, a buzię wykrzywiał dziecięcy wyraz smutku i cierpienia. I wtedy powiedziała coś takiego, co sprawiło, że omal nie wyskoczyłem z butów.

- Robię to dla ciebie, Jack. Dopóki u ciebie pracuję, Sammy nigdy już nie zadzwoni z pracą.

Opadłem na krzesło dla gościa. Blu miała całkowitą rację. Przeżyła już wiele takich sytuacji, jak ta z Sammym, i wiedziała, co będzie później. Kiedy absztyfikant przekonuje się, że nie ma

żadnych szans, zrywa wszelkie kontakty. Choć Sammy'ego serce będzie bolało do końca życia, to nie zbliży się do Blu nawet na kilometr. Po tak wyraźnym koszcie nie będzie w stanie się przełamać, i gawędzić z dawną ukochaną o głupotach. Sammy w głębi duszy wiedział, jaki będzie efekt jego umizgów do Blu, ale teraz przekonał się boleśnie, jak sprawy stoją. Męskie ego nie zniesie takiego upokorzenia. Dopóki Sammy będzie wiedział, że telefon odbierze Blu, nie wybierze mojego numeru.

- Daj, spokój - powiedziałem. - Oczywiście, że się odezwie. Ochłonie i wszystko będzie, jak dawniej.

Obydwoje wiedzieliśmy że kłamię, jednak stwierdziłem, że nie porzucę Blu dla kilku dolarów pochodzących z ofert Sammy'ego.

- Jack, mężczyźni to...

- Posłuchaj mnie...

- Nie dasz sobie rady bez jego pomocy, Jack. Został upokorzony i nie będzie miał siły spojrzeć mi w twarz. To prosta sprawa. Muszę odejść.

- Blu, ja...

- Poza tym jest twoim najlepszym przyjacielem, Jack. Nie mogę cię prosić, abys się do niego odwrócił plecami.

- Stephens nie namawiał cię do odejścia?

- Nie.

Zasępiłem się. Po krótkim, ale intensywnym przemyśleniu sprawy, podarłem kartkę na drobne kawałki.

- Zostajesz. Nie przyjmuję twojej rezygnacji.

- Zbankrutujesz.

- Ale chcesz u mnie pracować, prawda?

- Tak, Jack. Oczywiście, że chcę. Jesteś... Chciałabym zostać.

- Czyli nie możesz odejść.

Blu trochę się uspokoiła. Łzy zaschły na jej policzkach, ale nadal oddychała z trudnością.

- Dlaczego? Czemu to dla mnie robisz?

- Ponieważ w chwili obecnej czuję się zawstydzony poczynaniami męskiej części populacji i próbuję choć w małym stopniu zadośćuczynić popełnionym grzechom. Chcę oddać ci przysługę, nie wykorzystując jej, aby zaciągnąć cię do łóżka.

Minęło kilka minut, zanim Blu się uspokoiła. Wygładziła spódnice, poprawiła zakiet i odgarnęła włosy za uszy. Podeszła do mnie i pocałowała mnie w policzek.

- Dziękuję - szepnęła, uśmiechając się delikatnie. - Bardzo dziękuję, Jack.

- Nie ma za co.

- Zbankrutujesz.

- Pewnie tak.

- Razem pójdziemy na dno - powiedziała, otarła jeszcze raz łzy i wyszła.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Środa kocim krokiem przemykała ulicami Atlanty. Przybyła na skrzydłach wiatru, gnana promieniami wschodzącego słońca. Siedziałem na balkonie mojego mieszkania i obserwowałem, jak, wraz z kolejnymi światłami w oknach, miasto budzi się do życia. W ogródkach lądowały poranne gazety, a dzwonki budzików zrywały śpiących ludzi o morderczo wczesnej godzinie. Samotny samochód przemknął pod oknem mojego mieszkania na trzecim piętrze, omiatając światłami ulicę. Nie zmrużyłem tej nocy oka. Towarzystwa dotrzymywały mi duchy ośmiu martwych osób i butelka szkockiej.

Niektórzy ludzie zapadają pod wpływem alkoholu w sen, pozbawieni jakiegokolwiek świadomości. Niestety, nie jestem jednym z nich. Potrafię pić cały dzień, ale nie jest to najlepszy pomysł. Kiedy mam trochę w czubie, dopada mnie melancholia i rozmyślam nad niegodziwościami świata, których na trzeźwo nie umiem znieść. Większą część nocy spędziliśmy (ja i butelka), rozprawiając o upadku dzisiejszej Ameryki: księżach molestujących dzieci, przepłacanych prezesach spółek, prezydencie Clintonie i seksie oralnym w Ovalnym Gabinetcie. Jednym słowem, kontemplowaliśmy upadek moralny tego niegdyś dumnego i wspaniałego kraju. Przede mną, niczym kamienie młyńskie przywiązane do mych wyrzutów sumienia, leżała lista z nazwiskami siedmiu martwych ludzi i jednego, który jeszcze kurczowo czepiał się życia. Jonathan Mills, Chantelle Weiss, Brian Loudon, Keisha Setter, Najeh Richardson, Lavaar Scott,

Michele Lashonda Lyles i Doug Townsend nie żyli. Bóg jeden raczył wiedzieć, kiedy do ich grona miał dołączyć Roberto Lacayo.

Spośród całej tej grupy nieszczęśników tylko Doug był dla mnie człowiekiem, a nie kartką z zapisanym na niej imieniem i nazwiskiem. Wiązała mnie z nim przeszłość i tysiące wspomnień, które z obcego człowieka czynią prawdziwą osobę. Łatwo mogłem sobie wyobrazić, że innych zmarłych opłakiwali członkowie rodzin i przyjaciele. Całą ósemkę łączyło jedno nieszczęście: gdzieś, w którymś momencie swojego życia zostali zarażeni potwornie groźną chorobą, ale nie chcieli się poddać i szukali szansy na jej wyleczenie. Jeżeli prawdą było, że umarli w wyniku walki chciwych korporacji, to oznaczało, że poświęcono ich na ołtarzu zysków. Pomimo całego zamieszania dookoła mnie, nie mogłem pogodzić się z takim przejawem niesprawiedliwości.

Sączyłem powoli whisky i wpatrywałem się w okno. Nie wiem, na co czekałem, może spodziewałem się, że dobry Bóg pojawi się w moim mieszkaniu i wyjaśni mi pokrótce, co jest grane. Około wpół do siódmej skończyłem butelkę i zdałem sobie sprawę, że jestem już wolny. Zastanawiałem się nad sprawami, które wymykały się mojemu pojęciu. Odstawiłem szklanekę, dochodząc do wniosku, że sprawy przybrały właśnie taki obrót, bo tak już po prostu jest. Nie było żadnego specjalnego powodu, żadnej szczególnej przyczyny. Prawda, ukryta w słowach *L'amore non prevale sempre* dziś przemawiała do mnie szczególnie mocno. Aby przeżyć, musiałem uwolnić się od tego balastu i pozwolić się życiu zanieść tam, gdzie los chciał. Zrobiłem sobie kawę i odzyskałem trochę humoru. Spojrzawszy na pustą butelkę, postanowiłem, że koniec z topieniem zmartwień w alkoholu. Niech ból mnie doświadcza,

wyciągnę z niego naukę. Świat jest zbyt wielki, aby samemu go naprawić, jednak jeżeli będę w stanie wyjaśnić, dlaczego umarła ta ósemka biedaków, na pewno uczynię go lepszym. Postanowiłem to zrobić, ponieważ należę do rzadkiego gatunku mężczyzn, który robi to, co uważa za stosowne.

Dlatego o ósmej trzydzieści wziąłem prysznic, pozwalając, aby gorąca woda zmyła ze mnie wszystkie ślady życiowych pomyłek. Pół godziny później ubrałem się w sportowy golf, wsiadłem do samochodu i pojechałem do siedziby Horizn Pharmaceuticals.

Campus Horizn położony był w Dunwoody, cichej, gęsto zalesionej części Atlanty, położonej na północ od centrum miasta. Oprócz firmy Ralstona mieściły się tam biura kilku innych koncernów. Już na pierwszy rzut oka wiedziałem, że to Ralston podjął decyzję o tej lokalizacji. Zbudowawszy zręby swojej firmy na kradzieży i oszustwie, postanowił, że sam nigdy nie padnie ich ofiarą. Siedziba Horizn była świątynią ku czci nowoczesnych procedur i środków bezpieczeństwa. Szanse na to, że ktoś zdołałby się wślizgnąć i wykraść tajemnice firmy, były praktycznie równe zeru.

Główny biurowiec znajdował się dość daleko od wjazdu na teren firmy, którego pilnowali wartownicy w stróżówce. Długą drogę wysypaną żwirem przegradzał mechanicznie podnoszony szlaban. Za nim spod ziemi wystawały metalowe szpikulce grożące przebiciem opon. Po obydwu stronach bramy zamontowane zostały kamery, które bez ustanku omiatały teren w poszukiwaniu intruzów. Zatrzymałem samochód. Ze stróżówki wyjrzał umundurowany wartownik. W jego uchu dostrzegłem słuchawkę. Miłym i uprzejmym tonem, spytał mnie:

- Dzień dobry panu. W czym mogę pomóc? Podałem mu wizytówkę, którą dostałem od Stephensa i powiedziałem:

- Nazywam się Jack Hammond. Jestem umówiony z panem Charlesem Ralstonem.

- Proszę zaczekać - odparł, po czym zaczął coś szeptać do mikrofonu ukrytego we wnętrzu wartowni. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo, a potem znów się wychylił i poprosił:

- Czy mógłby pan spojrzeć bezpośrednio na mnie, panie Hammond? Kamera ma trudności z przekazaniem obrazu pańskiej twarzy.

Zdziwiony, zrobiłem, o co mnie prosił. Po kilku sekundach pokiwał głową i powiedział:

- Bardzo dziękuję. Proszę jechać prosto i trzymać się głównej drogi.

Znalazłem się na terenie Horizn. Droga prowadziła przez las. Co kilkadziesiąt metrów pomiędzy drzew wystawały metalowe maszty, na których zamontowano kamery systemu bezpieczeństwa. Przejechałem cały kilometr, i dotarłem do łagodnego zakrętu, za którym wreszcie zobaczyłem główną siedzibę Horizn. Był to sześciopiętrowy budynek ze stali i przyciemnianego szkła. Obok niego wznosił się drugi, tym razem dwukondygnacyjny, połączony z główną siedzibą oszkloną kładką. Skierowałem się w ich stronę i zaparkowałem przed wejściem. Zmierzając ku wejściu, czułem na sobie spojrzenia kamer, i przyglądających się przez nie wartowników. Szybko pokonałem niskie schody i podszedłem do metalowych drzwi, ale nim zdążyłem zastanowić się, gdzie jest klamka, te automatyczne się rozsunęły. Wszedłem do środka i moim oczom ukazały się kolejne,

tym razem wykonane ze szkła. Drzwi za moimi plecami się zamknęły, a ja stałem, oczekując na rozwój wydarzeń. Kamery obserwowały mnie czujnie, a z ukrytego głośnika dobiegł głos:

- Proszę spojrzeć w lewo.

Zrobiłem, jak mi kazano, i po kilku chwilach szklane drzwi rozsunęły się z cichym sykiem. Wszedłem do przestrzennego atrium, które sięgało sufitu budynku. Ogromne, tropikalne palmy i pnącza pięły się ku świetlikowi w suficie. Napotkałem miłą brunetkę, która powiedziała:

- Dzień dobry, panie Hammond. Proszę za mną. Poprowadziła mnie przez całe patio w kierunku wind. Kiedy się do nich zbliżyliśmy, dotknęła dłonią metalowej płytki wprawionej w ścianę obok drzwi do jednej z nich. Drzwi rozsunęły się, a dziewczyna gestem zaprosiła mnie do środka. Wszedłem do windy i zostałem sam. Rozejrzałem się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegłem żadnych przycisków. Najwidoczniej można nią było dojechać tylko w jedno miejsce: do biura Charlesa Ralstona. Z rogu kabiny spoglądała na mnie kolejna kamera.

Winda zawiozła mnie na ostatnie piętro. Wsiadłem z niej i znalazłem się w niewielkiej poczekalni. Ściany wyłożono ciemnym drewnem, a za meble służyły wygodne fotele. Miałem wrażenie, jakbym znalazł się w prywatnym salonie Anglii wiktoriańskiej. Na ścianach wisiały zdjęcia, nagrody i dyplomy. Kątem oka dostrzegłem listy gratulacyjne z Białego Domu, od gubernatora i burmistrza. Obok nich wisiały dyplomy z Yale i Harvardu, podświetlone dyskretnie umieszczonymi reflektorkami. Na głównym miejscu znajdowała się, oprawiona w ramkę, strona tytułowa Atlanta Constitution. Na zdjęciu widać było Ralstona, z

ręką uniesioną w górę i palcem wskazującym w niebo, jak przemawiał z pasją i werwą. Pod zdjęciem widniał podpis: „*Charles Ralston występuje z programem wymiany igieł i strzykawek dla narkomanów Atlanty*”.

Jak spod ziemi pojawiła się kobieta w średnim wieku i spytała:

- Czym mogę panu służyć, panie Hammond? Kawy, herbaty? -

Pokręciłem głową. - W takim razie, zapraszam.

Dotknęła dłonią metalowej płytki i usłyszałem stuk otwierającego się zamka dobiegający z za drzwi. Gestem pokazała mi, żebym przez nie przeszedł.

Jeżeli recepcję biura Ralstona można było określić jako pean na cześć jego dokonań, to gabinet zasługiwał na miano celi współczesnego mnicha. Było to najczystsze sto metrów kwadratowych powierzchni, jakie widziałem w moim życiu. Wrażenie przytłaczającej pustki dodatkowo potęgował całkowity brak mebli, jeśli nie liczyć biurka i fotela prezesa. Najwidoczniej w mniemaniu Ralstona luksus oznaczał dużo wolnej przestrzeni. Żaden niepotrzebny szczegół nie zaprzętał jego uwagi. Pomieszczenie znajdowało się w rogu budynku. Praktycznie dwie całe ściany zastąpione zostały ogromnymi, panoramicznymi oknami z przyciemnianego szkła. Gabinet tonął w złoto-bursztynowym blasku. Pozostałe dwie ściany pomalowano na ciemnozielony kolor i zawieszono na nich abstrakcyjne malowidła. Biurko, pusty i lśniący metalowy blat, stało na podium. Dla gości nie przewidziano żadnych krzeseł, przed obliczem wszechmocnego szefa Horizn musieli oni stać na baczność.

Ralston nie zaszczycił mnie nawet spojrzeniem, kiedy wszedłem do gabinetu. Stał wyprostowany, z rękoma

opuszczonymi wzdłuż ciała i spoglądał na las otaczający biurowiec. Ubrany był w elegancko skrojony garnitur z najlepszej wełny. Przez chwilę staliśmy w milczeniu, a w końcu on odwrócił się do mnie i obrzucił poważnym spojrzeniem. Jego twarz miała regularne rysy, które charakteryzował prosty, wąski nos, i cienka linia ust. Ralston nie sprawiał groźnego wrażenia, wręcz przeciwnie, towarzyszyła mu aura pewnej melancholii, może nawet smutku. Stanowczo nie wyglądał na człowieka, który za kilka dni ma kilkunastokrotnie powiększyć swój majątek. Kiedy w końcu się odezwał, przekonałem się, że jego głos ma miłą dla ucha, niską barwę:

- Dlaczego świat jest tak ułożony, że biznes to bezpardonowa wojna, panie Hammond?

W gabinecie panował taki spokój i cisza, że bałem się ją zakłócić, podnosząc głos.

- Nie wiem - odszepnąłem.

- Proszę podejść - powiedział, przywołując mnie gestem ręki.

Zbliżyłem się i stanąłem kilka kroków od Ralstona. Pokazał dłonią na widok rozciągający się z okien i powiedział:

- Czyż ten las nie jest cudowny?

Drzewa zdawały się być zatopione w bursztynie, i promieniowały jasnym blaskiem.

- W rzeczy samej.

Stojąc ramię w ramię, obserwowaliśmy zagajnik otaczający laboratoria Horizn.

- Nie jestem biznesmenem, panie Hammond. Od dziecka chciałem zostać naukowcem, wie pan o tym? - Ralston zapatrzył się na las tak bardzo, że nie potrafił oderwać od niego wzroku. -

Czy chciałeś kiedyś cofnąć czas, Jack? Wrócić do czasów, kiedy wszystko było takie, jakie miało być?

- Tak.

Zmierzył mnie przenikliwym spojrzeniem i powiedział:

- Jako młody człowiek uwielbiałem prowadzić badania, odkrywać nowe horyzonty. Nie uganiać się za rządowymi grantami, ale uczyć się, i poznawać nowe rzeczy. Badaliśmy świat i zadawaliśmy sobie fundamentalne pytanie: „dlaczego”?

- Dlaczego?

- Tak. Kiedy rozbijaliśmy proteiny na mniejsze cząstki, okazywało się, że składają się z piętnastu elementów. Dlaczego nie z szesnastu? Odpowiedź na to pytanie nie ma nic wspólnego z biznesem, jest zaspokojeniem ciekawości naukowca. - Ponownie spojrział na mnie i dodał: - Zaczynasz prowadzić firmę jako idealista: chcesz pomagać ludziom i ich leczyć. Racja, miło jest jeszcze na tym zarobić kilka dolarów, ale nie myślisz o zyskach i strategiach finansowych. A potem nagle okazuje się, że prowadzisz wojnę z innymi firmami. - Ralston ponownie zamilkł, jakby walczył z własnymi myślami. - Przepraszam za kłopoty przy bramie. Program skanujący twarze nie działa tak, jak powinien. Zdjęcie każdego, kto wchodzi do budynku, zapisywane jest w naszej bazie danych. - Spojrział mi w oczy i dodał: - Nawet twarz kochanka mojej żony.

Zapadła kłopotliwa i nieprzyjemna cisza.

- Nieważne, skoro wzięła cię na celownik, nie miałeś żadnych szans.

- Wydawało mi się, że to była nasza wspólna decyzja.

Ralston uśmiechnął się, i podszedł do biurka. Musnął palcami niewidzialne dla mnie klawisze i okno zaczęło nabierać coraz bardziej bursztynowej barwy, aż w końcu stało się kompletnie nieprzezroczyste. Staliśmy w kokonie ze złotego blasku. Kolejne uderzenie w klawisz uruchomiło ogromny plazmowy monitor na ścianie. Zobaczyłem na nim podwójną spiralę DNA.

- Oto dzieło mojego życia, Jack - powiedział Ralston, przyglądając się z fascynacją obrazowi. - Wspaniałe, czyż nie?

Jeszcze jedno uderzenie w niewidzialną klawiaturę sprawiło, że spirala zaczęła się dzielić i replikować, aż dała początek nowym, idealnym kopiom pierwowzoru.

- Moja żona uważa, że jestem nieczuły.

- Wiem.

- Jak widzisz, jestem naukowcem. Nie ma we mnie nic z filozofa czy artysty, ale tutaj... - Ponownie wskazał na ekran, gdzie komputer odtwarzał proces duplikacji kodu DNA. - To jest prawdziwe życie, Jack. Wszechmocne, wszechwładne i wszechobecne. Oto moja sztuka i filozofia. Sama natura stoi po mojej stronie.

Stałem nieruchomo, spoglądając na ekran i myśląc o tym, co powiedział Ralston.

- W tym świecie nie ma wyborów, które należy podjąć, nie ma moralności i poczucia winy - powiedziałem.

Ralston skwitował moje słowa uśmiechem.

- Ty masz swój własny świat, gdzie jest dobro, które należy chronić i zło, które trzeba ukarać. To bardzo romantyczna wizja. Clint Eastwood ratuje świat i zdobywa dziewczynę.

- Lubię takie klarowne sytuacje.

- Też bym chciał, aby taki świat istniał. Mogę się podzielić z tobą moim sekretem?

- Tak.

- Nie ma czegoś takiego, jak etyka, Jack. Świat nie opiera się na moralności, tylko na chemii.

- Ty chcesz, aby tak było. Ale to piekło, nie miejsce do życia.

- Chcesz mnie uczyć moralności? Czy w takim razie to, że spałeś z moją żoną, daje mi prawo, aby cię znienawidzić?

- Powiedziałeś, że to dla ciebie nieistotne. Ralston popatrzył mi w oczy, w duchu mnie oceniając, a potem zapytał:

- Po co tutaj przyszedłeś, Jack?

- Zostałem zaproszony.

- Owszem, ale czemu? - I sam odpowiedział: - Ponieważ chciałeś się ze mną zobaczyć, ale nie miałeś sposobności, żeby to zrobić.

Milczałem, zastanawiając się przez chwilę.

- Racja. Jesteś zagadkowym człowiekiem, który trzyma się z dala od innych i pociąga za sznurki. Stephens jest tylko przedstawicielem. Prawnicy nie podejmują decyzji, oni wykonują polecenia.

Ralston uśmiechnął się.

- Jesteś bystry, Jack.

- Przyszedłem tutaj, aby zrozumieć, jakim jesteś człowiekiem. Programem dostarczania narkomanom czystych igieł rozpętałeś istne piekło. Wydałeś na niego małą fortunę, ale dzięki temu zyskałeś przychylność ludzi i polityków. Więc może jesteś cwany biznesmenem? Być może pacjenci Robinsona umarli z powodu jego błędów, a ty jesteś niewinny. W takim wypadku... Byłbym

znacznie gorszym człowiekiem od ciebie. Równie prawdopodobne jest to, że zaaranżowałaś jakąś akcję, która sprawiła, że ta ósemka umarła w strasznej agonii, bo nie chcesz, aby opracowano lekarstwo, które wypchnie twój specyfik z rynku. Nie zdziwię się, jeśli tak będzie naprawdę.

- Co zrobisz, jeżeli okaże się, że stoję za tymi wszystkimi cierpieniami?

- Doprowadzę do tego, żebyś odpowiedział za śmierć tych ludzi.

- Zamilkłem na chwilę i dodałem: - Przekonam też Michele, abyś nigdy więcej nie zobaczył jej na oczy.

- I co zdecydowałaś?

- Sprawa byłaby prostsza, gdyby Robinson był normalniejszym człowiekiem.

Ralston pokiwał głową.

- Zdajesz sobie sprawę, że nie mogę sobie pozwolić, abyś robił szum wokół mnie i firmy, zwłaszcza teraz, kiedy Horizn wchodzi na giełdę?

- Przykro mi.

- Mam dla ciebie propozycję.

- Zamieniam się w słuch.

- Mówisz, że chcesz prawdy, tak? Dam ci pięć minut, w trakcie których możesz mnie pytać o wszystko, a ja odpowiem szczerze, jeśli tylko będę w stanie. Przyrzekam. Będę chciał jednak czegoś w zamian.

- Czego?

- Zawarcia pokoju. Żadnych deklaracji wrogości, ani plotek, bo pogłoski mogą zrujnować człowieka.

- Stawiasz mnie w ciekawym położeniu.

- Wiesz, co proponuję. Wybór należy do ciebie.

- Obawiam się, że moja ewentualna zgoda zależy od tego, co usłyszę.

Ralston zmierzył mnie uważnym spojrzeniem, a po chwili pokiwał głową.

- Jak dla mnie, uczciwie stawiasz sprawę. Zaczynaj.

- Czy Doug Townsend pracował dla ciebie?

- Tak.

A więc mówi prawdę. Rzeczywiście zamierza mi powiedzieć prawdę, jeśli tylko ją będzie znał.

- Czy na twoje polecenie włamał się na serwer laboratoriów Grayton?

- Ta odpowiedź jest wyłącznie na użytek tej rozmowy. Tak, zleciłem mu przeniknięcie ich zabezpieczeń.

- Co masz na myśli, mówiąc o tej rozmowie?

- To, że przyjacielsko sobie rozmawiamy i nie możesz tych informacji wykorzystać w sądzie.

Pokiwałem głową na znak, że rozumiem, o co mu chodzi.

- Jak go znalazłeś?

- Departament bezpieczeństwa doniósł mi, że ktoś sforsował nasze zabezpieczenia. Ta osoba była niezwykle utalentowana i prawie nie zostawiła po sobie śladów.

- Ekspert od technologii szyfrowania.

- Najlepszy pod słońcem. Za każdym razem docierał dalej i głębiej, a my tylko patrzyliśmy ze zdziwieniem i podziwem.

- Czemu nie zawiadomiliście policji?

- Ponieważ, gdyby trafił za kratki, jego talent by się zmarnował. Czy nasz rząd zamknął Wenera von Brauna w

więzieniu? A przecież w trakcie II wojny światowej konstruował dla nazistów rakiety. Nie, wręcz przeciwnie, zaprzął go do roboty. Tak więc i my uznaliśmy, że trzeba się dowiedzieć, czego chce intruz. Czy pracuje dla konkurencji, czy wykrada jakieś dane? A może jest niezależnym łobuzem, który po prostu chce zaszaleć?

- W ten sposób trafiliście na Douga.

- Tak. Udało nam się ograniczyć pole, po którym mógł się poruszać, ale w jego wnętrzu mógł robić, co mu się podobało. - Ralston spojrzał na mnie ze smutkiem, który zauważyłem u niego na początku rozmowy. - Przekonaliśmy się, że działa w pewien logiczny sposób i stworzyliśmy jego portret psychologiczny. Był inteligentnym człowiekiem, samotnikiem, który żyje na peryferiach społeczeństwa. Najprawdopodobniej miał jakieś problemy i nie prowadził życia osobistego. Typowy haker. Kiedy wydawało nam się, że już wszystko wiemy, odkryliśmy, dlaczego tak naprawdę włamał się do naszego systemu.

- Michele.

Ralston ponownie się uśmiechnął.

- Tak. To był wyjątkowy młody człowiek, którego trapiły jego własne demony.

- Chciał się czegoś więcej o niej dowiedzieć?

- Właśnie. Horizn go nie interesował. Jego prawdziwą obsesją była Michele. Firma była w pewien sposób z nią połączona, dlatego postanowił się jej przyjrzeć, tak samo jak wszystkim innym dziedzinom jej życia. Tak naprawdę posiadał tylko jeden talent i wykorzystał go w stu procentach. - Ralston zamilkł, jakby pogrążył się we wspomnieniach. Potem zaczął mówić dalej: - Co mieliśmy z nim zrobić? Był zbyt utalentowany, aby go posłać za

kratki, ale za bardzo niebezpieczny, aby pozwolić na swobodne działanie. Postanowiliśmy go zwerbować.

- Zmusiłeś go do włamania na serwer Grayton w zamian za możliwość spotkania Michele?

- Nikogo do niczego nie zmusiłem, Jack. Doug dałby sobie odrąbać dłoń za pięć minut rozmowy z Michele.

- To obrzydliwe, kupczyłeś swoją żoną.

- Ach! Znów to romantyczne spojrzenie na życie.

- Wykorzystałeś ją!

- Nie. Michele o niczym nie wiedziała, dla niej Doug był zwyczajnym wielbicielem. Zostały ci trzy minuty.

- Czy miałeś coś wspólnego z badaniami nad lipitranem AX?

- To zbyt ogólne pytanie.

- Kazałeś zabić pacjentów, którzy przyjmowali próbki?

- Nie. Byliśmy raczej widzami, choć muszę przyznać, że bardzo emocjonowaliśmy się tymi testami.

- Teraz ty wykręcasz się ogólnikami. Ralston uśmiechnął się.

- Masz rację, Jack. Przepraszam. Ujmę sprawę w ten sposób: dzięki pomocy Douga byliśmy w stanie obserwować prace i postępy badaczy z Grayton. Niestety, dość marne.

- Wiedzieliście, że im się nie powiedzie.

- Tak.

Moje kolejne pytanie ostatecznie wytyczyło linię, która oznaczała różnicę pomiędzy mną, a Ralstonem.

- Skoro zdawaliście sobie z tego sprawę, musieliście wiedzieć, że ci ludzie umrą, prawda?

Ralston wzruszył tylko ramionami.

- Owszem, mieliśmy pewien dylemat. Nie było sposobu, aby ich ostrzec, nie wyjawiając przy okazji źródła naszych informacji. Nie mogliśmy zainterweniować.

- To nie było niemożliwe, ale bardzo trudne. Twarz Ralstona nadal pozostawała obojętna.

- Jack, wiesz czego nie toleruję? Jak myślisz, co może mnie doprowadzać do wściekłości?

- Nie wiem.

- Niekompetencja, niestaranność, działanie po łebkach. - Po raz pierwszy od początku naszej rozmowy, spojrzał na mnie z ogniem ożywienia w oczach. - Bardzo chciałbyś oskarżyć mnie o śmierć tej ósemki, ale nie możesz tego zrobić. Ja ich nie zabiłem. Gdyby Tom Robinson był dokładnym i skrupulatnym naukowcem, to ci ludzie żyliby nadal. Obserwowanie czyjejś śmierci nie jest tym samym, co jej spowodowanie. Została ci minuta.

Jeżeli Ralston próbował przekazać pomiędzy słowami żal, to ja go nie zauważyłem. Skoro kończył mi się czas, postanowiłem spróbować czegoś innego.

- Czy wiesz, jak umarł Doug Townsend?

- Powiedziano mi, że przedawkował narkotyki.

- Chcesz przez to powiedzieć, że nie miałeś z tym nic wspólnego?

- Nie tylko nie zabiłbym Douga, ale zapłaciłbym grube pieniądze za wyciągnięcie go z bagna. Grayton nie jest jedyną firmą, z którą konkurujemy. Ogrom talentu twojego przyjaciela nigdy nie został właściwie doceniony. Chciałem nawiązać z nim stałą współpracę.

- W takim razie, kto go zabił?

- Nie ma bladego pojęcia. Dałbym milion dolarów, aby znaleźć jego mordercę. Twój czas się skończył. - Zapadła cisza, przerywana jedynie szumem klimatyzacji. - Powiedz mi, Jack, czy jestem potworem, za którego mnie brałeś?

Stałem nieruchomo przez chwilę, a potem wyszeptałem:

- Mam jeszcze jedno pytanie.

- Nasz czas na szczerą rozmowę dobiegł końca - odparł z uśmiechem Ralston. - Ale mam dla ciebie szacunek. Pytaj.

- Twierdzisz, że Doug Townsend był dla ciebie cenny.

- Bardzo.

- Skoro wiedziałeś, że ludzie przyjmujący lipitran umrą, to dlaczego pozwoliłeś mu wziąć udział w testach?

Zapadła cisza, a ja obserwowałem, jak twarz Ralstona sztywnieje i blednie. Spokój i opanowanie znikły, a ich miejsce zajął strach. Kilka chwil zajęło mu opanowanie emocji, po czym wychrypiał:

- Co powiedziałeś?

- Doug Townsend przyjmował lipitran AX. Otrzymał dwie dawki.

Ralston wycofał się w kierunku swojego biurka i nacisnął guzik. *On nie wiedział*, pomyślałem. *Na Boga, on o niczym nie wiedział!* Drzwi rozsunęły się, a Ralston powiedział:

- Do widzenia, panie Hammond.

Szedłem energicznym krokiem przez parking Horizin Pharmaceuticals, zastanawiając się, co mogło oznaczać zdziwienie Ralstona. *Nie wiedział, że Doug był chory. Może kontroluje swoją firmę, ale przynajmniej jedna rzecz zdarzyła się bez jego wiedzy. To go wystraszyło.* Znałem tylko jednego człowieka, który mógł mi

wytłumaczyć tę sytuację. Kiedy tylko wyjechałem poza teren firmy, wybrałem numer doktora Robinsona. Niestety, włączyła się automatyczna sekretarka, więc tylko zostawiłem wiadomość, prosząc, aby oddzwonił, tak szybko, jak to tylko możliwe.

Autostradą 400 ruszyłem na południe, kierując się w stronę centrum. Ponownie zadzwoniłem do Robinsona, ale i tym razem włączyła się sekretarka. Mało brakowało, a rozwaliłbym telefon o deskę rozdzielczą samochodu. Prawie przeoczyłem zjazd na I-285 i w ostatniej chwili przeciąłem trzy ciągłe linie, zjeżdżając na betonowy ślimak. Spojrzałem we wsteczne lusterko i zauważyłem białego lincolne'a, który wykonał ten sam manewr. Wtedy zdałem sobie sprawę, że ktoś mnie śledzi.

Zwolniłem i zjechałem na I-285. Furgonetka także zredukowała prędkość i trzymała się kilka samochodów za mną, tak aby nie wzbudzić podejrzeń. Kiedy wjechałem na I-80 i przyspieszyłem, samochód zrobił to samo. W lusterku wstecznym widziałem tylko kierowcę i pasażera, ale nie miałem najmniejszej szansy dostrzec, ilu ludzi jedzie w luku bagażowym. O cholera, ratunku, pomyślałem. Próbowałem się uspokoić, powtarzając, że jeśli pracują dla Horizn, to nic mi nie grozi. Ralston może i był draniem, ale wątpię w to, że zatrudnia płatnych zabójców, którzy mieli prowokować wypadki drogowe, gdyby ktoś nagle wszedł szefowi w drogę. Bardziej prawdopodobne było, że zadowolą się śledzeniem mnie i obserwacją moich dalszych poczynań. Pewnie Ralston nawet nie powiedział im, dlaczego mają to robić.

Dobra. Trzeba udawać, że nic się nie stało i działać dalej tak, jak do tej pory. Kiedy się zorientuję, kim są te błazny, wtedy zdecyduję, co dalej robić. Skierowałem się w stronę biura, a

półciężarówka jechała za mną, nie próbując się zbliżyć. Trzymali się jakieś dwadzieścia metrów za mną i starali nie rzucać w oczy. Wjechałem w Cleveland, osiedlową uliczkę prowadzącą do mojego biura. *A jeśli to są ci sami ludzie, którzy włamali się do mojego biura i ukradli komputer Douga?*, nagle pomyślałem. Mój z trudnością odzyskany spokój ducha prysł jak bańka mydlana. Rzuciłem spojrzenie we wsteczne lustro i zobaczyłem ich samochód jakieś trzydzieści centymetrów za mną. *O cholera*, pomyślałem.

Wdepnąłem gaz do dechy i silnik zawył na wysokich obrotach. Starąłem się wycisnąć ze starej maszyny tyle mocy, ile tylko była ona w stanie mi dać. Ulica była kompletnie pusta, pobocza zastawione parkującymi tu samochodami. Próbowałem sięgnąć po telefon, ale ten zsunął się z siedzenia na podłogę. Zapewne uratował mi tym samym życie, bowiem próbując go uruchomić, pewnie rozbiłbym się na najbliższej latarni.

Mój samochód, znacznie mniejszy od półciężarówki, miał przewagę sprawności manewru, i zdołałem odsadzić się na kilkadziesiąt metrów od moich prześladowców. Wiedziałem doskonale, że jeżeli wyjadę na luźniejszą ulicę, dorwą mnie w ciągu kilku sekund.

Obejrzałem się. Ścigająca mnie furgonetka była trzy przecznice za mną, ale jej kierowca nie dawał za wygraną. Ponownie spojrzałem przed siebie i zobaczyłem, że z naprzeciwka wyjeżdża tyłem chevrolet, który ewidentnie dąży do czołowego zderzenia. *Kurwa, jest ich dwóch*. Nie zauważyłem drugiego samochodu, który ubezpieczał furgonetkę. Chevy zwolnił i przystanął. Postanowili wziąć mnie w kleszcze. Zadziałałem

instynktownie: wcisnąłem hamulec, błyskawicznie zatrzymując wóz. We wstecznym lusterku półciężarówka rosła w mgnieniu oka. Kierowca chevroleta również zahamował, ale zniósło go w prawo. Wiedziony intuicją ściganej zwierzyny wcisnąłem niespodziewanie gaz i przemknąłem obok chevroleta, tracąc przy tym lusterko. Furgonetka dorównywała mi prędkością, jednak była zbyt szeroka, aby powtórzyć ten manewr. Hamując, trafiła lekko w zderzak chevroleta, jednak siły uderzenia wystarczyło na obrócenie samochodu dookoła jego własnej osi. Nie czekałem na dalszy rozwój sytuacji. Mknąłem dalej, przyhamowałem na skrzyżowaniu, skręciłem w lewo, potem jeszcze raz, w najbliższą przecznicę, i okazało się, że jadę ulicą jednokierunkową, pod prąd. Kiedy nieco ochłonąłem, obejrzałem się. Nie widziałem ani śladu półciężarówki, ani ubezpieczającego ją chevroleta. Wjechałem w Fairburn, skręciłem w prawo i powiedziałem do siebie:

- Okay, jestem cały. Boże, zrobiła się poważna afera.

Zatrzymałem się przed sklepem spożywczym i odetchnąłem głęboko. Schyliłem się i podniosłem komórkę z podłogi. Kiedy spojrzałem w bok, zobaczyłem półciężarówkę zatrzymującą się tuż obok mnie. Na siedzeniu pasażera siedział mężczyzna, celując we mnie z pistoletu.

Widok lufy pistoletu wiele wyjaśnia. W obliczu siły rażenia kuli zwykle wraca rozsądek i zdolność trzeźwej oceny sytuacji. Facet w furgonetce nakazał mi gestem opuścić okno. Usłuchałem go. Powiedział:

- Nie ruszaj się. Drzwi są otwarte?

- Tak.

- Wyłącz silnik i siedź nieruchomo. Nie waż się nawet mrugnąć.

Kierowca półciężarówki wysiadł z samochodu i podszedł do moich drzwi. Gestem nakazał mi, abym przesiadł się na fotel pasażera, i celując we mnie z pistoletu, usiadł na moim miejscu. Natychmiast przycisnął mi lufę do żeber i powiedział:

- Wybieramy się na małą przejażdżkę. Siedź spokojnie i patrz przed siebie.

Pasażer półciężarówki zmienił miejsce i ruszył. Kiedy był jakieś dwadzieścia metrów od nas, mój prześladowca dźgnął mnie lufą tak mocno, że aż się skrzywiłem.

- Nie próbuj zgrywać bohatera.

Ruszyliśmy za półciężarówką. Przez dziesięć minut jechaliśmy na północ, a potem skręciliśmy na zachód i dostaliśmy się na I-20 w kierunku Birmingham. Minęło kolejne dwadzieścia minut, a mój porywacz nie odezwał się nawet słowem. W końcu zatrzymaliśmy się przed podziemnym parkingiem wybudowanym pod sześciopiętrowym biurowcem. Kierowca furgonetki wystukał kod i szlaban uniósł się do góry. Wjechaliśmy pod ziemię.

Zatrzymaliśmy się obok schodów przeciwpożarowych, a mój porywacz powiedział:

- Wsiądziesz teraz przez drzwi pasażera. Cały czas trzymam cię na muszce. Nie zamykaj drzwi, bo będę wysiadał za tobą. Zachowuj się spokojnie i cicho, rób, co ci każę, a przeżyjesz i nic ci się nie stanie. - Pokiwałem głową i zrobiłem dokładnie tak, jak mi kazał. Kiedy stanęliśmy na parkingu, ponownie przycisnął mi lufę do żeber i powiedział: - Widzisz, jak chcesz, to potrafisz.

Podeszliśmy do wejścia przeciwpożarowego. Za drugim z porywaczy zaczęliśmy wchodzić po metalowych schodach. Kiedy znaleźliśmy się na trzecim piętrze, otworzył drzwi i pokazał nam, że mamy wejść.

- O co tutaj chodzi? - spytałem, ale nikt nie raczył mi odpowiedzieć. Przeprowadzono mnie przez jedno pomieszczenie, potem przez następne. Jeden z mężczyzn podszedł do przeciwległej ściany i otworzył szafę we wnęcie. Wyjął z niej szarą taśmę i podszedł do mnie.

- Nie krzycz, nie próbuj się wyrywać.

Urwał zębami kawałek taśmy i zakneblował mnie. Następnie wykręcili mi ręce i związali je taśmą. Ktoś przewrócił mnie na podłogę i obwiązał kostki, a potem bezceremonialnie wrzucili mnie do szafy. Leżałem nieruchomo twarzą do ściany, nagle zapanowała ciemność i usłyszałem dźwięk zamykanych drzwi, a potem przekręcanego klucza.

Rozdział dwudziesty drugi

Ból zmienia się pod wpływem czasu. Z początku drażni, jak ukłucia, potem zaczyna dręczyć, a na koniec miażdży swoją wszechobecnością. Kiedy staje się nieznośny, zaczynają się nudności pogrążające człowieka w odmętach beznadziejnej walki o każdy następny oddech. W moim przypadku musiało to trwać całe godziny. Nie wiem, ile czasu upłynęło, ale w końcu poczułem się tak, jakby zamknięto mnie w kolosalnym bloku lodu. Na początku próbowałem odciąć się od wszechobecnego bólu, zignorować go i uciec w ukryte zakątki świadomości. Przez kilka chwil ta sztuka godna mistrzów zen udawała mi się, ale wkrótce wróciłem na ziemię. Potem nastąpił moment, kiedy pragnąłem doznać szoku, który oderwałby moje myśli od cierpienia. Chcę zemdleć, Boże, błagam cię, pozwól mi stracić przytomność. Moje modlitwy nie zostały wysłuchane. Ściśnięte mocno ramiona i nogi, pozbawione dopływu krwi, nadal bolały jak diabli. Choć wydawało mi się, że to niemożliwe, ból narastał z każdą chwilą. W końcu zdominował wszystkie moje myśli. Czulem każdy mięsień, nerw, tkankę cierpiące z braku tlenu. Próbowałem odizolować się od bólu, ale na próżno.

Aby walczyć z takim potwornym bólem, trzeba dysponować równie potężną bronią jak on. Istnieje tylko jedna rzecz, która potrafi przewyciężyć tak wielkie cierpienie: strach. Nieważne na jak wielkie katusze zostanie skazany człowiek, zawsze będzie się bał, że za chwilę nastąpi koniec. W każdym jasnym przebłysku bólu kryje się niewielka plamka czerni, która niesie ze sobą obawę, że to już koniec. Bałem się, że jeśli stanie się zadość moim

życzeniom, stracę palce z powodu niedokrwienia, lub umrę z pragnienia.

Pchany do działania strachem, zacząłem pracować nad taśmą, co, ku mojemu przerażeniu, otworzyło przede mną galerię nowych rodzajów bólu. Przed sobą miałem tylko jedną drogę: musiałem przełożyć nogi przez ręce tak, abym miał je przed sobą. Bałem się jednak, że podczas tej próby połamię sobie którąś z kończyn, i skończę nadal związany, konający z bólu w ciemnej szafie. Czekałem więc, miotając się pomiędzy bólem a strachem, nie potrafiąc podjąć decyzji i zastanawiając się, czy próby oswobodzenia nie przypłacę życiem. W końcu podjąłem decyzję i modląc się do Sammy'ego Listona o wstawiennictwo, postanowiłem się nie przejmować i robić swoje, jakbym nie miał nic do stracenia. Zacząłem działać, przeciskając nogi pomiędzy ramionami.

Ból sprawił, że straciłem przytomność. Nie wiem, jak długo leżałem otoczony ciemnością, dryfując przez bezmiary niepamięci. W końcu jednak przyszedłem do siebie i spróbowałem poruszyć nogami. Okazało się, że znajdują się tam, gdzie powinny, więc odzyskując równowagę centymetr po centymetrze usiadłem, opierając się o ścianę. Odetchnąłem z ulgą i uniosłem związane dłonie do góry, aby zerwać kneblującą mnie taśmę.

W końcu mogłem odetchnąć głęboko, rozglądając się dookoła i po raz pierwszy zauważając szczegóły otoczenia, które do tej pory uchodziły mojej uwagi. Krew uderzyła w odcięte od niej żyły i poczułem mrowienie w kończynach, a potem ból. Najdłużej zeszło mi na rozplątywanie dłoni, których przeguby oklejono kilkoma warstwami taśmy.

Oswobodzony wreszcie z więzów spróbowałem wstać, ale straciłem równowagę i osunąłem się na kolana. Wszystkie mięśnie, ścięgna i stawy paliły mnie żywym ogniem. Kręciło mi się w głowie i nie upadłem tylko dzięki temu, że oparłem się o ścianę. Ponownie spróbowałem wstać i tym razem zdołałem utrzymać równowagę. Przez kilka chwil stałem nieruchomo, poruszając jedynie nadgarstkami, rozprostowując kolana i ciężko dysząc. Kiedy poczułem się lepiej, spróbowałem otworzyć drzwi. Tak, jak się tego spodziewałem, były zamknięte. Uderzyłem w nie barkiem i ramię przeszył mi paroksyzm bólu. W porównaniu do tego, czego przed chwilą doświadczyłem, to nie było nic wielkiego, więc spróbowałem jeszcze raz. Po trzecim uderzeniu zamek puścił. Był to tani, biurowy model, umieszczony w drzwiczkach ze sklejk. Wyszedłem na zewnątrz, spodziewając się, że lada chwila strażnicy rzucają się na mnie. Nic takiego nie nastąpiło. Zbliżyłem się do drzwi prowadzących z gabinetu do recepcji i przekonałem się, że są zamknięte. Wtedy popełniłem błąd. Kopnąłem je z wściekłością i o mały włos nie zemdlałem z bólu. Kolejną próbę wyważenia przeprowadziłem starą metodą. Byłem pewien, że ramię mam całe posiniaczone, ale na szczęście nic nie czułem. W końcu rozwaliłem i ten zamek i wyszedłem na zewnątrz. Cały biurowiec wydawał się być opuszczony.

Wyszedłem na korytarz i przekonałem się, że całe piętro jest puste, bowiem nikt nie przyszedł sprawdzić, skąd się wzięły czynione przeze mnie hałasy. Spojrzałem na zegarek, było wpół do szóstej. Za oknem dzień ustępował miejsca nocy. Musiałem spędzić w zamknięciu ponad pięć godzin.

Zjechałem windą na parking i ostrożnie uchyliłem drzwi. Dźwięk skrzypiących zawiasów sprawił, że o mało nie zakląłem szpetnie. Oczyma duszy widziałem moich prześladowców czekających po drugiej stronie. Nic takiego. Nawet mój samochód stał tam, gdzie go zostawiłem. Otworzyłem drzwi i wsiadłem do środka. Kluczyki nadal tkwiły w stacyjce. Każdy miesiąc mnie bolał, a oddech przychodził z trudem. Ból, który do tej pory nieodłącznie mi towarzyszył, powoli zniknął. Krew dopływała do kończyn i przynosiła ukojenie.

Włączyłem silnik. Siedziałem przez chwilę nieruchomo, słuchając odgłosu pracującej maszyny. Powoli zbierałem myśli. Spojrzałem w lusterko i zobaczyłem, że do skóry mam jeszcze przyklejoną taśmę. Zaczerwienia oznaczały miejsce, skąd została zerwana. Wyprowadziłem samochód z parkingu, i pomimo bólu w szyi rozejrzałem się czujnie dookoła, aby upewnić się, że nikt mnie nie śledzi. Ruszyłem w stronę Atlanty. Spodziewałem się, że autostrada będzie zapchana, ale przyjemnie się zdziwiłem, odkrywając, że była prawie pusta. Dopiero po kilku chwilach zrozumiałem, dlaczego tak się dzieje. Słońce nie zachodziło, ono wstawało. To nie była wpół do szóstej po południu, ale rano. Nie spędziłem zamknięty pięciu godzin, ale prawie siedemnaście.

Rozdział dwudziesty trzeci

Droga powrotna zdominowana była bólem. Padłem na łóżko w ubraniu i zapadłem w głęboki sen. Obudziłem się kilka godzin później, zdając sobie sprawę, że jestem głodny jak wilk. Pokuśtykałem do kuchni i zrobiłem sobie śniadanie. Wróciłem do łóżka i poszedłem spać. Na dobre obudziłem się dopiero o pierwszej po południu, i od razu poszedłem pod prysznic. Pozwoliłem, aby gorąca woda spłukała ze mnie wszystkie problemy, parząc i odkażając skórę. Wytarłem się ręcznikiem i nagi wyszedłem do przedpokoju. Spojrzałem na swoje odbicie w lustrze, dostrzegłem sińce i otarcia na nadgarstkach i kolanach. Oprócz nich nie zauważyłem żadnych niepokojących oznak. Porwali mnie, związali i zamknęli w szafie. Nie okradli, nie zabrali samochodu. Nie zadali ani jednego pytania, ani nie próbowali zastraszyć. Po prostu zamknęli, jak zwierzę w klatce i odjechali.

Ubrałem się i wróciłem do kuchni na obiad, wypilem wielkie ilości wody. Potem znów położyłem się spać. Nie przypuszczałem, że tyle na raz mogę wypić. Kiedy kładłem się do łóżka, czułem ból, ale kiedy wstałem, około siódmej, znikł on całkowicie.

Spróbowałem dodzwonić się do Robinsona, ale jak zwykle włączyła się automatyczna sekretarka. Usiadłem na łóżku i ukryłem twarz w dłoniach. Musiałem trochę odpłynąć, bowiem kiedy usłyszałem pukanie do drzwi, nie byłem pewien, czy go sobie nie wyobraziłem. Wstałem z łóżka i nasłuchiwałem. Rzeczywiście, pukanie się powtórzyło. Wyciągnąłem z szuflady rewolwer, pamiątkę z czasów bujnej młodości w Dothan, i

ruszyłem ku drzwiom. Broń nie wyglądała groźnie, szczerze mówiąc nie wiedziałem, czy zadziałałby w razie potrzeby, ale miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie. Podeszedłem do drzwi, po raz kolejny przeklinając brak wizjera. Podłoga zatrzeszczała pod moim ciężarem i osoba po drugiej stronie drzwi przestała pukać. Stałem za framugą, i zaciskając dłonie na rękojeści pistoletu, zapytałem:

- Kto tam?

- Jack, na litość boską, otwórz!

Tylko jedna kobieta na świecie obdarzona była tak cudownym głosem. Otworzyłem drzwi i w moje objęcia wpadła zapłakana Michele.

Objęła mnie za szyję i wtuliła się mocno. Syknąłem z bólu, a ona odsunęła się o krok i obrzuciła mnie zdziwionym wzrokiem, sięgnęła pod kołnierzyk koszuli i zobaczyła ślady.

- Chryste Panie, co się stało, Jack?

- Spotkałem niewłaściwych ludzi. Przeciągnęła dłonią po mojej szczęce, noszącej jeszcze ślady spotkania z chłopkami z Folks Nation.

- Jesteś opuchnięty! Kochanie, tak mi przykro...

- Poszedłem za tobą do Glen, ale wpadłem na Daria i jego kolegów. Porwanie to zupełnie inna sprawa.

- Porwanie? O czym ty mówisz? Kto to zrobił?

- Wydaje mi się, że pomagierzy twojego męża.

- Charlesa?

- Widziałem się z nim.

Spojrzała na mnie oczami okrągłymi ze zdziwienia.

- Po co się z nim spotkałeś?

- Zaprosił mnie. Nie osobiście, wysłał do mnie Stephensa.

- O Boże!

Odwróciłem się i powiedziałem:

- Opowiedział mi inną wersję twojej historii. To nie była miła pogawędka.

Chwyciła mnie za rękę i zapewniła:

- Zanim cokolwiek powiesz, wiedz, że nie chciałam cię okłamywać. Musiałam to zrobić, żeby kogoś ochronić.

- Jeśli chodziło o mnie, to ci się nie udało.

- Myślałam o Briah.

Wyślizgnąłem się z jej objęć i ruszyłem do salonu, zostawiając Michele przy wejściu. Po prostu nie wiedziałem, czy chcę dalej ciągnąć tę rozmowę. Przyszedł czas na wyhamowanie wydarzeń.

- Wydaje mi się, Michele, że powinnaś znaleźć kogoś innego, kto pomoże ci rozwiązać twoje problemy. Najlepiej, żeby ten człowiek nie brał do siebie tego, że się go okłamuje.

Spojrzała na mnie urażona.

- Całe moje życie opiera się na kłamstwie, więc ciężko mi wybrać moment, w którym należy przestać się nimi posługiwać. Jest mi coraz trudniej żyć, a są takie sprawy, które... - zamilkła, nie chcąc kontynuować tego wątku. Czternaście lat przyzwyczajenia do życia pod nazwiskiem innej osoby nie pozwalało jej zrozumieć, że gra się skończyła. Choć czułem skrupuły, i na swój sposób współczułem Michele, to miałem dość jej kłamstw i półprawd. Chciałem jasności i szczerości, a jeśli były one niemożliwe do uzyskania, wolałem odejść i nie oglądać się za siebie.

- Pozwól, że ci powiem, jak wygląda sytuacja, Michele. Doprowadziłaś kłamstwo do perfekcji, ale ono przejęło kontrolę nad twoim życiem. Albo odzyskasz władzę, albo pozwolisz mu pociągnąć cię na dno.

- Stracę wszystko - wyszeptwała. - Nawet Briah.

- Tak, ją także. Musisz zacząć mówić prawdę. Spojrzała na mnie rozdrażniona.

- Czy ty nie rozumiesz, co się dzieje? Oczywiście, że Charles od początku wiedział o niej. On wie wszystko o wszystkich. Jedyne, co pozwala ją uchronić, to trzymanie jej istnienia w tajemnicy.

Mierzyłem ją wzrokiem, nie chcąc ponownie stać się ofiarą manipulacji.

- Opowiedz mi wszystko, ale szczerze. Jeśli usłyszę choć jedno kłamstwo, odejdę.

- Charles i ja od początku byliśmy niedobraną parą. On znał samych najlepszych ludzi, którzy studiowali w Groton i Yale. Nic innego się nie liczyło, tylko przynależność do śmietanki towarzyskiej. Boże, Jack! On wybierał dla mnie sukienki tak, aby pasowały do gustów towarzystwa. Kontrolował wszystko, nawet kolor lakieru do paznokci.

- Zdaje się jednak, że pokonaliście ten problem?

- Tak. To, że czasem wyglądam jak lump, jest moim małym buntem przeciwko jego wszechwładzy. Charles tego nie cierpi, ale docenia mój potencjał. Wydaje mu się że jestem taka, jak on. Kiedy byłem młodsza, mówił mi, jak mam się zachowywać, myśleć, nawet czuć. On urodził się, aby żyć jak oszust. Uważał, że to, co robi, jest słuszne. Dawał pieniądze na cele dobroczynne, włączał się w akcje pomocy, ale wszystko to było motywowane

pragnieniem, aby stać się częścią śmietanki towarzyskiej. Miał taką listę z nazwiskami, które odhaczał po każdym proszonym przyjęciu.

- Nadal nie widzę powodu, dla którego okłamałaś mnie w sprawie Briah.

- Bo cały mój świat się dookoła niej kręci. Lata mijały, a ja nie mogłam pozbyć się myśli o niej. W końcu postanowiłam jej poszukać, aby przekonać się, jak daje sobie radę. Tak to sobie tłumaczyłam, choć nie wiem, co by się stało, gdybym ją odnalazła. Charles w końcu się dowiedział o moich próbach i wpadł we wściekłość. To był jedyny moment, kiedy bałam się, że mnie pobije. - Michele spojrzała w okno i westchnęła ciężko. - Nie chodziło o to, że miałam dziecko, choć to samo w sobie mogło zniszczyć jego reputację. Poszło o to, że jestem dziewczynką z getta, która zaszła w ciążę i porzuciła dziecko. Co gorsza, ojciec małej był członkiem gangu. Nie jesteś w stanie pojąć, co się wtedy działo. Powiedział, że nie po to zrobił doktorat, żeby być pogardzanym czarnuchem. - Michele zamarła. - Tego dnia jakaś część mnie umarła. Zrozumiałam, że mój mąż nienawidzi ludzi ze społecznych nizin. Przez lata zachodziłam w głowę, dlaczego tak jest, aż w końcu to rozumiałam. Wszystko, walka o wpływy, pozycję, majątek, stało się jasne.

- Co takiego rozumiałaś?

- Mój mąż wstydzi się tego, że jest czarny - powiedziała z kamiennym wyrazem twarzy. - W głębi serca nadal jest czarnuchem, którym inni pomiatają. Ilekroć patrzy na mnie, przypomina sobie, że jest Murzynem.

Zapadła cisza.

- Mogłabyś od niego odejść.

- To niemożliwe - odparła, kręcąc głową. - Dopóki żyje Derek Stephens, dopóty muszę zostać przy Charlesie. Ludzie myślą, że szefem Horizn jest mój mąż. To kiepski żart. Żadna ważna decyzja nie może być podjęta bez wiedzy Stephensa.

- Chcesz powiedzieć, że Charles jest marionetką?

- Z początku Charles był chłodnym, zdystansowanym człowiekiem. Bardziej przypominał maszynę, niż istotę ludzką. Odkąd zaczął współpracować z Derekiem, stał się zły. Stephens to niebezpieczny i bezduszny człowiek. Zniszczył wszystko to, co było dobrego w Charlesie. Teraz potrafią godzinami spiskować i snuć plany, za nic mając życie i kariery innych ludzi.

- Czemu Stephensa obchodzi małżeństwo Charlesa?

- Ponieważ traktuje mnie jak jeden z zasobów Horizn. Być może, kiedy wejdą na giełdę, znajdzie jakiś sposób, aby się mnie pozbyć. Pewnie na dodatek zrobi z Charlesa męczennika. Myślę, że prędzej by zabił Briah, niż pozwolił skompromitować Charlesa przez ujawnienie jej istnienia.

Spojrzałem na nią podejrzliwie.

- Stephens powiedział, że opieka społeczna odebrała ci córkę, bo się nią źle opiekowałaś.

Pokręciła głową.

- Nie wyszłam z nią poza pokój szpitalny.

- To niemożliwe.

Podeszła do mnie i wzięła moje ręce w swoje. Dotknęła moimi palcami swojej twarzy i powiedziała:

- Przepraszam cię, Jack. Skłamałam dla dobra Briah, ale obiecuję, że nigdy więcej tego nie zrobię.

- Chciałbym w to uwierzyć.

- Wybacz mi. Próbuję załatwić zbyt wiele spraw naraz. - Objęła mnie, ale ja straciłem równowagę i zatoczyłem się. Przeprosiła za swoją nieostrożność, gładząc mnie po dłoni. Poszliśmy do sypialni. Usiadłem na łóżku, a Michele zdjęła ze mnie koszulę.

- Masz coś na otarcia? Wodę utlenioną, albo jakąś maść?

- W kuchni, pod zlewem.

Pokiwała głową i pocałowała mnie w ramię. Znikła w kuchni, skąd chwilę później dobiegł mnie odgłos przesuwanych naczyń. Po chwili Michele wróciła z tubą białej maści.

- To ci przyniesie ulgę - powiedziała. - Połóż się. Gestem dłoni kazała mi położyć się na brzuchu, a potem zaczęła wcierać maść w skórę, delikatnie mnie masując. Leżałem, poddając się odprężeniu, czułem, jak życie wraca do obolałych członków. Przymknąłem oczy i pozwoliłem sobie na chwilę relaksu. Potem Michele przewróciła mnie na plecy i zaczęła całować. Sam nie wiem kiedy ściągnęła ze mnie spodnie. Leżałem półnagi, poddając się pieścizotom. Byłem potwornie zmęczony, bardziej na duchu, niż na ciele. Wyczerpanie wzięło nade mną górę i zasnąłem. Odpływając w nieświadomość, usłyszałem jej głos:

- Śpij, kochany, śpij.

Kiedy obudziłem się kilka godzin później, spała z głową wtuloną w moje ramię. Odsunąłem kołdrę i podziwiałem jej piękne, hebanowe ciało odcinające się wyraźnym konturem od pościeli. Obserwowałem, jak śpi i zadałem sobie podstawowe pytanie: wierzysz jej? Nie mogłem się od niego uwolnić, a spoglądając na twarz Michele, szukałem najmniejszej oznaki

nieszczerości. W jakiś sposób zdała sobie sprawę, że ją obserwuję i otworzyła zaspane oczy.

- Wyglądasz lepiej, dzięki Bogu - szepnęła. - Cieszę się.

- Tak, masz rację. Czuję się znacznie lepiej.

Pozwoliłem, aby moje palce odpowiedziały na niewypowiedziane wezwanie i przesunąłem dłoń po jej piersiach. Jęknęła i oddała mi się całkowicie. Nie pamiętam dokładnie, co się działo później, ale kiedy ponownie staliśmy się jednością, to ona przejęła inicjatywę. Była tą samą dominującą kobietą, którą widziałem na scenie. Brała, co chciała i nie pytała o zgodę. Tej nocy opanowała ją dzikość i oddała się jej bez reszty, pociągając mnie za sobą. Potem nadszedł jasny błysk, tym razem jednak nie bólu, a prawdziwej rozkoszy, i obydwójce zapadliśmy w głęboki, spokojny sen.

Rozdział dwudziesty czwarty

Nadszedł kolejny, piątkowy ranek. Wstałem z łóżka i zobaczyłem, że Michele już się ubrała. Krzątała się po kuchni, sprzątając po wczorajszych poszukiwaniach maści. Podeszedłem do niej od tyłu i przytuliłem ją do siebie. Pozwoliła pocałować się w szyję.

- Jesteś głodna? - spytałem. Nie odpowiedziała, więc obróciłem ją twarzą do mnie i spojrzałem w oczy. - Wszystko w porządku?

Odwróciła wzrok i wyszeptała:

- Muszę już iść. Charles wygłasza przemówienie w Georgia Tech. Muszę tam być.

- Nadal chce, abyś brała udział w tym przedstawieniu?

Tylko smutno pokiwała głową.

- Nie wiesz nawet, jak bardzo wzdragam się na myśl o spędzeniu z nim choć godziny więcej.

- Będę tam.

- To kiepski pomysł, Jack. Jeżeli cię zobaczy, to może dojść do... nieprzewidzianej konfrontacji.

- Nie martw się. Jadę tylko powęszyć, co zamierza zrobić.

Chcąc odwieść mnie od tego pomysłu, popatrzyła mi w oczy, ale zobaczyła w nich tylko determinację, i zrezygnowała.

- Dobrze, jedź. Muszę zniknąć. Przemówienie zaczyna się o jedenastej, a jest już po ósmej. Muszę się przygotować, przebrać i doprowadzić do stanu, w którym nie przyniosę wstydu mojemu mężowi. - Westchnęła ciężko, jakby sama myśl o tym, co ją czeka, była nie do zniesienia. - Nieważne. Każde z nas ma coś do zrobienia, więc lepiej się za to wziąć.

Wyślizgnęła się z moich objęć, zebrała swoje rzeczy i już chciała ruszyć do drzwi, kiedy nagle przystanęła w pół kroku, i ze smutnym uśmiechem na twarzy powiedziała:

- Kocham cię, Jack, wiesz? Nie odpowiadaj, tak będzie mi łatwiej.

Podszedłem do niej, przytuliłem ją, i pocałowałem, najpierw w czoło, potem w usta. Wręczyłem jej torebkę, którą zostawiła w moim samochodzie podczas niefortunnej wyprawy do Glen.

- Zapomniałaś telefonu. Naładuj go, bo mogę do ciebie dzwonić.

Wzięła torebkę i pocałowała mnie w usta.

- Nie pozwól, aby Charles cię zobaczył, Jack.

- Nie martw się o mnie.

Michele wyszła, a ja zacząłem się szykować do tego długiego i ciężkiego dnia. Po raz ostatni zadzwoniłem do doktora Robinsona, ale ponownie włączyła się automatyczna sekretarka. Zostawiłem kolejną wiadomość i rozłączyłem się. Po dziesiątej zadzwonił telefon. Odebrałem, mając nadzieję, że to Robinson, ale w słuchawce usłyszałem głos Blu.

- Jack, co się z tobą dzieje? Gdzie jesteś? Przyjdiesz do biura?

Postanowiłem, że nie będę jej opowiadał o moich przeżyciach, bo ponownie złoży rezygnację.

- Przepraszam, straciłem ostatnio głowę. - Spojrzałem na aparat, i zobaczyłem, że miga czerwona lampka, oznaczająca, że ktoś zostawił wiadomość.

- Co straciłem?

- Dzwoniła Nicole Frost. Chciała się upewnić, że spotkasz się z nią w Georgia Tech.

- Tak, będę tam.

- Prosiła, aby ci przypomnieć, że jesteście umówieni za dziesięć jedenasta przed frontowym wejściem.

- Jasne.

- Na pewno wszystko w porządku?

- Jasne. Masz coś jeszcze?

- W zasadzie tak. Całą listę. Dzwonił Billy Little. Dwa razy.

- Czego chciał?

- Tak po prostu pogadać. Powiedział, że to dosyć ważne.

- Jasne. Posłuchaj, muszę się zbierać. Zadzwoń do Nicole i powiedz, że będę na miejscu o wyznaczonej porze. - Uznałem, że telefon do Billy'ego może poczekać. Będzie chciał wiedzieć, co się ze mną działo, a ja nie byłem przygotowany na dłuższą pogawędkę. Jeżeli próbowaliby przejąć sprawę, a z pewnością by to zrobił, bo był porządnym gliną, odstawiłby mnie na boczny tor. W zasadzie nie mam nic przeciwko policji, ale już dawno upewniłem się, że jeśli ktoś ma rozwiązać sprawę śmierci Douga i pozostałej siódemki pacjentów, którzy przyjmowali lipitran, to musi to być człowiek niezwiązany z organami ścigania, i działający niezależnie od wytyczonych procedur. Rozłączyłem się i ubrałem, z zadowoleniem stwierdzając, że dzień odpoczynku dokonał cudu. Prawie nic mnie nie bolało, a jedynym śladem po przejściach były sińce i otarcia.

Campus Georgia Tech wygląda jak uniwersytet z obrazka. Budynki, w których mieści się uczelnia, są dosyć stare, otoczone drzewami i ogrodami, na które pada cień wieżowców Atlanty. To chyba dobra metafora pieniędzy, które zapewniają uczelni byt. Ona odwdzięcza się zaś, wydając na świat kolejnych naukowców i biznesmenów. Wjechałem na teren uczelni i pokonawszy dosyć

stromie wzgórzu, dotarłem do parkingu przed First Center, gdzie przemowę miał wygłaszać Ralston.

Wokół gmachu roił się zwykły tłum studentów ubranych w T-shirty i dzinsy, którzy już wkrótce mieli stać się przyszłością Ameryki. Ich swobodne, odsłaniające ciało ubrania, plecaki i głośny śmiech, stanowiły swoisty kontrast dla zgromadzonych przed wejściem spokojnych, ubranych w garnitury i żakiety biznesmenów i finansistów pokroju Nicole. Brokerzy i maklerzy stali nieruchomo pośród tego tłumy, uśmiechając się do siebie, a jednocześnie zastanawiając się, co planują ich konkurenci. Choć większość jeszcze kilka lat temu należała do studenckiej braci, to teraz sprawiali wrażenie przybyszów z innej planety. Choć nadal byli młodzi, takie przynajmniej sprawiali wrażenie dzięki zdrowemu trybowi życia, zajęciom fitness i ekologicznej żywności, to wszyscy zdawali się mieć na czołach wytatuowane nieformalne motto: praca jest najważniejsza.

Na lewo od gmachu ustawiły się wozy transmisyjne, celując w niebo talerzami anten satelitarnych. Zbliżające się wejście Horizon na giełdę przyciągało media, niczym padlina muchy.

Nicole stała na schodach, wesoło rozprawiając z przystojnym, zamożnym mężczyzną, na oko przed trzydziestką. Uśmiechała się szeroko, a swoje czarne włosy związała do tyłu w koński ogon. Ubrana była w bladoniebieską sukienkę dopasowaną do koloru bucików. Zawsze była szczupła, ale teraz wyglądała, jakby miał ją porwać najdelikatniejszy podmuch wiatru. Nic dziwnego, zapewne od trzech lat nie jadała obiadów. Najpiękniejsze w niej były jednak karminowe usta i duże oczy, które zapewne przyprawiły wielu mężczyzn o bezsenne noce. Kiedy zobaczyła

mnie, uśmiechnęła się jeszcze bardziej promiennie. Przeprosiła swojego rozmówcę i zbliżyła się. Zmierzyła mnie krytycznym spojrzeniem i zsunęła trochę okulary przeciwsłoneczne.

- Mój Boże, Jack! Co się stało? - Chciałem jej odpowiedzieć, ale przerwała mi machnięciem dłoni. - Nic nie mów. To na pewno któryś z twoich klientów, prawda? To straszne. Szczerze mówię, nie wiem, jak możesz ich znieść.

- Wiesz, tacy ludzie zwykle pracują dla szefów zarządu, którzy kradną i oszukują.

- Przestań, Jack. - Zdjęła okulary i ostrożnie włożyła je na swój nos, poprawiając przy tym kołnierzyk koszuli. Na szyi nadal miałem ślady po taśmie, a nie był to przyjemny widok. - Kochanie, co zrobiłeś ze swoimi wszystkim krawatami?

1 Nie miałem na opał i je spaliłem.

Choć Nicole i ja wiele razem przeszliśmy, nie zamierzałem jej wtajemniczać w wypadki ostatnich dni.

- Znajdźmy sobie jakieś miejsca.

- Martwię się o ciebie, Jack.

Wspięliśmy po schodach i weszliśmy do środka. Budynek zbudowano z czerwonej cegły, wewnątrz wykończone było włoskim marmurem. Tłum przepływał powoli przez atrium, kierując się ku audytorium. Pozwoliliśmy mu się porwać i usiedliśmy w tylnej części sali, na lewo od sceny. Wysoko ponad nią zawieszono dwa ekrany multimedialne.

- Pełna sala - mruknęła Nicole. - Patrz, tam są kamery.

Rzeczywiście, nieopodal podium kręcili się reporterzy ze sprzętem przygotowanym do rejestracji materiału.

- A oto i on - szepnęła, wskazując na podium. Ralston stał plecami do widowni, rozmawiając ze zwalistym człowiekiem w źle dobranym garniturze. Obserwowałem go przez chwilę, czując, jak rodzi się we mnie poczucie winy z powodu sypiania z jego żoną. Potem jednak zdałem sobie sprawę, że przecież ich związek już od dawna nie istnieje. Przepaść pomiędzy tą dwójką była głębsza, niż zatajona przeszłość jednego z nich. Pochodzili z różnych klas społecznych, ale także z innych czasów. Ralston, choć starszy od żony, był człowiekiem przyszłości. Michele była romantyczką, przywiązaną poprzez sztukę do przekonania, że miłość to przeznaczenie, nie chemia. Ralston, człowiek technologii i logiki, żył w świecie, gdzie zło nie miało twarzy zakazanych zaułków Atlanty. Nie było w nim frustracji i gniewu dzieciaków z Folks Nation. On po prostu czuł zmęczenie okowami moralności, jak gdyby wykalkulował sobie, że nie przyniesie mu ona żadnych zysków i tylko będzie niepotrzebnym balastem w prowadzeniu biznesu. Próżno było szukać pasji i emocji w jego sercu. Nienawiść ludzi z getta była żywa, nieprzewidywalna i dzika, przez co można było znaleźć sposób na jej uleczenie. Ralston z kolei stał się maszyną, zimną i nieczułą. Siedząc pośród ludzi, którzy myśleli podobnie jak on, poczułem się jak przybysz z innej planety. Może rzeczywiście nie istniał podział na dobrych i złych? Może faktycznie świat ograniczył te rozróżnienia, tolerując większość postępków? Czy byłem reliktem poprzedniej epoki, która ustępowała miejsca rzeczywistości, której heroldami byli studenci Georgia Tech, Stephens, Ralston czy Koszmar?

- Popatrz, kogo my tutaj widzimy - szepnęła Nicole.

Zobaczyłem Michele i jej widok sprawił, że wróciłem do rzeczywistości. Siedziała w pierwszym rzędzie, jakieś trzydzieści metrów ode mnie. Obserwowałem jej profil i zdziwił mnie widok prostych, złotych kolczyków w jej uszach. Włosy związała tak, jak wtedy, kiedy spotkaliśmy się w Four Seasons. Była taka piękna, na sam jej widok poczułem ukłucia pożądania i miłości. Być może w świecie przyszłości miało tych uczuć nie być, ale w tej rzeczywistości nadal odgrywały silną rolę. Czy zaryzykowałbym spotkanie z ludźmi z Glen, gdybym nie kochał Michele? Może obydwójce byliśmy jak dinozaury, które nagle znalazły się w nowym, nieprzyjaznym środowisku, i desperacko próbowały znaleźć niszę, w której będą mogły przetrwać? Jako syn farmera z Dothan, który ze wszystkich sił przeciwstawiał się nowemu porządkowi na wsi, wiedziałem, co oznacza żyć na przekór swoim czasom. Być może to właśnie jej niedopasowanie do obecnych czasów popychało mnie do niej, jakbym chciał ocalić Michele przed zmianą. Pragnąłem być rycerzem, który wybawi ją od niebezpieczeństwa. Nicole pochyliła się ku mnie i szepnęła:

- Ciekawe, czy był już bogaty, kiedy za niego wyszła?

- Czemu tak myślisz?

- Bo takie kobiety nie wychodzą za uniwersyteckich gryziopiórków i profesorków. Popatrz tylko na nią. Musiał być bogaty lub bardzo bogaty. Nie tak obrzydliwie jak teraz, albo jak będzie za parę dni, ale na pewno nie miał pustych kieszeni.

- Mówisz o wejściu na giełdę?

- Tak. Uczyni wielu ludzi bogaczami. Mnie też, więc bądź miły.

Ralston skinął na żonę, która podeszła do niego. Objął ją ramieniem i przez chwilę rozmawiali we trójkę. Szepnął jej coś do

ucha, a ona się uśmiechnęła. Serce mnie zakłuło, kiedy pomyślałem, ile wysiłku kosztowała ją ta gra pozorów. Michele nienawidziła Ralstona, ale jeszcze bardziej obawiała się Stephensa. Dopóki w ich rękach spoczywał los jej córki, dopóty musiała być im posłuszna.

Kilka minut później światła zostały przygaszone, a szmer na sali powoli ucichł. Ralston usiadł obok Michele, ale już się do siebie nie odzywali. Ona spoglądała wprost przed siebie, on na scenę. Wysoki mężczyzna, z którym jeszcze przed chwilą dyskutowali, wyszedł na podium i powitały go ciche brawa. Zgaszono wszystkie światła, oprócz tych, które skierowane były na scenę.

- Witam Państwa serdecznie w kampusie Georgia Tech - powiedział. - Kłania się Państwu doktor Barnard Taylor, dziekan Wydziału Biotechnologii. To dla nas bardzo wyjątkowy dzień, bowiem gościmy niezwykłego człowieka.

Kiedy mówił, za jego plecami, na ekranach wyświetlono czarno-białe zdjęcie Ralstona.

- Zaczyna się przedstawienie - powiedziała Nicole. Na fotografii widać było młodego człowieka w białym kitlu pracującego w laboratorium. Na jego twarzy malował się zacięty wyraz, a radość mieszała się z ambicją.

- Charles Ralston rozpoczął swoją karierę naukową od czegoś, co wszyscy cenimy sobie ponad wszelką miarę - powiedział mówca. - Od badań. Jego praca i determinacja sprawiły, że dzisiaj wielu ludzi żyje i cieszy się zdrowiem. Antiomyacin jest jedynym lekiem powstrzymującym postęp wirusowego zapalenia wątroby typu C, które prowadzi do wystąpienia choroby nowotworowej. Choć nie

leczy schorzenia całkowicie, to daje nadzieję na doczekanie czasów, kiedy taki środek zostanie stworzony.

W pamięci przywołałem rozmowę z Robinsonem. Teraz nie miałem już wątpliwości, że jeśli taki lek zostanie wynaleziony, Ralston i Horizn stracą miliardy dolarów. Zdjęcie na ekranach zmieniło się i naszym oczom ukazały się budynki koncernu.

- W ciągu ostatnich piętnastu lat Charles Ralston skierował uwagę swoich zespołów badawczych także w inne strony, tworząc lekarstwa na inne groźne choroby. W międzyczasie jego firma stała się jednym z filarów ekonomicznych Atlanty, zatrudniając ponad tysiąc czterysta osób, w tym niektórych badaczy pochodzących z Georgia Tech - dodał z uśmiechem. Te słowa wywołały pierwsze brawa.

- Jednak dziś chciałem powiedzieć coś o Charlesie Ralstonie jako o człowieku, nie biznesmenie. - Obraz za jego plecami zmienił się ponownie. Tym razem wyświetlono niemy, czarno-biały film pokazujący warunki życia w czarnym getcie. Choć najbliższa taka dzielnica znajdowała się kilka kilometrów w linii prostej od nas, to pokazywane obrazy zdawały się pochodzić z innego świata. Krzesła, na których siedzieliśmy, choć niespecjalnie eleganckie i wygodne, dla mieszkańców tamtych slumsów byłyby prawdziwym luksusem. - Stan publicznej opieki zdrowotnej w naszym kraju można określić wyłącznie jako skandaliczny. Podczas kiedy politycy licytują się na ulgi podatkowe dla najbogatszych, nie robią nic, aby powstrzymać skutki biedy, rasizmu i braku perspektyw, które zbierają krwawe żniwo wśród najbiedniejszych. Jeżeli Afroamerykanów traktować jako osobną grupę ludnościową, to śmiertelność dzieci wśród nich wynosi

czterdzieści procent. Kiedy spojrzymy na działania najbogatszych tego świata, nie zauważymy zbyt wielu inicjatyw, które miałyby na celu zmianę tego stanu. Na szczęście zdarzają się chlubne wyjątki, a twórcę jednej z takich kampanii gościmy dziś w tym budynku.

Na ekranach wyświetlono kolejne zdjęcie, tym razem Ralstona, który wpatruje się nieprzeniknionym wzrokiem w obiektyw aparatu.

- Kampania Horizn Pharmaceuticals, której celem była wymiana igieł używanych przez narkomanów, stworzyła nową wartość. Charles Ralston rzucił wyzwanie konkurencji, na które mało kto był w stanie odpowiedzieć. Zamiast zadowalać się zyskami z leczenia choroby, postanowił uderzyć w jej korzenie. Wykorzystując wszystkie swoje środki, postanowił uchronić mieszkańców Atlanty przed zagrożeniem. Pośród mieszkańców tego miasta byli tacy, którzy nie wierzyli w powodzenie programu, lub uważali go za niepotrzebny wysiłek. Na szczęście Charles Ralston nie przejmował się nimi i postanowił ocalić tylu ludzi, ilu tylko da radę. Panie i panowie, chciałbym publicznie podziękować mu za ten czyn. W dniu dzisiejszym zebraliśmy się tutaj, aby podziękować mu za hojność, jaką obdarzył też i nas. Okażmy mu naszą wdzięczność! Panie i panowie, oto najlepszy przyjaciel Georgia Tech i wybitny naukowiec, pan Charles Ralston!

Gromkie brawa powitały go, kiedy wszedł na scenę. Błyski fleszy i światła kamer towarzyszyły każdemu jego krokowi. Oto bohater na miarę dwudziestego pierwszego wieku: bogaty, wykształcony czarny biznesmen, który nie zapomniał o swych biedniejszych braciach. Choć na widowni siedzieli głównie biali i

Azjaci, ich aplauz był szczery i pełen entuzjazmu. Gdyby w tej chwili Ralston oznajmił, że zamierza kandydować na gubernatora, wszyscy by na niego zagłosowali. Wszedł na mównicę i wyciągnął dłoń w kierunku Taylora, ale ten objął go mocno i poklepał po plecach. Ralston, przez chwilę oniemiały, odwzajemnił gest, potem odsunął Taylora od siebie. Najwidoczniej ta część powitania nie była przewidziana. Doktor doprowadził go do mikrofonu i jeszcze raz poklepał po ramieniu.

Szef Horizn Pharmaceuticals stał przez chwilę nieruchomo, czekając aż tłum się uspokoi.

- Dziękuję - powiedział cicho. - Jeszcze raz bardzo, bardzo dziękuję. To ogromna przyjemność znaleźć się pomiędzy naukowcami i ponownie poczuć więź, jaka łączy ludzi naszego pokroju. Staram się powracać do świata akademickiego, kiedy tylko pozwalają mi na to obowiązki, żeby zasmakować uroków nauki i procesu badawczego, tego, co uwiodło mnie wiele lat temu. Kiedy na was patrzę, czuję zazdrość. Zobaczycie na własne oczy tyle rzeczy, których mnie zobaczyć nie będzie dane. Poznacie władzę i potęgę, której mnie nie będzie dane zaznać.

W miarę jak Ralston mówił, na widowni zapadała cisza. Ludzie słuchali go jak proroka, chłonąc każde słowo, jakie padało z jego ust.

- Chciałbym was jednak przestrzec, że na swojej drodze spotkacie takich, którzy będą chcieli was po wstrzymać. Okowami zabobonu i fałszywych religii spróbują spętać wasze badania i zawrócić z raz obranej ścieżki. Musicie stawić im czoła i pamiętać, że ich sprzeciw nie jest niczym nowym. Wiele lat temu papież Pius zmusił Galileusza, aby ten na kolanach błagał o przebaczenie

i publicznie odzegał się od teorii, którą śmiał głosić. Dla ludzi tamtych czasów pomysł, że to Ziemia obraca się wokół Słońca, był bluźnierczy. Ci, którzy będą sprzeciwiać się waszym badaniom, są spadkobiercami tych zacofanych, ciemnych ludzi. Jest jeszcze druga rzecz, o której nie wolno wam zapomnieć: prędzej czy później zwyciężycie! Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Wasz sukces nie jest możliwy, albo prawdopodobny. On jest pewny. Ci, którzy obawiają się postępu i widzą w nauce zagrożenie, skończą na śmietniku historii, jak ich poprzednicy, którzy wierzyli, że ziemia jest płaska, a czarni ludzie... - głos Ralstona znacząco zamilkł, tworząc niepokojącą ciszę - ...własnością, którą można sprzedawać i kupować, a kiedy przestanie być użyteczna, wyrzucić. - Ralston spojrział na zgromadzonych w sali. - Ignorancja i zacofanie w końcu zostaną zniszczone. Moja firma poświęciła się zgłębianiu tajników modyfikacji genetycznych, ponieważ uważam, iż dzięki nim będziemy w stanie zbudować lepszą przyszłość. Głęboko wierzę, że świat przyszłości okaże się przyjaźniejszy i lepszy od tego, w którym przyszło nam żyć. Wierzę, że nie będzie potrzeby kupowania narządów do przeszczepu na czarnym rynku w Bombaju. Na takie rozwiązania mogą sobie pozwolić bogacze z Europy, ale nie zwykli ludzie z Atlanty. Wierzę w świat, w którym wymarłe gatunki zostaną przywrócone do życia dzięki klonowaniu. Jednak moją największą nadzieją jest to, że któregoś dnia znajdziemy lekarstwo na wszystkie choroby. Nigdy nie przestanę walczyć o lepsze jutro, czy to przez program wymiany igieł, czy poprzez kolejne badania!

Spontaniczny aplauz przerwał jego wystąpienie. Ralston stał cicho i nieruchomo, czekając, aż słuchacze się uspokoją.

- Chciałbym wam poddać pod rozwagę pewną myśl. Są tacy ludzie, którym wydaje się, iż naukowcy żyją w wieżach z kości słoniowej, gdzie nie sięgają ich problemy codzienności. Moja odpowiedź brzmi: tak nie jest, choć dla mnie nauka to całe życie. Poza nią nie dostrzegam nic wartościowego. W dzisiejszych czasach potrzeba uświadomienia społeczeństwa co do pryncypiów nauki jest ogromna. Stoimy u bram nowego Edenu. Jednak, aby ów rajski ogród był kompletny, potrzebni są Adam i Ewa. Oto stajemy się świadkami narodzin człowieka transgenicznego. Każdy z nas, którzy znajdują się na tej sali, jest szczęśliwcem, bowiem będzie miał okazję ujrzeć na własne oczy tryumf ludzkiego rozumu. Przez tysiąclecia ludzkość uporczywie dążyła do tej chwili, kiedy uwolni się z okowów genetycznej predestynacji i sama zacznie kreować swoją przyszłość. Ten proces nazwałbym wyzwoleniem z pierwotnej niewoli. W moim mniemaniu to najważniejszy moment w historii ludzkości. W porównaniu do niego, wynalezienie koła i krzesania ognia są nieistotne. Dlatego wam zazdroszczę. - Wyciągnął ręce ku młodym naukowcom na widowni. - Ponieważ to wy dokonacie przełomu.

Przemówienie spotkało się z ogłuszającym aplauzem. Ralston stał chwilę bez ruchu, a potem kiwnął głową komuś za kulisami. Na scenę wyszła para ludzi. Zarówno mężczyzna, jak i kobieta nieśli ogromne czeki, podobne do tych, które wręczają zwycięzcom loterii. Co prawda nie było widać, na jakie sumy je wystawiono, ale efekt i tak był piorunujący.

- Bardzo się cieszę, że mogłem przyczynić do tego najważniejszego kroku w dziejach ludzkości. Szkoła bioinżynierii Charlesa Ralstona będzie działała dla dobra ludzkości. Kiedy ją

ukończycie i będziecie szukać pracy, dajcie znać. Coś się na pewno wymyśli.

Ponownie wybuchły brawa, a także salwy śmiechu. Aplauz stał się jeszcze donośniejszy, kiedy czeki zaprezentowano publiczności. Opiewały na cztery miliony dolarów.

Ludzie wstali z miejsc, a Ralston gestem przywołał do siebie Michele. Wstała ze swojego miejsca i sztywno podeszła do niego. Kiedy spoglądała w kamery, nie była w stanie się uśmiechnąć. Siły ją opuściły, nie mogła już dalej udawać.

- Chyba się zakochałam - powiedziała Nicole, biorąc mnie pod ramię. - Co za wspaniały mężczyzna.

- Czy przyjmujesz go jako swego Mesjasza?

- Nic nie rozumiesz, Jack - odparła. - On ma rację. Prędzej czy później stanie się tak, jak mówi. Jedyne pytanie, to kto na tym zarobi.

Fotoreporterzy skończyli robić zdjęcia i Ralston wypuścił Michele z objęć. Sztywno zeszła po schodkach. Nim zdążyła wrócić na swoje miejsce, z tłumu wyłonił się ktoś, kogo nie spodziewałem się zobaczyć. Bob Trammel, menedżer jej występów, którego spotkałem w St. Louis, podszedł do niej, wyciągając rękę. Próbowła go wyminąć, ale chwycił ją za łokieć i poprowadził do bocznego wyjścia. Razem znikli za czarnymi kurtynami.

- Poczekasz na mnie? - spytałem Nicole.

- Wybacz kochanie, ale spieszę się - odparła. - Zadzwonisz do mnie?

- Jasne.

Nicole zamachała znajomym z Shearson, a ja wyszedłem, kierując się ku scenie. Kiedy do niej w końcu dotarłem, reporterzy

już znikli i nikt nie zwrócił uwagi, gdy wspiałem się na podium. Ralston już dawno zszedł z mównicy, wracając do swoich spraw. Od kurtyny dzieliły mnie jedynie trzy, może cztery kroki. Szybko zniknąłem za nią i zobaczyłem Trammela dyskutującego z Michele. Nadal trzymał ją za przedramię i pochylał się nad nią, tłumacząc coś zawzięcie. W pewnym momencie wyrwała rękę z jego uścisku i spojrzała na niego przerażona, jakby czymś strasznym jej zagroził. Trammel zaczął ponownie coś mówić, ale postanowiłem nie czekać dłużej. Ruszyłem w ich stronę, a nagły ruch zwrócił uwagę Michele.

- Jack! - powiedziała. - Nic tutaj po tobie, jest późno, musisz już iść.

Trammel obejrzał się w moją stronę i uśmiechnął nienawistnie. Tego typu grymas zawsze kojarzył mi się z czarnym charakterem z filmu, który postanawia ukarać Boga ducha winnych ludzi za to, że nieświadomie pokrzyżowali jego plany. Przez chwilę wydawało mi się, że dostanę trzecie manto w tym tygodniu, i w myślach szykowałem się już do bójki, kiedy nagle otworzyły się drzwi i weszła grupa studentów. Prowadziła ich kobieta około czterdziestki, która powiedziała:

- No dalej, dalej. Mamy tylko godzinę, więc nie marnujemy czasu.

Trammel uspokoił się nieco, ale nie zwracałem na niego uwagi. Liczyło się tylko, żeby Michele niepostrzeżenie wymknęła się tylnymi drzwiami. Choć nadal targała nim wściekłość, to zdawał sobie sprawę, że dwóch mężczyzn goniących kobietę po terenie uniwersytetu z pewnością przyciągnie uwagę. Nie chciał ryzykować, skoro w pobliżu kręcili się reporterzy. Studenci

wypełniali kulisy, a ich nauczycielka łypała na nas nieprzychylnym spojrzeniem. Byliśmy intruzami na terytorium, które należało do niej. Kiedy ostatni ze studentów wszedł do środka, podeszła do nas i zapytała:

- Mogę w czymś panom pomóc?

Trammel stał nieruchomo, nie będąc w stanie wydobyć z siebie słowa.

- W zasadzie, tak - odparłem. - Zgubiliśmy się. Może nas pani skierować do dziekanatu?

- Oczywiście - powiedziała rzeczowym tonem. Wskazała na drzwi po przeciwnej stronie pomieszczenia. - Musicie iść panowie tędy, cały czas prosto. Dziekanat znajduje się po przeciwnej stronie campusu.

- Dziękuję pani. Chodź Bob, miałeś jednak rację. Nie przeszkadzajmy pani w zajęciach.

Trammel rzucił mi mordercze spojrzenie, ale ruszył za mną. Przez cały czas czułem na plecach jego nienawistne spojrzenie oraz baczny wzrok nauczycielki.

Są takie chwile w życiu, kiedy nie należy czekać na to, co się wydarzy. Trammel, któremu najwidoczniej przerwałem coś ważnego, nie wyglądał na rozsądnie myślącego faceta. Kiedy tylko drzwi zamknęły się za nami, odwróciłem się i z całej siły uderzyłem go w twarz. Moja pięść trafiła go pod oko. Poczułem ból w knykciach. Runął jak długi, a ja nie zamierzałem pytać, czy nic mu nie jest. Dałem drapaką i wybiegłem z budynku.

Nie umiem wyrazić, jak bardzo się cieszyłem, ale ten jeden cios sprawił mi wiele przyjemności. Charles Ralston mógł snuć plany stworzenia genetycznie idealnego człowieka, ale ja i tak

wiedziałem swoje. Nie ma to jak dać komuś w dziób. Obiegiem budynek, szukając Michele. Nigdzie jej nie zauważyłem, dlatego wsiadłem do samochodu i wyjechałem z parkingu. Ulica była zatłoczona w stopniu umiarkowanym, niestety, samochody poruszały się w ślimaczym tempie. Szybciej byłoby chyba pójść na piechotę. Przejechałem kilka przecznic w kierunku I-75, kiedy zauważyłem szarego lexusa Michele jadącego wolno przede mną. W zasadzie mogłem od razu do niej podjechać, ale postanowiłem czekać. Skręciła w lewo, zmierzając na autostradę. Zrobiłem to samo, co ona i czekałem.

Jeśli Michele była w niebezpieczeństwie, chciałem być na tyle blisko, aby jej pomóc. Z drugiej strony, skoro coś jej groziło, chciałem się dowiedzieć, co to jest, nie płosząc jej dręczyciela. W pewnym momencie zrównałem się z nią, stojąc na innym pasie. Michele siedziała nieruchomo, tępo wpatrując się w drogę przed sobą. Pozwoliłem, aby mnie wyprzedziła, i zmieniłem pas. Kilka minut później zrozumiałem, dokąd jedzie. Z początku nie mogłem się pogodzić z tą myślą, ale kiedy minęliśmy Crane Street, musiałem przyznać przed samym sobą, że wracamy do McDaniels Glen.

Zafascynowany patrzyłem, jak przejeżdża przez bramę. Minąłem ją, ale zaraz zawróciłem. Choć wyprzedzała mnie o jakieś sto metrów, trudno mi było pozostać niezauważonym. Na ulicach praktycznie nie było ruchu. W końcu Michele zatrzymała się, a ja zaparkowałem, kryjąc się za innym autem i obserwując ją. Przypadkiem wybrałem dobre miejsce do obserwacji: mój samochód stał zasłonięty przez inny, a poprzez podwójną zasłonę z

szyb mogłem obserwować, co się dzieje. Wyłączyłem silnik i rozejrzałem się dookoła. Na ulicy nie było nikogo.

Po kilku chwilach z domu naprzeciwko wyszedł mężczyzna, pokazując Michele, aby opuściła szybę. Serce zamarło mi w piersi. To był Jamal Pope. Nieświadomie pochyliłem się do przodu, próbując podsłuchać, o czym mówią. Niestety, odległość była zbyt duża. Jedno było pewne, rozmowa nie przebiegała w przyjacielskiej atmosferze. Włączyłem silnik, ale trzymałem go na jałowym biegu. Chciałem dotrzeć do Michele, jeśli będzie potrzebowała mojej pomocy. W razie kłopotów miałem tylko jedno wyjście: przejechać Pope'a. Nie miałem broni, a on znał każdą brudną sztuczkę, więc rozprawienie się ze mną nie byłoby dla niego problemem.

Kłótnia trwała przez dłuższą chwilę, ale w końcu obydwój się uspokoili. Pope podszedł do samochodu i pogładził Michele po włosach. Po jego ustach pełgał oślizły uśmiezek. Przez chwilę myślałem, że zwymiotuję. *Mój Boże! On i ona? To niemożliwe.* W końcu Michele ruszyła, a Pope cofnął się i spoglądał na nią, jak się oddala. Lexus zawrócił w kierunku wyjazdu z Glen.

Otworzyłem drzwi mojego auta. Ten ruch wystarczył, aby Pope mnie zauważył. Odwrócił się ku mnie i wbił spojrzenie w szybę samochodu. Wysiadłem powoli, aby widział że nie mam broni. Jego zwykły luz ustąpił miejsca spięciu. Kiedy byłem dziesięć metrów od niego, powiedział:

- Nieźle wyglądasz.

- Szukam informacji o kobiecie, z którą rozmawiałeś.

Pope pokręcił głową.

- Pytasz nie w porę. Daj sobie spokój, póki jeszcze możesz.

- Posłuchaj mnie, Pope. To ty rządysz w Glen, a nie policja, prawda? Nic, co się dzieje w Glen, nie umyka twojej uwadze.

- Racja - odparł, wzruszając ramionami.

- Czyli od ciebie zależy, czy ludzie się opanują. Nie możesz dopuścić, aby rozpętało się tu piekło.

- O czym ty mówisz? - spytał, łypiąc na mnie podejrzliwie.

- Kombinujesz coś z Michele, w zamian za informacje o jej córce. - Na twarz Pope'a wypłynął grymas złości. - Możesz mnie później zabić, ale daj mi dokończyć. Połóż kres temu nieszczęściu. To przekracza wszelkie granice. Przecież Glen nie jest piekłem na ziemi, co? Wiem, że na nie wygląda: ludzie tutaj marnują życie i wegetują w biedzie, ale muszą być przecież jakieś granice.

Pope obserwował mnie, nie mówiąc ani słowa. Był odpowiednikiem Ralstona, tyle że handlował narkotykami i potwierdzał tezę, że bezduszny morderca też potrafi myśleć i to nawet wnikliwiej, niż niejeden filozof. Moralność Pope'a była jednak dość ograniczona: nie wkraczała w rejony, które wiązały się z interesami.

- Kręcisz z nią, co nie? To kiepski pomysł.

- Dzięki, sam do tego doszedłem.

- Ile masz benzyny w baku? - spytał wskazując nosem na mojego buicka.

- A bo ja wiem. Czemu pytasz?

- Bo powinieneś wsiąść za kółko i odjechać tak daleko, jak możesz, bo w przeciwnym wypadku paskudnie cię urządzę.

- Na litość boską, Pope, zrób coś dla swoich ludzi.

- Bardzo pomogłeś Keshanowi, ale nie przeciągaj struny - syknął, mrużąc wrednie oczy.

- Pope, ja mówię jak najbardziej serio. Rozejrzyj się dookoła.

Ku mojemu zdziwieniu podniósł głowę i obrzucił spojrzeniem pobliskie budynki.

- Widzisz - powiedział przeciągle. - Nie rozumiesz, jak to jest. To nie ja wymyśliłem ten świat i nie ja go tak urządziłem. Ja próbuję w nim tylko przeżyć. Robię interesy. Twoja dziewczucha kogoś szuka. Powiedziałem jej, że zajmę się tym, ale chcę coś dla siebie. Chcę znaleźćnego.

- Czy jej córka jest w Glen?

- Za pięćdziesiąt tysięcy dolarów będzie. Tylko to się dla mnie liczy.

- Pope, tutaj chodzi o człowieka! O dziecko... Sam jesteś czarny, czy nie uważasz, że robisz jej świństwo? Jestem pewien, że zgodziła się zapłacić.

- Aha. Tak się umówiliśmy.

- Słuchaj, Pope, kiedyś mi pomogłeś. Pozwoliłeś mi odejść z życiem, choć nagadałem bzdur. Teraz odwdzięczę ci się. - Pope spojrzał na mnie uważnie. - Robisz wielki błąd. Pakujesz się w kłopoty, o których nie masz nawet pojęcia. Wokół dzieją się złe rzeczy, a Michele ma potężnych wrogów. Jeżeli jej pomożesz, strasznie się wkurzą.

Roześmiał się głośno i odparł:

- A kto to taki?

- Ludzie z zewnątrz. To nie są płotki, zarabiają ogromne pieniądze i latają prywatnymi odrzutowcami. Są bardzo potężni i już zabili osiem osób.

- Cena pójdzie w górę - mruknął, ale widziałem, że chwycił haczyk.

- Człowieku, nie bądź głupi. To się może dla nas wszystkich fatalnie skończyć.

Pope roześmiał się jeszcze raz, choć jego pewność siebie nie była tak wielka, jak przed chwilą.

- Niech do mnie przyjdą i zobaczymy, kto jest mocniejszy.

Straciłem cierpliwość. Na wpół do siebie mruknąłem:

- Derek Stephens nie postawi tutaj stopy. Po prostu zmiecie Glen z powierzchni ziemi.

- Derek Stephens jest jedynym białym, jakiego znam, którego obchodzą moi ludzie.

Spojrzałem na niego zbity z tropu.

- Znasz go? Znasz Dereka Stephensa, głównego prawnika Horizn Pharmaceuticals?

- Jasne.

- Chcesz powiedzieć, że bywał w Glen.

- Tak. Przyjeżdża z igłami.

- O czym ty mówisz?

- Program wymiany igieł dla narkomanów.

- Co? Przyjeżdża po zużyte igły?

- Tak, to mój kumpel. Królik zbiera igły i dostarcza je Stephensowi, opisane nazwiskami i adresami narkomanów. Ja się tym nie przejmuję, wali mnie to, co robią z tym gównem.

- Czyli mają dokładne dane o tym, kto i jakich igieł używa?

- Dokładnie tak, przecież mówię, nie? Więc nie gadaj nic złego o Stephensie, bo to mój ziomal.

Podczas debaty nad programem ochrony przed zakażeniami, jeden temat powracał jak bumerang. Cały proces miał być anonimowy. Teraz okazało się, że było wręcz przeciwnie i sam

Derek Stephens, osobiście, nadzorował odbieranie zużytych igieł. Coś tu śmierdziało, ale nie wiedziałem, co dokładnie. Jeśli był ktoś na Ziemi, kto mógł mi powiedzieć co tutaj nie gra, to był to doktor Robinson.

- Muszę lecieć.

- Leć, i nie wracaj - rzucił na odchodnym Pope, a ton jego głosu świadczył, że mówił śmiertelnie poważnie.

Do domu dotarłem pół godziny później, tuż przed trzecią. Od razu odszukałem moją walizkę, i wyjąłem z niej listę osób, na których testowano lipitran. Pierwsze nazwisko: Chantelle Weiss, 4329 Avenue D. Znalazłem ulicę na mapie i zaznaczyłem ją szpilką z czarnym łebkiem. Kobieta mieszkała w samym sercu McDaniels Glen. Kolejny był Jonathan Mills, 225 Trenton Street. Jak się okazało, był praktycznie sąsiadem pani Weiss. Najeh Richardson nie mieszkał co prawda w Glen, ale za to bardzo blisko. Podobnie rzecz się miała z innymi. Każda osoba z listy mieszkała w Glen, albo w bezpośredniej okolicy.

Zacząłem gorączkowo dreptać po pokoju. Dobrze. Wszyscy mieszkali w Glen i byli uzależnieni. To oznacza, że najprawdopodobniej uczestniczyli w programie wymiany igieł. Jeśli tak było, to znaczy, że dane o nich były w posiadaniu Horizn. Zamarłem z wrażenia. Czyli zatruwali ich igły. Pokryli je jakąś substancją, która w połączeniu z lekarstwem wywoływała objawy podobne do eboli. Muszę pojechać do tego pieprzonego parku i pogadać z Robinsonem.

Zebrałem papiery na biurku i zbiegłem na dół. Podróż do samotni Robinsona zajęła mi pół godziny, ale znalazłem go na ławce, tak jak się spodziewałem. Siedział nieruchomo i nawet nie

podniósł głowy, kiedy wysiadłem z samochodu i podszedłem do niego. Dopiero kiedy stanąłem nad nim, rozpoznał mnie.

Darowałem sobie uprzejmości.

- Gdzieś ty się podziewał? Dzwoniłem do ciebie ze dwadzieścia razy. - Spojrzał na mnie jak nieprzytomny i burknął coś niemilego pod nosem. - Świetnie, pograżaj się dalej.

- No właśnie, a chcesz wiedzieć dlaczego?

- Niespecjalnie.

- I tak ci powiem. Bo nie ma sposobu, żeby przygwoździć tego sukinsyna. Ponieważ on... - Robinson zamilkł na chwilę. - Jest ode mnie lepszy.

- Wiem, w jaki sposób Ralston i Stephens zabili twoich pacjentów.

- O czym ty, do cholery, mówisz? - spytał, spoglądając na mnie spode łba.

- Wykorzystali system wymiany zużytych igieł na czyste, aby ich otruć.

Robinson pokręcił głową.

- To niemożliwe.

- Posłuchaj. Każdy z nich był narkomanem i istnieje ogromna szansa, że oddawali zużyte igły. Czyste pochodziły od Ralstona, który w jakiś sposób je zatruł.

- To wszystko? Cała twoja teoria?

- To nie wszystko. Stephens...

- Daruj sobie.

- Co? Przecież to rozwiązuje problem!

- Oczywiście - odparł, spoglądając na mnie ze złością w oczach.

- Tylko, że to niemożliwe.

- Czemu?

- Jack, to jest akcja kontrolowana przez organizacje federalne. Poza tym pacjenci nie mogą przyjmować żadnych substancji podczas trwania testów leku. Pomyśl chwilę, gdyby mogli brać narkotyki, tylko by się infekowali.

- Ale jeśli byli uzależnieni...

- Jack, nie jesteśmy głupcami. Wiemy, że nic nie brali, bo ich sprawdzaliśmy. Nie dostawali żadnych igieł od Horizn, bo ich nie potrzebowali. Może i brali udział w programie Ralstona przed naszymi badaniami, ale nie w ich trakcie. A już na pewno nie po nim.

Stałem nieruchomo, czując, jak opuszcza mnie wiara w moje własne siły.

- Cholera, a już byłem pewien, że ich mamy.

- Cóż... Kiedy odniesiesz tyle porażek, co ja, przywykniesz do smaku klęski. Powiedziałem ci, że Ralston załatwił nas i nie wiemy, w jaki sposób.

- Pamiętam.

- Więc nie pleć bzdur o zatrutych igłach. Tutaj chodzi o naukę na światowym poziomie, nikt by się nie zniżył do intryg na tak niskim poziomie.

- Ale...

Robinson zmierzył mnie krytycznym spojrzeniem.

- A w zasadzie, skąd się wziął taki pomysł?

- Widziałem się z Ralstonem. Robinson spochmurniał.

- Po co?

- Nieważne. Szkopuł tkwi w tym, że później pojechałem do McDaniels Glen, gdzie się dowiedziałem, że igły zbiera nie kto

inny, jak Derek Stephens. - Na dźwięk nazwiska prawnika, Robinson zmierzył mnie jeszcze czujniejszym spojrzeniem. - Okazuje się, że każda igła była dokładnie opisana z imieniem uzależnionego, jego adresem i datą zużycia.

Robinson wstał nagle z ławki. Coś w mojej wypowiedzi zaintrygowało go, bo zaczął przechadzać się tam i z powrotem, przeżuając moje słowa. Przez kilka minut nie zwracał uwagi na resztę świata i musiałbym nim potrząsnąć, żeby mi cokolwiek powiedział. Nagle zatrzymał się i wyszeptał:

- O mój Boże!

- Co?

- Kto byłby w stanie coś takiego wymyślić?

- O co ci chodzi?

- Wykorzystali program wymiany igieł do zabijania moich pacjentów.

Mało brakowało, abym go zdzielił w twarz.

- Przecież powtarzam ci to od pół godziny!

- Nie, Jack. Nikogo nie otruto. To było niemożliwe, zresztą zorientowalibyśmy się, że to nie działanie leku. To było coś znacznie bardziej wyrafinowanego.

- Powiedz mi w takim razie, co?

Robinson stał nieruchomo, a jego twarz przybrała niezdrowy, blady kolor.

- Bądź cicho i słuchaj, jak zabijają psychopaci. Ludzkie ciało potrafi sobie poradzić z toksynami. Wytwarza specjalny cytochrom P-450. Słyszałeś o nim kiedyś?

- Nie.

- No tak. - Spojrzał na mnie, i wpadł chyba na jakiś pomysł, bo zapytał:

- Zastanawiałeś się kiedyś, co się dzieje, kiedy bierzesz aspirynę?

- Znika ból głowy.

- Nie, chodzi mi o samą pastylkę. Po czterech godzinach nie ma po niej śladu. Wiesz, dlaczego?

- Zawsze mi się wydawało, że się rozpuszcza.

- Zostaje rozprowadzona przez enzym P-450.

- Chcesz powiedzieć, że aspiryna jest toksyną?

- Co się stanie, kiedy połkniesz całe opakowanie?

- Z reguły wymiotuję. Robinson wzruszył ramionami.

- Sam sobie odpowiedziałeś.

- Dobra, rozumiem.

- Toksyna dostaje się do organizmu i P-450 analizuje jej skład chemiczny. Potem uruchamia kilka genów z trzystutysięcznej puli, i nakazuje organizmowi wytworzyć enzymy, które zneutralizują szkodliwe działanie. To cholernie zadziwiający proces, zwłaszcza że człowiek nie zdaje sobie sprawy z jego istnienia.

- A co to ma do rzeczy z Ralstonem, który zamordował twoich pacjentów?

- Pamiętasz sprawę talidomidu?

- Tak - odparłem, starając przypomnieć sobie szczegóły. - Po jego zażyciu matki rodziły zdeformowane dzieci.

- No właśnie. Tak się dzieje, kiedy P-450 natrafi na związek, z którym nie potrafi dać sobie rady. Widzisz, ten system kształtował się miliony lat, i jest w stanie przeciwdziałać toksynom

naturalnym. Nie umie się bronić przed sztucznymi, które produkujemy z zadziwiającą prędkością. Innymi słowy, wszystko, co sztuczne, może nas zabić, jeśli nie przebadana się tego dokładnie.

- Jasne.

- Prawnicy dobrali się wytwórcy do dupy, ale prawda jest taka, że nikt się nie spodziewał takich skutków. Przeprowadzono testy, które wykazały, że dziewięćdziesiąt dziewięć procent ludzi toleruje lek bez żadnych skutków ubocznych. Był tylko jeden problem. Dzieci matek, które brały talidomid, rodziły się bez rączek. - Zamilkł na chwilę, a potem spytał: - Jack, jak ci się wydaje, na czym polegają testy?

- Nie wiem.

- Dajemy lek ludziom i patrzymy, co z tego wyjdzie. Zapadła cisza. Obywaj rozumieliśmy, jakie ryzyko ponoszą ludzie je testujący, ale ja dopiero teraz pojąłem je w pełni.

- Zawsze sądziłem, że to bardziej uporządkowany proces.

- Oczywiście, że pozwalamy ludziom tak myśleć. W innym przypadku nikt by się nie zgłaszał.

- Wróćmy do Ralstona, co on ma z tym wspólnego?

- Widzisz, Jack, zawsze znajdują się ludzie uczuleni na dane lekarstwo. Czasem jest ich jeden procent na świecie, zwykle jeszcze mniej. Statystyka mówi po prostu, że niektórym będzie brakowało enzymów, dzięki którym przyswoją lek. Jeżeli go wezmą, zaczną dziać się złe rzeczy.

- Do czego zmierzasz?

Robinson odwrócił się do mnie plecami, po raz ostatni tocząc bój ze swymi myślami. Spoglądał na park i po chwili wyjaśnił:

- Co by się stało, gdyby zawczasu znaleźć tych ludzi? Trzeba by oczywiście znać skład leku i genotyp tych ludzi, ale można by wyznaczyć potencjalne ofiary nowego lekarstwa.

- Czy coś takiego jest możliwe?

Robinson odwrócił się do mnie, był blady i wyglądał jak upiór.

- Ralston mógł to zrobić. Potrzebował dwóch rzeczy, i właśnie zdałem sobie sprawę, że dostał je obydwie.

- To znaczy?

- Po pierwsze, potrzebował lipitranu. Dzięki włamaniu Townsenda był w stanie wyprodukować niewielką jego ilość w laboratorium.

- Co jeszcze?

- Potrzebował DNA setek, może tysięcy narkomanów.

- Program wymiany igieł.

- Upiekł dwie pieczenie na jednym ogniu. Stał się bohaterem i dostał oręż do zniszczenia konkurencji. - Robinsonem wstrząsnął dreszcz. - On nikomu nie pomagał, potrzebował tylko mięsa armatniego.

- Jak zadziałał jego plan?

- Bardzo prosto. Ralston produkuje niewielką dawkę lipitranu i podaje ją wybranym osobom. Obserwuje ich reakcję. Oddają Stephensowi igły, a naukowcy badają enzymy, które działają na toksyny we krwi. Potem tylko szuka takich ludzi, którzy nie są w stanie ich wyprodukować.

- Wykorzystuje oddawane igły?

- Tak. Na każdej z nich znajdują się próbki DNA, a tylko tego potrzebuje Ralston. Szuka nieprzerwanie, aż znajduje grupkę ludzi, którzy zareagują alergicznie na lek.

- Zająłoby mu to sporo czasu, nie?

- Owszem. Ile trwa program wymiany igieł?

- Wydaje mi się, że kilka lat. Robinson roześmiał się ponuro.

- Dokładnie tyle, ile badania nad lipitranem. - Zamknął oczy i dodał: - Kiedy tylko ich zidentyfikował, wiedział, że umrą w męczarniach.

Ralston powiedział, że ich nie zabił. Zrobił to lipitran.

- Miał rację. Nie ruszył nawet palcem, wszystko stało się bez jego udziału. Moglibyśmy każdemu z nich dać uzbrojonego strażnika, to i tak nic by nie zmieniło.

- Ale jak ich przekonał?

Robinson znowu wzruszył ramionami.

- To byli narkomani. Mógł im na przykład obiecać nieograniczony dostęp do sztucznej heroiny po zakończeniu badań.

Siedziałem w milczeniu obok Robinsona. Talent i inteligencja nie zawsze idą w parze z uczciwością.

- Mamy go, prawda? Pójdzie siedzieć, co?

- Wywinie się. - Robinson ze złością splunął na ziemię.

Spojrzałem na niego kompletnie zbity z tropu.

- Jak to?

- To tylko teoria. Nie mamy żadnych dowodów.

- Bo nikt nie przeżył. Potrzebowalibyśmy chociaż jednego człowieka, który przeszedłby testy. To oznaczałoby, że on jeden miał odpowiedni enzym. Można byłoby porównać wyniki badań i dowieść, że ktoś wpłynął na nie. Skoro wszyscy umarli, to jest to niemożliwe.

- Lacayo - odparłem. - Sam powiedziałeś, że jeszcze żyje.

- Umarł dwa dni temu, podobnie jak pozostali.
- Nie mogę uwierzyć. Skąd o tym wiesz?
- Poszedłem się z nim zobaczyć. Zauważyła mnie jego matka i mi przyłożyła.

Dlatego nie można go było nigdzie namierzyć. Ukrył się, cierpiąc nad zgonem kolejnego pacjenta. Robinson spojrział przed siebie.

- Jest tak, jak ci mówiłem. Ralston nas przechytrzył, po prostu lepiej się zna na swojej robocie.

- Mógłbyś podać lek komuś innemu.

- Nie. Cofnięto nam pozwolenie. Gdybym to zrobił, mógłbym zostać oskarżony o błąd lekarski, narażenie pacjenta na niebezpieczeństwo, lub nawet próbę morderstwa. - Robinson skrzywił się. - Czyje życie mam narazić, Jack? Nie zapominaj, że to jedynie teoria. Chcesz się tłumaczyć przed sądem, dlaczego dałeś lipitran kolejnej osobie, choć osiem poprzednich zmarło?

- Nie, nie chcę.

- Nawet, gdyby pacjent przeżył, i tak poszedłbym do więzienia. Widzisz, to zbrodnia doskonała. Zabił osiem osób, wykorzystując przeciwko nim ich własne ciała, i nie można go za to przymknąć. Ba, nadal jest bohaterem i dobroczyńcą. Nic nie możemy mu udowodnić.

Staliśmy nieruchomo w ciszy, podziwiając przebiegłość Ralstona, zszokowani jego niefrasobliwością w stosunku do ludzkiego życia. Nagle Robinson spytał:

- Skąd ci przyszła myśl o zatrutych igłach?

- Nieważne, przepraszam, że w ogóle wyskoczyłem z takim pomysłem.

- Nieważne. Powiedz, czemu?

- Wpadłem na ten pomysł, kiedy okazało się, że Ralston nic nie wiedział o udziale Douga w testach.

Zapadła cisza, a po dłuższej chwili Robinson powiedział:

- Możesz powtórzyć?

- Ralston był zupełnie zaskoczony tym, że Doug zgłosił się na testy.

- Co zrobił?

- Zbladł jak ściana i nie wiedział, co zrobić.

- Serio?

- Tak.

Robinson chwycił mnie za rękę i powiedział:

- Słuchaj, Jack. Musimy zdobyć ciało Douga. Nie ma chwili do stracenia.

- Ciało? To nie jest takie proste.

- Jeśli Ralston nie wiedział o jego udziale, to znaczy, że go nie przebadał. Doug musiał się zgłosić bez jego wiedzy.

- Co to znaczy?

- On przeżył!

- On jest martwy.

- Zmarł na skutek przedawkowania fenatyli! Nie umarł z powodu reakcji na lipitran. Gwóźdź do trumny Ralstona jest w ciele Douga!

- Czekaj, skoro Doug uczestniczył w programie, to chyba masz próbki jego krwi?

- Tak, ale sprzed zażycia leku! Potem zniknął.

- Ktoś go zabił, bo wiedział, że Doug może przeżyć kurację?

- Dokładnie. Powiedz mi, że wiesz, gdzie jest jego ciało.

- Leży w lodówce w laboratorium policyjnym.

- Słuchaj, Jack, skoro ja się tego domyśliłem, to zrobił to i Ralston, kiedy tylko powiedziałeś mu o udziale Douga w testach.

- To dlaczego mnie nie zabili, kiedy mieli okazję?

- Słucham?

Nagle zdałem sobie sprawę, że Robinsonowi nic nie powiedziałem o porwaniu.

- Ralston zorganizował mi małe atrakcje po tym, jak opuściłem siedzibę Horizn. Zamknęli mnie w szafie.

- Jak się wydostałeś?

- Tryumf woli nad materią. W każdym razie, jeśli chcieli mnie zabić, to schrzanili sprawę.

- Drugi raz nie popełnię tego błędu. Musisz zniknąć na jakiś czas.

- A co z tobą?

- Pojadę do Grayton. To prawdziwa forteca.

- Dobra. Wrócę za kilka godzin.

- Uważaj na siebie, Jack. Skoro wymyślili sposób na zabicie ośmiu osób bez groźby sądu, stać ich na wszystko.

Prośba Robinsona oznaczała, że muszę spotkać się z Billym, który będzie domagał się wyjaśnień. Spojrzałem na zegarek, dochodziła piąta. Billy nie wychodził z pracy przed szóstą, więc doskonale wiedziałem, gdzie go mogę znaleźć. Kiedy wszedłem do jego biura, spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

- Gdzieś ty się podziewał?

- Blu powiedziała, że dzwoniłeś.

Przesunąłem kartkę papieru po blacie. Spoglądał na nią przez moment, a potem zapytał zdziwiony:

- Grayton Technical Laboratories?

- Tak. To firma, na której serwer włamał się Doug. Wszystko im opowiedziałem.

- Aha.

- Chcą dostać ciało Douga. W zasadzie nie oni, ale ich główny badacz, Thomas Robinson.

- Czy to prawda? - spytał Billy, unosząc brwi ze zdziwieniem.

- Robinson nadzoruje projekt badawczy, w którym brał udział Doug. Uważa, że jeśli dostanie jego ciało, będzie w stanie potwierdzić pewne przypuszczenia.

- Jakie to były badania?

- Nad lekarstwem przeciwko wirusowemu zapaleniu wątroby typu C.

Billy spoglądał na mnie przez chwilę, a potem powiedział:

- Wiesz, co mnie najbardziej zastanawia?

- Dlaczego nie wiedziałem, że Doug był chory? Nikomu o tym nie mówił.

- Nie. Zastanawiam się, z jakich przyczyn Doug Townsend stał się najpopularniejszym trupem w mieście.

- O czym ty mówisz?

- Spóźniliście się. Ty, Robinson, Grayton, nieważne.

- Spóźniliśmy się?

- Tak. Ciało zostało wydane wczoraj. - Billy wstał i podszedł do metalowej szafki z aktami, otworzył ją, odnalazł teczkę i przeczytał. - Zwłoki odebrała Lucy Buckner z Phoenix, w stanie Arizona.

- Kuzynka Douga? - spytałem, zaglądając mu przez ramię. - Przecież ona nawet nie odpowiadała na moje telefony!

- Cóż, Ron Evans zdołał ją przekonać.

- A kim on jest, u licha?

- Gościem, który pojawił się wczoraj w biurze koronera, z notarialnie podpisanym aktem własności ciała Douga Townsenda.

- Billy spojrzał na mnie przepraszająco. - Przykro mi, stary, ale wszystko odbyło się zgodnie z planem. Raport ze śledztwa potwierdził samobójstwo. Kiedy ten Evans pojawił się z papierami, musieliśmy wydać mu ciało.

Spoglądałem na Billy'ego, ale moje myśli pędziły w zupełnie inną stronę. Wszystko jasne. Nie zabili mnie, bo po prostu musieli się mnie pozbyć na kilka godzin. Chodziło o to, żeby mieli czas na zabranie zwłok.

- Jack, powiedz mi, o co tutaj chodzi. Doug Townsend i jego historia, czy to wszystko prawda?

Chciałem mu wyjaśnić, wszystko opowiedzieć, ale poczułem, że jestem tak bardzo zmęczony, jak jeszcze nigdy w życiu.

- Nieważne, Billy. To już nie ma znaczenia. Nic więcej nie możemy zrobić.

- Nie próbuj zgrywać bohatera, Jack. To nie wychodzi dobrze na zdrowie. Jeśli mogę ci jakoś pomóc, to tylko powiedz.

Zamknąłem oczy.

- Nie, Billy. To już nie ma znaczenia.

Pozostała mi tylko jedna rzecz do zrobienia. Wieczorem postanowiłem wykonać ostatni telefon, tylko po to, aby dowiedzieć się, czy moje przypuszczenia są prawdziwe. Wybrałem numer kuzynki Douga i po chwili usłyszałem w słuchawce damski głos.

- Tak, słucham?

- Dobry wieczór, tutaj Jack Hammond. Byłem prawnikiem Douga. Po jego śmierci próbowałem się z panią skontaktować.

W jej głosie usłyszałem złość:

- Powiedziała mi już panu Evansowi, że mogą zrobić z ciałem, co zechcą. Niech je przeznaczą na przeszczepy, albo coś w tym stylu.

- Może mi pani o nim opowiedzieć?

- Już to przerabialiśmy. Za trzy tysiące dolarów i pozbycie się kłopotu bez szemrania zgodzę się, aby na nim eksperymentowali.

Trzy tysiące dolarów. Kieszonkowe.

- Ktoś zaoferował pani pieniądze za ciało Douga?

- Niech mnie pan posłucha. Jeśli on się wpakował w jakieś tarapaty, nie chcę o tym wiedzieć. Setki razy mówiłam mu, że powinien trzymać się z daleka od prochów.

- Pani Becker, ja pani o nic nie oskarżam. Chcę się tylko czegoś dowiedzieć o człowieku, który kupił od pani ciało Douga.

- No to już pan wie wszystko. Powiedział, że działa w imieniu szkoły medycznej.

- Wspomniał może jakiej?

- Nie.

- Powiedział, że jeśli przefaksuję mu podpisane dokumenty, przekaże mi pieniądze. Zgodziłam się, pod warunkiem, że najpierw dostanę forszę.

- Zgodził się?

- Tak. Trzy tysiące dolarów przyszły przesyłką Western Union, a ja wysłałam mu podpisane dokumenty.

- Ma pani może numer jego faksu?

- Tak. Swój wysłałam z Western Union, bo mam tylko telefon. Faks do niego to 414-555-1610.

Zapisałem numer na kartce.

- Czy ma pani jakiś inny kontakt do niego?

- Nie. Wie pan, nie dziwię się, że Doug miał kłopoty. Od początku wiedziałem, że nic dobrego z niego nie wyrośnie.

Rozłączyłem się bez pożegnania. Wybrałem szybko numer faksu i po drugiej stronie zgłosiła się recepcja teatru w Cobb Country.

I znów ani śladu. Przejęli numer na chwilę, a potem oddali linię. Pewnie nikt nic nie wie. Opadłem na krzesło i powiedziałem do siebie:

- Jack, przyznaj, ukręcili łeb sprawie.

Zamknąłem oczy, smakując gorzyc porażki. A byliśmy już tak blisko. Ośmiu ludzi zginęło, i nikt nie odpowie za ich śmierć. Oto w jaki sposób kręci się ten świat. Ralston i Stephens staną się miliarderami, w gettach ludzie będą nadal umierać, a nikt nawet nie usłyszy o tragedii, która dotknęła ich rodziny.

Obudziłem się zdrowo po północy. Przez chwilę leżałem w ciemnościach, wpatrując się w sufit i zastanawiając, czy nie straciłem zdrowych zmysłów. W całym tym schemacie zbrodni krył się jeden błąd, niemający nic wspólnego z enzymami i komórkami, na których się nie znałem. To był czynnik ludzki, i wszystko wskazywało na to, że Ralston i Stephens go przeoczyli. Jeśli to była prawda, to miałem drani.

Rozdział dwudziesty piąty

O ósmej rano następnego dnia wsiałem do samochodu. Mój stary buick musiał dochodzić do siebie po wczorajszej pogoni. Bóg wie jak długo nie wyciskałem z niego więcej niż sześćdziesiąt

kilometrów na godzinę. Pojechałem do kostnicy w Atlancie, gdzie, choć była sobota, praca trwała w najlepsze. Miała wspólne wejście z laboratorium kryminalistycznym. Nie lubię takich miejsc, bo kojarzą mi się ze szpitalami, o one z kolei - z umieralnią. Wnętrza są sterylne czyste i pachną chemikaliami, a jarzeniówki świecą nieprzyjaznym, oślepiającym światłem. Jedyna rzecz, która odróżnia kostnicę i laboratorium od szpitala, to systemy ochrony, które z kolei zapożyczono od więzień. Laboratorium położone jest na południu Atlanty, z dala od komendy głównej policji. Jest to nieoznakowany budynek, jego rampa załadunkowa mieści się na tyłach, więc wątpię, aby ktokolwiek z sąsiadów zdawał sobie sprawę, co tam się dzieje. Są po temu ma dwa powody: po pierwsze znajduje się tu sporo chemikaliów, po drugie - kluczowe dowody dla wielu spraw.

Od chwili wejścia na teren kostnicy kamery rejestrują każdy krok człowieka. Podszedłem do recepcji, gdzie wydano mi czasowy dokument tożsamości. Należy go nosić przy sobie cały czas. Kiedy mi go wyrabiano, pokazałem prawo jazdy, następnie podpisałem stosowne papiery i powiedziałem sekretarce, że chciałbym zobaczyć się z doktor Riami Hrawani, głównym patologiem laboratorium. Jako prawnik Douga, mogłem poprosić o dostęp do jego akt.

Usiadłem w fotelu i czekałem, modląc się w duchu. Po kilku minutach przez podwójne drzwi wyszła kobieta. Miała około trzydziestu lat, ciemnooliwkową cerę i czarne, krótkie włosy zaczesane za uszy. Nigdy przedtem jej nie spotkałem, ale widziałem jej podpis pod aktami zgonów. Hrawani cieszyła się

nienaganną reputacją, a jej praca przyczyniła się do skazania przestępców w bardzo ważnych procesach.

- Dzień dobry, panie Hammond - powiedziała z wyraźnym azjatyckim akcentem. - Rozumiem, że chciał pan porozmawiać o Dougu Townsendzie, tak? Niestety, nie mam zbyt wiele czasu. We wschodniej części miasta doszło do rozruchów i mamy tutaj sporo pracy.

- Detektyw Little powiedział mi, że ciało Douga zostało wydane.

- Tak, racja. Przedłożono nam stosowne dokumenty.

- Kiedy to miało miejsce?

- Wczoraj, około wpół do piątej po południu.

- Czy przeprowadzono autopsję? Pokręciła głową.

- Nie.

- Macie jakieś próbki krwi?

- Niestety, nie. Z tego, co wiem, zrobiono tylko zdjęcia.

- Czy mogę je obejrzeć?

Hrawani podała mi plakietkę i powiedziała:

- Niech pan ją przypnie, a potem idzie za mną.

- Idziemy do kostnicy?

- Tak.

Ruszyłem za nią i przekroczywszy metalowe drzwi, znalazłem się na terenie laboratoriów kryminalistycznych Fulton County. Bez wątplenia ten, kto projektował to miejsce, nie myślał o niczym innym, jak tylko o pracy. Laboratorium składało się z kwadratowej sali, pośrodku której stały cztery stoły operacyjne. Były wykonane ze stali, w ich blatach wyżłobiono kanaliki odprowadzające płyny ustrojowe. Dookoła nich piętrzyły się stojaki

z narzędziami, które przywodziły na myśl średniowieczną izbę tortur: piłami, szczypcami, ogromnymi nożycami. Z głównego pomieszczenia można było przejść do kilkunastu gabinetów lekarskich. Hrawani zaprowadziła mnie do swojego, urządzonego po spartańsku, pokoju pełnego metalowych szafek na akta. Oprócz nich za wystrój wnętrza służyło stalowe biurko i dwa krzesła na kółkach. Jediną oznaką, że pracował tutaj człowiek, a nie robot, było zdjęcie dwojga ludzi stojących ramię w ramię na tle ozdobnego, kolorowego budynku.

- To moi rodzice - powiedziała Hrawani, widząc, że przyglądam się fotografii. - Zdjęcie zrobiono czterdzieści lat temu, na długo przed moimi narodzinami.

- Gdzie je zrobiono?

- W Pakistanie. Podobno Islamabad był wtedy przepięknym miastem. - Usiadła w swoim fotelu i wskazała mi miejsce naprzeciwko. - Zażywa pan narkotyki, panie Hammond?

- Nie.

- Gdyby miał pan taki plan, to proszę się przedtem do mnie zgłosić. Zobaczy pan wtedy kilka interesujących zdjęć, które wybiją panu ten pomysł z głowy.

- Jest aż tak źle?

- Gdyby ludzie widzieli to, co ja, jedliby tylko kiełki. - Sięgnęła po metalowy kubek stojący pod biurkiem i przesunęła go w moją stronę. - To na wszelki wypadek.

- Nic mi nie będzie.

- Mężczyźni zawsze tak mówią - odparła ze wzruszeniem ramion. Wyjęła z teczki dwie fotografie i położyła je na biurku. Spojrzałem na nie, usiłując się pogodzić z pozbawionym

wszelkiego romantyzmu, boleśnie prawdziwym obrazem śmierci. Doug leżał na stalowym blacie, nieruchomy, i bez dwóch zdań martwy.

- Pański przyjaciel był bardzo wychudzony, czemu nie można się dziwić, biorąc pod uwagę to, że zażywał narkotyki. Między innymi działają one w ten sposób, że likwidują uczucie głodu. Narkoman traci wtedy na wadze. Przyjaciel był ostrożniejszy niż większość tej menażerii, i dbał o czystość.

- Kilka razy wspominał, że bał się igieł.

- Tak? - Hrawani pokazała mi zdjęcie, zrobione z bliższej perspektywy. Na lewym ramieniu widniały napisane cyrylicą słowa: „Pikowa Dama”. Choć tatuaż był marnej jakości i wykonany prostymi, domowymi środkami, to nie miałem wątpliwość, że był kopią tego, jaki nosiła Michele. Jej wzór był dziełem sztuki, natomiast tatuaż Douga odznaczał się prostotą.

- Czyli zaraził się poprzez tatuaż - szepnąłem.

- Być może - przytaknęła Hrawani. - Czy wie pan, co oznacza ten napis?

- To po rosyjsku. „Królowa pik”.

- Wygląda na to, że przemógł swój strach przed igłami.

- Miał silną motywację.

W głowie zabrzmiały mi słowa Ralstona: Nie wątpię, że dałby sobie rękę odciąć za pięć minut rozmowy z moją żoną.

Hrawani zebrała fotografie i włożyła je do teczki.

- Niestety, nic więcej nie mamy.

- Ron Evans, człowiek, który odebrał ciało. Widziała go pani?

- Nie, ale możemy porozmawiać z Charliem. To nasz oddziałowy.

- Oddziałowy?
- Zajmuje się ciałami.
- Byłbym ogromnie wdzięczny.

Wyszliśmy z biura, a Hrawani zawołała postawnego, czarnego mężczyznę po trzydziestce. Był wielki jak góra i umięśniony niczym atleta.

- Charlie, możesz przyjść na moment?

Spojrzał na nas, pokiwał głową i podszedł. Hrawani przedstawiła nas sobie i spytała o człowieka, który odebrał ciało Douga.

Charlie zastanawiał się przez chwilę, i odparł:

- Nic niezwykłego, choć spodziewałem się kogoś z zakładu pogrzebowego. Zwykle przyjeżdżają do nas po sześć, siedem razy dziennie, ale tego człowieka nigdy wcześniej nie widziałem.

- Czym przyjechał? Ambulansem czy karawanem?
- Raczej tym ostatnim. Nie miał żadnych oznaczeń, nic.
- Złożył jakiś podpis?
- Musiał. Można poszukać w dzienniku na recepcji.

Hrawani, Charlie i ja wróciliśmy do wyjścia. Kiedy oni szukali nazwiska, ja spojrzałem na ekran telewizora w rogu, który pokazywał obraz z kamer.

- Czy system obserwacji działa cały czas? Charlie pokiwał głową.

- Nagrywamy dwadzieścia cztery godziny na dobę. Rejestrowany jest obraz z wnętrza i okolicy.

- Czy mógłbym zobaczyć taśmę, na której jest człowiek odbierający ciało?

- Taśmy już wyszły z użycia. Zapisujemy wszystko na twardym dysku.

- Nieważne, mogę je zobaczyć?

Hrawani spojrzała na mnie powątpiewająco.

- Wie pan, zaczynamy stąpać po cienkim lodzie.

- Chodzi mi tylko o taśmę z zewnątrz. Nie naruszę tajemnicy, ponieważ znajdował się poza budynkiem.

Hrawani zastanawiała się przez chwilę, a potem skinęła głową. Charlie odnalazł godzinę rejestracji w dzienniku, potem podszedł do terminala, i po chwilę trwających poszukiwaniach wskazał na monitor.

- To on - powiedział, pokazując na forda encoline'a.

- Czy możemy zobaczyć Evansa?

Oddziałowy zaczął przewijać obraz do przodu, aż na ekranie pojawił się Charlie wiozący ciało na wózku. Obok niego szedł Evans, drobny, łysiejący mężczyzna po pięćdziesiątce. Kiedy przyszło do przerzucenia zwłok, pozwolił Charliemu odwalić większość roboty. Stał odwrócony tak, że nie było widać całości jego twarzy. Tuż przed odjazdem uścisnął rękę Charliemu i spojrzał wtedy prosto w kamerę.

- Możesz zatrzymać?

- Jasne.

- Czy jest możliwe, abyście wydrukowali mi tę klatkę?

Charlie spojrzał na Hrawani, która nie wyglądała na zadowoloną.

- Policja zamknęła tę sprawę, ale ja chcę dokończyć kilka rzeczy. Bardzo mi pomożecie.

Hrawani westchnęła i skinęła głową. Charlie nacisnął klawisz i drukarka na recepcji ożyła. Po kilku chwilach wypluła kartkę z powiększonym zdjęciem twarzy Evansa.

- Dalekie od ideału, ale da się rozróżnić rysy twarzy. Nic więcej nie jesteśmy w stanie zrobić.

Wsadziłem kartkę do kieszeni płaszcza i powiedziałem:

- Bardzo dziękuję. Doktor Hrawani, gdybym dowiedział się czegoś ciekawego, dam znać. Jeszcze raz bardzo dziękuję za pomoc.

Oddałem identyfikator i wyszedłem z budynku. Wszystko, czego teraz potrzebowałem to Koszmar.

Nie zwracałem sobie głowy dzwonieniem. Pojechałem od razu na West End, tam mieszkał Koszmar. Minęła dziesiąta, więc na ulicach nie było korków. West End to biedna dzielnica, gdzie niskie, zaniedbane mieszkania można wynająć za grosze. Znalazłem dom, w którym mieszkał Michael, i wszedłem na pierwsze piętro. Stałem pod drzwiami i zacząłem nasłuchiwać. Z mieszkania dobiegały dźwięki mrocznej, rockowej muzyki. Zapukałem, ale nikt mi nie odpowiedział. Zastukałem jeszcze raz, tym razem głośniej. Muzyka przycichła, a ja zauważyłem cień pod drzwiami..

- To ja, Jack - powiedziałem. Odpowiedziała mi tylko cisza. - Michael, nie odejdę. Wyłaź ze swojej nory.

Po chwili usłyszałem zgrzyt otwieranych zamków. Drzwi uchylły się i wyjrzał zza nich Koszmar.

- Zaprosiłbym cię, ale mam straszny burdel w mieszkaniu. - Obrzuciłem go spojrzeniem i stwierdziłem, że jest ubrany tylko w

koszulkę i bokserki. Wyglądał na zmęczonego, jakby od kilku nocy nie zmrużył oka.

- Wszystko w porządku? Nie wyglądasz najlepiej.

- A co, chcesz zaprosić mnie na randkę? Jeżeli nie, to daruj sobie te komentarze.

- Nie ma sprawy - mruknałem, wpychając się do środka. - Przejdźmy do rzeczy, to szybciej wszystko załatwimy.

Mieszkanie cuchnęło tak, jakby od dawna nikt go nie wietrzył. Meble były stare, a na kredensie stał tani odtwarzacz płyt kompaktowych z wbudowanymi głośnikami. Obok piętrzył się stos ręcznie podpisanych krążków CD. Nigdzie nie widziałem komputera.

- Gdzie masz sprzęt?

- Z tyłu. Trzymam go z dala od okien. Wiesz... to kiepska okolica.

- Załóż spodnie, Michael.

- Jedziemy gdzieś?

- Tak, ale to nie dlatego. Źle się czuję, jak paradujesz mi za plecami w samych majtkach.

Michael wzruszył ramionami i poszedł do sypialni. Wrócił po chwili ubrany w wytartą koszulkę i brudne, niebieskie dżinsy. Spojrzałem na niego, zachodząc w głowę, jak to możliwe, że sprawa wyjaśnienia morderstw ośmiu ludzi zależy od takiej łajzy.

- Musisz mi jeszcze raz pomóc, Michael. Spojrzał na mnie, a potem wbił wzrok w ziemię i wsadził ręce do kieszeni.

- Wiesz, trochę o tym myślałem. Mam dość, że mnie wykorzystujesz i chyba powinienem zażądać jakiejś forsy za moje usługi.

- Żarty sobie stroisz?

- Nie. Słuchaj, jestem niezależnym pracownikiem, więc muszę coś z tego mieć.

- Myślałem, że jesteście partnerami? Wiesz, Jackie Chan, te sprawy.

- Ej, ja tylko mówię, co myślę.

- Tak, jasne! - warknąłem i podszedłem do niego. Skulił się, jak zwykle, ale i tak chwyciłem go za kołnierz. - Posłuchaj mnie. Wiesz, jak umarli ci ludzie? Wybuchli do wewnątrz. Krwawili ze wszystkich otworów ciała naraz. Umarli w męczarniach, gorzej niż psy. Dlatego teraz, ty i ja, pojedziemy do Grayton i pomożesz mi rozwikłać sprawę zabójstwa ośmiu niewinnych osób, jasne? Mam nadzieję, że jesteś rozsądnym dzieciakiem, niemającym nic wspólnego z idiotą, na którego się zgrywasz. Lepiej, żeby tak było, bo w przeciwnym wypadku spuszczę ci porządne manto.

- Grayton?

- Tak.

- No dobra, to jedziemy - burknął, wijąc się w uścisku. Puściłem go i spytałem:

- Skąd ta nagła zmiana zdania? Jeszcze przed chwilą chciałeś forsy.

- Przekonałeś mnie, to wszystko.

Nie miałem czasu na kłótnie. Robinson czekał.

- No dobra. Potrzebujesz czegoś?

Michael wziął do ręki torbę, tę samą, z którą był w moim biurze, i rzucił:

- Lecimy.

* * *

Jeżeli siedziba Horizn była doskonałym przykładem biura na wysokim poziomie, to Grayton uosabiało raczej tradycję. Budynek był wysoki na trzy piętra i zbudowano go z czerwonej cegły. Bez wątplenia musiał sobie liczyć kilkadziesiąt lat, ale nie zrobiono nic, aby nadać mu nowy, bardziej współczesny szlif. Okolica, pozbawiona cech szczególnych oraz wszechobecni strażnicy, wszystko razem sprawiało wrażenie, że przyjechaliśmy do więzienia, a nie do siedziby firmy farmaceutycznej. Systemy ochronne Grayton nie opierały się na technice, jak w przypadku Horizn, ale na czynniku ludzkim, który, choć tańszy, sprawiał bardziej groźne wrażenie. Robinson zawiadomił strażników, dlatego bez problemu wpuszczono nas na teren parkingu. Po wejściu do budynku znaleźliśmy się w pomieszczeniu ochrony zdominowanym przez monitory telewizji przemysłowej. Za burkiem siedziało dwóch uzbrojonych strażników. Kiedy się do nich zbliżyliśmy, wstali z miejsc. Podpisaliśmy dokumenty i poprosili nas, abyśmy zaczekali.

Pięć minut później zszedł do nas Robinson. Na jego twarzy malował się wyraz nadziei, choć z oczu wycierał strach.

Wstałem i przywitałem się z nim, a potem przedstawiłem Koszmara.

- To Michael Harrod.

- Mów mi Koszmar.

Robinson zmierzył nas wzrokiem, a potem powiedział:

- Chodźcie za mną.

Ruszyliśmy korytarzem. Doktor Robinson sprawiał wrażenie człowieka zadżumionego. Ludzie unikali go jak morowego

powietrza. Patrzyli na niego, jak na wroga, albo udawali, że go nie widzą. Kiedy dotarliśmy do biura, Robinson był prawie załamany.

- Naprawimy jakoś ten bajzel, prawda? - powiedziałem, klepiąc go po ramieniu.

- Zaryzykowałem los całej firmy i przegrałem.

- Czemu cię nie zwolnią?

- Mam podpisany kontrakt.

- Nie mogą go wykupić?

- Ja nie chcę. Nie robię tego dla pieniędzy, ale dla zemsty.

Przez kolejne cztery miesiące mam dostęp do laboratorium.

- A co z personelem pomocniczym?

Robinson wbił spojrzenie w podłogę, przeżuwając smak własnej porażki.

- Nikt nie chce ze mną pracować.

Zanim weszliśmy, Koszmar wskazał na urządzenie w suficie, które przypominało prysznic.

- Co to takiego?

- Zraszacz awaryjny. Pracujemy tutaj z niebezpiecznymi chemikaliami. Idea jest taka, że każdy pracownik, niezależnie, gdzie się znajduje, nie powinien mieć dalej, niż pięć metrów do źródła wody pod ciśnieniem. Wystarczy pociągnąć za wajchę.

- Musiałeś z tego korzystać?

- Tylko raz. - Robinson najwidoczniej nie był w nastroju do opowieści, bo otworzył podwójne drzwi i wprowadził nas do środka. Pomieszczenie miało dwadzieścia metrów długości i dziesięć szerokości. Światło zapaliło się, kiedy weszliśmy. Ujrzałem labirynt złożony z komputerów i sprzętu laboratoryjnego. Już na pierwszy rzut oka mogłem stwierdzić, że

do niedawna pracowało tutaj co najmniej dziesięciu asystentów. Teraz, w obliczu porażki, wszyscy porzucili Robinsona. Koszmar jęknął.

- Komputery? - spytał Robinson.

- Z ich mocą obliczeniową mógłbym wszystko - wyszeptał Michael.

- Ciało, kiedy je dostaniemy?

Cholera.

- Zabrali je - odparłem bez ogródek. Robinson zachwiał się, ale szybko dodałem: - Nie panikuj, wiem gdzie jest.

- Co się stało? Mówiłeś, że wiesz, gdzie ono jest.

- Ubiegli nas. Stało się to wtedy, kiedy mnie porwali.

- Porwali cię? - przerwał mi Koszmar.

Machnąłem tylko ręką, uciszając go.

- Zabrali ciało wczoraj, późnym popołudniem.

- Jakie to ma znaczenie? - wychrypiał Robinson, któremu ponownie odebrano nadzieję. - Kto je zabrał?

- Ten gość - odparłem, wyciągając zdjęcie z kieszeni.

- To wszystko, co masz? Jedno zdjęcie?

- Tak, ale mamy też jego - wskazałem na Koszmar.

- Nie znam tego faceta - odparł Michael, spojrzawszy na wydruk fotografii.

- Oczywiście, że nie. Szczerze mówiąc nie liczyłem na to. Ale jest ktoś, kto go zna. Wystarczy tylko zapytać.

- Jak to zrobimy?

- Kiedy pojechałem spotkać się z Ralstonem, zrobili mi zdjęcie i zapisali je w programie do rozpoznawania twarzy.

- Biometryka - gwizdnął Koszmar. - Ten gość myśli o wszystkim.

- Każdy, kto wchodzi na teren Horizn, zostaje sfotografowany, a jego zdjęcie porównywane jest z bazą danych. Jeżeli ten człowiek pracuje dla Ralstona, to go znajdziemy.

Koszmar zbladł, a potem powiedział:

- Teraz ci kompletnie odbiło. Wejście na serwer Grayton dzięki komputerowi Bandziora było proste, ale Horizn to już inna para kaloszy. Mowy nie ma, nie zgłupiałem.

- Ale jeżeli będziemy mieli dostęp do ich bazy, wtedy go znajdziemy.

- Nie mam nic przeciwko takiemu włamaniu, ale nie w ten sposób, muszę mieć czas i okazję. Chyba straciłeś rozum.

- Michael, to bardzo ważne. Nie możesz nas zawieść.

- Nawet, jeżeli się zgodzę, to włamanie zajmie nam całe tygodnie. Nie zalewam.

- Opowiedz mi, jak to się robi. Może coś wymyślimy.

- Nic nie wykombinujemy. Takie włamanie trzeba przygotować na spokojnie. Najpierw musiałbym wejść do EDGARA, takiej strony związanej z zabezpieczeniami, gdzie znajduje się zapis ich systemu plików. Potem szukałbym powiązanych firm, być może działających pod innymi nazwami. Istnieje szansa, że są słabiej chronione i znajdzie się jakaś dziura, przez którą wejdziemy.

- Mowy nie ma. To zajmie zbyt wiele czasu. Co jeszcze?

- Zakładam, że są na tyle cwani, a na pewno są, żeby to przewidzieć. Mógłbym przeszukać fora internetowe i blogi, może ktoś próbował ich zhackować. Czasem ludzie rozmawiają o dziwnych rzeczach. Jeżeli nic bym nie znalazł, zacząłbym

mapować ich system. Sprawdziłbym, z jakiej operują domeny, jakich portów używają. W takich sprawach trzeba być bardzo ostrożnym i się nie spieszyć. Mapuje się całą ich sieć, jeden DNS na raz. Potem i dopiero wtedy, można zaczynać coś dłużyć. Chłopie, tutaj trzeba cierpliwości, nie można dać się złapać jak jakiś amator.

- Mów dalej. Co później?

- A po co pytasz? To już tydzień pracy.

- Po prostu opowiadaj, Michael.

- Ilu mają pracowników? - spytał, wzruszając ramionami.

- Prawie półtora tysiąca - odparł Robinson.

- Aha. Czyli szukamy Joe.

- Kogo?

- To slangowe określenie. Joe to pracownik, który jest na tyle leniwy, że jako hasła używa swojego imienia. W każdej firmie znajdzie się taki jeden, i to zwykle wystarcza.

- Więc na co czekamy?

- Trzeba znaleźć ich listę. Koszmar aż zeszywniał.

- Za kogo ty mnie masz, za idiotę? Na pewno mają zabezpieczenia i ograniczenia dostępu. Może ten Joe to zwykły dozorca? Wtedy raczej dziwne byłoby, gdyby miał dostęp do danych o badaniach genetycznych, nie? Jeden nieostrożny ruch i jesteśmy ugotowani. W przypadku tych gości skończymy z kulką we łbie.

- Rozumiem, jasne. W takim razie musi być jakiś inny sposób.

- Nie ma. Pewnie już pozbyli się ciała.

- Racja. Każde laboratorium ma spalarnię, gdzie spopiela się ciała zwierząt doświadczalnych.

- Pięknie - mruknął pod nosem Koszmar. - Pracuję dla morderców zwierząt.

- Tym się nie przejmujcie. Jestem pewien, że ciało Douga nie trafiło do Horizn. Nie zaryzykowałiby sprowadzenia materiału dowodowego do siebie.

- Masz rację. Legalne spalenie zwłok to nie przechadzka po parku. Trzeba wypełnić odpowiednie dokumenty i załatwić wszystko zgodnie z prawem. Gdyby chcieli załatwić to na lewo, musieliby oczyścić zapiski, przekupić kilkunastu ludzi, skasować taśmy i uprzątnąć masę dowodów rzeczowych. Nawet wtedy istniałoby niebezpieczeństwo, że napatoczy się ktoś przypadkowy, kto zepsułby cały plan. Znacznie łatwiej załatwić sprawę gdzieś indziej.

Spojrzałem na Koszmar.

- Właśnie dlatego potrzebujemy ciebie.

- Nic wam nie pomogę.

Stałem przez chwilę nieruchomo, a potem odwróciłem się do niego. Koszmar skulił się swoim zwyczajem, ale ja powiedziałem:

- Wspominałeś coś o firmach, z którymi prowadzą interesy.

- Taka wredna sztuczka. Szukasz kogoś, z kim wymieniają sporo danych. Zawsze istnieje szansa, że dają sobie luzu na procedurach bezpieczeństwa. Włamujesz się do tej drugiej firmy i czekasz na kontakt. Uruchamiasz wtedy procedurę badającą łącze, która pozwala ci podszyć się pod ich identyfikator. Oczywiście możesz działać tylko wtedy, kiedy firmy są połączone, ale zwykle wystarcza ci czasu na wszystko.

Spoglądałem na niego osłupiały.

- Chryste Panie, Michael. Z twoją wiedzą i umiejętnościami, zrobiłbyś ogromne pieniądze...

- Tak, jasne. Chcesz powiedzieć, że znasz taką firmę?

- Nie firmę. Rząd Stanów Zjednoczonych.

- Boże... - szepnął Robinson. - Narodowy Instytut Zdrowia! Horizn komunikuje się z nimi codziennie, nawet po kilka godzin. Niektóre departamenty są stale podłączone, bo tak jest im wygodniej.

- Widzisz, Michael? Mamy ich. Możesz to zrobić? Koszmar cofnął się o krok i rzucił mi przelęknione spojrzenie. Strach i ambicja targały nim w równym stopniu. W końcu zwyciężyło ego i pragnienie poznania czegoś nowego.

- Musiałbym mieć dane ludzi z tego instytutu.

- Znam ich wszystkich - odparł Robinson. - Dajcie mi kilka minut.

- Dobra, jeśli jeden z nich to Joe, powinniśmy dać radę.

- Świetnie! Wierzę w ciebie, Michael.

Koszmar spojrzał na mnie krzywo, a potem zapytał:

- Skoro mam się zalogować do Narodowego Instytutu Zdrowia, to czemu nie mogę tego zrobić jako on?

- Co? - spytał Robinson, odrywając się od listy.

- Po co mamy się włamywać, skoro masz uprawnienia? Wchodzę jako on, albo nic z tego.

- Dobra - przytaknął Robinson. Położył uspokajająco dłoń na moim ramieniu i dodał: - I tak jestem skończony.

- Jesteś pewien?

- Jeżeli nie rozwiążemy tej sprawy, mogę zacząć szukać innej pracy.

- Stąd się zwykle logujesz? - spytał Koszmar, pokazując na komputer.

- Tak.

- Pięć tysięcy.

- Michael...

- Powiedziałem coś. To ryzykowna robota i kosztuje.

- Rachunki za szpital też są wysokie.

Do dziś dzień nie wiem, czy bym go pobił. Michael musiał chyba zobaczyć coś w moich oczach, bo bez szemrania usiadł do komputera.

- Przynieście mi chociaż wody mineralnej.

Po kilku godzinach oczekiwania zszedłem na dół i pojechałem do sklepu. Przywiozłem kanapki, których część włożyłem do lodówki, a część rozdałem. Koszmar pochłonął swoją, ale Robinson nic nie tknął. Rozparłem się w fotelu w kącie i czułem, że ogrania mnie złość. Laboratorium pełne dziwnego wyposażenia, to kiepskie miejsce na spędzanie całego dnia. Próbowałem zagadać do Robinsona, ale on tylko zaglądał Koszmarowi przez ramię. W końcu Michael miał go dość i kazał mu zjeżdżać. Mijały kolejne godziny, i w pewnym momencie doszły do mnie hałasy ludzi opuszczających biura. Musiałem się chyba zdrzemnąć, bo ze snu wyrwał mnie kopniak w kostkę. Michael stał nade mną i uśmiechał się zwycięsko.

- Mam go - powiedział. - Jestem najlepszym hakerem na świecie. Żyjącym, ma się rozumieć.

- Kto to?

- Gość pracuje dla Horizn. Nie nazywa się Ron Evans, ale Raymond Chudziński.

- Jesteś geniuszem. Którą mamy godzinę?
- Dochodzi wpół do siódmej.
- Robinson już wie?
- Nie. Jest w swoim biurze.
- Chodźmy do niego. - Zrobiłem dwa kroki i poczułem, że krew ścina mi się w żyłach. Odwróciłem się do Koszmara i warknąłem:
- Nie mówiłem ci, że przedstawiał się jako Ron Evans.

- Mówiłeś.

- Nie.

- Co? No to pewnie Robinson mi powiedział.

- Nie, Michael. On też nic nie wie. - Błyskawicznie chwyciłem go za gardło, rzuciłem o ścianę i syknąłem: - Sprzedałeś nas, skurwielu! Pomogłeś im dostać ciało Douga.

Puściłem go i Michael osunął się na ziemię. Chciałem mu przyłożyć, ale brzydziłem się.

- Rozmawiałem z kuzynką Douga. Podała mi numer, na który miała przefaksować dokumenty. Dziwnym trafem okazało się, że to numer do teatru w Cobb Country.

- No i co z tego?

- Sam powiedziałaś, że jesteś specem od linii telefonicznych. Zgadnij, na jaki pomysł wpadłem?

Koszmar wstał i cofnął się, byle tylko uciec ode mnie. Nie próbował kłamać. Spojrzał na mnie ze strachem w oczach i wyszeptał:

- Przyszli do mnie. Wystraszyli mnie. Wiesz, mieli broń i takie tam...

- Kto? Mów, ty pieprzony skurwielu!

- Wiesz, nie wymieniliśmy wizytówek. Powiedzieli, że wiedzą, kto się włamał do Grayton i że wykorzystałem komputer Bandziora. Pozwolili mi działać, żeby dowiedzieć się, kim jestem.

Opisałem mu ludzi, którzy wpakowali mnie do szafy. Koszmar tylko pokiwał głową.

- Posłuchaj, ci goście znają się na swojej robocie. Wytropili nas przy włamie do Grayton. Nie mieliśmy szans.

- Zapłacili ci, tak?

Koszmar jęknął. Spojrzał na mnie, jak zbity pies i wyznał:

- Tak, dali mi forszę. Nie jestem takim bohaterem jak ty. - Do oczu napłynęły mu łzy. - Bałem się. Posłuchaj, cały ten Koszmar to jeden wielki pic na wodę. Wiesz, włamać się gdzieś, pochwalić na forum i takie tam. To było moje życie. Aż tu nagle trafiam na ciebie i po kilku dniach szpieguję ogromną korporację. Bałem się, że mnie załatwią na amen. Wyglądali na takich, którzy niejednego wysłali już na tamten świat.

Ku mojemu czystemu przerażeniu Michael rozplakał się na cały głos. Odgrywał Koszmara tak długo, że w końcu nie mógł opanować emocji, które targały Michaeliem Harrodem. Z własnego doświadczenia wiedziałem, że ludzie, którzy go odwiedzili, nie należeli do przyjemnych. Dla kogoś takiego jak on, byli po prostu ucieleśnieniem najgorszych obaw. Poklepałem go po ramieniu, ale palony poczuciem winy i wyrzutami sumienia, strząsnął ją z ramienia.

- Więc czemu nam pomagasz? - spytałem, podając mu chusteczkę. - Nie będą szczęśliwi, kiedy okaże się, że znowu z nami pracujesz.

- Wydaje wam się, że mnie znacie - odparł, łkając. - Ralston, ci goście, nawet ty, z twoimi umoralniającymi gadkami. Ale ja mam swoje zasady. - Wskazał palcem na monitor, a w jego głosie zabrzmiała determinacja: - Robię to dla Bandziora. Był jednym z nas, dziwnym, ale swoim.

- Nie musieli cię do tego wciągać, poradziliby sobie sami.

- Wiem.

- Chcieli to zrobić, bo wiedzieli, że mi pomagasz. Zapłacili ci, żebyś miał na nas oko, tak? Chcieli, żebyśmy nic więcej nie znaleźli, prawda?

Koszmar wbił spojrzenie w podłogę.

- Tak.

- Muszę wiedzieć, po czyjej jesteś stronie, Michael. Czy wiedzą, że weszliśmy na ich serwer?

Koszmar otarł łzy.

- Wszyscy zawsze mną pomiatali. W szkole, na podwórku, wszędzie. Gdziekolwiek poszedłem, tam byłem chłopcem do bicia. No to zszedłem do podziemia. Tutaj nikt mnie przynajmniej nie dręczył. Miałem kilku kumpli, a Bandzior zawsze był miły. Co miałem zrobić, kiedy znikąd pojawili się goście, którzy go załatwili? On był taki, jak ja, wiesz? Nie pasował do ułożonego, grzecznego świata. Pomyślałem, że mogę się zemścić za niego, jakoś dopaść tych gości.

Obserwowałem go, jak miotał się pomiędzy koszmarami swojej młodości, a twardą, dorosłą rzeczywistością. Nie wiedziałem, czy mówił prawdę, ale jeśli tak było, to wreszcie zmierzył się ze sobą i stanął na nogi.

- Chodźmy - powiedziałem.

- Gdzie? - spytał, wycierając załzawione oczy.

- Do Robinsona.

- Co zamierzasz ze mną zrobić?

- Wiem, z kim miałeś do czynienia, więc nie dziwię się, że im uległeś. Nie mam czasu, żeby przekonać się, czy kłamiesz, czy mówisz prawdę, dlatego muszę ci zaufać. Ruszamy.

Koszmar zebrał się w sobie i dalej ocierając łzy, pokuśtykał za mną. Weszliśmy do biura Robinsona, który spojrzał na nas zdziwiony.

- Co się stało?

- Michael znalazł tego gościa - powiedziałem, pokazując fotografię. - Nazywa się Raymond Chudziński i kiedy go znajdziemy, dostaniemy ciało Douga.

Koszmar coś burknął niezrozumiale.

- Co mówisz?

- Wiem, dokąd go zabrali.

- Słucham?

- Jest w domu pogrzebowym Walnut Grove. Mają go skremować pod innym nazwiskiem. Harrison, czy jakoś tak.

- Cały czas o tym wiedziałeś i nic mi nie powiedziałeś?

- Może jestem tchórzem, ale nie idiotą. Musiałem sprawdzić, czy dam radę wyczyścić ślady włamania. Jeśli się ich pozbędziemy, jestem wolnym człowiekiem. Jak nie, muszę sam sobie dać radę.

Spojrzałem na zegarek. Dochodziła dziewiętnasta.

- Z tego co wiem, w nocy też kremują zwłoki. Jedźmy.

- Zwariowaliście? Bandzior nie żyje od kilku dni. Pewnie się rozkłada.

- Mógłby być martwy od roku, a to nie zmieniłoby jego DNA. Wydobyć tkanek od zmarłego to niełatwa sprawa. Jeśli zdobędziemy krew, pójdzie nam znacznie łatwiej.

Koszmar skrzywił się.

- Ja pierdzielę.

- Siedź cicho - warknąłem.

- Jeśli Townsend był w zamrażarce, to nie musimy się martwić. Potrzebuję minuty, a może dwóch. - powiedział Robinson.

- A jeżeli nie?

- Wtedy musimy liczyć, że nie minęło więcej, niż dwanaście godzin. DNA nie ulega degeneracji, ale krew krzepnie i ciężko ją pobrać.

- W takim razie wiemy, na czym stoimy. Ciało było w chłodziarce do chwili, kiedy zostało odebrane z kostnicy. Jeżeli go nie skremowali, zdobędziemy dowody. Jeśli je spalili, Ralston się wywinie, tak?

- To nasza ostatnia szansa, Jack. Jeśli nie będzie ciała, wykręcą się.

- Nie będziemy tam wcześniej, niż za godzinę. Ruszajmy.

Rozdział dwudziesty szósty

Dom pogrzebowy mieścił się kilka kilometrów na wschód od centrum Atlanty. Koszmar jechał na tylnym siedzeniu, a Robinson obok mnie. Przecięliśmy I-120 i skręciliśmy w autostradę 138. Po kilku kilometrach odbiliśmy w prawo, do autostrady nr 81. W świetle srebrnego księżyca obserwowaliśmy, jak lasy otaczające Atlantę z wolna ustępują miejsca pagórkom, a później równinom.

Przejechaliśmy jeszcze dwadzieścia kilometrów, kiedy dostrzegliśmy w końcu nasz cel. Spojrzałem na zegarek, było dwadzieścia minut po ósmej.

Wjechałem na parking i postawiłem samochód obok czarnego mercedesa.

- Zostań tutaj, Michael - powiedział. - Tom, jesteś gotowy?

Robinson pokiwał głową i schował zestaw pierwszej pomocy za pazuchę.

- Ruszajmy.

Wysiedliśmy z samochodu i podeszliśmy do drzwi frontowych. Były zamknięte, a w oknach nie paliły się światła. Nacisnąłem guzik dzwonka. Odpowiedziała mi cisza, ale po chwili usłyszeliśmy chrobot zamka. Drzwi uchylły się i wyjrzał zza nich człowiek o śródziemnomorskiej urodzie.

- Już zamknięte - powiedział. - W czym mogę pomóc?

- Przepraszamy za tak późne najście.

- Tak.

Cholera, oto najtrudniejsza część.

- Chodzi nam o pana Harrisona - powiedziałem, mamrocząc nazwisko pod nosem. - Przywieziono go wczoraj. Utknęliśmy w Charlotte, ale przyjechaliśmy, aby zmówić kilka słów modlitwy przy zwłokach. To brat nieboszczyka - wskazałem na Robinsona.

- Harrison?

- Został przywieziony wczoraj.

- Harriman - powiedział z wyrazem olśnienia na twarzy. - Przez chwilę wydawało mi się, że pan powiedział „Harrison”. Coś niedobrego dzieje się z moim słuchem.

- Tak, Harriman.

- Jak już powiedziałem, zakład jest zamknięty, ale skoro jechaliście całą noc, nie odeślę was z kwitkiem. Proszę wejść. - Uchylił szerzej drzwi i wpuścił nas do środka. Weszliśmy do długiego holu udekorowanego w tanim stylu, który w zamierzeniu miał wywoływać melancholię. Dywan był wytarty, światła przygaszone, a tapeta na ścianach miała kolor wypłowiałego szkarłatu.

- Bardzo mi przykro z powodu pana brata. Jestem Gene D'Anofrio. Przykro mi, ale nie powiedziano mi nic więcej.

Robinson pokiwał tylko smutno głową i trzymał język za zębami.

- Pan Harriman chciałby spędzić kilka chwil w samotności z bratem - powiedziałem. - Byli sobie bardzo bliscy.

- Rozumiem.

Ruszyliśmy korytarzem i doszliśmy do ciężkich, dwuskrzydłowych drzwi.

- Obawialiśmy się, że może być za późno.

- Nie, skądże - odparł D'Anofrio. - W obliczu śmierci czas traci znaczenie.

Weszliśmy do pomieszczenia, za którego umeblowanie służyły proste, czerwone sofy.

- Proszę tutaj chwilę poczekać - powiedział. - Zaraz wrócę.

- Bardzo dziękujemy. Jest pan niezwykle uprzejmy. Kiedy zostaliśmy sami, spojrzałem na Robinsona i powiedziałem:

- Chyba nie przyniesie go tutaj na rękach, co?

- Nie dbam o to, może go przynieść nawet na plecach. Potrzebuję tylko dwóch minut. Zajmiesz tego łapiducha?

- Jasne.

Siedzieliśmy w milczeniu przez dłuższą chwilę, kiedy z głośników dobiegły nas dźwięki muzyki organowej.

- Rany, on to naprawdę bierze do siebie - mruknął Robinson.

- Za kilka minut będzie już po wszystkim. Kilka kropli krwi Douga i załatwimy sprawę na cacy.

Zamilkliśmy. Drzwi otworzyły się i wszedł D'Anofrio. Nie niósł ciała. W rękach trzymał urnę z brązu. Postawił ją na niewielkim stoliku, smutno pokiwał głową i wycofał się po cichu.

Siedzieliśmy nieruchomo, wpatrując się w naczynie, gdzie zamknięte były prochy Douga Townsenda.

Bezcenne DNA, zawarte niegdyś w komórkach jego ciała, zostało spopielone.

- Kurwa - powiedział Robinson. - Nie bierz tego za brak szacunku dla zmarłych, ale się wkurwiłem.

Wstał, obrzucił urnę wzrokiem i wyszedł.

Zostałem sam na sam z prochami mojego przyjaciela z czasów młodości. Nie zdołałem ochronić go za życia, nie potrafiłem pomścić jego śmierci. Co gorsza, nie byłem w stanie pomóc Michele, którą tak kochał. Jakby nie dość złego, otworzyłem przed nią serce, i to w sposób, którego najbardziej się obawiałem. Podeszedłem do urny, położyłem na niej dłoń, i pochyliłem głowę:

- Panie, Boże, w którego nie wierzę, oto dowód na to, że zło wygrywa. Na tym świecie nie ma już jasności, tylko jedno wielkie pomieszanie dobra ze złem. Ci, którzy są szlachetni umierają młodo, a niegodziwcy tryumfują. Skoro nie zainterweniowałeś, to znaczy, że ciebie nie ma. Cokolwiek robisz i o czymkolwiek myślisz, nie ma to nic wspólnego z Atlantą w stanie Georgia.

Odwróciłem się i wyszedłem na zewnątrz, gdzie czekali na mnie Robinson i Koszmar. Czas wracać do domu. Droga zapowiadała się posępnie.

Przez dwadzieścia minut żaden z nas się nie odzywał. Kilometr za kilometrem oddalaliśmy się od domu pogrzebowego. Około dziesiątej wieczorem dojechaliśmy do miasta, i od razu wpadliśmy w korek.

- Boże, jak ja nienawidzę tego miasta - szepnął Robinson. - Chyba się przeprowadzę na Zachód.

Żaden z nas nie odpowiedział. Piętnaście minut później spojrzałem na Robinsona. Fatalnie wyglądał. Cały się pocił i był blady.

- Wszystko w porządku? Możemy się zatrzymać, jeśli chcesz.

- Nie dorwiemy ich - powiedział. - Wywiną się.

- Daruj sobie - odparłem. - Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Nie ma sensu się tym katować.

- Ale musimy coś zrobić.

- Nie mamy już co. Ograli nas. Byli lepsi. Koniec pieśni.

Robinson pokiwał głową, ale widziałem, że intensywnie nad czymś myśli. Toczył ze sobą tę samą rozmowę, której świadkiem byłem, gdy mu opowiedziałem o wizycie u Ralstona. Koszmar pochylił się do przodu i spytał:

- Co z nim? On świruje na maksa.

- Nie gadaj - zbyłem go, ale wiedziałem, że ma rację. Na naszych oczach Robinson po prostu rozpadał się psychicznie na kawałki.

Nagle chwycił mnie za ramię i syknął:

- Musimy im przeszkodzić. Jest jeszcze szansa.

- Co ty bredzisz? Sam powiedziałeś, że jeśli nie dostaniemy próbki z ciała Douga, niczego nie zdołamy udowodnić. Musisz mieć krew kogoś, kto przeżył podanie środka.

- Właśnie o tym mówię!

Zjechałem z autostrady, stanąłem na światłach, a potem zaparkowałem samochód na poboczu.

- O tym też już rozmawialiśmy. Sam przyznałeś, że za nielegalne badanie wsadziliby cię do pudła za usiłowanie morderstwa i przekroczenie uprawnień.

- Wiem. Sam wezmę lipitran. Lekarstwo spowoduje reakcję enzymów, a ja sam zbadam własną krew.

- Uspokój się. Za bardzo się podjudziłeś.

- Jack, przeprowadzę badanie na sobie.

- Cały czas mówimy o teorii. A co, jeśli okaże się, że się mylimy?

- Umrę, wykrwawiając się na śmierć.

- On ma rację - wtrącił z tylnego siedzenia Koszmar. - W ten sposób możemy ich dorwać.

- Mówiłem ci, żebyś siedział cicho. - Spojrzałem na Robinsona i dodałem: - Wiem, że miałeś ciężki tydzień, ja też jestem skołowany i nie wiem, co się dzieje, więc może nie podejmujemy pochopnych decyzji. To nie jest dobry moment, żeby przyjąć eksperymentalny lek.

- Nie mogę go podać nikomu innemu, tylko sobie, Jack. Jestem jedynym człowiekiem, na którym można przeprowadzić taki eksperyment bez ryzyka zapuszkowania. - Wyjął strzykawkę i podwinął rękaw.

- W zasadzie, jeśli podasz go sobie, to też złamiesz prawo.

- Wiem, co robię, Jack. To nie może być nikt inny, tylko ja. Pobiorę teraz krew, potem wstrzyknę lipitran i będziemy czekać, aż enzymy załatwią resztę. Proste?

- Nie pomogę ci w tym szaleństwie.

- Pomoc jest niepotrzebna. - Spoglądał przed siebie, a w jego oczach błyszczała chora gorączka. Tylko ta ostatnia deska ratunku powstrzymywała go przed popadnięciem w obłąd. - Zrobię to. Nie powstrzymuj mnie, bo nie dasz rady.

- Mogę cię zawieźć do szpitala psychiatrycznego na obserwację.

- Jak sądzisz, komu uwierzą? - roześmiał się gorzko. - Jestem lekarzem, więc powiem im, że to ty zwariowałeś.

- Niech cię diabli, to szaleństwo!

- Wiem, ale i tak to zrobię.

Spojrzałem w boczne lusterko. Noc pełna była neonów i świateł samochodowych. Ludzie dobrzy i źli, a także zwyczajni, żyli po swojemu. Siedziałem obok człowieka, który gotów był poświęcić własne życie, aby odkupić śmierć ośmiorga innych ludzi, którzy zostali zabici w nader perfidny i wyrafinowany sposób. Wtedy podjąłem decyzję, że pozwolę mu to zrobić. Po pierwsze, nie odpowiadałem za to, co chciał zrobić ze swoim życiem, a po drugie, Robinson nie miał już nic do stracenia, a wiele do zyskania. W całej historii Atlanty nie było chyba bardziej zdeterminowanego i niebezpiecznego człowieka. Jeśli ktokolwiek mógł powstrzymać Ralstona, to był to właśnie Robinson.

- Ile to potrwa?

- Nie wiem - odparł, mrużąc oczy. - Im dłużej, tym lepiej. Trzeba dać czas ciału, aby wyprodukowało enzymy. Osiem, może dwanaście godzin.

- Cholera - mruknąłem i wyjechałem na autostradę, kierując się do laboratoriów Grayton. Niepoważny haker, zwariowany naukowiec i prawnik bez wiary. Pieprzeni trzej muszkietierowie.

Rozdział dwudziesty siódmy

Droga do Grayton Labs zajęła nam trzydzieści minut. Podczas jazdy Robinson się uspokoił. Podjął decyzję i szykował się na jej konsekwencje. Kiedy zaparkowałem samochód, było już po dziesiątej. Przeszliśmy kontrolę i od razu ruszyliśmy do laboratorium.

Nikogo oprócz nas nie było w budynku. Opadłem na ruchomy fotel i wyjechałem na nim na środek pomieszczenia. Koszmar stał nieruchomo z rękami w kieszeniach, jak wampir, który znalazł się na słońcu. Doktor Robinson krzątał się po laboratorium, coś do siebie mówiąc.

- Posłuchaj, nie musisz tego robić - powiedziałem cicho. - Zabijając się, nie przywrócisz życia tamtej ósemce.

- A co z pozostałymi ludźmi? - spytał drżącym głosem. - Lipitran miał ich ocalić przed śmiercią. Transplantacja wątroby jest bardzo trudna i droga, nie każdy może sobie na nią pozwolić. Nie mówię już o groźbie nowotworu. Muszę się przekonać, po prostu muszę. Tutaj chodzi o nich.

- Sam nie wiem.

- Jestem lekarzem - powiedział dobitnie Robinson. - Mam *leczyć* ludzi. Jeśli jedynym sposobem na stuprocentowo obiektywny test jest wstrzyknięcie sobie lipitranu, to niech tak będzie.

Podszedł do niewielkiej lodówki. Wyjął z niej szklaną fiolkę i zamknął drzwiczki. Podszedł z nią do nas i uniósł do góry.

- Dwa lata pracy i trzydzieści pięć milionów dolarów. Cały wysiłek pójdzie na marne, jeżeli to nie za działa.

Wziął do drugiej ręki strzykawkę i przebił igłą gumowy korek. Wyciągnął pięć mililitrów, a po chwili wahania siedem, i w końcu dziesięć.

Pokręciłem głową, chcąc go powstrzymać, zanim nie jest za późno.

- Nie musisz tego robić - powiedziałem.

- To już nie ma znaczenia - odparł chłodno. - Albo ich załatwimy, albo pójdziemy na dno.

Usiadł w fotelu i owinał przegub ręki kawałkiem gumy. Wziął w dłoń małą piłeczkę i zaczął ją ścisnąć, aż na jego przedramieniu nabrzmiały żyły. Koszmar i ja staliśmy nieruchomo, obserwując, jak Robinson się zabija. Żaden z nas się nie odzywał. Kości zostały rzucone, nie było odwrotu. Jeśli pomyliliśmy się co do Ralstona, Robinson właśnie popełniał samobójstwo. Spojrzał nam w oczy, otarł pot z czoła, a następnie wbił igłę. Wolno, metodycznie wcisnął tłok strzykawki, wprowadzając do swojego krwiobiegu dziesięć jednostek lipitranu AX.

Naszym wrogiem był teraz czas. Być może oczekiwanie w laboratorium pełnym ludzi byłoby trudne, ale w opustoszałym każda chwila zdawała się być wiecznością.

Robinson próbował wysłać nas do domu. Powiedział, że zanim wykona pierwsze testy, minie kilka godzin. Analizy były długotrwałym procesem, który wymagał dokładności, dlatego nie można było pozwolić sobie na pośpiech. Choć czułem się fatalnie, i

w ogóle nie spałem w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin, nie potrafiłem się zmusić do powrotu do domu. Chciałem być przy nim.

Robinson, który nadal bardzo obficie się pocił, zaszył się w swoim biurze. Kopniakiem zatrzaskał drzwi i opadł na swój fotel. Koszmar ruszył za nim, ale położyłem dłoń na jego ramieniu i powiedziałem:

- Dajmy mu spokój. Musi pobyć trochę sam. Najlepiej byłoby, gdyby zasnął. My też powinniśmy się zdrzemnąć.

- Dam sobie radę. Ale ty wyglądasz jak z krzyża zdjęty.

- Tak, wiem - odparłem z uśmiechem.

- Możesz mi zaufać - powiedział. - To znaczy, jeśli się obawiasz, że nie należy zostawić mnie sam na sam z doktorkiem.

- Wiem, Michael. - Nie wiem skąd, ale miałem przekonanie, że Koszmar jest już całkowicie po naszej stronie. W jednym miał rację, bez snu na nic się nie przydam. Zgasilem światła w laboratorium, opadłem na fotel i zamknąłem oczy. Przez następne parę godzin dryfowałem pomiędzy snem, a jawą. Nikt nie zaglądał do pomieszczenia, nawet ochrona. Byliśmy jak trędowaci.

Gdzieś około drugiej nad ranem poszedłem sprawdzić, jak się trzyma Robinson. Otworzyłem drzwi, nie będąc pewnym, w jakim stanie go zastanę. Siedział sztywno za biurkiem, wpatrując się tępo w przestrzeń. Zapewne obawiał się, że każdy skurcz oznaczać będzie początek końca.

- Wszystko w porządku?

- Tak, dzięki - odparł, spoglądając na mnie niewidzącym wzrokiem.

- Jak się czujesz?

- Sam nie wiem. Mam trochę mdłości, ale nic poza tym. Wszystko jest tak, jak się spodziewałem.

- Czyli jest dobrze?

Robinson słabo się uśmiechnął i znów zaczął wpatrywać się w ścianę. Wróciłem do laboratorium i obudziłem Koszmara.

- Jesteś głodny?

- Nie. Jak doktor?

- Trzyma się... Chyba jest wystraszony, ale nic poza tym.

- No to świetnie - odparł i ponownie zamknął oczy.

Przesunąłem moje krzesło pod drzwi Robinsona i wyciągnąłem się na nim tak wygodnie, jak tylko było to możliwe. Obudziłem się, kiedy Robinson wyszedł z biura i potrząsnął mnie za ramię:

- Siedem godzin - powiedział. - Żyję.

- Świetnie, bardzo się cieszę.

- Poczekajmy jeszcze trochę.

Kilka godzin później nadszedł świt. Obudziłem się i zapukałem do drzwi. Nikt mi nie odpowiedział. Uchyliłem je i zobaczyłem, że Robinson leży twarzą na biurku. Serce podeszło mi do gardła. Ruszyłem w jego stronę i wtedy usłyszałem jęk, a potem westchnienie. Ku mojej uldze zdałem sobie sprawę, że po prostu zmorzył go sen. Minęło dziewięć godzin od zastrzyku, co oznaczało, że mogliśmy wykonać pierwsze testy. Dotknąłem jego ramienia i powiedziałem cicho:

- Obudź się. Nic ci nie jest.

Robinson wyprostował się, a jego twarz przybrała niezdrowy wyraz. Przez chwilę siedział, jakby kij połknął, oddychając szybko, a potem sięgnął pod stół i przysunął do siebie kosz na śmieci. Z jękiem z wymiotował, a ja odwróciłem się, nie chcąc oglądać tego

widoku. Przez chwilę wstrząsały nim torsje, ale wkrótce uspokoił się, zakaszłał i sapnął:

- Mój Boże... Tego mi było trzeba.

- Chcesz powiedzieć, że wszystko gra?

- Tak. Mówiłem ci już, że nudności nie są niczym dziwnym.

Lepiej się czuję. - Wstał z fotela i rozprostował plecy. - Co robiłeś przez noc? Czatowałeś pod drzwiami?

- W rzeczy samej. Trochę się zdrzemnąłem.

- Doceniam twoją troskę.

- Cieszę się, że żyjesz. Co teraz robimy?

- Spotkamy się za chwilę w laboratorium. Muszę po sobie posprzątać.

Wyszedłem z pokoju i obudziłem Koszmarę. Razem czekaliśmy na powrót Robinsona. Dołączył do nas po chwili, niosąc kartonowy kubek pełen wody. Postawił go na stole i wskazał na ośmiokątną maszynę, długą na dwa metry i szeroką na metr.

- To spektrometr QTOF. Wraz z jonizatorem jest wart czterysta tysięcy dolarów. Mamy takie dwa.

- Co on robi? - spytałem.

Robinson sprawiał wrażenie innego człowieka. Zmiana nie była drastyczna, ale w jego oczach tliły się iskierki, jakie dostrzegłem w trakcie naszej rozmowy. Nauka i badania były sensem jego życia.

- Ona dokonuje cudów. Mierzy masę składników krwi. Pozwala także odizolować enzymy, ponieważ każdy z nich ma inną masę, dzięki której można go odróżnić od innych i wytrącić. - Robinson poprowadził nas do długiego stołu. - W tej chwili chodzi nam o to, aby zbadać, jakie enzymy znajdują się w mojej krwi, a jakich nie

ma w krwi pacjenta, który zmarł. Do porównania zamierzam wykorzystać krew Najeha Richardsona. Być może uda nam się wyizolować enzym, który mam ja, a którego brakowało jemu.

- W jaki sposób?

- Nie uwierzysz.

- A to czemu?

- Nie zdajesz sobie nawet sprawy, jak prosty i skuteczny jest to proces. Pewnie myślisz, że to wszystko magia, ale prawda jest inna. To nauka. - Robinson spojrział na nas i zapytał: - Co otrzymamy z wymieszania kolorów niebieskiego i czerwonego? Szkoła wam się kłania, panowie. No jak, kto wie?

- Purpurowy? - spytałem niepewnie.

- Dokładnie! - odparł z werwą, jakiej u niego do tej pory nie widziałem. - A teraz chodźcie.

Podeszliśmy do krańca stołu i obserwowaliśmy, jak Robinson pobiera sobie krew.

- Pamiętajcie, że chodzi nam o to, aby określić, jakie związki występują w mojej krwi, a jakich nie ma u Richardsona.

- Dobrze.

- Wytrącamy czerwone krwinki oraz wiele innych składników, które w chwili obecnej nas nie interesują. Ważne jest to, że w każdej próbce znajduje się kilka tysięcy protein. Pod działaniem prądu moje proteiny zmusimy, aby znalazły się na jednej płytce, a Richardsona na drugiej. Nadążacie?

- Tak.

- Teraz moje proteiny zabarwimy na czerwono, a jego na niebiesko. Następnie nałożymy je na siebie przy pomocy żelu dwuwymiarowego.

- Co to znaczy?

- Spoglądając na nie z góry, zobaczymy, jak proteiny pokrywające się ze sobą będą purpurowe, czyż nie?

- Tak - przytaknęliśmy z Koszmarem, jak grzeczne dzieci na lekcji.

- I co wtedy?

- Nie mam pojęcia.

- Wtedy po kolorach poznamy, których enzymów nie miał Richardson - wypalił Koszmar. - Wspólne składniki będą purpurowe, twoje tylko czerwone, a jego niebieskie. Tym samym wychwycimy różnice już na pierwszy rzut oka.

Robinson uśmiechnął się szeroko, a ja poczułem, że zaraz się rozplacę. Gdyby umarł dziś w nocy, ludzkość poniosłaby niepowetowaną stratę.

- Dokładnie tak - szepnął.

- Ile to potrwa? - spytałem.

- To nie jest szybki proces. Kiedy skończę z żelami, będzie trzeba odsiać proteiny, które nie mają nic wspólnego z lipitranem. Każdy z nas ma w sobie takie, które są charakterystyczne tylko dla niego. Kiedy już zawężymy grupę podejrzanych, skontaktuję się z Narodowym Instytutem Zdrowia i sprawdzę, gdzie się znajdują na mapie genomu. Zamilkł na chwilę.

- Dla jednej osoby to są dwa dni roboty, ale z czyjąś pomocą... - spojrzał na Koszmar. - Nie szukasz przypadkiem pracy?

Michael rozejrzał się dookoła, jakby szukał kogoś, do kogo mówi Robinson.

- Jasne, chłopie. Czego chcesz?

- Każdej minuty twojego życia, do momentu, kiedy nie zakończymy badań.

Koszmar tylko się uśmiechnął, po raz pierwszy czując się doceniony. Robinson spojrział na mnie i dodał:

- Wracaj do domu. Wykap się, na Boga, bo cuchniesz i przebierz się.

- Będziesz żył.

- Na to wygląda. Problem w tym, że nic mi nie pomożesz, a za to będziesz przeszkadzał. Jeśli chodzi o Ralstona, nie mamy się czego obawiać. Uważa, że po kremacji ciała Douga nic mu już nie grozi.

- Dobra - westchnąłem. - Zrobię, jak mówisz. Odezwę się.

Robinson pokręcił tylko głową.

- Nie, zadzwonimy do ciebie, jak tylko uzyskamy pierwsze rezultaty.

- Jasne.

Robinson wziął się do roboty, więc skinieniem głowy przywołałem Koszmar do siebie.

- Świetnie się spisałeś, partnerze.

- Sam jestem zdziwiony.

- Mam dla ciebie nagrodę.

- Jaką?

- Masz jakieś pieniądze?

- Zapomniałeś, czemu się spotkaliśmy?

- Wiem, ale pytam poważnie. Rodzice nic ci nie dają?

Przez chwilę milczał, a potem powiedział:

- Moi starzy są obrzydliwie bogaci.

Patrzyłem na niego, a po chwili wybuchłem śmiechem.

- Ty mały, zbuntowany gnojku! Wyniosłeś się z domu, a rodzice ciągle opłacają ci czynsz?

- Nie rozśmieszaj mnie.

- Zaraz sam będę rechotał. Jesteś największym hipokrytą...

- Sam nie wiesz, jak ciężko nim być.

- Dobrze, żarty na bok. Masz jakiś fundusz powierniczy, albo coś w tym stylu?

- Tak, ale nie ma sensu się nim przejmować - odparł, czerwieniąc się.

- Grube miliony?

- Tak, ale nie ruszę ich do trzydziestych piątych urodzin. Rodzice czekają, aż spoważnieję.

- Nieważne. Poproś ich o tyle, ile ci dadzą. Jeśli będzie trzeba, obiecay poprawę. Mówię najzupełniej poważnie. Aha, powiedz Robinsonowi, żeby zrobił to samo.

- Co ty kombinujesz, chłopie?

- Istnieje wiele rodzajów zemsty, Michael. Później się wszystkiego dowiesz.

* * *

Dowlokłem się do domu i padłem na łóżko. Robinson był bezpieczny w siedzibie Grayton, a ja miałem nadzieję złapać trochę snu. Wszedłem do mieszkania, spodziewając się niebezpieczeństwa albo śladów włamania. Na szczęście wszystko było na swoim miejscu. Położyłem się i zasnąłem. Przespałem cztery godziny, kiedy się obudziłem, była trzecia po południu. Wziąłem gorący prysznic i przebrałem się w czyste rzeczy, co sprawiło, że poczułem się lepiej. Chciałem zadzwonić do

Robinsona, ale zdałem sobie sprawę, że dopiero zaczynają testy. Wróciłem do sypialni i spojrzałem na oskarżycielsko mrugającą lampkę automatycznej sekretarki. Nacisnąłem klawisz i zacząłem słuchać. Kilka razy zadzwoniła Blu, zamartwiając się o mnie. Telefonował Billy, chcąc dowiedzieć się, co porabiam. Ostatnia wiadomość wywróciła mój świat do góry nogami po raz kolejny.

Jack, tutaj Michele. Musimy porozmawiać. Bardzo mi przykro, że sprawy... przybrały taki obrót. Mówiłam ci, żebyś nie przychodził na przemowę. Możemy pogadać? Chciałabym się z tobą spotkać. Brakuje mi ciebie. Bądź w biurze o dziewiątej po południu, proszę. Zrobisz to dla mnie? Kocham cię.

Opadłem na kanapę. Ostatnie trzy doby mojego życia przypominały chaos. Rozmawiałem z wrogami i przyjaciółmi, nie wiedząc komu mam ufać. Blu złożyła rezygnację, zostałem porwany, oklejony taśmą i porzucony w szafie, uciekłem, wróciłem, wkradłem się do domu pogrzebowego i pomagałem Thomasowi Robinsonowi zaryzykować swoje życie. Zrobiłem to wszystko, bo pragnąłem sprawiedliwości. Kochałem kobietę, która była żoną mordercy. Cały czas pamiętałem także, że okłamała mnie, i kiedy słuchałem jej na spokojnie, zacząłem się zastanawiać, czy po raz kolejny mnie nie oszukuje. Czy natrafiła wreszcie na moment wyzbycia się kłamstw, które pomagały jej żyć do tej pory?

To, że mnie oszukała, nie kolidowało z miłością. Kiedy ukochana tonie, nie przeprowadza się na niej testów, ale rzuca jej linę. Nadal pozostawała kwestia, co będzie później. Związek z Michele nie będzie łatwy, a już raz zawiodłem na całej linii. Siedząc tak i rozmyślając, zdałem sobie sprawę, że istniał sposób rozwiązania tego dylematu. Przeszłość Michele Sonnier leżała pogrzebana w aktach sądu Fulton

County. Klucze do nich dzierżył mój najlepszy przyjaciel, Sammy Liston. Jeśli się pospieszę, złapię go przed nocnym pijaństwem.

Rozdział dwudziesty ósmy

Przynajmniej tę rozmowę mogłem zacząć od dobrych wiadomości.

- Będziesz żył, Sammy. Stephens cię nie zabije. Sammy'ego dopadłem tuż przed wyjściem z pracy, około wpół do piątej. Na siłę wepchnąłem go z powrotem do biura i zamknąłem drzwi za sobą. Szybko opowiedziałem mu o rozmowie ze Stephensem. Na twarzy Sammy'ego widziałem ulgę. Odwaga opuściła go jakieś czterdzieści osiem godzin temu, i od tego czasu pewnie zachodził w głowę, co zrobi ze sobą, jak Derek dobierze mu się do czterech liter.

- Pewnie każe mnie prześwietlić i znajdzie coś, dzięki czemu mnie zniszczy.

- Nie, nie może tego zrobić.

- No to załatwi mnie w jakiś inny sposób.

- Sammy, miałeś więcej szczęścia niż rozumu. On teraz nie może ci nic zrobić. Nie, kiedy Horizn wchodzi na giełdę i nie mogą pozwolić sobie na najdrobniejsze zamieszanie. Miałeś niewiarygodne szczęście.

Dla Sammy'ego rola wybrańca losu było czymś zupełnie nowym i obcym.

- Ja? - spytał, nie za bardzo wiedząc, co ze sobą zrobić.

- Tak. Ferrari uszło ci płazem.

Sammy wbił wzrok w blat biurka i wymamrotał:

- Dlatego, że musi siedzieć cicho?

- Tak. Nie może pozwolić sobie na żaden skandal. Dopóki będziesz siedział cicho, nic ci się nie stanie. - Zamilkłem na chwilę, a potem dodałem. - Choć gdy już się skończy okres ochronny, powinieneś wyjechać na Syberię.

- Taaak - odparł Sammy, najwidoczniej oswajając się z myślą, że wywinął się grabarzowi spod łopaty. - Będę siedział cicho i nisko trzymał głowę. Wiem, jak to się robi. Takie jest całe moje życie.

- Jest jeszcze jedna sprawa.

Aha. Chce połamać mi nogi w kolanach, tak? - W jego oczach widziałem strach.

- Nie, to ja mam do ciebie interes.

- O czym ty mówisz, Jackie? - spytał, spoglądając na mnie spode łba.

- Masz dostęp do akt sądowych, prawda?

- Tak.

- Nawet tych, które dotyczą nieletnich? Uśmiech Sammy'ego znikł jak kamfora.

- Jackie, miło było, ale muszę lecieć.

- Posłuchaj mnie do końca.

Sammy wbił we mnie tępe spojrzenie urzędasza.

- Jack, dostęp do akt jest zamknięty. Jediną osobą, która może mnie zmusić, żebym tam zszedł, jest sędzia Thomas Odom.

- Właśnie, masz do nich dostęp. Cały czas czegoś tam szukasz.

- Racja, ale dla Odoma, nie dla ciebie.

- Oczywiście. On musi wiedzieć coś o tych potworkach, które osądza. To, o co chcę cię poprosić, nie będzie dla nikogo wielkim problemem. Nikt nie zauważy nawet, że to zrobiłeś.

- Chyba śnisz.

- Sammy, potrzebuję tych informacji.

- A ja pracy, Jackie.

- Nic się nie stanie - odparłem. Bardzo chciałem wierzyć, w to, co mówię, bowiem bez Sammy'ego ja także szybko znalazłbym się w rynsztoku. Dla niego praca była sensem życia, czymś, co trzymało go przy zdrowych zmysłach. Dzięki swojej pozycji był równy innym ludziom w garniturach, witano się z nim jak z równym i podawano mu drinki w czystych kieliszkach.

- Czemu miałbym ci pomóc?

- Bo próbuję ochronić bliską mi kobietę.

- A więc to tak - powiedział po chwili namysłu. - Chodzi o żonę Ralstona, tak?

- Aha.

- Nieźle cię wzięło, chłopie - gwizdnął.

- I mówi to ktoś, kto zaryzykował wszystko, byleby upokorzyć adoratora swojej ukochanej...

- Wiem, wiem. Zdaję sobie sprawę z tego, co zrobiłem.

- Słuchaj. Stephens nie mówił tylko o tobie. Opowiedział mi sporo o Michele.

- No i?

- Powiedział, że... - zamilkłem na chwilę, nie mogąc dokończyć zdania. - Określił ją, jako kłamczuchę. Powiedział, że potrafi owinać sobie mężczyznę dookoła palca i go wykorzystać aż do ostatniej kropli krwi. Kocham ją, ale nie jestem głupi. - Przerwałem na chwilę, zbierając siły. - Prawda jest ukryta gdzieś w piwnicach tego budynku. Masz do niej dostęp, a ja potrzebuję akt tylko na pięć minut. Przekonam się, kto kłamie i to wszystko.

- To ona łże.
- Skąd wiesz?
- Nie wiem, ale tak jest łatwiej. Dasz mi spokój?
- Na razie podejrzewam, że jej mąż jest mordercą.
- Nie rzucałbym takich twierdzeń na wiatr, panie mecenasie, chyba że ma pan dowody na ich poparcie.
- Jeszcze ich nie mam, ale cały czas nad tym pracuję. Jak na razie wychodzi na to, że Ralston i Stephens zabili osiem osób.
- Chryste Panie, Jack! Mówisz poważnie?
- Tak.
- Muszę wiedzieć, bo tutaj chodzi o mój tyłek.
- Zdaję sobie sprawę. Nie mam innego sposobu, żeby się przekonać, a od tej wiedzy cholernie dużo zależy.

Sammy siedział chwilę nieruchomo, intensywnie myśląc, a potem odparł:

- Wiesz, że będziesz mi musiał kupić cysterne wódki za tę przysługę?
- Aha. Poszukaj informacji o kobiecie. Nazywa się T'antiqua Fields. - Wziąłem kawałek kartki i zapisałem nazwisko.

Sammy zgarnął ją ze stołu i wsadził do kieszeni. Zabrał walizkę i mruknął:

- A niech to diabli. Wszystko w imię miłości.
- Dzięki.
- Siedź cicho i nie wyściubiaj stąd nosa. Nie odbieraj telefonów, nie otwieraj drzwi, chyba że to będę ja. Zaraz wrócę.

Nie miałem pewności, czy Sammy mi pomoże, choć przyznaję szczerze, że na to liczyłem. Na tyle, na ile go znałem, byłem w stanie powiedzieć, że się zgodzi. Nie sposób było przewidzieć jego

nastroju. Wahał się on od czarnej rozpaczyny nad własną marnością po rozpasaną żądzę kobiet, które nigdy by na niego spojrzwały. Ale jeśli chodzi o proste działanie, Sammy jest mistrzem Jedi. Większość ludzi go nie docenia i to jest ich błąd. Po piętnastu minutach wrócił, pocąc się jak w gorączce.

- Czy przy okazji nie napadłeś na bank?

- Czemu pytasz?

- Bo tak właśnie wyglądasz.

Sammy dokładnie zamknął drzwi za sobą i rzucił walizkę na stół. Wyjął z niej akta i powiedział:

- Masz dziesięć minut.

- Ale one mają prawie pięć centymetrów grubości!

- No to musisz czytać szybko.

Pokiwałem głową i otworzyłem akta na pierwszej stronie. Nie miałem czasu na poznawanie historii życia Michele, więc zacząłem pobieżnie przerzucać dokumenty w poszukiwaniu konkretnych informacji. *Fields T'antiqua, urodzona Atlanta Georgia, szpital Fulton County, 17-ty maja 1974. Matka: Tina Kristen Fields; Ojciec: nieznany.*

Dalej znalazłem listę sześciu rodzin zastępczych oraz historię dzieciństwa, która mogłaby posłużyć Dickensowi za inspirację. Nic dziwnego, że Michele Sonnier tak poruszała ludzi, śpiewając o bólu noszonym w sercu. W przeciwieństwie do tego co powiedział Stephens, nie było tutaj śladu kryminalnej przeszłości. Przerzuciłem kolejne strony, szukając informacji o córce Michele. Odnalazłem notatkę sądu do spraw nieletnich i znalazłem orzeczenie:

Choć panna Fields może zechcieć wychowywać swoją córkę samodzielnie, sąd musi wziąć pod uwagę dobro jej dziecka. W tym przypadku jasne jest, że stan społeczny i wiek panny Fields nie gwarantują prawidłowego rozwoju jej córki. Z tego powodu nie można pozostawić jej pod opieką biologicznej matki, zwłaszcza że rodzice zastępczy nie zamierzają opiekować się dzieckiem, ani nie są w stanie przygotować panny Fields do roli odpowiedzialnej rodzicielki. Sąd nie widzi możliwości utrzymania matki i córki w jednym domu. Znalezienie im odpowiedniej rodziny będzie zajęciem czasochłonnym i nie gwarantującym sukcesu. Z tego powodu sąd orzeka o odebraniu praw rodzicielskich i umieszczeniu noworodka w domu opieki.

Spojrzałem na Sammy'ego.

- To wszystko? Stephens mówił, że kilkakrotnie była aresztowana przez policję.

- Jeśli nie ma wzmianki w aktach, to znaczy, że nic takiego nie miało miejsca.

Szybko przekartkowałem akta, szukając czegoś, co mogłem przeoczyć.

- Sąd odebrał jej prawa zaraz po urodzeniu małej. Nigdy nie zabrała jej ze sobą do domu. - Wstałem z krzesła i ucisnąłem rękę Sammy ego. - Jesteś moim bohaterem.

- Zjeżdżaj stąd, Jackie, zanim poprosisz mnie o kolejną przysługę - odparł z uśmiechem.

Wyszedłem z biura i wsiadłem do samochodu. Zadzwoiłem bezpośrednio do laboratorium Robinsona, ale odebrał Koszmar.

- To ja - rzuciłem. - Jakie wieści z frontu?

- Doktorek się porzygał, ale mówi, że to normalne.

- Pobrał sobie krew?

- Tak. Czekał tak długo, jak to było możliwe, bo nie będziemy mieli czasu na powtarzanie testów. Pracujemy nad tym od kilku godzin. Za jakieś dwanaście powinniśmy mieć pierwsze wyniki.

- Jak sobie dajesz radę?

- Nieźle. Ale kiedy kaszle, za każdym razem chowam się za stół, bo boję się, że zaraz wybuchnie - zażartował.

- Odpocznijcie trochę, w końcu ze zmęczenia zaczniecie się mylić i coś schrzanicie.

- To nie tak. Przez pięć, czy sześć godzin będziemy czekać na odpowiedź z Narodowego Instytutu Zdrowia. Wtedy padniemy na ryj.

- Dobra, Michael, trzymaj się. Odezwę się później, gdyby coś się działo, daj znać.

- Jasne, nie ma sprawy.

Zgodnie z przewidywaniami Robinsona, pierwsze wyniki miały nadejść jutro rano. Mogłem poczekać. Jeśli wziąć pod uwagę poglądy Ralstona, że ludzie składają się z procesów chemicznych, nie miałem nic przeciwko udowodnieniu mu, że się myli. Bałem się jednak o Michele, na której mogły się skupić konsekwencje.

Świat jest zbyt niemiłosierny, aby wierzyć, że miłość zwycięży wszystko. W końcu zrozumiałem, że aby utrzymać się na fali, musiała wykorzystać każdy atut, jaki miała do dyspozycji. Nie była w tym podobna do swojego męża, i w głębi duszy pozostała żywym, prawdziwym człowiekiem targanym emocjami. Dlatego tak bardzo ją pokochałem.

Jeżeli Robinsonowi się powiedzie, rozpęta się piekło. Horizn znajdzie się na celowniku, zaczną się procesy, żądni sensacji

dziennikarze dokopią się do prawdy o jej życiu. Pomimo wszystko wierzyłem, że Michele to przetrwa. Są tacy ludzie, którzy nawet przez swe wady są postrzegani jako bohaterowie. Wtedy doznałem olśnienia: nie kochałem Michele tak, jak Violetę Ramirez. To było coś nowego, świeżego i prawdziwego.

Przyjechałem do biura trochę wcześniej niż planowałem i na parkingu nie zauważyłem samochodu Michele. Wspiąłem się po schodach, otworzyłem drzwi i wszedłem do środka. Od razu zauważyłem w moim gabinecie zapaloną lampkę. Podeszedłem do drzwi i zobaczyłem, że ktoś siedzi w moim fotelu, odwrócony do mnie plecami. Gość powoli obrócił się, i zobaczyłem uśmiechniętego Dereka Stephensa. W rękę trzymał pistolet.

- Zamknij drzwi - powiedział, spoglądając na mnie spokojnie. - Widzę, że Robinson zabrał się znowu do pracy?

- Gdzie jest Michele? - spytałem. - Jeśli coś jej zrobięś, przysięgam, że urwę ci łeb.

- Sprytne posunięcie z włamaniem do naszej bazy fotografii.

Błagam cię Boże, niech się nie okaże, że Koszmar nas wydał.

- Pomoc Robinsonowi to bardzo zły pomysł. Wszystko już się ułożyło jak trzeba, a teraz będą musiały umrzeć kolejne osoby. Pozwól, że o coś spytam, Jack. Czemu z takim uporem trzymasz się przegranej sprawy?

- Bo wiem, że przegrasz. Nie pytaj, w jaki sposób. Któregoś dnia noga ci się powinie.

Stephens wzruszył ramionami.

- Nie lubię marnotrawstwa. Źle mi z tym, że się marnujesz, Jack, ale cóż... Sam przypieczętowałaś swój los.

- Jakoś to przebolejesz. Gdzie jest Michele?

- Jack, jestem człowiekiem. Nie lubię zabijać, zwłaszcza jeśli mają umrzeć wartościowi ludzie.

- Ósemka martwych z Glen nie może się już z tobą o to spierać.

- Nie mówię o nich. To były śmieci, w przeciwieństwie do ciebie.

- Co masz na myśli?

- Ty możesz nam coś zaoferować.

- Chodzi ci o to, że jestem biały? Stephens ponownie wzruszył ramionami.

- Doug skazał się na śmierć, kiedy dołączył do testujących lipitran. Patrząc z perspektywy czasu, powinienem był to przewidzieć. Nikt z nas nie wiedział, na ile będzie on skutecznym lekarstwem. W każdym razie, dostarczył nam wielu cennych informacji.

- Wyszedł przed szereg i wziął udział w badaniach?

- Tak. - Stephens pokiwał głową. - Nie powiedziałem nic Charlesowi, żeby go nie martwić. Ostatecznie to ja jestem od uprzątnięcia bałaganu.

- Może tego nie wiesz, ale kawał z ciebie skurwiela. Gdyby Doug wiedział, do czego jesteś zdolny, nigdy by wam nie pomógł.

- Bardzo żałuję, że musiałem go zabić. Inni mnie nie obchodzili.

- Zastanawiam się, czy Ralston wie, że jesteś rasistą?

- Zgodziłby się ze mną w stu procentach.

- Ach tak, zapomniałem, on nienawidzi swoich. Stephens roześmiał się głośno.

- Jack! Ty nic nie rozumiesz. Ci „jego ludzie”, to bogacze spędzający wakacje na Kajmanach, zasiadający w łoży honorowej

na meczach Atlanta Hawks, to bankierzy, artyści i naukowcy. Rasa i kolor skóry przestały mieć znaczenie co najmniej dziesięć lat temu.

- A więc, co z Michele? Stephens spochmurniał.

- Jest zbyt znana, żeby jej się pozbyć, ot tak sobie. Próbowaliśmy nią kierować, ale jest nieprzewidywalna. To poważny kłopot, i bardzo długo nie wiedziałem, co robić. Na szczęście sama podsunęła mi rozwiązanie.

- To znaczy?

- Jak się pozbyć kogoś znanego? Po kryjomu to niemożliwe. W takim razie należy zrobić to w taki sposób, aby wszyscy się dowiedzieli o jej śmierci. Widzisz, Michele ostatnio bywa w najbardziej niebezpiecznym miejscu tej części Ameryki.

- Jest w Glen.

- Oczywiście. Czy to nie cudowna ironia, że historia zatoczy pełne koło? Pojechała tam odkupić swoje grzechy. - Spojrzał na mnie i dodał drwiąco: - Przepraszam w jej imieniu, że nie może się spotkać, ale wypadło jej spotkanie z Jamalem Pope. Zadzwoił do niej i powiedział, że znalazł jej córkę. Miała nikogo o tym nie informować, przyjechać sama, i to z dużą sumą pieniędzy. Sam rozumiesz, że nie mogła się oprzeć takiej pokusie.

- Pope ją zabije dla ciebie, tak?

- Dokładnie. Jutro gazety będą trąbić o tym, że wielka Michele Sonnier chyłkiem wymknęła się do Glen, aby kupić narkotyki. Nikt, rzecz jasna, nie wiedział o jej nałogu, aż do chwili, kiedy zginęła w sprzeczce z dilerem, któremu spodobał się jej samochód. Co za tragedia, prawda?

- Tak chcesz zakończyć tę sprawę?

- Cóż, takie jest życie. Czasem sprawia nam niespodzianki, i dlatego jest wspaniałe, prawda?

- A co ze mną?

Spojrzał na mnie chłodno i odparł:

- Dostaniesz to, czego zawsze chciałeś, rycerzu w lśniącej zbroi. Zginiesz, walcząc o swoją damę.

- Skąd ten pomysł?

- Powiedziałem ci, że zbadalem twoją przeszłość. Czy dwa lata temu pewna kobieta nie umarła przez ciebie? Czy nie uznałeś, że nie masz po co żyć? Daję ci szansę na odkupienie grzechów, Jack. Umrzesz za swoją Violetkę. Cholera, ja ci robię przysługę.

- Powiedziałeś jej imię.

- Czyje? Violetty Ramirez?

Rzuciłem się na niego, chcąc mu skrócić kark. Uderzyłem go w pierś. Stephens, zaskoczony moim atakiem, zatoczył się do tyłu. Spojrzał rozzłoszczony nie na żarty, a ja prawym hakiem uderzyłem go z brzuch. Choć go zatkało, to zdołał grzmotnąć mnie kolbą pistoletu w kark. Opadłem na kolana, powalony bólem. Stephens wykorzystał okazję i uderzył mnie lufą pistoletu na odlew w twarz. Kiedy spojrzałem w jej czarny otwór, zamarłem. *Jeżeli zginę tutaj, to nie odegram się na nim, ani nie ocalę Michele*, pomyślałem. Stephens cofnął się o krok i wyszeptał:

- Nie pomyśl się, Jack. Wolę, aby to Pope cię załatwił, ale jeśli będzie trzeba, zrobię to sam. Na szali leży zbyt wysoka stawka, i nie pozwolę, aby dorobek mojego życia poszedł na marne.

Nic nie odpowiedziałem, spoglądając jedynie na pistolet, który znajdował się trzydzieści centymetrów od mojej twarzy.

- Co teraz? - spytałem po chwili.

- Czas w drogę. - Szturchnął mnie lufą w żebra i kazał wstać. -
Koniec pieśni. Ruszaj się.

Zeszliśmy po schodach na parter, a Stephens cały czas trzymał
pistolet przy moich plecach. Kiedy wyszliśmy na zewnątrz,
okazało się, że ulica jest pusta. Ponownie szturchnął mnie bronią i
rozkazał:

- Wsiadaj do samochodu.

- Którego?

- Szary ford.

- Taurus? Nie stać cię na nic lepszego?

- Nie rzuca się w oczy, i to jest jego największa zaleta - odparł
beznamiętnym tonem. Otworzył mi drzwi i kazał wsiąść od strony
kierowcy. Szturchnięciem dał mi znak, abym się przesunął, a
potem usiadł obok.

- Posłuchaj mnie uważnie. Jeśli drgniesz, zastrzelę cię. To dla
mnie żaden kłopot, bo i tak podrzucę twój trup Pope'owi i
pozbędzie się go wraz z innymi. Kapujesz?

- Tak.

- Świetnie. Jedziemy na randkę z twoją kobietą.

Włączył silnik i wyjechał na opustoszałą ulicę, kierując się ku
McDaniels Glen. Stephens prowadził spokojnie, zatrzymując się
na każdym świetle. W połowie drogi powiedziałem:

- Nadal nie rozwiązałeś problemu doktora Robinsona.

Stephens ani na chwilę nie odrywał wzroku od drogi.

- Doktorek doprowadził do ruiny kolejnego pracodawcę. Jest na
skraju załamania nerwowego. Niedługo sam się zabije. Zadbam o
to.

- Sądzisz, że gliny w to uwierzą?

- Osobisty dziennik Robinsona na komputerze będzie tego dowodem. Odpowiednio go spreparowaliśmy, zmieniając daty tak, aby wyglądał na prawdziwy. Śledczy przekonają się, że myśli samobójcze dręczyły Robinsona od miesięcy. Wszyscy się od niego odwrócili, stał się wyrzutkiem i zdał sobie sprawę z własnej bezużyteczności. A potem pociągnął za spust.

- A co z Michaeliem? Stephens roześmiał się gorzko.

- On jest następcą Douga, dokładnie tak. - Spojrzał na mnie, i z tryumfalnym uśmiechem spytał: - Jak myślisz, kto spreparował dziennik Robinsona?

Poczułem, że serce podchodzi mi do gardła. Prawda była taka, że nie wiedziałem już, po której stronie gra Koszmar. Czy pomagał właśnie Robinsonowi, czy wbijał ostatni gwóźdź do jego trumny?

Droga do Glen zajęła nam jakieś dwadzieścia minut. Ulice nie były zatłoczone, a my przemykaliśmy się pomiędzy innymi anonimowymi samochodami. Kiedy minęliśmy Pryor Street, Stephens przycisnął mocniej broń do moich żeber i warknął:

- Żadnych głupich pomysłów. Pope tak ustawił sprawy, że policja nie będzie nam przeszkadzać.

Przejechaliśmy Pryor Street i wjechaliśmy do Glen, Stephens skręcił w lewo i ruszył wzdłuż ulicy A. Nikogo nie widziałem, najwidoczniej Pope uprzedził też swoich ludzi, aby nie mieszały się w nie swoje sprawy.

Znowu skręciliśmy w lewo i dojechaliśmy do tej części dzielnicy, w której stały opuszczone domy. Ich tylne ściany dotykały muru, który odgradzał Glen od reszty świata i Atlanty.

Stephens zatrzymał samochód i otworzył drzwi.

- Jeden fałszywy ruch i jesteś trupem. - Wysiadł z wozu i warknął: - Wysiadaj.

Zrobiłem, co mi kazał. Kiedy wysiadłem, chwycił mnie pod lewe ramię i popchnął przed siebie. Ponownie wbił mi lufę pistoletu pomiędzy łopatki i prowadził mnie tak, aż doszliśmy do rogu. Kiedy go obeszliśmy, ujrzałem widok, którego nigdy nie chciałym zobaczyć. Michele rozmawiała z Popem. Jego ręka spoczywała zaciśnięta na ramieniu dziewczynki, w której rozpoznałem Briah. Stephens zaklął pod nosem i dźgnął mnie, pokazując, że mam się pospieszyć.

- Coś nie tak? - spytałem.

- Zamknij dziób i przebieraj nogami - odpowiedział, popychając mnie do przodu.

Michele, słysząc że nadchodzimy, odwróciła się w naszą stronę i zawołała:

- Jack! Na litość Boga, Jack! Pomóż mi!

Briah stała obok Pope'a, chwiejąc się lekko. Jej oczy były szkliste. Nie miałem wątpliwości, że dziewczynka jest pod wpływem narkotyków. Patrząc na nią, miałem wrażenie, że widzę Michele w wieku czternastu lat, zanim przybrała nową tożsamość i porzuciła swoje dziecko. Córka musiała się jej wydawać własnym duchem przyobleczone w ciało.

- Co się tutaj, do cholery, dzieje? - warknął Stephens. - Małej miało tu nie być.

Pope spojrział na niego rozżłoszczony.

- Nie masz zegarka? Przyjechałeś za wcześnie.

- Hammond się wmieszał. Co ty wyczyniasz, Pope? Głupku, miałeś sprowadzić Michele, wabiąc ją Briah, ale po co ściągnąłeś

tu gówniarę? Może chciałeś ją naprawdę opchnąć, co?

- Nikt nie mówi do mnie głupku - warknął Pope, a w jego głosie zabrzmiała prawdziwa groźba.

- Wszystko psujesz. To kolejny świadek. Czy ty w ogóle wiesz, co robisz?

Instynktownie zacząłem rozglądać się za bezpieczną kryjówką. Wiedziałem coś, z czego Stephens nie zdawał sobie sprawy: okazywanie Pope'owi lekceważenia na jego terenie mogło się bardzo źle skończyć. To nie była sala rozpraw, ale Glen, a na terenie dzielnicy prawo ustanawiał Pope. Jakby na potwierdzenie moich przypuszczeń, Pope sięgnął za siebie i wyciągnął zza paska glocka, jeden z najlepszych pistoletów na świecie. Kule z takiej broni eksplodowały przy kontakcie z celem, żłobiąc rany szerokie na kilkanaście centymetrów. W porównaniu z nim pistolecik Stephensa był niegroźną zabawką. Pope machnął bronią, i choć nie celował w Stephensa, jasne było, że mu grozi.

- Coś ci wyjaśnię, biała dziwko. Nie jestem twoją własnością, żeby to było jasne. Nie rozkazuj mi.

Na słowo „dziwka” Stephens się wzdrygnął. Był białym, niesamowicie bogatym mężczyzną, a obrażał go Murzyn, który nie kąpał się od dwóch dni.

- Jak mnie nazwałeś?

Pope wyglądał na znudzonego, co oznaczało, że sytuacja jest bardziej niż poważna. Obydwaj nawzajem się nie doceniali, i przez to za chwilę mogła wybuchnąć strzelanina. Próbowałem nawiązać kontakt wzrokowy z Michele, ale ona widziała tylko córkę.

- To, co słyszałeś, dziwko - odparł Pope, akcentując każde słowo. - Włącz aparat słuchowy, żebym nie musiał się powtarzać.

Gdybyś się wstrzymał kilka chwil, mielibyśmy już to gówno z głowy.

Czułem, jak Stephensem targa gniew i przez chwilę obawiałem się, że dojdzie do strzelaniny. Ale główny prawnik Horzn nie doszedłby do swojej pozycji bez osiągnięcia perfekcji w sztuce powściągnięcia emocji. Miał zbyt wiele do stracenia, dlatego opanował się i powiedział:

- Nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy. Wazą się losy miliardów dolarów, więc nie próbuj mącić.

- To twój szmal - odparł Pope. - Spojrzał na Briah, która tuliła się do jego ręki. - A ta mała tutaj, to mój.

Stephens pokręcił głową.

- Nie musiałeś jej przyprowadzać, żeby dostać swoją dolę.

- Ona pochodzi stąd, durniu. Nie jest głupia, musiała zobaczyć dziewczynę.

Podczas gdy Pope i Stephens się sprzeczali, Michele krok za krokiem zbliżała się do swojej córki. Nie obchodziło ją nic innego.

- Kochanie - wyszeptała. Nagle zaczęła łkać, nie mogąc powstrzymać targających nią uczuć. Briah spojrzała na nią pustym wzrokiem.

- Tak nie może być - powiedział Stephens. - Widziała mnie. Rozumiesz? Wie, kim jestem.

Pchnięciem lufy pomiędzy zebra kazał mi podejść do Michele. Objąłem ją, próbując uspokoić jej szloch.

- Kochanie - szeptała. - Dziecinko, tak bardzo przepraszam...

Pope spojrzał na Michele i powiedział:

- Nie martw się o nią. Żyje z nami, jest wśród swoich i krzywda się jej nie dzieje.

W sumie nie powinienem był się odzywać, ale widząc jak Pope, człowiek, który zbił fortunę na cierpieniu innych, wchodzi w rolę szlachetnego obrońcy uciśnionych, coś we mnie pękło.

- Co ty mówisz? To, że całymi dniami jest naćpana, to ma być dobre życie?

Nim Pope mi odpowiedział, Michele osunęła się w moje ramiona. Tego było dla niej za wiele, czternaście lat kłamstwa, błędów i nieszczęść, choć nie wszystkie stały się z jej winy, opadły na jej barki, i biedna nie była w stanie sprostać brzemieniu. Stanąwszy twarzą w twarz z ucieleśnieniem wszystkiego tego, czego się wstydziła, załamała się. Stephens odciągnął ją ode mnie i powiedział:

- Kończmy to. Może i jesteś w stanie rozkazywać tutejszym, ale prędzej czy później ktoś nas zobaczy.

Michele zaczęła łkać. Pope, który w końcu pogodził się z tym, czego chciał Stephens, wziął małą pod rękę i warknął:

- Dobra, chodźmy. Załatwimy to na podwórzu. Widząc, jak traktuje małą, zapragnąłem go zabić.

Nie w abstrakcyjnym sensie, ale związać, posadzić na krześle i obserwować, jak powoli kona w męczarniach. Chciałem, aby błagał, aby skamlał i przeproszał za krzywdy, których był przyczyną. W mojej wyobraźni mordowałem go na tysiące sposobów, wiedząc, że to na nic. Gdybym go zabił na miejscu, nie zostałyby wystarczająco ukarany. Dla mnie Jamal Pope stał się ucieleśnieniem zła. Gdybym go dopadł i udusił, może choć w niewielkiej części naprawiłbym świat? Prawomocne środki nacisku społecznego zawiodły, dowodząc swojej słabości. Poświęciłbym resztę mojego życia, aby tylko móc posłać go do

wszystkich diabłów. Pope ruszył, a Briał szła posłusznie obok niego. Stephens pociągnął Michele, i przez chwilę nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zebrałem się w sobie do skoku, kiedy poczułem lufę pistoletu przy mojej skroni.

- No dalej - usłyszałem młody, nerwowy głos. Zerknąłem w bok i zobaczyłem Królika, syna Pope'a.

Kiedy człowiek wie, że niedługo umrze, czas dziwnie zwalnia. Pamiętam, jak weszliśmy w ciemny zaułek i nagle straciłem orientację w przestrzeni. Myślałem o wielu rzeczach naraz, widziałem papiery walające się dookoła i poruszane podmuchem wiatru. W którymś z okien dyndała goła żarówka, rzucając cienie na ścianę domu. Próbowałem ułożyć jakiś plan, ale jedyne, o czym byłem w stanie myśleć, to broń przy mojej skroni. Wiedziałem, że jeden niespodziewany ruch i Królik mnie zabije. Z tego, co o nim wiedziałem, byłem pewien, że będzie miał jeszcze mniej skrupułów niż ojciec. Dotarliśmy do ślepego zaułka za ostatnim domem w Glen. Smród moczu i ekskrementów, zmieszany z poczuciem beznadziejności, był potworny. Zapędzili nas w ślepy róg. Michele stała nieruchomo, zdając sobie sprawę, że oto ponownie zawiodła swoją córkę. Ramię w ramię spoglądaliśmy na Stephensa, Pope'a, Królika i Briał. Objąłem ją, próbując osłonić przed nieuchronnym i szepnąłem:

- Wybacz, kochanie.

Staliśmy tak w objęciach, gotowi na śmierć. Z ciemności dobiegł mnie głos Pope'a:

- Królik ich załatwi. Jest jeszcze nieletni.

- Nie dbam o to - odparł Stephens. - Zapłaciłem wam, więc załatwicie ich, jak tylko stąd zniknę. - Zapadła przerażająca cisza.

- Pozbądź się też dziewczyny.

- Mowy nie ma.

- Narobiłeś burdelu, to go posprzątaj. - Stephens był nie na żarty rozzłoszczony. To, co się tutaj działo, nie było łamaniem przepisów drogowych. Gdyby pozostał choć jeden świadek, mógł dostać dożywocie. Napięcie pomiędzy nim, a Popem rosło z każdą chwilą. - Nie powinno jej tutaj być. Niech sobie żyje i się zaćpa na śmierć, ale miała nie poznać swojej matki. Teraz, dzięki twojej chciwości, wszystko już wie i trzeba się jej pozbyć.

- Pieprzysz. To twoja wina, że się nie znasz na zegarku.

- Kurwa, Pope, posprzątaj po sobie.

Uniosłem głowę i spojrzałem w ciemność. Stali naprzeciwko siebie i kłócili się, ignorując nas przez chwilę. Pope w dalszym ciągu trzymał Briaah za ramię, a Królik mierzył do mnie z pistoletu.

- Nie zamierzam się z tobą kłócić - warknął Stephens. - Załatw ją.

Pope nie odpowiedział, tylko uniósł broń i wycelował ją w Dereka. Widziałem, że był wściekły.

- Wy biali, zawsze jesteście tacy sami - rzucił cierpko. - Przychodźcie tutaj i mówcie: zabij tego, sprzątnij tamtego. Zachowujecie się, jakby moi ludzie byli gównem warci. Traktujecie nas, czarnych, jak niewolników.

Potrząsnął Briaah, która nagle zaczęła zdawać sobie sprawę, że coś złego się dookoła niej dzieje. Wbiła paznokcie w rękę Pope'a, ale ten nie zwracał na nią uwagi.

- Myślisz, że zacznę zabijać ludzi, kiedy tylko strzelisz palcami? Uważasz, że to byłoby na rzeź. Nie szanujesz mnie.

Stephens aż się gotował ze złości.

- Na Boga, Pope! Czego ty chcesz?

- Cena za małą jest taka sama, jak za resztę. Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów.

Stephens zmierzył go wzrokiem, ale zdawał sobie sprawę, że jest na terenie Pope'a i że jego czas i możliwości są na wyczerpaniu.

- Dobra, niech będzie. Zrób to i miejmy ich z głowy. Lada chwila zajrzą tutaj gliny.

- Nic się nimi nie przejmuj.

- W takim razie umowa stoi. Daj mi pięć minut na zniknięcie stąd. - Obrócił się na pięcie i znikł w ciemnościach. Chwilę później usłyszałem trzask zamykanych drzwi, uruchamianego silnika i zobaczyłem samochód odjeżdżający w mrok.

Pope spojrzał na mnie. W dalszym ciągu trzymał w żelaznym uścisku Briaah, która otrzeźwiała na tyle, żeby wiedzieć, iż musi się uwolnić i jak najszybciej uciekać. Pope usiłował ją uspokoić, najwidoczniej nie zamierzał strzelać jej w plecy.

- Dziecko, stój spokojnie.

Briaah płakała, kopiąc go desperacko. Nagle zatopiła zęby w jego dłoni, a Pope zawył przeraźliwie. Uderzył ją wierzchnią stroną drugiej dłoni i krzyknął z bólem w głosie:

- Czemu to zrobiłaś?

Briaah zatoczyła się do tyłu i upadła.

Michele niespodziewanie wyrwała się z moich objęć i z wrzaskiem rzuciła na Pope'a. Furia, zrodzona z matczynej miłości, dodała jej sił. Sama gwałtowność ataku sprawiła, że nikt z nas nie był w stanie się ruszyć. Kopała, biła, gryzła i wrzeszczała,

nie dbając o to, co stanie się za chwilę. Wiedziała tylko, że Pope skrzywdził jej małą córeczkę, i musi ją bronić. Dlatego biła i gryzła, próbowała wyrwać mu włosy, atakując ze złością.

Królik stanął naprzeciwko mnie, dając do zrozumienia, że zabije mnie, jeśli drgnę choćby o milimetr. Michele w końcu uległa brutalnej sile Pope'a. Chwycił jej ramię w stalowym uścisku i wykręcił je, zmuszając Michele, aby opadła na ziemię. Próbowała jeszcze z nim walczyć, ale widziałem, że to nie ma sensu. Czterdzieści sekund wystarczyło, aby zmusił ją do uległości. Trząśłem się z wściekłości, ale nic nie mogłem zrobić.

Nagle stało się coś, czego nigdy w życiu bym nie przewidział. Tutaj, na dnie piekła, zdarzył się prawdziwy cud. Briaah rozejrzała się nieprzytomnie dookoła.

- Mamo? - zapytała dziewczęcym, pełnym strachu głosem.

Nie mam pewności, ale wydaje mi się, że wypowiedziała to słowo po raz pierwszy w życiu. Zdała sobie sprawę, że Pope zamierza ją zabić, i pomimo wpływu narkotyków, próbowała się ratować. Zaatakowała jak zwierzę zagonione w kąt i pozbawione możliwości ucieczki. Rzuciła się na Pope'a, choć była drobna i brakowało jej siły. Pope stracił równowagę. Próbując ją odzyskać, wypuścił z dłoni pistolet, który upadł niecałe dwa metry ode mnie.

To była okazja, na którą czekałem. Przestałem się bać i nie dbając o to, co zrobi Królik, rzuciłem się do przodu. W chwili, kiedy chwyciłem broń, usłyszałem huk i zaraz po tym poczułem potworny ból w lewym udzie. Przetoczyłem się po ziemi, zaciskając pistolet w rękę. Dziki instynkt gangstera zadziałał na moją korzyść. Jamal skoczył na mnie i zasłonił przed kolejnym strzałem Królika. Przez chwilę siłowaliśmy się, walcząc o broń,

kiedy Michele rzuciła mu się na plecy, okładając pięściami po karku i głowie.

Nasza trójka wirowała w upiornym tańcu. Pistolet, o który siłowałem się z Popem, był na szczęście wycelowany w górę i nie groził przypadkowym wystrzałem. Jamal był wyjątkowo silny, ale sytuacja obracała się na jego niekorzyść. Wiedział, że jeszcze kilka sekund i powalimy go na ziemię, więc krzyknął do Królika:

- Strzelaj! Zabij jebańców!

Królik nie potrzebował zachęty, ale byliśmy ze sobą tak spleceni, że nie potrafił wycelować, nie ryzykując zranienia ojca. Jeden nieuważny ruch i posłałby na tamten świat nas wszystkich.

- Którego? - krzyknął.

- Obojętne, cholera!

Wykorzystałem moment jego nieuwagi i odepchnąłem go tak mocno, że poleciał na Królika. Briaah zerwała się na nogi i zaczęła krzyczeć ile sił w płucach:

- Mamo! Mamusiu!

Ruszyła ku nam, zataczając się. Jeżeli wmieszałaby się do walki, nie sposób byłoby przewidzieć jej wynik. Pope w mig pojawił, co się święci i tylko wrzasnął:

- Zabij ją, do diaska. Strzelaj!

Królik odwrócił się w stronę Briaah i podniósł broń. Wtedy zdarzył się drugi cud. Nie wiem, czy nagle zrozumiał, że są dziećmi w tym samym wieku, ale coś sprawiło, że się zawahał. Spoglądał na nią oczami szeroko otwartymi ze strachu i myślał. Nagle dotarło do niego, że są parą nastolatków, które zostały wbrew swojej woli wplątane w sprawy, które znacznie je przerastały. Zamiast walczyć w wojnie narkotykowych gangów,

powinni się bawić, albo zakochać. Były dla nich miliony lepszych miejsc, niż zakazane i ciemne zaułki getta w Atlancie. Pomyślałem, że są jak Romeo i Julia, schwytani w pułapkę spraw, nad którymi nie mają żadnej władzy. Biedne dzieci.

Przez krótką chwilę miałem nadzieję, że Królik ciśnie broń. Widziałem w jego oczach, że zadaje sobie pytania: *Co ja tutaj robię? Po co? Dlaczego?* Był jeszcze zbyt młody, aby zrozumieć, za sprawą jakich zrządeń losu znalazł się w tym miejscu i o tej porze. To była chwila, w której miał dokonać wyboru: odda się złu, czy zdusi je w zarodku? Czas zamarł, zapadła cisza, która aż brzęczała w uszach. Briał stała nieruchomo i niepewnie, próbując zrozumieć, o co chodzi w tej śmiercionośnej grze. Miałem wrażenie, że cały wszechświat skurczył się do postaci jednego punktu. Cała niesprawiedliwość świata, brak perspektyw, problemy rasowe, bieda i beznadziejność życia skupiły się w duszy tego chłopca, którego gniew nagle zamienił się w bezgraniczny smutek. Bogu przysięgam, że wtedy prawie w niego uwierzyłem. Królik spojrzał na ojca, a w jego oczach widać było zamęt. Zdawał się niemo pytać: *Coś ty najlepszego ze mną zrobił? jakim cudem stałem się takim potworem? Czemu świat jest taki nieprzyjazny? Czy nie możemy tego zmienić?*

Pope nie rozumiał dylematów, które miał jego syn.

- Zabij ją! - krzyknął, a jego głos poniósł się przez nocne powietrze, jak grom. Świat wrócił na swój stary tor. - Zastrzel dziwkę!

Królik ponownie spojrzał na Briał, zamknął oczy i pociągnął za spust.

Jego krótkie wahanie sprawiło, że Pope poluzował swój chwyt i Michele zdołała wyrwać dłoń z uścisku. Jak tygrysica broniąca swoje młode, rzuciła się do przodu, zasłaniając córkę własnym ciałem. Kula trafiła w środek klatki piersiowej i targnęła jej ciałem do tyłu. Michele uderzyła o ścianę i wydała z siebie głuchy jęk. Zaskoczona spojrzała przed siebie wzrokiem pełnym bólu i cierpienia, a potem osunęła się na ziemię. Briaah, dla której ostatnia godzina była chyba prawdziwym koszmarem, ostatecznie się zachwiała i upadła na ziemię.

Królik spojrzał się na matkę i córkę, a potem rzucił broń i spojrzał pustym wzrokiem na ojca. Dotarło do niego, co zrobił. Niestety, Pope nie zamierzał się tak łatwo poddać i szczupakiem skoczył w kierunku pistoletu. Świat z powrotem stał się potworny, kiedy zrozumiałem, że aby ocalić moje życie, będę musiał go zabić na oczach syna. Królik, którego do tej pory uważałem za socjopatycznego mordercę, okazał się być dzieckiem, które nie pragnęło niczego innego, jak spokoju i normalnego życia. W ciągu ułamka sekundy podjąłem decyzję. Z głośnym hukiem wystrzału posłałem Jamala Pope'a do piekła.

Dźwięk syren policyjnych przybliżał się z każdą chwilą. Królik gdzieś zniknął, ale nie miałem siły go szukać. Krwawiłem z rany na udzie. Dokuśtykałem do Michele i przyklęknąłem obok. Otworzyła oczy i widząc mnie, uśmiechnęła się lekko. Musnęła palcami drżącej dłoni moją twarz, a ja pochyliłem się nad nią i pocałowałem ją w usta. Ironia faktu, że utraciłem Michele tego samego dnia, w którym zrozumiałem, że ją kocham, była dla mnie nie do zniesienia.

- Wyjdiesz z tego - szepnąłem, zaciskając jej dłoń w mojej.

- Moje dziecko. Widziałam...

- Nic jej nie jest.

- Nie chcę, żeby mnie teraz oglądała, Jack. Obejrzałem się za siebie, gdzie leżała nieprzytomna Bria.

- Nie. Nie widzi nas. Ona... śpi.

Michele oddychała ciężko, a każdy haust powietrza musiał być okupiony strasznym bólem. Otworzyła oczy i szepnęła ciszej, niż przed chwilą:

- Wróciłam do Glen, Jack. Koło się zamknęło, jest tak, jakbym niczego w życiu nie zrobiła.

Pogładziłem ją po twarzy, starając się nie okazywać bólu, który palił mnie jak rozpalone żelazo.

- Stworzyłaś najwspanialszą muzykę na świecie. Tylko anioły były godne cię słuchać. - Uśmiechnęła się lekko, a ja zacząłem płakać, bowiem wiedziałem, że nieuchronny koniec jest już bliski.

- Chciałem być z tobą, chronić cię i wspomagać.

Próbowała mnie uścisnąć, ale zabrakło jej sił.

- Zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

Syreny policyjne wyły już na sąsiedniej ulicy. Wiedziałem, że zaraz zbiegnie się tłum, więc własnym ciałem zasłoniłem ją przed oczami gapiów. Michele słabła z każdą sekundą, ale próbowała mi coś jeszcze powiedzieć. Nie usłyszałem jej za pierwszym razem, więc pochyliłem się nad nią.

- Zaopiekuj się moją córką, Jack. Obiecasz mi, że będziesz na nią uważał?

- Tak, kochanie - odparłem, wyznając jej prawdziwą, czystą miłość.

Ręka Michele zwiotczała, a jej ciałem wstrząsnęły dreszcze. Z ust wypłynęła cieniutka stróżka. Otarłem ją rękawem koszuli. Łzy napływały mi do oczu, nie mogłem znieść widoku życia, które ucieka z jej ciała. Czuję się tak, jakby serce miało się wyrwać z mojej piersi. Nagle zalało nas jaskrawe światło. Zmrużyłem oczy, ale zauważyłem, że bluzka Michele jest przesiąknięta krwią. Ponownie szepnęła coś, ale tym razem dosłyszałem sens jej słów:

- Kula miała zabić Briah.

- Wiem kochanie. - Pocałowałem ją w czoło, tuląc delikatnie. - Ocaliłaś swoje dziecko.

- Czy to oznacza, że jestem dobrą matką, Jack?

- Tak, kochanie. Najlepszą z możliwych. Ponownie omiótł mnie snop światła latarki.

- Jestem policjantem - usłyszałem dobiegający zza moich pleców męski głos. - Niech ją pan puści i położy się na ziemi.

- Tamtego ranka, u mnie w mieszkaniu - szeptałem, ignorując policjanta - powiedziałaś, że mnie kochasz.

- Pamiętam.

- Nie chciałaś, żebym ci odpowiedział. Powiedziałaś, że tak będzie łatwiej.

- Tak - wyszeptała.

- Kocham cię, Michele. Chcę, żebyś wiedziała, że kocham cię, jak nigdy nikogo nie pokochałem. Wyjdiesz z tego i będziemy razem. Karetka już jedzie.

Kłęczałem na ziemi, kołysząc ją w ramionach i błagając Boga, aby cofnął czas i pozwolił nam wrócić do Virginia Highlands, gdzie cieszyliśmy się swoim towarzystwem, nie zwracając uwagi na cały świat. Chciałem się z nią ukryć, zamknąć w bezpiecznym

świecie, w którym moglibyśmy się kochać na wieki i żyć ze sobą po wsze czasy. Odgarnąłem włosy z jej twarzy, a ona się uśmiechnęła. Powoli jej oddech stawał się coraz wolniejszy, westchnęła jeszcze raz i odeszła. Powoli zamknąłem jej oczy i tuliłem do piersi. Policjant położył dłoń na moim ramieniu. Nie próbował mnie odciągnąć, zrozumiał, że to było nasze ostatnie pożegnanie. Minutę później usłyszałem syrenę nadjeżdżającego ambulansu, ale było już za późno.

- Przepraszam moja najdroższa. Wybacz. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę z zamieszania, jakie miało miejsce dookoła mnie. Policjant przyklęknął obok i powiedział:

- Jest pan ranny. Przyjechała karetka, musimy zabrać pana do szpitala. - Spojrzałem na niego oczami pełnymi łez. - Kim jest ta kobieta?

Co miałem mu odpowiedzieć? Historia Michele mogłaby wypełnić karty całej książki. Przez dwadzieścia osiem lat szukała odpowiedzi na pytanie, kim jest naprawdę. Stworzyła sobie od podstaw, i z biednej dziewczynki przeobraziła się we wspaniałą kobietę. *Była królową*, pomyślałem. W końcu odparłem, zaskakując sam siebie:

- Fields. Nazywała się T'antiqua Fields.

Moją nogę przeszył potworny ból. Złożyłem ciało Michele w jego ramiona, a potem osunąłem się na ziemię.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Światło stawało się coraz jaśniejsze. Najpierw pobłyskiwało z boku, a potem od góry. W końcu, kiedy stało się nie do zniesienia, nawet przy zaciśniętych kurczowo powiekach, rozchyliłem je i

rozejrzałem się dookoła nieprzytomnym wzrokiem. Mrugałem i próbowałem się zorientować, gdzie jestem. Dopiero po dłuższej chwili zrozumiałem, że leżę w szpitalu. Obróciłem głowę, i zobaczyłem szeroką twarz Billy'ego Little'a, który spoglądał na mnie z troską w oczach.

- Proszę, proszę - powiedział na przywitanie. - A któż to się obudził? Doktorze, niech pan pozwoli tutaj.

Chwilę później obok niego pojawił się mężczyzna, wyglądający na Araba. Miał około dwudziestu pięciu lat, a kiedy się odezwał, okazało się, że mówi z wyspiarskim akcentem:

- To dobrze. Rana nie jest głęboka, ale stracił sporo krwi. Jeszcze kilka minut transfuzji i dojdzie do siebie.

Patrząc na lekarza, zastanawiałem się, w jaki sposób trafiłem do szpitala. Kiedy się poruszyłem, poczułem przeszywający ból w nodze i przypomniałem sobie, co zaszło w Glen. Wspomnienia zwały się na mnie jak śnieżna lawina. Wraz z nimi przyszła rozpacz, bowiem wiedziałem, że Michele nie żyje. Pamiętałem bójkę z Popem, strzał Królika i Michele konającą w moich ramionach.

Billy usiadł obok mnie i lekko stuknął w ramię.

- Narobił pan ostatnio sporo głupstw, panie mecenasie - powiedział. - Zwykle nie odwiedzam prawników w szpitalach.

- Przepraszam cię, stary - wymruczałem niewyraźnie pod nosem. - Jak się tutaj znalazłeś?

- Mniejsza o to. Kiedy lekarz uzna, że będziemy mogli cię przesłuchać, utniemy sobie dłuższą pogawędkę o tym, dlaczego właściwie mógłbym cię przymknąć za morderstwo Jamala Pope'a. Nie żebym był niezadowolony, że gryzie ziemię.

- Zrobiłem to w samoobronie.

- O, w to nie wątpię - odparł. Lekarz coś szepnął mu do ucha i Billy wstał. - Odpoczywaj, Jack. Później pogadamy.

Kiedy tylko wyszedł, zapadłem w sen. Nie zaznałem zbyt wiele odpoczynku, dręczyły mnie koszmary. Kiedy się obudziłem, pokój był oświetlony promieniami wschodzącego słońca. Najwidoczniej przespałem całą noc. Nowy lekarz wszedł do pokoju i szybko mnie zbadał. Poleciał pielęgniarce odłączenie kroplówki, i przeglądając moją kartę, powiedział:

- Miał pan wiele szczęścia, panie Hammond. Kula przeszła przez mięsień i minęła najważniejsze arterie. Zszyliśmy, co się dało i przetoczyliśmy panu krew. Do wesela się zagoi.

- Kiedy będę mógł wyjść?

- Za parę godzin, choć nie radzę startować w tegorocznym maratonie.

Pokiwałem głową i lekarz wyszedł. Nie poprosiłem o żadne proszki przeciwbólowe, ponieważ nie chciałem, aby mnie otumaniły. Miałem przed sobą wiele pracy i nie mogłem sobie pozwolić na popadnięcie w otępienie. Kilka minut później drzwi się uchyliły i do pokoju zajrzał Robinson.

- Mój Boże, Jack! Co się stało.

- Nic strasznego. Opowiadaj, co z tobą?

- Ja? Żyję. Ostatnią dobę pracowaliśmy z Michaeliem jak szaleni. Jestem padnięty, ale zadowolony.

- Jakie są wyniki?

- Takie, jak przypuszczaliśmy. Kilka godzin temu dostaliśmy odpowiedź z Instytutu Zdrowia. Było tak, jak mówiliśmy.

Pacjentów podstawiono, a lipitran najprawdopodobniej będzie działał. Ralston i Stephens wdepnęli w poważne kłopoty.

Zamknąłem oczy i wyciągnąłem się na poduszkach. Pójdziecie na dno, skurczybyki. Przez chwilę pozwalałem, aby świadomość sukcesu złagodziła ból, kiedy nagle otworzyłem oczy.

- Gdzie jest Koszmar?

Robinson położył mi rękę na ramieniu.

- Wiem o dzienniku. Opowiedział mi wszystko około północy.

- Co zrobiłeś?

- Wybaczyłem mu. Chłopak był przerażony, a poza tym nie poradziłbym sobie bez jego pomocy.

Jakby na niewidzialny sygnał, do pokoju wszedł Koszmar. Wyglądał jak człowiek, który od kilku nocy nie zmrużył oka. Na mój widok uśmiechnął się blado i powiedział:

- Cześć, stary Wyglądasz jeszcze gorzej, niż zwykle.

- Michael, jestem ci wdzięczny, że nas nie wystawiłeś.

Koszmar poczerwieniał ze wstydu.

- Postanowiłem, że przez chwilę będę uczciwy - odpowiedział. - Zobaczę, jak to jest być tym Dobrym. Ale nie przyzwyczajaj się. Ciemna strona Mocy jest silna, a ja łatwo ulegam pokusom.

Podciągnąłem się na łóżku i spytałem:

- Która jest godzina?

- Około siódmej rano - odparł Robinson. - Będą cię chcieli potrzymać tu jeszcze kilka godzin, aby mieć pewność, że nic ci nie jest.

- Nie tym razem. Zbieramy się.

- Chyba nie chcesz wykrwawić się na śmierć? - spytał Robinson, spoglądając na mnie z zaskoczeniem.

1 Przekonaj lekarzy, że mają mnie dobrze zabandażować. Musimy wyjść. Mamy dwie godziny na to, żeby spotkać się z Nicole Frost w Shearston Lehman. - Spojrzałem na nich uważnie. - Cała nasza trójka. Michael, masz jakieś pieniądze?

- Trzy tysiące osiemset dolarów. Więcej nie dałem rady skombinować.

- Powinno wystarczyć. - Spojrzałem na Robinsona. - Michael wtajemniczył cię w plan?

- Tak, choć mówił dość ogólnikowo.

- Masz jakieś pieniądze?

- W zasadzie to nie. Grayton opłacał mnie akcjami swojej firmy. Wtedy to był niezły pomysł, bo były warte po czterdzieści dolarów za udział.

- A teraz?

- Może pięć.

- Ile ich masz?

- Doliczając premie i bonusy... około stu sześćdziesięciu ośmiu. Nie miałem czasu na rachunki, więc tylko powiedziałem:

- Dobra, zbieramy się. Wyjaśnię wam wszystko po drodze.

- To wszystko, co mam. Przeznaczyłem je na emeryturę.

- Jeżeli mi zaufacie, nie zawiedziecie się. Robinson przez chwilę obserwował mnie w milczeniu, a potem pokiwał głową.

- Kiedy cię spotkałem, byłem skończony. Wyciągnąłeś mnie z grobu, w którym już stałem jedną nogą. Chyba mogę ci jeszcze raz zaufać.

- Cudownie. Pomóżcie mi się ubrać i zwołajcie detektywa Little'a. W zamian za zeznania, które uczynią z niego porucznika,

zażądamy pewnej przysługi. Dzięki mnie i jego pomocy przekonacie się, że praca ze mną jest opłacalna.

Następnych kilka godzin nie było łatwych, ale nie pozwalałem, aby uczucia przejęły kontrolę nad moimi poczynaniami. Na żalobę przyjdzie czas później, mówiłem sobie w duchu. Teraz trzeba działać. Nie mogłem sobie pozwolić na rozpraszanie uwagi, ponieważ odpowiednie wycucie czasu było kluczowe dla dokończenia mojej intrygi.

O dziewiątej rano znaleźliśmy się wraz z Koszmarem i Robinsonem w hallu biurowca Shearston Lehman. Wyglądaliśmy jak z zupełnie innej bajki, zwłaszcza ja, opierający się na lasce i z nogą obwiązaną bandażami. Przybyliśmy dokładnie o czasie, i żaden z nas nie miał okazji, aby się wykąpać czy przebrać. Robinson, niewyspany i zmęczony, wyglądał jak wcielona śmierć. Koszmar nigdy nie próbował pozować na uczciwego obywatela, i w centrum finansowego światka Atlanty sprawiał wrażenie przybysza z innej planety. Przechodzący obok ludzie ze zdziwieniem spoglądali na jego różnokolorowe włosy, kolczyki i koszulkę zespołu „System of the Down”.

- Możesz mi to jeszcze raz wyjaśnić? - spytał, a jego głos drżał ze zdenerwowania.

- Przerabialiśmy to już kilka razy.

- Mówiłeś coś o niepowodzeniu - odparł.

- Albo więzieniu - syknął Robinson Spojrzałem na nich rozdrażniony i warknąłem:

- Nie musicie brać w tym udziału. Drzwi są tam. Ja chcę tylko wam odpłacić za pomoc. Jeśli boicie się za ryzykować, proszę bardzo, nie będę miał do was pretensji.

Po chwili namysłu Robinson pokiwał głową, a Koszmar nieznacznie mu przytaknął.

- Dobra. Horizn wchodzi na giełdę, skupujemy akcje, a potem na twój znak je sprzedajemy.

- I robimy to w sposób, który przekona innych, że jesteśmy w stanie kontrolować sytuację. A co, jeśli nam się nie uda?

- Będziemy skończeni. Finansiści nie wybaczą łatwo takich zagrywek.

- Mam nadzieję, że nie chcesz wykorzystywać informacji zastrzeżonych?

- W żadnym wypadku.

- Z tego powodu ważny jest czas?

- Dokładnie.

Robinson spojrział na mnie, a w jego oczach widziałem pełno wątpliwości.

- Jesteś pewien, że nie odwołają wejścia na giełdę? Wiesz, po tym wszystkim, co się ostatnio wydarzyło...

Pokręciłem głową.

- Nie. Nie wycofają się na kilka minut przed godziną zero. Wyszliby na nieprofesjonalną firmę. Inna rzecz, że Stephens nie ma powodów do obaw. Myśli, że wszystko jest w porządku. Nawet, jeśli spróbuje za dzwonić do Pope'a, nie zdziwi się, że ten nie odbierze telefonu. Zainwestowali w wejście na giełdę grube pieniądze, a banki liczą na pokaźne zyski. Gdyby zmienili zdanie, ludzie zamordowaliby ich gołymi rękami.

Drzwi za nami rozsunęły się i wyszła przez nie Nicole. Kiedy tylko mnie zobaczyła, stanęła jak wryta.

- Jack? Co się stało?

Nie miałem czasu na pogaduszki, więc przeszedłem od razu do rzeczy.

- Chcemy otworzyć konto giełdowe. - Nicole roześmiała się nerwowo, więc dodałem. - Mówię najzupełniej poważnie.

- Nie wyglądacie na dzianych - odparła z przekąsem.

- Nasze aktywa to dwa miliony pięćset trzydzieści jeden tysięcy czterysta dolarów.

Zapadła cisza, a Nicole zbliżyła się do mnie i powiedziała:

- Jack, wiem że ostatnio nie wiedzie ci się najlepiej, ale gra na giełdzie to nie jest dobry pomysł. - Spojrzała na Robinsona i Koszmara, i spytała: - Kim są ci ludzie?

- To moi wspólnicy. Pan doktor dysponuje stu sześćdziesięcioma ośmioma akcjami Grayton Laboratories, wartymi po pięć dolarów za udział. - Nicole zamilkła, ale nim zdołała coś powiedzieć, przerwałem jej: - Pan Michael Harrod ma przy sobie czek na trzy tysiące osiemset dolarów. Michael, przywitaj się ze swoim nowym brokerem.

Nicole i Koszmar przywitali się bez entuzjazmu. Chwilę później otworzyły się drzwi i do hallu weszła grupka nienagannie ubranych maklerów.

- Chodźmy na górę, Jack - powiedziała Nicole. - Jeśli ktoś was zobaczy, moja reputacja na tym ucierpi.

Zaprowadziła nas do windy i wjechaliśmy na drugie piętro. Przeszliśmy kładką nad halą, przy której siedziba NASA przypominała przestarzały kurnik. Znaleźliśmy się w świecie, gdzie plazmowe monitory bez przerwy pokazywały przepływ światowych finansów. Brokerzy obserwowali wahania cen, niczym Rzymianie walki gladiatorów. Podobnie, jak w Colosseum, tak i

tutaj co dzień padały ofiary, ale nikt się nimi przejmował. Liczyli się tylko zwycięzcy. Zadaniem Nicole było dopilnowanie, aby jej klienci należeli do tej ostatniej grupy.

Koszmar, Robinson i ja weszliśmy do biura Nicole. Z jej rzucanych półgębkiem uwag dowiedzieliśmy się, że zwykle w biurze nie kręci się tylu oficjeli. Większość z nich przyszła obejrzeć, jak Horizn poradzi sobie na giełdzie. W jednym z biur zauważyłem na stole kubełek z lodem, w którym chłodził się szampan. W skórzanych fotelach siedziała piątka ludzi, szczęśliwych i roześmianych, jak dzieci na święta.

Koszmar szedł jak w transie, zapewne wyobrażając sobie, ile byłby w stanie wyrządzić szkód, gdyby tylko zdołał włamać się do tego systemu. Weszliśmy do gabinetu Nicole, za którego umebłowanie służyło nowoczesne biurko, stolik kawowy, kilka foteli i skórzana kanapa. Na ścianie wisiał obraz Leroya Neimana. Spojrzałem na niego zdziwiony.

- Osobiście go nie znoszę - wyjaśniła Nicole. - Ale moi klienci lepiej się czują, widząc takie płótno. Łatwiej oddają wszystkie swoje pieniądze, kiedy ich o to po proszę. - Usiadła za biurkiem i spytała: - Możecie mi wyjaśnić, o co chodzi? Mamy dosyć ciężki dzień przed sobą.

Postawiłem walizkę i wyjąłem z niej plik dokumentów.

- To są certyfikaty własności Grayton Technical Laboratories. Razem z czekiem bankowym ich obecna wartość to osiemset czterdzieści trzy tysiące osiemset dolarów. Nie muszę chyba wyjaśniać?

Nicole patrzyła w milczeniu na stos papierów. Wyjęła kalkulator i coś szybko obliczyła.

- Nadal nie macie wystarczającej sumy, aby otworzyć konto giełdowe.

- Zamierzamy zakupić duży pakiet akcji i szybko się go pozbyć. Liczymy na spory zysk. Dodatkowo mamy tutaj moją polisę ubezpieczeniową na życie. Uprawniłem Shearson Lehman do jej spieniężenia.

Nicole siedziała nieruchomo i milczała. Choć była uroczą osobą, to w pracy przeistaczała się w królową lodu.

- To dość nietypowe podejście.

- Ale jak najbardziej zgodne z prawem.

- Zdajecie sobie sprawę, że jeśli ceny akcji nagle spadną, poniesiecie spore straty.

- Tak.

- Możecie stanąć przed sądem, jeśli dokonacie czegoś, co złamie prawo bankowe.

- Wiemy.

- Nie rozumiesz. Każde działanie musi być udokumentowane. Nie możecie liczyć na tłumaczenie się przypadkiem, czy szczęściem.

- Oczywiście.

- W takim razie proszę poczekać - odparła kiwając wolno głową. - Muszę pójść po odpowiednie dokumenty.

Żal jątrzył mnie od wewnątrz, ale nie zwracałem na niego uwagi. Chciałem się zemścić na Ralstonie, Stephensie i Horizn. To, co planowałem, było nie do końca sprawiedliwe, ale za to jakie słodkie. Kiedy podpisaliśmy dokumenty, Nicole zaczęła wprowadzać nasze dane do systemu. Krążyłem nerwowo po pokoju, jak wilk. Cała boczna ściana gabinetu Nicole była wykonana ze

szkła. Robinson i Koszmar siedzieli nieruchomo, obserwując przez nią, jak maklerzy zajmowali swoje miejsca i rozmawiali, popijając kawę.

W chwili, w której otworzono dla nas konto, staliśmy się partnerami. Łączyła nas nie tylko znajomość, ale i interesy. Ramię w ramię szliśmy na wojnę. W pokoju dawało się wyczuć dziwną energię: po części ekscytację, po części strach. Podszedłem do szyby i spoglądałem na panoramę domu giełdowego. Punktualnie o dziesiątej Nicole powiedziała:

- Bomba poszła w górę. Wyścig właśnie się rozpoczął. Powiedz mi, co robimy.

- Chcę obserwować Horizn.

- Horizn? - spytała, blednąc.

Podszedłem do Nicole i zjrzałem jej przez ramię. Na monitorze cyfry zmieniały się jak w kalejdoskopie. Odnalazłem symbol Horizn, HZN i zauważyłem, że cena momentalnie podskoczyła do sumy 31. Ułamek sekundy później wzrosła do 32,50, a potem 33,17.

Nicole spojrzała na mnie i zapytała:

- Powiedz mi, co zamierzasz? Pomyłka może cię drogo kosztować.

- Jeszcze nie teraz.

Minęło pół godziny, a Nicole siedziała jak na szpilkach. Cena akcji Horizn osiągnęła pułap 38,12 dolarów za sztukę.

- Jack, zwariowałeś.

O jedenastej piętnaście były już warte powyżej czterdziestu sześciu dolarów. Wszystko wskazywało na to, że w ciągu kilku godzin zrobią zysk przewidziany na cały rok. Ludzie kupowali jak

szaleni, bowiem ceny zmieniały się w miarę, jak wpisywano zlecenia. Spojrzałem na Robinsona, wyglądał na zdenerwowanego.

- Kiedy osiągną poziom pięćdziesięciu dolarów.

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz - powiedział drżącym głosem Koszmar.

- Zawsze możesz się wycofać. Decyzja należy do ciebie.

Koszmar zamilkł, ale nadal czujnie obserwował monitor. O wpół do dwunastej tempo wzrostu zmalowało i ceny zatrzymały się na poziomie 49. Choć czasem zbliżały się do magicznej granicy pięćdziesięciu dolarów, nie potrafiły jej przeskoczyć.

- Zaczyna brakować im pary - powiedziała Nicole. Spojrzałem na zegarek. Była za dwadzieścia dwunasta.

- Kup dwadzieścia pięć tysięcy akcji. Na otwartym rynku.

- Jack, to niemądre. Poczekajmy, może stanieją.

- Rób, co mówię - naciskałem z oczami utkwionymi w monitorze.

- To twoje pieniądze - odparła.

Polecenie zakupu znalazło się w systemie i podjudziło inwestorów, jednak cena nadal nie przekroczyła pięćdziesięciu dolarów.

- Jeszcze raz to samo - mruknął Robinson. Nicole spojrzała na mnie, a ja pokiwałem głową. - Zrób, co mówi. Kolejne dwadzieścia pięć tysięcy, na wolnym rynku.

Nicole wstukała polecenie, i po kilku sekundach ktoś jeszcze kupił akcje. W ciągu pół minuty ich ceny zaczęły z powrotem rosnać, i bariera pięćdziesięciu dolarów została przełamana. Ceny poszybowały w górę, jak rakieta.

- Matko Przenajświętsza... - jęknął Robinson.

- Tak - odparłem. - Niech ma nas w swojej opiece.. - Spojrzałem na zegarek i poprosiłem Nicole: - Możesz włączyć telewizor. Channel Five.

Nicole spojrzała na mnie, nic nie rozumiejąc, ale spełniła moją prośbę. Ekran ożył reklamówką opery mydlanej. Cena akcji Horizn przekroczyła poziom 53.

Kiedy reklama się skończyła, u dołu ekranu na czerwonym tle wyskoczył napis „Z ostatniej chwili”. Zobaczyliśmy salę konferencyjną głównej komendy policji w Atlancie. Billy Little stał na podium, a przed nim piętrzył się stos mikrofonów. Koszmar obserwował telewizję z twarzą bladą jak płótno. Robinson wprost przeciwnie, cały czas zachowywał kamienny spokój. Patrzył na Billy’ego, chłonąc z jego ust każde słowo. Czekał na nie od lat.

- Nicole. Zaraz będziemy sprzedawać nasze akcje - powiedziałem. Chcę abyś je przygotowała i trzymała palec na spuście.

- Ile?

- Wszystkie. Czekaaj na mój znak.

Nicole przeniosła wzrok ze mnie na telewizor i z powrotem. Nagle zdała sobie sprawę, że za chwilę rynek się załamie.

- Jack! Mój Boże, Jack!

- Dokładnie, skarbie.

- Mam je przygotować tak? Co jest grane?

- Trzymaj je w pogotowiu i czekaj na mój sygnał.

Obserwowałem Billy’ego, jak mówi. Kątem oka spojrzałem też na monitor na ścianie. Akcje Horizn rozchodziły się jak ciepłe

bułeczki. Kolejne piętnaście sekund było dla mnie katorgą, a Billy tylko gadał i gadał.

W końcu, kiedy myślałem, że padnę na miejscu, Billy skończył czytać oświadczenie, a dziennikarze na sali podnieśli ręce, aby zadać pytanie.

- Teraz Nicole, sprzedawaj wszystko.

- Jack, posłuchaj mnie...

- Rób, co mówię.

Nicole nacisnęła klawisz, Koszmar ukrył twarz w dłoniach, Robinson wstał ze swego miejsca i podszedł do mnie. Razem obserwowaliśmy rynek. Pięćdziesiąt tysięcy akcji w jednej chwili wpłynęło na rynek. Drobnociułacze zawahali się, wyczuwając kłopoty. Nasza oferta wisiała w pustce finansowego wszechświata. Przez chwilę zapanował w nim straszliwy spokój. Na ekranie telewizora Billy odpowiadał na jedno pytanie po drugim. Dziennikarze przekrzykiwali się nawzajem. *Błagam cię, Boże. Teraz, albo nigdy.* Nagle, zupełnie niespodziewanie, nasze akcje kupił któryś z instytucjonalnych graczy. Robinson odetchnął, a ja zaraz po nim.

- Wszystko w porządku? - spytał Koszmar. Jego głos był bezbarwny i drżący.

Odwróciłem się do niego i uśmiechnąłem.

- Stara ekonomia, Michael - powiedziałem. - Powinieneś się nią zainteresować. Włącz dźwięk, Nicole.

Za sprawą jednego przycisku na klawiaturze głośnik telewizora ożył.

- Tak, racja - powiedział Billy Little. - Nie ma dowodów, aby w tę sprawę był zaangażowany ktokolwiek z pracowników Horizn,

oprócz Charlesa Ralstona i Dereka Stephensa.

Nicole jęknęła, a ja położyłem rękę na jej ramieniu.

- Detektywie Little, czy mamy do czynienia z zabójstwami pierwszego stopnia?

- Tak, jak najbardziej. Zginęło osiem osób. Potrząsnąłem Nicole.

- Możesz wyłączyć telewizor. Zamknij też drzwi. Na zewnątrz zaraz wybuchnie trzecia wojna światowa.

- Mój Boże, Jack. Wiedziałaś! Jesteśmy skończeni, to wewnętrzna informacja.

Pokręciłem głową.

- Nie. Sprzedałaś nasze akcje po tym, jak zostało ogłoszone oświadczenie. To była publiczna informacja, dlatego nie można mówić o oszustwie.

Nicole spojrzała na monitor. Gracze giełdowi zaczęli wyprzedawać akcje. Kwestią czasu było, kiedy ich wartość spadnie na łeb, na szyję.

- Tysiące ludzi straciło ogromne pieniądze. Wziąłem jej dłoń w moją, zmusiłem, aby wstała, i pocałowałem w policzek.

- Zawsze tak się dzieje. Na szczęście kłopoty nie dotyczą ciebie.

Nicole opadła z powrotem na fotel i obserwowała, jak cena akcji Horizn spada poniżej trzydziestu dolarów za sztukę.

- Ty draniu - szepnęła. - Ty cwany draniu.

- Ja nic nie wiedziałem, ty nie złamałaś prawa, a twoi nowi klienci stali się bogaczami. To chyba niezły początek dnia, prawda?

Horizn w ciągu kilku godzin wydał szereg oświadczeń i sprostowań. Ich wysiłki zdały się na nic. Kiedy sytuacja się uspokoiła, cena akcji oscylowała około czterech dolarów i dwunastu centów. Robinson zarobił dwa miliony sześćset cztery tysiące dolarów w dwie godziny. Koszmar, który bez wątpienia już niedługo zamierzał powrócić do nazwiska Michaela Harrod, stał się posiadaczem czterdziestu sześciu tysięcy dolarów.

Ja nie zarobiłem ani centa. Zwróciłem Thomasowi Robinsonowi honor i pozwoliłem się zemścić. Odzyskawszy dla siebie to pierwsze, nie chciałem tego drugiego. Robinson wiele przeżył i cieszyłem się, że mu pomogłem. Nie zamierzałem jednak zarabiać pieniędzy na czymś co wyssało życie z Michele Sonnier. Wszyscy inni: właściciele sal koncertowych i promotorzy wykorzystywali ją za życia. Nawet mąż nie był lepszy, bowiem poślubił ją tylko po to, aby z jej pomocą wejść na salony. Wolałem umrzeć, niż zbrukać pamięć mego mrocznego anioła.

Zyski z mojego udziału, siedemdziesiąt dwa tysiące dwieście osiemdziesiąt dolarów, przekazałem na fundusz dla Briah Fields, osoby najbardziej pokrzywdzonej przez wypadki ostatnich dni. Ona jedyna nie zasługiwała na taki los.

Rozdział trzydziesty

Robinson, Koszmar i ja staliśmy przed budynkiem Shearson Lehman, skąpani w jasnym, ciepłym słońcu. Obok nas Atlanta tętniła życiem. Ludzie spieszyli się, załatwiali swoje sprawy. Kochali i nienawidzili, tworząc ułomną, ale kolorową społeczność. Spojrzałem na Robinsona i powiedziałem:

- Jesteś dobrym człowiekiem i świetnym lekarzem.

Odpowiedział mi uśmiechem, a po chwili zażartował:

- Słuchaj, może pozwolą mi jeszcze prowadzić jakieś badania?

- Nie wiem. W najbliższym czasie sprawy mogą przybrać trudny obrót. Będą was nachodzić dziennikarze, policja, być może ktoś z komisji nadzoru bankowego. Niczym się nie martwcie. Macie dobrego prawnika.

- Wiemy o tym. Najlepszego.

Koszmar, który nadal nie potrafił uwierzyć, że nie jest bankrutem, powiedział:

- Idźcie spać. Wyglądacie, jak z krzyża zdjęci. Robinson przetarł zmęczone powieki i powiedział:

- Jeśli nadal szukasz pracy, to daj mi znać. Umiesz myśleć, a ja mam kilka pomysłów związanych z oprogramowaniem.

- Co ty na to, Michael? Musisz z czegoś opłacić podatki, i może nie skończysz w więzieniu?

Koszmar rozejrzył się dookoła. Dopiero teraz zauważyłem, że nosi się pewniej i jest bardziej wyprostowany, niż zwykle.

- Taaak. To nie jest zły pomysł.

- Świetnie. A teraz daj odpocząć doktorowi.

* * *

Na mnie czekał smutek. Dałem Blu wolne do końca tygodnia. Nie chciała mnie zostawić samego, ale w końcu ją przekonałem. Wróciłem do domu i poszedłem spać. Przez następne dni nie wychodziłem z domu, jedząc i śpiąc na zmianę.

Kochałem Michele, jednak związek z nią był szalony. Wdarła się do mojego życia jak huragan, rozsadzając mój skostniały świat. Miało minąć sporo czasu, zanim wszystko wróci do normy. Kiedy ja ukrywałem się w mojej samotni, Atlanta zwróciła się przeciwko swemu do niedawna ulubionemu synowi, który sprzedał życie ośmiu potrzebujących pomocy ludzi w zmian za władzę i zyski. Już wkrótce Horizn miał stanąć oko w oko z procesami o odszkodowania, a tajemnice Michele z pewnością staną się pożywką dla prasy.

Kiedy w końcu wyszedłem z domu, było spokojne, ciepłe popołudnie. W okolicy panowała cisza i spokój, ale wiedziałem, że to tylko złudzenie. Na północy miasta megakorporacje obracały miliardami dolarów, na południu ludzie tłoczyli się w małych domach, niczym mrówki robotnice w swoim mrowisku. Gdziekolwiek spojrzeć, rozciągały się dzielnice tętniące życiem sprowadzonym z każdego zakątka świata.

Trzy dni po śmierci Michele pojechałem na przejażdżkę. Przystanąłem obok znajomej kwiaciarni i kupiłem bukiet tulipanów. Potem udałem się w miejsce, gdzie dwa lata temu zostawiłem kawałek mojej duszy. Zatrzymałem się przed wejściem na cmentarz Oakland i opuściłem okno, rozkoszując się zapachem letniego powietrza. Trawa kołysała się pod wpływem podmuchów wiatru, a drzewa szumiały. Przymknąłem oczy i cieszyłem się dziką naturą. Nagle pomyślałem o doktorze Thomasie Robinsonie,

który zaryzykował wszystko, nawet własne życie, aby dokończyć swoją pracę. Odwaga i desperacja są sobie bardzo bliskie, i wspólnie pomagają przewyciężyć zło. Pomyślałem też o Koszmarze, który opuściwszy swoją ciemną jaskinię, był w stanie dokonać niemożliwego.

Jednak tak naprawdę moją uwagę zaprzętał ktoś inny. Niedaleko stąd spoczywała pewna kobieta. Odliczyłem szósty nagrobek. Napis na płycie mówił *La flor Innocente*, ale to była tylko romantyczna sentencja. Violetta nie była niewinna. Pokochała złego człowieka i zapłaciła za to potworną cenę. Spędziłem wystarczająco dużo czasu z wyrzutkami z tego miasta, żeby dostrzec, iż zła w niej nie było. Po prostu znalazła się pomiędzy dwiema sprzecznymi siłami, jak to się często w życiu zdarza. Bo w tym wiecznie zmieniającym się świecie trudno o schronienie i miłość.

Otworzyłem drzwi samochodu, wysiadłem i cicho podszedłem do grobu. Na jego płycie wyryto jeszcze jeden napis: *Bella como la luna y las estrellas*. Bez wątpienia, Violetta Ramirez była śliczna jak księżyc i gwiazdy. Ukląknę i złożyłem kwiaty na jej grobie. Zmówiłem krótką modlitwę i pożegnałem się. Jeśli jej duch mnie nawiedza, to tylko we wspomnieniach, a nie na jawie. Nadszedł czas, abym pozwolił jej odejść, uwolnić ją od życia, które okazało się takie trudne i niewdzięczne.

Wstałem i poczułem na twarzy ciepłą bryzę. Niosła ze sobą woń mojego miasta: zapach ludzi, maszyn, spalin, miłości i grzechu. U mego boku brakowało mi Michele Sonnier, znamienitej artystki, namiętnej kochanki i matki. Co mogę powiedzieć? Otworzyła moje serce, ale naszej miłości nie było dane przetrwać.

Czułem się oszukany, ale i spokojny. Przede mną było tysiące nocy, kiedy będę tęsknił za jej obecnością. Setki kolejnych spowiję cisza, której nie rozproszy jej śpiew.

Miłość to szczęście i cierpienie pospołu. Bardzo wiele zależy od przypadku i okoliczności. Czy pokochałbym Michele, gdybym spotkał ją w McDaniels Glen? Dostrzegłbym to, co sobą reprezentowała? A może minąłbym ją, zakładając, że jest kolejną, zwykłą mieszkanką czarnego getta? Nie wiem i wiedzieć nigdy nie będę.

Żadne z nas nie ma mocy, aby cofnąć czas. Życie nie trzyma się logiki. A może jest wręcz przeciwnie? Grayton Technical Laboratories zostało ocalone, a wraz z firmą Koszmar i Robinson. Michele odeszła i osierociła, tym razem naprawdę, swoją córkę. Nie było jej dane poznać Bria. *L'amore non prevale sempre*. Miłość nie trwa wiecznie. Wiedział o tym Szekspir, ale każde pokolenie samodzielnie musi pojąć tę lekcję. Doug znał sens tych słów. Gdzieś w głębi swojej osamotnionej duszy zdawał sobie sprawę, że miłość przypieczętuje jego los, kiedy wyznał ją Michele za pomocą słów Szekspira. To było jego przywitanie i pożegnanie zarazem. Teraz wiem to i ja. Ale musimy żyć, pogodzić się z przeszłością, pozwolić jej odejść i dalej robić swoje.

KONIEC